

Milena Wójtowicz

# **Wrota 2**

Fabryka Słów

2008

**COPYRIGHT © BY Milena Wójtowicz, LUBLIN 2008**  
**COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2008**

**Data wydania:**

2008

**Wydawca:**

Fabryka Słów sp. z o.o.  
20-607 Lublin, ul. Wallenroda 4c  
[www.fabryka.pl](http://www.fabryka.pl)  
email: [biuro@fabryka.pl](mailto:biuro@fabryka.pl)

ISBN-978-83-60505-72-4

**WYDANIE I**

**Wydanie elektroniczne:**  
© **lille**, 2009

# ROZDZIAŁ 1

Ktokolwiek zaprojektował człowieka, wykazał się wielką inwencją twórczą. Tyle wielokształtnych, kolorowych rzeczy w środku - i jeszcze do tego wielofunkcyjnych. Taki żołądek na przykład. Nie dość, że w użyteczny sposób przetwarzał pożywienie na energię, to jeszcze sprawdzał się jako budzik. Wystarczyło nacisnąć.

Prostą czynność deptania co najmniej dwiema łapami po żołądku i okolicach Pazur opanował do perfekcji. W końcu był psem inteligentnym, aczkolwiek tchórzliwym i leniwym. Jego właścicielka też była inteligentna, a ponadto uparta i twarda. Mimo ugniatania organów wewnętrznych nie raczyła nawet otworzyć jednego oka, twardo i uparcie udawała, że dalej śpi. Pazur nie zraził się brakiem reakcji. Swoje wiedział, a niezawodny psi instynkt podpowiadał mu, że mimo szczelnie zaciśniętych powiek jego pani jest absolutnie przytomna. Kiedy już porannemu rytuałowi stało się zadość i zwierzak był gotów rozpocząć kolejny dzień, zeskoczył z ogromnego łóżka i zaczął skomleć pod drzwiami, wzywając wsparcie. Niania, poczciwa, a zarazem szalona starowinka, zdawała się tylko na to czekać. Wtargnęła do komnaty, jak zwykle kwiląc coś radośnie i absolutnie niezrozumiale pod nosem. Jakim cudem tej kobiecie udawało się zawsze być we właściwym miejscu o właściwym czasie, nikt nie był w stanie pojąć, a już na pewno nie jej podopieczna. Nie żeby ją to w ogóle interesowało. Salianka, Pani Twierdzy, kierowała się w życiu słusznym założeniem, że nie warto zawracać sobie głowy bez potrzeby. Niania była gdzieś w pobliżu zawsze, kiedy wymagała tego sytuacja? Była. To po diabła zaglądać starowince w zęby, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że już od dawna ich nie miała.

Niania niczym burza przemknęła przez komnatę, jednym płynnym ruchem odmykając okiennice, wydobywając z kufra suknię, nalewając ciepłej wody do misy stojącej na toalecie i ściągając kołdrę z królowny. Salianka poczyniła jeszcze próbę zatrzymania uciekającego snu, zaciskając desperacko powieki. Na próżno, poranne słońce było silniejsze, poza tym istniała realna groźba, że staruszka za chwilę wyciągnie spod królowny prześcieradło. Dziewczynie

nie pozostało nic innego, jak tylko wstać. Umyła wszystkie wystające końce, przy okazji ochlapując Pazura, ubrała się i przy pomocy egzotycznych mazideł i dużej ilości pudru poprawiła swoją urodę. Rzuciła jeszcze ostatnie spojrzenie w lustro i już była gotowa, żeby stawić czoła światu jako takiemu, zaczynając od śniadania.

Być może istniały na tym świecie królowny żywiące się poranną rosą i wędzonymi skrzydełkami motyli, ale Salianka z pewnością do nich nie należała. Zaczynała dzień od czegoś konkretnego, na przykład od półmiska pieczonych golonek, które zagryzała rzodkiewkami.

Odkąd została odrobinę opętana, zyskała nowe nawyki żywieniowe. Zdarzyło jej się ostatnio nawet pożreć ogromną porcję kaszanki, i to na oczach osłupiałych Doradców.

Udało jej się zaskoczyć ich tą kaszanką. Przywykli już do fochów, obowiązkowego szorowania posadzek, ogromnego znaczenia higieny w sprawach ogólnopaństwowych, pogadanek na temat zdrowej diety, przywykli nawet do tajemniczych zgonów. Według niektórych zresztą te ostatnie mogły być wynikiem wspomnianej diety. Ale Pani Twierdzy w żółtej sukni z falbankami, siedząca u stóp własnego tronu z ogromnym kawałkiem kaszanki w ręku... To było więcej, niż mogli spokojnie znieść. Drugiego rozboląła głowa, Czwarty musiał się położyć na kilka godzin, Siódmy zaczął się jąkać. Na szczęście dla wszystkich rozmówców, wkrótce doszedł do siebie. Nic dziwnego. W dochodzeniu do siebie Doradcy Salianki mieli wprawę. W każdym razie ci, którzy jeszcze żyli.

Rada uparcie trwała, starając się nie tylko utrzymać swój status w królestwie, ale i odpowiednią, wyznaczoną tradycją liczbę członków. W jednym i drugim przypadku trudno było mówić o sukcesach. Nic dziwnego, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę rozmaite okoliczności, takie jak: zdrada, przypadkowa śmierć z rąk faworyta królowny, nieprzypadkowa śmierć z rąk faworyta królowny, opętanie czy śmierć z rąk królowny. Aktualnie Rada liczyła siedem osób, nie włączając królowny. Z tych siedmiu osób tylko jedna wiedziała, co naprawdę dzieje się z Salianką.

A działa się dużo; jak na gust samej zainteresowanej, to zdecydowanie za dużo. Pierwsze siedemnaście lat królowna przeżyła w spokoju i nieświadomości. A potem w jednej chwili wraz ze śmiercią swojego ojca odziedziczyła stanowisko Pierwszej Rady, Wrota do piekieł, które radośnie umościły się w jej umyśle, i jaźń trwającą przedtem w uśpieniu.

Wrota były niczym dziedziczna choroba przekazywana kolejnym pokoleniom. Setki lat wcześniej zamknięto je w umyśle przodka Salianki. Dawni królowie Dolin z sobie tylko znanych powodów skazali władców Twierdzy na współlistnienie z demonami. Jakby tego było mało, kilkaset lat później ktoś rzucił na jej przodków okrutną klątwę: każdy kolejny Strażnik

Wrót pozostawał pustym, bezmyślnym naczyniem, dopóki Wrota nie zagościły w jego, czy też jej głowie. Wtedy nagle stawał się w pełni świadomym, względnie normalnym człowiekiem. Względnie, bowiem Wrota miały swój własny umysł, a jeśli nie umysł, to przynajmniej poglądy i zdanie na wiele tematów. Nadto zbyt częste ich otwieranie sprowadzało kolejnych chętnych do panowania nad ciałem Strażnika - demony. Ojciec królowny otworzył Wrota o jeden raz za dużo.

Już świadoma Salianka pragnęła tylko żyć w spokoju. I żyła przez ponad trzy lata, aż pewnego dnia została uratowana całkowicie wbrew swojej woli. Zbawcą okazał się Gawarek, książę Dolin, który pretendował do roli bohatera i obrońcy uciśnionych. Królowna mniej się czuła więźniem Twierdzy niż Wrota, które z radością przywitały odmianę losu i możliwość oglądania świata poza murami. W przeciwieństwie do Salianki ostatnie, czego pragnęły, to spokoju, nie zniechęciła ich nawet odgrywana przez królowną rola posługaczki. Salianka okazała się mniej odporna. Wróciła do domu, opuszczając przygnębionego psa i zadowolonego księcia, któremu Wrota naprawiły magiczny miecz.

Uciekając przed nadmiarem planów i chęci ze strony Wrót, Salianka, wróciwszy do Twierdzy, odkryła, że wpadła z deszczu pod rynnę, a konkretnie: w cieknące z tej rynny plany i chęci Rady. Niejako zmuszona przez swoich Doradców do rozpoczęcia podboju sąsiednich krajów, królowna postanowiła przynajmniej dokonać wyboru w zakresie sąsiada. Pecha miały Rozstaje. Podczas gdy ona zmagala się z Radą, faworytem (sprowadzonym z piekieł przez Wrota żądnym krwi demonem), egzorcydami, którzy wypowiedzieli świętą wojnę jej i wszystkim demonom, oraz przypadkiem i cudownie odnalezioną matką, przybył zaginiony od wieków król Rozstajów, by zgodnie z przepowiednią uwolnić swój kraj spod jarzma. Towarzyszyli mu wierni przyjaciele, z których jeden niechcący i nieświadomie zdobył serce królowny, a wkrótce potem próbował je przebić mieczem.

Sama Salianka też stała się obiektem nie do końca rozsądnie ulokowanych uczuć i jak to zwykle bywa z nieszczęśliwymi miłościami - finał był niezwykle dramatyczny. Wprawdzie królowna uniknęła stosu, który przygotowali dla niej ukochany wspólnik z wielbicielem, ale bez ofiar się nie obyło. Wśród nich oprócz setek bezimiennych egzorcydów, łupieżców i przypadkowych osób znaleźli się: wielki wojownik Ulk - demon i alter ego Gawarka - i Virven, który poświęcił część siebie, żeby ocalić życie Saliance, a pozostałą częścią wrócił do piekieł. Salianka nie przejęła się zbyt uszczupleniem szeregów łupieżców, ani tym bardziej porażką egzorcydów, ale strata Ulka i Virvena dotknęła ją bardziej, niżby sama chciała przyznać. Nie pocieszył jej nawet fakt, iż Wrota, niewątpliwa przyczyna wszystkich tych wydarzeń, przeniosły się do umysłu czarodziejki, cudem odnalezionej matki królowny, i

razem z nią wyruszyły zwiedzać świat.

A Salianka żyła dalej z braku lepszej alternatywy...

Lepszej z jej własnego punktu widzenia, oczywiście. Inne punkty widzenia nie były z reguły brane pod uwagę. Czasem, kiedy to było wygodne, zdarzało się Saliance wysłuchiwać cudzych opinii, jeszcze rzadziej - uwzględniać te opinie we własnych rozważaniach. Ten niewątpliwy zaszczyt najczęściej kopał Plaskata albo Jalę. Reszta ludzkości zasadniczo była królownie do szczęścia zbędna. Liczyli się tylko ci ludzie - i ewentualnie psy - których brak lub krzywda odbiłyby się na dobrym samopoczuciu Saliarki. O ile dobre samopoczucie było w ogóle stanem osiągalnym. W co ona sama z każdym dniem wątpiła coraz bardziej.

Królowna miała problem i był to problem z gatunku tych zdecydowanie przytłaczających. Wszystko oczywiście było winą Wrót, a konkretnie: ich przekłętą optymistyczną, którego ponura i pesymistyczna Saliarka nigdy nie podzielała i jak się okazało, wiedziała, co robi.

W wyniku nadmiaru rzeczoności optymistycznej Saliarka znalazła się w paskudnej sytuacji. Bez żadnych doświadczeń, za to z dużą dozą optymistycznej własności Wrota założyły, że skoro królowna była w stanie świadomie przeżyć kilka minut bez nich, to tak będzie zawsze. Myśl o tym, że nie miały racji i że nie może im tego wytknąć, doprowadzała Saliarkę do szału. Jak dotąd skutki optymistycznego założenia dały się odczuć tylko raz, za to porządnie. Na kilka godzin znowu stała się tępą lalką, jaką była przez pierwsze siedemnaście lat swojego życia. Niania i Plaskat ukryli to przed resztą Rady, a Saliarka, ledwo odzyskała zmysły, wpadła w histerię. Rozesłanie gońców za Pawlinką, niezbyt wzorową matką, nic jak dotąd nie dało. Czarodziejka razem z Wrotami w swoim umyśle przepadła bez śladu, a jej córka powoli i niechętnie zaczęła się godzić z rychłym końcem świadomego bytowania.

Saliarka nie miała zamiaru wspominać o tym Radzie, która w jej opinii składała się z bandy przeżartych ambicją szaleńców. Jeszcze by zaczęli robić jakieś plany. Wystarczyło, że Plaskat wiedział i, jak podejrzewała, plany robił. Nie miała pojęcia jakie konkretnie, ale posądzała go o wszystko, co najgorsze. Na podstawie dotychczasowych doświadczeń nabrała głębokiego przekonania, że i tak zawsze musi jej się przytrafić wszystko, co najgorsze. Rozsądnie więc było się tego spodziewać i na to się przygotować. W życiu nie przyszłoby królownie do głowy, że Piąty planował za wszelką cenę ją ocalić.

Nieświadoma faktu, że ktoś poza Pazurem może jej dobrze życzyć, Pani Twierdzy czyniła przygotowania do godnego odejścia. Polegało to na pisaniu oskarżycielskich listów do Wrót i Pawlinki. Szanse, że kiedykolwiek przeczytają te wypociny, były raczej znikome, ale wyrzucanie z siebie złości poprawiało dziewczynie humor. Złości, nie smutku czy rozpacz.

Odkąd królowna dzieliła swoje ciało z fragmentem demona, uzalenie stało się dość problematyczne: coraz trudniej przychodził jej płacz, a ponure zasepienie gdzieś w jej wnętrzu kotłowało się i zmieniało we wściekłość.

Niewątpliwie kolejnym powodem do wściekłości był fakt, że nie mogła w spokoju pisać swoich elaboratów w Twierdzy, bo wścibscy Doradcy niemal wisieli jej nad głową. Zirytowana królowna zaczęła wykazywać niepohamowane upodobanie do spacerków. Z wycieczek poza czarne mury najbardziej cieszył się Pazur. Było mu wszystko jedno, czy jego pani bazgrze coś zapamiętała, czy zgrzyta zębami, spoglądając z nienawiścią na horyzont. Cokolwiek by robiła, on jej w tym nie przeszkadzał, zajmował się kopaniem dołów, w które potem wpadali patrolujący okolice łupieżcy, lub też użyźnianiem łąki, w co później wdeptywali patrolujący okolice łupieżcy.

Ledwo królowna skończyła zagryzać ostatni kawałek golonki ostatnią rzodkiewką, a pies już poderwał się gotów do wyjścia. Jego pani nie dała się długo prosić, zabrała pergamin, pióro, atrament i podążyła poza Twierdzę, na swój ulubiony kamień, wypucowany przez łupieżców pod jej osobistym nadzorem.

Pazur zajął się penetrowaniem okolicy, a królowna, pochłonięta kaligrafowaniem na pergaminie kolejnych wyzwisk i wyrzutów, nawet nie zauważyła, kiedy po raz drugi od utraty Wrót odpłynęła w niebyt.

\* \* \*

Salianka otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą coś jakby sufit z materiału. Był w paskudnym odcieniu beżu i na sam jego widok można było dostać mdłości. Do tego wszystko, łącznie z podłogą, się trzęsło. W tych nieprzyjaznych i utrudniających koncentrację okolicznościach do królowny powoli, z każdym kolejnym wybojem, docierało, co się właściwie stało.

- Niech to diabli! - Chciała się poderwać, ale sukcesu nie odniosła. Coś krępowało jej ruchy.

Z lekkim zdziwieniem zorientowała się, że jest związana. Nie stanowiło to wielkiego problemu, miała przecież siłę i zwinność demona. Wystarczyło odrobinę się postarać, a sznury pękły. Salianka usiadła i rozmasowała nadgarstki. Nie była zadowolona z tego, jak ją potraktowano, i miała ochotę komuś o tym powiedzieć. Nic nie wskazywało na to, że mieliby jej wysłuchać członkowie Rady. Salianka nie miała złudzeń co do wielce wątpliwej lojalności swoich Doradców, ale wysłanie jej gdzieś związanej i nieprzytomnej nie było w ich stylu.

Przed wszystkim oni by się nie bawili w wozy i sznury - za pewniejsze i skuteczniejsze uważali noże, możliwie zastrzone. Tym bardziej że noże rozwiązywały wielce istotną kwestię ewentualnego powrotu królowny. W przypadku wozów i sznurów należało się liczyć z możliwością, a raczej koniecznością udzielenia Saliance wyjaśnień. I stawienia czoła jej niezadowoleniu. A tego Doradcy ze wszelkich sił starali się unikać.

Było więc jasne, że to nie oni odpowiadają za położenie swojej Pierwszej. Królownie nie przychodził na myśl nikt na tyle głupi, żeby ryzykować porwanie. To, co widziała, też nie pomagało w uzyskaniu odpowiedzi. Łatwo było stwierdzić, że znajdowała się na wozie i pod płócienną plandeką. Ten wóz do tego jechał gdzieś ze znaczną prędkością. Cel podróży pozostawał wielką niewiadomą.

Salianka nie lubiła nie wiedzieć, co się wokół niej dzieje, a jeszcze bardziej, jak się właśnie okazało, nie lubiła nie wiedzieć, co się dzieje z nią. Wybrała najprostszy możliwy sposób uzyskania pożądanых informacji. Przez materiał na przedzie można było dostrzec ciemniejszy kształt, niewątpliwie woźnicę. Kto jak kto, ale on musiał wiedzieć, dokąd zmierza. Nie namyślając się wiele, królowna zbliżyła się do mężczyzny i zanim zdążył ją zauważyć, złapała go za gardło.

- Wierznij chociaż, to cię uduszę - obiecała twardo.

Nie wypuszczając szyi nieszczęśnika z dłoni, rozejrzała się po szybko przemykającej z obu stron okolicy. Była lesista i górzysta. Nie wyglądała znajomo, chociaż to akurat nic nie znaczyło. W swoim krótkim świadomym życiu Salianka nie miała okazji poznać świata.

Tymczasem przerażony podduszony człowiek łypnął na nią okiem. Nie było mu za wygodnie tak zwiśać z kozła, ale jakoś nie śmiał się poskarżyć. Pierwszy raz zdarzyło mu się wieść skrepowaną i nieprzytomną pasażerkę, ale chłopski rozum mu podpowiadał, że taka pasażerka nie powinna bez widocznej przyczyny, a już w ogóle bez pomocy z zewnątrz, zmienić się w mgnieniu oka w kobietę wolną i wyjątkowo napastliwą. Coś było bardzo, bardzo mocno nie tak. Starał się więc być cicho jak trusia, jak powietrze i inne grzeczne, niezwracające na siebie uwagi elementy tudzież puszyste i łagodne zwierzątka. Miał odrobinę irracjonalnej nadziei, że dziewczyna może po prostu o nim zapomni i postanowi skorzystać z właśnie odzyskanej wolności.

Królowna jednak nie zamierzała spełnić pokładanych w niej nadziei, nie była przecież głupia. Potrzebowała informacji i nie spieszyła się wypuścić z rąk jedynej osoby, z której mogła je wydobyć.

- Gadaj! - Potrząsnęła woźnicą.

- Ale co? - pisał w panice.



Salianka zastanowiła się. No rzeczywiście, zapomniała zadać pytanie.

- Na początek mów, gdzie jesteście - zdecydowała.

- Przejeżdżamy przez Góry Omszałe - wycharczał.

- Góry Omszałe? - zmarszczyła brwi królowna. Nic jej ta nazwa nie mówiła. - Nie słyszałam o takich. Nie próbuj mi tu kręcić! - Zatrzęsła nim tak, że prawie mu głowa odpadła.

- Jesteśmy we Wzgórzach, tak?!

- Minęliśmy... minęliśmy Wzgórze trzy dni temu - wyjęczał woźnica, mobilizując ukryte w głębiach jestestwa rezerwy szczerości. Wydawało mu się, całkiem słusznie zresztą, że od tego, czy dziewczyna mu uwierzy, zależy jego życie. A przynajmniej jakoś śmierci.

Salianką tak ta wiadomość wstrząsnęła, że aż go puściła. Nie na długo, ledwo nieszczęśnik zdążył nabrać powietrza, a palce królowny znowu zacisnęły się na jego gardle. Tym razem mocniej, brutalniej.

- Byłam nieprzytomna przez trzy dni?! - W jej oczach zabłysło coś takiego, że woźnica stracił prawie całą nadzieję na ujście z życiem. Jakoś śmierci też stanęła pod sporym znakiem zapytania. Zaczął podejrzewać, że umrze w mękach.

- Przez sześć - wyświszczał. Gdzieś tam w przerażonym umyśle coraz hałaśliwiej kołatała się myśl, że zgoda na to, by transportować tę wiedźmę, była najgłupszą rzeczą, jaką uczynił w życiu. Kobiетка, na pozór niczego sobie, przy bliższym poznaniu nie dość, że przerażająca, to jeszcze niezdecydowana była. Łapała go za gardło, puszczała, łapała, teraz nagle znowu go puściła. Wdrapała się na kozioł i usiadła obok. Była wyraźnie zasepona i zmartwiona tym, co usłyszała. Ale nie stawała się przez to ani odrobinę mniej groźna. Woźnica starał się odsunąć od niej jak najdalej. Konie też, co nieoczekiwanie przyspieszyło tempo ich podróży i zniechęciło woźnicę do wysiadania w biegu.

- No ładnie - mruknęła królowna, którą ta wiadomość poruszyła bardziej, niż było po niej widać. Przekłety niebyt nadchodził wielkimi krokami... - Prawie tydzień! Dobrze, że się w ogóle obudziłam.

- To były bezpieczne specyfiki - powiedział woźnica przymilnie i pocieszająco i zaraz pożałował, że się w ogóle odezwał, bo Salianka po raz kolejny chwyciła go za szyję.

- Specyfiki? - syknęła.

- Żeby panienka była spokojna w czasie podróży - wyszeptał. Teraz był już pewien, że na gardle nie czuje kobiecej, ani nawet ludzkiej dłoni.

- Kto?! - to już nawet nie było pytanie, to był wyrok śmierci in blanco.

- Panowie egzorcyci.

Nie puściła mężczyzny, ale odrobinę rozluźniła chwyt. Woźnica skorzystał z okazji, żeby

nabrać powietrza.

- Przecież już raz się ich pozbyłam! - zdenerwowała się królowna. - Znowu wrócili?

Woźnica, który poprzysiągł sobie więcej nie otwierać gęby, tylko wskazał palcem w tył. Dziewczyna wychyliła się nieco i dojrzała drugi wóz. Jechali nim ludzie w znajomo wyglądających ciemnych płaszczach. Naprawdę byli jak karaluchy, nie do wytępienia. Nie zamierzała jednak pozwolić, by jakieś robactwo kierowało jej życiem. Zadarła głowę i patrzyła przez chwilę na gałęzie drzew przemykające ponad powozem. Jak dotąd nie miała właściwie pożytku z siły i zręczności, jakie zostawił jej Virven. Najwyższy czas to zmienić.

- Dziękuję - mruknęła i cisnęła woźnicę w najbliższe krzaki.

Skok w górę pozwolił jej stanąć na solidnym konarze. Egzorcyści zauważyli ją, ale nie zdążyli nic zrobić. Królowna odbiła się od gałęzi i jednym susem wylądowała na koźle pomiędzy nimi. Jeden rzucił się na nią z nożem, więc po prostu wypchnęła go z powozu. Drugi sięgał po sztylet, ale złapała go za nadgarstek. Coś nieprzyjemnie chrupnęło, a mężczyzna gwałtownie pobladł.

- Nie dotarło, kiedy kazałam wam się wynosić? - warknęła Salianka, teraz już naprawdę bardzo, bardzo zirytowana.

- Twój los jest przesądzony, czarownico. - Mężczyzna spojrzał na nią z nienawiścią.

- Doprawdy? - zdziwiła się uprzejmie królowna. Ledwo słyszalny szelest sprawił, że zajrzała pod plandekę, na tył powozu, i przyłożyła siedzącemu tam człowiekowi, który właśnie łądował belt do kuszy. - Takie rzeczy mogliście sobie mówić, kiedy jeszcze byliście dla mnie zagrożeniem. Przestań się krzywić - zażądała. - Robienie paskudnych min ci nie pomoże. Ale jeśli odpowiesz mi na parę pytań, to może cię wypuszczę.

Odpowiedzią było pogardliwe prychnięcie.

- W jednym kawalku - dodała złowrogo Salianka. Przyjrzała się w zadumie swoim dłoniom. - Podejrzewam, że byłabym w stanie wyrwać ci ręce i nogi. Zrobimy eksperyment? - ożywiła się. Jeszcze kilka miesięcy temu na myśl o tym, że ma osobiście zrobić komuś krzywdę, robiło jej się niedobrze. Teraz zaczynała odkrywać w sobie pokłady nie do końca ludzkiej krwiożerczości. Najwyraźniej Virven zostawił jej coś więcej niż siłę i zręczność.

W tej chwili właśnie egzorcysta pojął, że porwana białogłowa nie żartuje, bo aż się zmienił na twarzy. Znał wszelkie straszliwe historie o Czarownicy z Twierdzy, w końcu nie mógł nie wiedzieć, jakie zło zamierzał zwalczać. I kiedy spoglądał w jej przytomne wreszcie oczy, dochodził do wniosku, że owo zło było prawdziwie złe i wszeteczne. A każde krwawe i ponure słowo, które słyszał, niewątpliwie było prawdą. Gorzej, nagle w jego myślach załęgło się niezłomne przekonanie, że właściwie to w tych historiach musiało być sporo niedomówień

poczynionych z uwagi na bezpieczeństwo słuchających. Prawda zapewne wystraszyłaby ich na śmierć.

- Co chcesz wiedzieć? - zapytał pośpiesznie.

- Jak mnie schwytaście?

- Siedziałaś na polanie, nawet nie drgnęłaś, kiedy podchodziliśmy. Potem wystarczyło tylko podstawić ci pod nos środek usypiający.

Królewna westchnęła z irytacją. No tak, odeszła sobie w słodki niebyt i dała się porwać.

- Wiedziałam, że to będzie ich wina - mruknęła do siebie. - Gdzie mnie wieźliście?

- Do Trzech Wież.

- To jakieś miasto? - zainteresowała się. - Daleko?

- Jeszcze z dziesięć dni drogi.

- Po co targaliście mnie taki kawał? - zdziwiła się. Na ich miejscu zabiłaby siebie od razu. Ale ona, jak wszyscy w Twierdzy, była praktyczna.

- To najważniejsze miasto po tej stronie gór. Tam spłoniesz na stosie, by wszyscy widzieli, jak ginie zło - oznajmił patetycznie.

Nawet udało mu się zrobić na Saliance wrażenie. Trzymała go, jak to mówią, w garści, i to trzymała boleśnie, a on nadal uważał ten plan za aktualny. Przez chwilę nawet zastanawiała się, jak wymusić na nim użycie czasu przeszłego, albo choć marnego trybu przypuszczającego, szybko jednak porzuciła te miłe rozważania na rzecz nieco mniej przyjemnych. Wyglądało na to, że egzorcyści mieli plan, a ten plan nie zakładał bynajmniej przyjęcia do wiadomości porażki. Ani rezygnacji z prób pozbawienia Saliarki życia. No cóż, wszystko wskazywało, że los podziela zdanie egzorcyistów w tym względzie. Zło w osobie królowej miało się ku końcowi, i to zupełnie niezależnie od ich planów. Ale umierać publicznie? Ku uciechu gawiedzi? Pozwolić, żeby płomień jej stosu podgrzewał obłąkane pomysły egzorcyistów?

- Oj, chyba nie - stwierdziła z jadowitą satysfakcją Saliarka i wyrzuciła mężczyznę z powozu. W ślad za nim cisnęła nieprzytomnego kusznika, zabrawszy mu przedtem solidnie wypchaną sakiewkę. Ubóstwo nie należało najwidoczniej do cenionych przez egzorcyistów cnót.

Nie miała pojęcia o powożeniu, ale konie zrobiły jej uprzejmość i zatrzymały się w końcu same. Lekko się spłoszyły, gdy do nich podeszła, królowa jednak nie zamierzała nawiązywać bliższych kontaktów. Miała kompletny antytalent do jazdy na końskim grzbiecie i dość bolesne wspomnienia w tym temacie. Wolą już wracać do Twierdzy na piechotę. Konie były zbyt niewygodne i do tego zdarzało im się mieć własne zdanie na temat kierunku.

Niemniej były zdecydowanie sympatyczniejsze od ludzi, ze szczególnym uwzględnieniem swoich poprzednich właścicieli, zatem Salianka okazała im miłosierdzie. Nie umiałyby zdjąć im uprzęży, ale z rozerwaniem jej nie miała problemu. Konie, ledwo poczuły wolność, uciekły gdzie pieprz rośnie, w każdym razie gdzieś w tamtym kierunku.

Kiedy już uwolniła zwierzątka, zajęła się kwestią biwaku. Już zmierzchało i robiło się coraz chłodniej. Praktycznie podchodząc do posiadanych zasobów, Salianka własnoręcznie połamała powóz na kawałki. Nie był jej już potrzebny, w przeciwieństwie do drewna opałowego. Trochę czasu minęło, ale imponujące ognisko wreszcie zapłonęło. Królowna usiadła obok, grzejąc dłonie.

Po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, gdzie właściwie jest. W Twierdzy były mapy, rzecz jasna. Niektóre przedstawiały nawet świat znajdujący się poza Dolinami, Nadrzeczem, Rozstajami, Wzgórzami, a nawet Ujściem. Salianka nigdy ich nie oglądała. Wiedziała, że nie ma najmniejszych szans na odwiedzenie tych odległych krain, więc nie chciała psuć sobie humoru.

Nazwa Góry Omszałe nic jej nie mówiła, wiadomość, że są o trzy dni drogi od Wzgórz, oznaczała tyle, że znajduje się prawdopodobnie na zachód od Twierdzy. Sześć dni drogi powozem. Pewnie tyle samo konno. Dalej, niż kiedykolwiek podróżowała w jakimkolwiek kierunku. Znalazła się bardzo, ale to bardzo daleko od domu, co było lekko niepokojące.

Najbardziej jednak martwiła ją kolejna utrata świadomości. Myśl, że czeka ją niebawem bezmyślna wegetacja, była nie do zniesienia.

Nagle królownie przyszło do głowy, że może nie warto marnować czasu na powrót do Twierdzy. Był to co prawda jej dom, ale życie w nim oznaczało szereg podobnych do siebie dni i oczekiwanie na nieuchronny koniec. O wiele lepiej byłoby czekać na ten koniec, robiąc coś interesującego. A teraz przed Salianką rozpościerał się cały nieznaną jej świat, pełen miejsc, o których nawet nie słyszała i, co istotniejsze, w których nikt nie słyszał o niej. Skoro ten świat nic nie znaczył dla Twierdzy, to dlaczego Twierdza miałaby cokolwiek znaczyć dla tego świata? Królowna miała sakiewkę ze złotem, siłę demona i tę odrobinę magii, która przysługiwała Strażnikom Wrót. I nic do stracenia.

Zanim myśl zdążyła się przerodzić w postanowienie, uwagę Salianki odwrócił szelest gałęzi. Ktoś lub coś się zbliżało. Królowna już dawno pogodziła się z brakiem ewentualnych bohaterów, którzy mogliby rzucić się na ratunek dziewczeczce zagubionej w lesie czy gdziekolwiek indziej. Wybrała sobie kawałek deski wyrwanej z podłogi powozu i zamierzyła się profilaktycznie.

Na drogę wyszło coś czarnego i obszarpanego. Saliance deska wypadła z rąk, kiedy

poznała Pazura.

- Pieseczku - jęknęła z przerażeniem, padając na kolana.

Pazur podszedł do niej, machając niemrawo ogonem. Wyglądał strasznie: wychudzony, utykał na jedną łapę, na bokach zaschła mu krew. Królowie łyzy stanęły w oczach.

- Ty wariacie. - Przytuliła go do siebie. - Co ci strzeliło do głowy, żeby za mną biec? Trzeba było zostać w Twierdzy, tam by się tobą zajęli. Jak ty wyglądasz! - Pazur zaskomlał cicho, kiedy Salianka dotknęła chorej łapy. - Trzeba ci znaleźć lekarza - oznajmiła, wstając.

Pies też próbował się podnieść, nie wychodziło mu to najlepiej. Królowa bez wysiłku wzięła go na ręce. Przyszło jej do głowy, że kiedyś, jeśli zdąży, będzie musiała sprawdzić, jak właściwie jest silna. Ale teraz nie było na to czasu. Musiała, po prostu musiała coś zrobić, żeby uratować Pazura. Na całym świecie on jeden ją kochał. Tak mimo wszystko i właściwie za nic. Tylko za to, że była Salianką.

- Trzeba znaleźć jakąś wieś albo miasteczko - stwierdziła, rozglądając się bezradnie. Po prawej miała drogę prowadzącą prawdopodobnie do Twierdzy. Po lewej szlak w nieznaną. Przekleła w duchu wszystkie mapy, których nie przejrzała, kiedy mogła. Nie miała pojęcia, dokąd iść, gdzie znaleźć jakąś pomoc.

Zrobiła kilka kroków w prawo. Wszędzie był tylko las. Zawróciła. Po kilkudziesięciu krokach zauważyła, że drzewa się przerzedzają. Przyspieszyła i już po chwili stała na nagim zboczu góry. Poniżej rozpościerała się dolina, a w oddali, w głębi kniei, migotało coś jakby światła. Mogło to być tylko złudzenie, ale Salianka uznała ewentualne złudzenie za lepsze niż pewność, że w drugą stronę niczego nie znajdzie. Ignorując wytyczony szlak, ruszyła wprost przed siebie, w kierunku światła, oddalając się jeszcze bardziej od Twierdzy.

\* \* \*

Droga przez nieznaną puszcza, do tego w towarzystwie zapadającej nocy, nie spodobała się królowie. Co chwila o coś się potykała i do tego miała wrażenie, że obserwują ją setki małych oczek należących do wielkich stworów. Niemniej z braku innych opcji pozostawało jej tylko zacisnąć zęby i iść naprzód, w kierunku hipotetycznych siedzib ludzkich. Odkąd zeszła ze wzgórza, nie widziała już światła, ale miała nadzieję, że nie zoczyła zbyt z drogi. Nadzieja zmieniła się w pewność, kiedy las zaczął się przerzedzać, a Salianka wyszła na tyły ostrokołu. Nie miała zamiaru tracić czasu na obchodzenie fortyfikacji naokoło, żeby sprawdzić, gdzie jest brama i czy ją w ogóle w nocy wpuszczą. Wzięła krótki rozbieg i odbiła się od ziemi. Przez chwilę balansowała na czubku zaostrzonej żerdzi, by wreszcie zeskoczyć

na drugą stronę ogrodzenia. Pazur, śpiący dotąd w jej ramionach, otworzył jedno oko i pisnął cichutko.

- Spokojnie - szepnęła do niego królowna. Była zdecydowana znaleźć kogoś, kto byłby w stanie pomóc psu, choćby miała przewrócić całe to siedlisko do góry nogami i osobiście rozszarpać gardła wszystkim mieszkańcom.

Za ostrokołem znajdowało się kilkanaście drewnianych domów, rozmiarem i rzęsim oświetleniem wyróżniała się gospoda. Początkowo tam Salianka skierowała swoje kroki, ale kiedy pod jej nogi wytoczył się pijak, który nie miał pojęcia, gdzie znaleźć medyka, za to miał wobec dziewczyny zamiary nieprzystojne, zrezygnowała. Od przyłożenia niedoszłemu amantowi w łeb powstrzymał ją tylko fakt, że miała zajęte ręce. Wobec tego przylewitowała jego głową o najbliższą ścianę i gdy pijaczyna osuwał się powoli na ziemię, królowna zawróciła w stronę ostrokołu. Znalazła bramę, zaryglowaną od środka, i półdrzemiących przy niej strażników. Pociągnęła kilka razy nosem na próbę, przypominając sobie, jak to było być posługaczką z gminu.

- Piesek mi zachorował! - zaszlochała cienko i donośnie, fundując strażnikom brutalne przebudzenie.

Coś tam mruczeli gniewnie pod nosem, ale zapłakana dziewczeczka, nawet przeciętnej urody, z chorym pieskiem na rękach nie jest osobą, na którą można się złościć. Jest za to osobą, którą należy jak najszybciej splawić, żeby móc dalej spać.

Wskazali jej właściwy dom, dodając, że to po pierwsze medyk od ludzi, a po drugie pewnie i tak śpi i nie wstanie. Królowna podziękowała im szczerze i serdecznie i poszła dobijać się do drzwi znachora.

Otworzył w końcu, wściekły, że wyciąga się go z łóżka późnym wieczorem.

- Mój pies jest chory - powiedziała bez zbędnych wstępów Salianka.

- Leczę ludzi - warknął medyk i próbował zatrzasać jej drzwi przed nosem, ale królowna była szybsza. Podtrzymując Pazura jedną ręką, drugą bez wysiłku otworzyła je szerzej i wślizgnęła się do środka.

- Niewielka różnica - stwierdziła stanowczo i wyciągnęła z kieszeni wypchaną sakiewkę.

- Dobrze zapłacę.

- Różnica rzeczywiście niewielka - zgodził się skwapliwie znachor, nie odrywając oczu od wypchanego mieszka. Złoto w cudowny sposób poszerzyło zakres jego kwalifikacji. - Rzekłbym: nieistotna. Proszę, niech panienka wejdzie.

\* \* \*

Świtało, kiedy medyk skończył opatrywać psa.

- Panienko!

Obudzona królowna podniosła gwałtownie głowę. Nie zauważyła nawet, kiedy zapadła w drzemkę, niespokojną i bardziej męczącą niż dającą odpoczynek.

- Już po wszystkim - powiedział medyk. - Musi mu panienka dawać lekarstwo na wzmocnienie jeszcze przez tydzień, łyżeczkę co wieczór - podał jej flaszeczkę - i pilnować, żeby nie jadł zbyt łapczywie.

Salianka przeciągnęła się, strząsając z siebie resztki snu. Zaraz też sięgnęła po sakiewkę.

- Nie trzeba, nie trzeba. - Znachor zamachał rękami, jakby odpędzał złe duchy. Najzwyklejszy rozsądek podpowiadał mu, że nie należy brać złota od ludzi, którym zaraz po przebudzeniu oczy świecą się na żółto. Diabli zapewne wiedzieli gdzie takie złoto wcześniej bywało. - Zwierzątkom pomagam z dobrego serca. W końcu to nasi mali przyjaciele.

- Dziękuję. - Zdziwiona królowna schowała pieniądze i wzięła Pazura na rękę. Nie zwykła stykać się z altruistami. Nie była pewna, czy można im ufać, czy może lepiej od razu udusić. Zaraz zauważyła jednak, jak lekarz rzuca pełne niepokoju spojrzenia na jej ramiona, bez drżenia dźwigające ciężkiego zwierzaka. Wszystko było w porządku, znachor nie był życzliwy, tylko po prostu się jej bał. Z przerażonymi ludźmi królowna wiedziała, na czym stoi.

- Ależ nie ma za co, nie ma za co. - Medyk giął się w ukłonach, otwierając jej drzwi. - A skąd panienka mówiła, że jest?

Salianka spojrzała na niego podejrzliwie. Może i przestraszony, ale zbyt wścibski.

- Z Dolin - skłamała. - Ale nic o tym nie wspominałam.

\* \* \*

Kiedy ktoś wszedł do sklepu kilka chwil po tym, jak Klasus go otworzył, kupiec wyjrzał zza lady. Zobaczył średniego wzrostu i średniej urody dziewczynę w wymiętej sukience. Pannica właśnie układała wielkiego, obandażowanego psa na workach z burakami.

- Są tu jakieś stroje? - uprzedziła go, zanim zdążył zapytać, co ona, do licha, wyprawia.

- Naturalnie. - Klasus oburzył się na myśl, że ktoś może powątpiewać w bogactwo jego zaopatrzenia.

- A pudry? Henna? I te wszystkie inne mazidła? - Dziewczyna wydawała się dość zniecierpliwiona.

- Oczywiście!

- To na co czekasz?! - Teraz to ona spojrzała na niego z oburzeniem. - Wyciągaj wszystko!

Ręce Klasusa, urodzonego człowieka interesu, rzuciły się spełniać jej żądanie. Nieważne, kim był klient, ważne były pieniądze, a dziewczyna w sposób nader znaczący podrzucała w dłoni wypchaną sakiewkę.

\* \* \*

W ciągu godziny wygląd Salianki uległ radykalnej zmianie. Uczesała się, umalowała. Znów zaczęła przypominać królową z Twierdzy. Pozbyła się też podartej sukienki i teraz miała na sobie brązową spódnicę, taki sam kaftanik i żółtą bluzkę z haftowanym kołnierzem. Nie był to może strój godny władczyni, ale dodawał Saliance uroku. Dziewczyna już miała wychodzić, kiedy przyszło jej do głowy, że teraz sama będzie się musiała bronić przed światem. Może nie napadną jej wrogowie Twierdzy, ale mogą się trafić zwykli zbóje. Salianka podejrzewała, że siła demona bez trudu pozwoli jej się uporać z ewentualnymi napastnikami, ale jakoś nie miała ochoty rozszarpywać ich gołymi rękami. Szkoda było nowego ubrania na takie ekstrawagancje, bronią można kogoś ukatrupić skuteczniej i trochę czystiej.

- Potrzebne mi będzie jeszcze coś do obrony - powiedziała.

- Służę panience - poderwał się kupiec. Wyciągnął skądś skrzynkę ze zbiorem małych sztylecików. - W sam raz dla damy - zachwalał.

Królowa spojrzała z powątpiewaniem. Sztyleciki miały na rękojeściach wyrzeźbione kwiatki. Bez wątpienia były gustownym narzędziem mordy, ale...

- Trochę to małe - stwierdziła.

W Twierdzy zawsze ceniono ilość bardziej niż jakość. Gdzieś w głębi geny przodków mówiły Saliance, że broń mała i dyskretna jest niczym wobec broni wielkiej i zostawiającej za sobą zamieszanie.

Klasus wyciągnął kolejną skrzynkę, również pełną sztyletów, ale już normalnych rozmiarów.

- Może coś takiego? - zaproponował z szerokim handlowym uśmiechem.

- Małe - skrzywiła się królowa. - Potrzebuję czegoś większego.

Kupiec skłonił się w pas i uchylił drzwi do składziku.

- Marny duży wybór. Może panienka sama coś sobie wybierze? - poszedł na łatwiznę.

Salianka zajrzała do pomieszczenia. Było szczelnie wypełnione różnego rodzaju



narzędziami mord. Nazw większości z nich królowa nawet nie знаła. Po krótkim namyśle wybrała sobie morgenstern. Wiedziała, co to jest i mniej więcej jak się tym posługiwać, bo Virven, upierając się przy konieczności ochrony jej cennej osoby, trzymał pół zbrojowni w sypialni.

- Taka broń dla subtelnej panienki? - zdziwił się Klasus.

- W sam raz - orzekła królowa. Wahała się jeszcze pomiędzy morgensternem a długim mieczem, ale wydawało jej się, że gwiazda poranna stwarza większe możliwości. Poza tym nie trzeba jej ostrzyć. - Proszę mi to zapakować.

- Zapakować? - Kupiec zmarszczył brwi w rozpaczliwym wysiłku umysłowym. Mógł pakować pachnidła, bele materiału, ale żeby broń?

- Przecież nie będę paradować z tym na wierzchu! - zdenerwowała się Salianka.

- Dlaczego? - wyrwało się zdumionemu Klasusowi. - Wszyscy inni tak robią.

Królowa tak na niego spojrzała, że czym prędzej znalazł długi zwój wstążek, którymi pracownicy owinał broń. Na koniec zawiązał gustowną kokardę.

- Może być - oceniła Salianka. Przynajmniej gwiazda poranna nie przypominała już tego, czym była. A gdyby trzeba było komuś przyłożyć... wstążki raczej nie będą w tym przeszkadzać.

Zapłaciła i zaczęła się zbierać do wyjścia. Nie było to łatwe. Wypchaną sakwę zarzuciła na ramię, broń przycisnęła łokciem do boku, a na ręce wzięła psa. Kupiec otworzył jej drzwi, gnąc się w uprzejmym ukłonie. Królowa zrobiła kilka kroków i upuściła morgenstern. Kiedy schyliła się, żeby go podnieść, spadła jej z ramienia sakwa.

- Niech to wszyscy diabli! - warknęła. Posiadanie znacznego dobytku miało sens do chwili, kiedy trzeba go było nieść na własnym grzbiecie.

Pazur pisnął cichutko. Salianka natychmiast się uspokoiła. Kląć mogła sobie w Twierdzy, kiedy wokół pełno było sług gotowych choćby skrócić sobie kark, by tylko ukoić jej gniew. Tutaj była tylko ona i pies. Swoją złość zdąży jeszcze wyładować, a teraz najwyższy czas był wziąć się w garść. I przy okazji cały dobytek.

- Zaraz wszystko pozbieram i pójdziemy na śniadanie, obiad, kolację, czy jak to zwać - poinformowała Pazura. - Pewnie nie jadłeś tak długo jak ja.

Łatwiej było powiedzieć, niż zrobić. Ledwo coś podnosiła, upuszczała coś innego. Ograniczona ilość rąk była zdecydowanie niewystarczająca. Królowa już miała się załamać, a konkretnie: zacząć skakać i krzyczeć ze złości, kiedy ktoś podniósł upuszczoną przez nią sakwę.

- Może pomóc? - zaproponował uprzejmy głos.

Salianka podniosła głowę znad rozsypanych pakunków. Obok niej stał młody mężczyzna. Na pierwszy rzut oka robił dobre wrażenie: był schludny, skromnie ubrany. Miał krótko ścięte ciemnoblonde włosy i irytująco życzliwy wyraz twarzy. Prawie jak u psychopaty.

- Pewnie - zgodziła się, choć lekko podejrzliwie, dziewczyna. Co jej w końcu szkodziło przyjąć pomoc? Sama nie dałaby rady nieść wszystkiego, przynajmniej nie bez kilkugodzinnych ćwiczeń żonglerki albo użycia lewitacji. To ostatnie było zresztą fatalnym pomysłem, królowna nie była pewna, jakie mają w tych okolicach poglądy na czarownice. W końcu kręcili się tu egzorcycyści, mogli przyuczyć kmiotków, jak się układa stos. A Saliance nie zależało na wywoływaniu zamieszania. Tragarz mógł się przydać. Oczywiście mógł okazać się złodziejem i spróbować uciec z jej nowo nabytym dobytkiem, ale w końcu daleko by nie zaszedł.

Mężczyzna zabrał jej sakwę i zapakowany morgenstern.

- Dokąd? - zapytał uprzejmie. Dalej się uśmiechał, życzliwie i z sympatią skierowaną nie konkretnie do dziewczyny, ale do całego świata. Aż dziwne, że świat nie zrobił nic, żeby mu ten uśmiech zetrzeć z twarzy.

- Do gospody - oznajmiła. Zaczynała czuć coraz bardziej dotkliwe ssanie w żołądku. Ostatnim posiłkiem Salianki było spożyte jeszcze w Twierdzy śniadanie.

Kiedy szli do karczmy, Salianka nie mogła się powstrzymać, żeby nie zerkać na swojego towarzysza podejrzliwie. O ile się orientowała, ludzie nie byli mili. Wysilali się tylko wtedy, kiedy mogli coś przez to osiągnąć. Ten, o dziwo, nie sprawiał takiego wrażenia. Nie uciekał z jej rzeczami, nie próbował też nawiązać rozmowy zmierzającej do pytania: „Moja piękna, a może wieczorem ty i ja...”. W ogóle nic nie mówił, uśmiechał się tylko życzliwie, kiedy zdarzyło mu się podchwycić spojrzenie dziewczyny. Doniósł rzeczy Salianki do wolnego stołu, skłonił się na pożegnanie, podczas gdy królowna wyduszała z siebie podziękowania. A potem sobie poszedł.

Salianka spoglądała za nim zdumiona, dopóki widoku nie przysłonił jej tłusty, owinięty w fartuch brzuch karczmarza. Na materii, niegdyś chyba białej, którą ów człowiek interesu był przepasany, znaczyła swój świat cała historia karczmy, a może i prehistoria. Plamy, zlewające się z tłustawą szarością, zatraciły już nawet swą pierwotną barwę. Wszystkie były bure. Spojrzenie powyżej tego brzucha ujawniło, że twarz karczmarza też jest tłusta i czysta tylko teoretycznie.

- Kundel za drzwiami - oznajmił stanowczo grubas.

Salianka westchnęła. Pewne reguły, którymi rządził się świat, pozostawały niezmiennie. Nawet ona, nie tylko chowana pod kloszem, ale przez pierwsze kilkanaście lat życia

kompletnie pozbawiona świadomości, zdawała sobie z tego sprawę.

- Ile? - zapytała bez zbędnych, jej zdaniem, ceregieli.

- Co ile? - Karczmarz zmarszczył brwi. W głębi duszy był nieuleczalnym tępakiem.

- Ile muszę zapłacić, żeby mógł zostać? - wyjaśniła królowna.

Grubas podrapał się w głowę. Pies psem, a pieniądz pieniądzem. Łomotało mu się co prawda we łbie, że niehigienicznie jest, by zwierzę pętało się przy kuchni, ale prawdę mówiąc, Pazur był czystszy od większości jego klientów, a nawet od chłopaczka, który pomagał w gotowaniu.

- On będzie tu jadł? - spytał.

- I to, to samo co ja - zapewniła Salianka. Nie odważyłaby się zamówić dla Pazura czegoś, co właściciel gospody nazwałby psim jedzeniem. Miała już wystarczająco wiele wątpliwości co do jakości jedzenia dla ludzi. - Nie wiem, co tu podajecie, ale poproszę cztery porcje mięsa. Duże.

- Zje trzy porcje? - karczmarz przyjrzał się ciekawie psu. Duży był, choć widocznie wychudły i osłabiony.

- Nie, zje dwie - wytłumaczyła królowna. - Pozostałe dwie są dla mnie.

Grubas popatrzył na nią z głupią miną, która mogła przy pewnej dozie dobrej woli uchodzić za emanację zdumienia, i poszedł sobie.

Saliance zaburczało w brzuchu. Żeby umilić sobie oczekiwanie na posiłek, co do którego jakości miała zresztą jak najgorsze przecucia, rozejrzała się po gospodzie. W końcu pierwszy raz była w takim miejscu. Wnętrze niczym nie odstawało od opisów karczm, na jakie natknęła się w książkach. Wielka sala, a w niej kominek, drzwi do kuchni, kilka stołów. O tej porze było tu jeszcze pusto, za to brudno było najwyraźniej zawsze, bez względu na porę. Ściany wymagały odmalowania, kominek aż poczerniał od dymu i sadzy. Podłoga była nie wiadomo z czego, warstwa błota zasłaniała ją niczym osobliwy kobierzec. Błaty stołów były względnie najczystsze, ale i tak nie zachęcały do tego, żeby oprzeć na nich ręce. O ile wcześniej królownie przemknęła przez głowę myśl o zatrudnieniu się gdzieś jako sprzątaczką, to teraz wywietrzało jej to z głowy. Nieznane strony wydawały się zdecydowanie bardziej zapuszczone od stron znajomych.

Myśl o znalezieniu sobie jakiegoś płatnego zajęcia była oczywistą konsekwencją postanowienia, żeby nie wracać do Twierdzy. W Twierdzy czekała na nią tylko codzienność i monotonne oczekiwanie na nieuchronny koniec. Poza Twierdzą rozpościerał się świat, w którym miała okazję coś przeżyć. Po raz pierwszy... nie, po raz drugi w życiu. I tym razem miała zamiar zrobić to na własnych zasadach. Chociaż raz, chociaż ten ostatni raz!

- Nie wracamy do domu - poinformowała leżącego pod stołem Pazura. Pies gwałtownie podniósł łeb i spojrział żałośnie. Nie był hodowany do wędrówek po bezdrożach. Był psem nawet nie pokojowym, ale pałacowym.

- Zwiedzimy kawałek świata - ciągnęła twardo królowna.

Dalszą argumentację przerwał karczmarz, stawiając na stole posiłek. Dość apetyczne zapachy natychmiast zaprzętnęły uwagę i psa, i królowny. Salianka dwie misy postawiła pod stołem, przed nosem Pazura.

- Tylko jedz powoli - przestrzegła.

Sama zajrzała do pozostałych dwóch. Zawierały coś, co umownie można by nazwać gulaszem z wczorajszych resztek. Jeszcze kilka miesięcy temu odsunęłyby je od siebie i natychmiast kazała stracić kucharza. Ale teraz była głodna. Głodna jak demon! Mogłaby zjeść konia z kopytami, i to pewnie nawet żywego konia. Pochłonęła zawartość obu mis, zanim Pazure, usilnie starający się jeść powoli, skończył z pierwszą.

Najedzona i zdecydowanie szczęśliwsza Salianka przeniosła swoją uwagę na otoczenie. Gospoda była częścią nowego świata, świata, który królowna dopiero zaczęła poznawać. Było w nim tyle tajemnic, tyle nowości, o których marzyła całe życie. To świadome. Niestety, przynajmniej jeśli chodziło o najbliższe otoczenie, nowości w większości brudnych albo co najmniej przykurzonych. Pani Twierdzy z wysiłkiem zdusiła w sobie przemożną chęć złapania za miotłę albo szmatę i zagonienia wszystkich obecnych do sprzątania.

Podczas gdy jadła, pojawiło się jeszcze kilku chętnych do spożycia wczesnego śniadania. Salianka, patrząc na nich, nie mogła powstrzymać grymasu dezaprobaty. Klienci gospody byli zakurzeni, głodni i szczęśliwi, że po długiej podróży mogli wreszcie do kogoś gębę otworzyć. Gadali jak najęci, tyle że o niczym interesującym. Do królowny docierały strzępki ich rozmów, coś o tym, czyj koń okulał i czym najlepiej okładać pęcherze. Nie takich wieści o tym nowym świecie była spragniona. Chciała usłyszeć, kto tu rządzi, czy ktoś słyszał o Twierdzy i jej okrutnej Pani i, co najważniejsze, jak wielu egzorcystów pęta się *po* drogach. Ta ostatnia wiadomość była najistotniejsza. W Saliance, mocno rozdrażnionej faktem, że bezczelnie śmieli ją porwać, powoli dojrzewała chęć odplacenia im za wszystko, co stało się za ich sprawą. I to odplacenia im w taki sposób, żeby przez wieki wspominali z lękiem imię ostatniej Pani Twierdzy.

Królowna zorientowała się, że pochłonięta myślami tak mocno zacisnęła palce na krawędzi stołu, aż wyłobiła w nim głębokie bruzdy. Pośpiesznie opuściła dłonie na kolana i rozejrzała się, czy aby nikt nie zauważył, co zrobiła. Jednak większość gości pochłonięta była albo jedzeniem, albo pogaduszkami. Od towarzystwa wręcz rażąco odstawał mężczyzna,

który pomógł Saliance nieść zakupione dobra. Siedział samotnie przy stole na uboczu, chyba w ogóle nieświadomy panującego wokół gwaru i obecności innych ludzi. Przed sobą rozłożył grubą księgę i o wiele bardziej zajęty był lekturą niż swoim talerzem, którego zawartość spożywał równie szybko, co nieuważnie. Cokolwiek zawierały w sobie pozółkłe strony, które przeglądał, musiały to być dla niego najważniejsze i najbardziej interesujące informacje na świecie. Wokół mógłby runąć wszechświat, a on by tego pewnie nawet nie zauważył.

Uprzejmy nieznajomy stanowił poza tym jedyny w miarę czysty i schludny punkt we wnętrzu, które brutalnie szarpało czułe na porządek struny duszy Saliarki. Gdyby wszyscy ludzie w obcych stronach byli tacy... Niestety, ten jeden był chyba wyjątkiem. Pozostali nie potrafiliby nawet przeliterować słowa higiena, tak jak na przykład zarośnięty drab, który zajrzał do gospody, obejrzał sobie klientów siedzących przy stołach, aż wreszcie zatrzymał wzrok na zaczytanym mężczyźnie. Błysk w podłych ślepiach zbira świadczył, że to tego człowieka szukał. Drab, niezauważony przez nikogo poza dziewczyną, cofnął się cicho i zamknął za sobą drzwi.

Zaintrygowana królowna wychyliła się odrobinę do tyłu, tak żeby móc wyjrzeć przez okno. Zrobiła to bardziej z nudów niż z autentycznego zainteresowania. Nie miała nic lepszego do roboty poza czekaniem, aż pies skończy wylizywać miskę.

Na zewnątrz zobaczyła pięciu drabów zarośniętych i podobnych do siebie jak krople wody. Na pierwszy rzut oka przypominali łupieżców z Twierdzy, tyle że łupieżcy już od dawna bardziej o siebie dbali. Zbiry naradzały się, ciasno ku sobie pochylone, jedna skołtuniona głowa stykała się z następną. Wszyscy razem mieli przy sobie ilość broni wystarczającą do wypełnienia niewielkiego arsenału.

Saliarka zmarszczyła brwi. Za oknem draby skończyły szeptaną dyskusję i wyciągnęły miecze. Sytuacja wyraźnie zmierzała w coraz bardziej określonym kierunku: co najmniej jednego mordu, najpewniej na człowieku, który pomógł królownie nieść sakwy.

Rozlew krwi jako urozmaicenie nudnego posiłku był czymś, czego Saliarka jeszcze nigdy nie widziała. W Twierdzy takie rozrywki załatwiano w lochach, nie przy stołach. Nikt nie chciałby przecież, żeby czyjaś ucięta głowa wtoczyła mu się do talerza. Tu najwidoczniej ludzie mieli inne upodobania albo po prostu nie mieli nic do gadania w tej sprawie. A może było im wszystko jedno. Skoro pożywiali się przy tak wątpliwej czystości stołach, to broczący krwią trup koło kominka nie powinien im robić różnicy. Zresztą królowna spodziewała się, że kiedy już dojdzie do rozlewu tej krwi i innych tkanek, prawdopodobnie i tak nikt tego nie posprząta. Wzdrygnęła się z odrazą. Krew i śmierć były jej w zasadzie obojętne, ale nie znosiła nieporządku. Nawet częściowe opętanie nie zmieniło jej poglądów na czystość. Skoro

ludzie chcieli się mordować, i to koniecznie przy śniadaniu, to ich sprawa, ale powinni mieć tyle przyzwoitości, żeby po sobie posprzątać.

Pogrążona w ponurych rozważaniach na temat porządku, a raczej jego braku, zupełnie przestała zwracać uwagę na to, co się dzieje za oknem. Jej wzrok prześlizgnął się po zakurzonej podłodze, starych stołach, aż wreszcie zatrzymał się na przyszłej ofierze. Mężczyzna dalej czytał księgę nieświadomy zagrożenia. Szarozielone oczy podążały za kolejnymi zdaniami, a na wysokim czole pojawiła się zmarszczka skupienia. Musiał poczuć na sobie spojrzenie Salianki, bo podniósł głowę i rzucił jej nieprzytomny uśmiech. Zaraz potem wrócił do lektury, nieświadomy zupełnie tego, co właśnie się stało.

A stało się bardzo wiele. Ten uśmiech trafił prosto do miejsca, gdzie królowna przechowywała swoje najcenniejsze i najbardziej bolesne wspomnienia, tam gdzie na zawsze zapisane zostały twarze tych, którzy znaczyli dla niej najwięcej. Tych, których już nie było na tym świecie. Oni też się kiedyś do Salianki uśmiechali.

Królowna, nie zastanawiając się, co robi, wstała. Pazur zaczął wyczołgiwać się spod stołu, ale rzuciła mu krótkie: „Zostań”. Szybkim krokiem przemierzyła salę i usiadła naprzeciw mężczyzny.

- Pięciu wielkich, uzbrojonych typów wpadnie tu za chwilę - powiedziała bez wstępów, kiedy podniósł głowę i spojrzał na nią zdumiony. Kobieta, która siedziała naprzeciw niego, nie przypominała tej sprzed gospody. Teraz miała zaciśnięte dłonie i niesamowity, wręcz przerażający wyraz twarzy. Niczym nie do końca rozbudzona lunatyczka. - Zdaje się, że szukają ciebie.

W mężczyźnie zaszła niedostrzegalna zmiana. Już nie był nieświadomym istnienia świata czytelnikiem, pojawiła się w nim czujność, która u kogoś takiego była wręcz zaskakująca. Rzucił szybkie spojrzenie w stronę drzwi. Widać było jego zaniepokojenie, ale nie przerażenie. Kimkolwiek byli ludzie z mieczami, najwidoczniej spodziewał się, że mogą się pojawić. Wstał, zamknął księgę i chwycił ostatnią bułeczkę, która została na talerzu.

- Dziękuję - powiedział może trochę niewyraźnie, ze względu na bułeczkę, którą wsadził sobie do ust.

Nie zdążył zrobić nawet kroku, kiedy drzwi się otworzyły i pięciu drabów z mieczami wpadło do gospody. Salianka miała rację, chodziło im właśnie o jasnowłosego mężczyznę. Na innych nie zwracali uwagi. Siedzący przy stołach klienci podnieśli głowy, ale nikt się nie ruszył. Najpewniej po prostu woleli przeczekać bitkę. Zaniepokojony Pazur warknął spod stołu, a wstający mężczyzna znieruchomiał z bułeczką w zębach.

Królowna zastanowiła się szybko. Nie było wątpliwości, że uzbrojone draby nie przyszły

tu, żeby rozmawiać. Już zaczęli okrażać sympatycznego młodzieńca, z mieczami wzniesionymi do ciosu. W głowie dziewczyny na pierwszy plan wybiła się myśl, że on jej pomoże. Tylko nieś bagaż, ale jednak pomoże. Towarzyszył tej myśli irytujący wniosek, że jak dotąd wszystkich, którzy jej pomogli, trafiał szlag. Pirka, Ulk, Virven... Ich wspomnienie było niczym sztylet, który wbijał się głębiej w serce Salianki.

Konkluzją mogłoby być stwierdzenie, że królowa przynosi pecha nieszczęśnikom, którzy z dobrego serca lub innych pobudek postanowili jej pomóc, ale ona nie miała zamiaru dochodzić do takiej nieprzyjemnej konkluzji. Prawdę mówiąc, samo przypuszczenie, że tak by mogło być, doprowadziło ją do wściekłości. No i jeszcze ten nieszczęśnik. Czy musieli go mordować zaraz po tym, jak uprzejmie poniósł jej sakwę? Nie mogli poczekać, aż ona sobie pójdzie? Kompletnie wyprowadzona z równowagi, Salianka przestała się zastanawiać, co robi.

Dość elegancka młoda kobieta, która nagle jednym skokiem przemieszcza się z ławy na sufit, a odbiwszy się od niego wszystkimi czterema kończynami, ląduje pomiędzy prześladowanym a jego prześladowcami, jest widokiem dość niezwykłym. Takie rzeczy nie zdarzają się nie tylko w prawdziwym życiu, ale nawet w legendach. Klientów zatkało całkowicie, prześladowcy wytrzeszczyli gały, a prześladowany omal nie udławił się bułeczką. Wszyscy milczeli, bo i co można w takiej chwili powiedzieć?

Królowa tymczasem spojrzała podejrzliwie na sufit, sama lekko zaskoczona własnymi akrobacjami, które przychodziły jej nader łatwo. Fragment demona najwidoczniej na dobre zadomowił się w jej mięśniach. Czula go w sobie niczym przyspieszone bicie serca. Odruchowo poprawiła spódnice i odrzuciła na plecy warkocz. Dopiero potem spojrzała na drabów z mieczami. Skoro już podjęła decyzję, czy może raczej decyzja podjęła się sama, to Saliance pozostawało tylko robić dalej to, co zaczęła. Nie bała się napastników ani wcześniej, ani teraz. Miała do czynienia z robakami. Nie mogły zrobić jej krzywdy, nie mogły się obronić. Wystarczyło je zdeptać.

- Wynocha - zaproponowała nieznoszącym sprzeciwu tonem władczyni. Coś w jej wnętrzu szeptało, że nie tak powinna postąpić, ale zignorowała ten głos. Nie słuchała Wrót, nie miała też zamiaru słuchać instynktu demona.

Stojące naprzeciw królowy draby spojrzały po sobie. W głębi dusz byli anarchistami i rozkazy nie robiły na nich wrażenia. Zwłaszcza gdy wydawał je ktoś nieuzbrojony, kto nawet nie sięgał im do ramienia. Mimo to zawahali się przed rzuceniem z mieczami na ładną, odrobinę zbyt skoczną, ale raczej nieszkodliwą dziewczynę. Jakies byłoby to niewłaściwe. Jeden z napastników ruszył na królową z opuszczonym mieczem i ponurym wyrazem

twarzy.

- Z drogi, mała - zażądał. Jego ton sugerował, że jeśli nie posłucha, to może się spodziewać razów, najpewniej wymierzonych ogromnym łapskiem, i to w miejsce, o którym nie mówi się w kulturalnym towarzystwie.

Salianka bez namysłu wyciągnęła przed siebie dłonie, żeby go odepchnąć. Była pewna, że jest od niego silniejsza, wystarczyło tylko uderzyć na tyle mocno, żeby drab poleciał pod ścianę. To mogło pomóc jego kompanom w zrozumieniu prostej prawdy, iż należy słuchać właściwych sugestii. Kiedy tylko poczuła pod palcami chropowatą kolczugę, pchnęła z całej siły. Ale skutki nie były do końca takie, jakich się spodziewała. Ręce napotkały jakiś opór, a kiedy spojrzała na nie, żeby zobaczyć, co się stało, nie krzyknęła tylko dlatego, że nagle jakaś zimna obręcz zacisnęła się na jej gardle. Cofnęła się, wciąż wpatrzona w osłupieniu w swoje dłonie, które nagle zrobiły się czerwone i jeszcze z nich kapą. Gdzieś w głębi umysłu przemknęła jej myśl, że trzeba będzie zacząć nosić rękawiczki.

Drab, którego chciała odepchnąć, zwałił się na ziemię. W jego szeroko otwartych oczach nie było już ani śladu życia. W klatce piersiowej ziały mu dwie wielkie krwawe dziury. Jego kompani zgodnie zrobili krok do tyłu. To, co przed chwilą widzieli, odebrało im całą siłę i odwagę. Mężczyzna stojący za Salianką przełknął pośpiesznie bułeczkę i złapał dziewczynę za łokieć. Bez czasochłonnych wyjaśnień pociągnął ją w stronę drzwi wyjściowych.

Królowna, zajęta trzymaniem swoich dłoni jak najdalej od siebie, posłusznie zrobiła trzy kroki, ale przy czwartym ją zastopowało. Oprzytomniała, przynajmniej na tyle, żeby przypomnieć sobie o czymś ważnym.

- Pazur! - krzyknęła strasznym głosem. Nie mogła opuścić gospody bez psa, przecież on był teraz dla niej najważniejszy. Przedarła się w nocy przez las, przyszła tu tylko po to, żeby go ocalić!

Jej pupil, wciąż leżący pod stołem, zaskowyczał. Wciąż był zbyt słaby, żeby się podnieść, inaczej na pewno pobiegłby już za swoją panią. Wybawca, czy też. wybawiony, spojrzał na zastopowaną królownę, ocenił sytuację i rzucił się w stronę Pazura. Po dziewczynie było widać, że prędzej wyrwie wnętrzności wszystkim obecnym, niż zostawi swojego zwierzaka. Po prawdzie to jasnowłosy miłośnik książek miał naprawdę dobre serce i też nie chciałby zostawiać psa samego. Jednak mimo najszczęśliwszych chęci trochę potrwało, zanim udało mu się wreszcie schwycić psa, księgę, sakwy i opakowany morgenstern jednocześnie. Tak jak wcześniej Salianką, przekonał się, że to wszystko naraz to jednak za dużo na jedną osobę. Na pomoc królowny nie miał co liczyć, stała pod drzwiami, kapiąc cudzą krwią na podłogę, wyraźnie niezdolna do jakiegóż ukierunkowanej aktywności.



Dobrze, że przynajmniej draby ani zwykli goście nie sprawiali trudności. Już wcześniej obejrzeni sobie dokładnie zarówno dziury wyrwane w człowieku, jak i w jego kolczudze, po czym twardo postanowili patrzeć w inną stronę. Kobiety zdolnej gołymi rękami przedrzeć się przez żelazo i kości nikt nie chciał zaczepiać. Za to wszyscy chcieli, żeby jak najszybciej sobie poszła. Kiedy wreszcie królowna i obładowany jej rzeczami mężczyzna opuścili gospodę, mniej lub bardziej postronni obserwatorzy przestali wstrzymywać oddechy. Nie mieli jednak jeszcze odwagi, żeby ruszyć się ze swoich miejsc. Z tym woleli poczekać, aż dziewczyna i młodzieniec znajdą się za palisadą.

Ledwo wyszli z karczmy, Salianka wetknęła dłonie w pierwszy zbiornik z wodą, jaki był pod ręką. Konie, dla których ta woda była przeznaczona, zarżały z pretensją. Królowna nie zwracała na nie uwagi i płukała ręce tak długo, aż zmyła z nich całą krew. Nie żeby chciała w ten sposób oczyścić się z winy, bo winna się w żadnym razie nie czuła. Za to czuła się brudna, i to nie w jakimś wzniośle metaforycznym, tylko najbardziej przyziemnym znaczeniu tego słowa. Kiedy woda w korycie była już czerwona, a dłonie Salianki białe, od razu poczuła się lepiej. Wtedy dotarło do niej, co się właśnie stało: jak wiele jest w niej demona. Najpierw nosiła w swoim umyśle Wrota, teraz czuła w sobie instynkt Virvena. Pytanie tylko, czy to była zmiana na lepsze?

Gdy Salianka dokonywała oczyszczenia, jej towarzysz z przypadku zatrzymał przejeżdżający wóz kupiecki. Nie bacząc na sprzeciw właściciela, umieścił na wozie Pazura, a następnie szybko ułagodził wszelkie protesty za pomocą sakiewki pełnej złota. Kupcowi przestał przeszkadzać zwierzak na wozie, ponieważ wóz nie należał już do niego. Kiedy lekko zszokowany człowiek interesu liczył swoje zyski, przedsiębiorczy młodzieniec załadował resztę bagażu Salianki. Odrobinę trudniejsze okazało się załadowanie ciągle oszołomionej królowny. Mężczyzna musiał ją po prostu podnieść i podsadzić na kozioł. Na szczęście okazał się wystarczająco silny, żeby to zrobić. Najwidoczniej nie spędzał życia tylko na czytaniu książek. Oszołomienie przeszło dziewczynie bardzo szybko, kiedy tylko jasnowłosy usiadł obok niej i pogonił konie. Wyjechali za ostrokół z taką prędkością, że momentalnie zapomniała o swoich wszystkich problemach z tożsamością. Nie liczyły się już Wrota, demony, ani nawet oddalająca się z każdą chwilą coraz bardziej Twierdza. Był tylko pęd, który sprawiał, że królowna natychmiast spadła z kozła na tył wozu i potłukła sobie plecy.

- Możesz zwolnić - zaproponowała Salianka, kiedy po raz trzeci nie udało jej się wdrapać z powrotem na kozioł, za to nabiła sobie siniaka na kolanie. - Nieprędko będą nas ścigać.

- Muszę ostrzec przyjaciół - odparł, popędzając konie. Na twarzy zastygł mu wyraz determinacji, widać było po nim wyraźnie, że prędzej sam pociągnie wóz, niż zgodzi się

jechać wolniej. Cokolwiek oznaczało pojawienie się w gospodzie zbrojnych, musiało to być coś ważnego.

- Aha. - Królowna dała sobie spokój z wdrapywaniem się z powrotem na miejsce obok niego i wystawiła tylko głowę, chwytając się czego popadnie. Nie było sensu dyskutować, i tak by nie zwolnił. Mogła go zmusić, żeby wstrzymał konie, ale jakoś nie miała na to ochoty. Nie po to ratuje się komuś życie, żeby zaraz łapać go za gardło i grozić mu śmiercią.

- A dlaczego ja jadę z tobą? - zapytała, mimo że właściwie nie miała nic przeciwko podróży w nieznaną, i tak ją planowała, choć oczywiście nie w takich okolicznościach.

- Nie mogłem cię tam zostawić. Jeszcze ktoś by ci zrobił... - zawahał się, ale mężnie brnął dalej: - Hmm... krzywdę. Choć oczywiście wydaje się to mało prawdopodobne - przyznał.

Saliance nie pozostawało nic innego, jak w milczeniu przyznać mu rację.

- Masz jakieś imię? - zapytała, żeby przerwać niezręczną ciszę.

Mężczyzna odwrócił się, żeby móc spojrzeć królownie w twarz. Uśmiechnął się szczerze i z sympatią.

- Jestem Jonas. - Skłonił uprzejmie głowę.

- Salianka - przedstawiła się dziewczyna. - Nie zapytasz mnie, jak często własnoręcznie rozpruwam ludzi?

Jonas pokręcił głową.

- Uratowałaś mi życie. Nie wiem dlaczego, ale jestem ci niezmiernie wdzięczny, nie tylko ze względu na siebie. I nie zamierzam zadawać ci żadnych kłopotliwych pytań. Ludzie mają prawo do własnych tajemnic - w jego głosie słychać było niezwykłą powagę.

Królownie takie podejście nie wydawało się właściwe. Dobrze wiedziała, że tajemnice, a szczególnie cudze tajemnice, prowadzą do problemów. Ale dyskrekcja mężczyzny była jej na rękę: on nie pytał, ona nie musiała odpowiadać. Zdecydowała się trzymać neutralnego tematu rozmowy.

- Dokąd jedziemy? - zainteresowała się.

- Do Szaroskał.

- Tak? - Salianka zmieniła się w jeden wielki znak zapytania. - Pierwsze słyszę.

- Naprawdę? - Spojrzył na nią zdziwiony. Dziewczyna nie wyglądała mu na ignorantkę, zresztą jak mogła zawędrować tak daleko od miast, nie wiedząc, gdzie się właściwie zapuszcza? - To najdalej wysunięte na południowy wschód miasto Konwentu. Dalej są Góry Omszałe i małe, zamknięte w sobie kraiki. Większość ludzi uważa, że tam już nie ma cywilizacji.

- Ach tak? - mruknęła kwaśno królowna. Już od dawna miała określone zdanie na temat tego, co myśli większość ludzi. Zwłaszcza biorąc pod uwagę to, co myśleli o niej. A jednak w opinii Jonasa ucieszyło ją to, że do kraików bez cywilizacji zaliczono nie tylko Twierdzą, ale też Doliny, Nadrzecze czy Ujście. Chociaż raz oberwało się też tym dobrym. Salianka żałowała tylko, że nie będzie miała okazji poinformować o tym swoich szanownych sąsiadów. Ech, ależ by jej to dało satysfakcję!

Jonas spojrział uważnie na dziewczynę. Coś w jej głosie dało mu do myślenia, a gdy dodało się do tego lekko zmarszczone brwi i zaciśnięte wargi, odpowiedź nasuwała się sama.

- A tak przy okazji, skąd przyjechałaś do Leśnej Przystani? - zapytał nonszalancko.

- Leśnej Przysta... A, tak się nazywa to miejsce - domyśliła się Salianka. Irytacja już jej przeszła. Ludzie są tępi, na to nic nie da się poradzić. - Cóż, tam, skąd pochodzę, nie znamy takich cywilizowanych nazw.

- Przyjechałaś z drugiej strony Gór Omszałych? - upewnił się mężczyzna.

Królowna kiwnęła głową.

- Obraziłem cię? - zmartwił się Jonas. Nie chciał urazić dziewczyny, i to bynajmniej nie dlatego, że się jej bał. Patrząc w tej chwili na Saliankę, łatwo było zapomnieć, że kilka chwil wcześniej zamordowała kogoś gołymi rękami. Wydawała się całkiem sympatyczną, zwyczajną młodą kobietą. Ale ani jej uroda, ani uśmiech nie miały decydującego wpływu na zachowanie Jonasa. On po prostu był uprzejmy dla wszystkich. Lubił ludzi i wierzył, że w większości z nich jest coś dobrego. Niestety, nie we wszystkich. Bolał nad tym i robił, co mógł, żeby to zmienić. Królownę uznał za kogoś z tej „dobrej” większości: w końcu uratowała nieznajomemu życie, troszczyła się też o swojego chorego psiaka. Ktoś taki nie mógł być zły.

- Nie takie rzeczy już słyszałam. - Salianka machnęła lekceważąco ręką. Nie było sensu złościć się o takie drobiazgi, nie teraz i nie w tej chwili. Przynajmniej zyskała jakieś pojęcie o nieznanym jej krainie. - A o tym, co jest po tej stronie Gór Omszałych, naprawdę nic nie wiem.

- Mimo to zechciej przyjąć moje przeprosiny. - Wyglądał na tak przejętego tym, iż mógł ją urazić, że królownie zrobiło się go trochę żal.

Ona sama raz-dwa pogodziła się z tym, że w opinii miejscowych pochodzi z zaściankowego kraiku. Zdażyła pomyśleć, że to nawet lepiej, iż wszyscy będą ją brać za wioskową idiotkę, a w udawaniu głupiej miała dużą, może nawet zbyt dużą wprawę.

- Nic się nie stało - pocieszyła go szorstko. - Naprawdę nie ma się czym przejmować. Nie obraziłam się - warknęła zniecierpliwiona, widząc, że Jonas otwiera usta. Wyglądał na takiego, który mógłby się kajać przez całą drogę. Z kolei Salianka nie miała wprawy w

słuchaniu przeprosin. Rzadko jej się to zdarzało. W końcu była Panią Twierdzy. Drżano przed nią, płaszczono się, wyklinano ją, ale mało kto szczerze przejmował się tym, czy nie uraził jej uczuć. Jeśli już, to tylko z obawy o własną skórę.

- Słyszałem - zapewnił Jonas, patrząc na nią trochę dziwnie. - Chciałem ci opowiedzieć o Konwencie, chyba że już nie chcesz słuchać.

- Chcę - oznajmiła zdecydowanie Salianka. Wreszcie miała okazję dowiedzieć się, gdzie właściwie się znalazła i gdzie spędzi resztę swoich dni.

Opowieść o tak bliskim, a przy tym zupełnie innym świecie była na tyle zajmująca, że królewna przestała zwracać uwagę na drogę i okolice, przez które przejeżdżali. Nawet Pazur wydawał się słuchać, z łbem złożonym na kolanach swojej pani i ślepiami wbitymi w Jonasa.

Po północnej stronie Gór Omszałych królestwa dawno już zrezygnowały z wzajemnych waśni, przynajmniej tych angażujących armie, i połączyły swe siły w imię zysków i złota, czyli tego, co brzęczy i lśni najpiękniej. To złoto oczarowało ich wszystkich i to ono spoiło tak niepasujące do siebie części w jedną całość. Konwent Władców działał od mniej więcej trzystu lat, a mieszkańcy poszczególnych królestw przyzwyczaili się do przedkładania waśni z obcymi nad waśnie z sąsiadami zrzeszonymi w Konwencie. Wszystko jakoś działało, mimo że kilka miast pretendowało do tytułu stolic mądrości, win czy klejnotów, bezlitośnie przyduszając konkurentów. Miejsce bitew zajęła polityka, nie mniej okrutna i krwawa, choć może dyskretniejsza i bardziej subtelna.

- Naprawdę nic o tym nie słyszeliście po tamtej stronie gór? - zapytał w pewnym momencie Jonas, przerywając w połowie historię o konflikcie celnym pomiędzy Morską Bryzą a Klejnotem. Nie mógł uwierzyć, że ktoś mógł zupełnie nic nie wiedzieć o tak istotnych wydarzeniach. Przecież Góry Omszałe to nie nieprzebyty ocean, jakieś plotki musiały docierać na drugą stronę.

- Może coś się komuś obilo o uszy. - Salianka wzruszyła ramionami. - Ale nie było ważne. - Nie była pewna, czy w ogóle warto mu to tłumaczyć. Ktoś z innego świata mógł nie zrozumieć, czym żyją ludzie po tamtej stronie gór. Zresztą jej samej było nie na rękę wyjaśnianie mu zawilosci południowych krain. Czy on w ogóle mógłby pojąć, czym była Twierdza, jak jej cień przesłaniał sąsiednim królestwom wszystko, łącznie z resztą świata? Wprawdzie niewątpliwie ich mieszkańcy sami się na to skazali. Mogli nie budować pułapki na demony, mogli nie umieszczać Wrót w głowie pierwszego Strażnika. Sami stworzyli swojego największego wroga. Nie zmieniało to jednak faktu, że zapłacili za to trwającą setki lat izolacją. Przy czym, zdaniem samej Salianki, to była niewielka cena.

- Nie było ważne? - Jonas prawie spadł z kozła. Jak ktoś mógł uznać takie wydarzenie za

nieważne? Od tego zaczęła się plaga, która teraz trawiła cały system od środka. Plaga, którą tak bardzo chciał powstrzymać. - Kryzys trwał dziesięć lat i gdyby nie mediacja Trzech Wież, Konwent mógłby się rozpaść!

- Trzech Wież? - zainteresowała się gwałtownie królowa. Tę nazwę знаła, co więcej, wywoływała ona bardzo nieprzyjemne skojarzenia. Tam chcieli ją zabrać egzorcyści. Wstrętne szczury pewnie tam miały swoje nory.

- To teraz najważniejsze królestwo w Konwencie. Swoją potęgę zaczęli budować właśnie po tym kryzysie - wyjaśnił.

- Dużo tam jest egzorcyistów? - zapytała od niechcienia Salianka. Bardzo się starała, żeby głos jej nie zdrzął. Aż do tej chwili nie przypuszczała, że nienawiść i żądza mordy mogą ją przyprawić o dreszcze, załamać głos... Virvenowi się to jakoś nie zdarzało.

- Egzorcyistów? - zapytał przeciągle Jonas. Zastanawiał się przez chwilę. - A, tych dziwaków. - Roześmiał się odrobinę nienaturalnie. - Oczywiście, że nie! Przecież to mała, nieważna sekta. Głoszą jakieś bzdury, nie mają zwolenników. Rozpadną się za rok, może dwa.

- Nie mają zwolenników? - Teraz to królowa była tak zdumiona, że wyrwało jej się więcej, niż zamierzała powiedzieć. Na nieco dziwną reakcję rozmówcy nie zwróciła najmniejszej uwagi. - To skąd wzięli kilka tysięcy zbrojnych?

- Oni nie mają kilku tysięcy zbrojnych. - Mężczyzna spojrzał na nią, a w oczach miał prawdziwą otchłań niezrozumienia.

- Teraz już nie mają - zgodziła się z całkiem nieźle skrywaną satysfakcją Salianka. - Łupieżcy z Twierdzy ich rozgromili. Ale wcześniej egzorcyści narobili masę problemów. Sterroryzowali prawie wszystkie królestwa po naszej stronie gór.

- To nieprawdopodobne. - Jonas zmarszczył brwi. Nic o tym nie słyszał, a niemożliwe było, żeby jakakolwiek wiadomość o nowej potędze militarnej nie dotarła do uszu jego lub przyjaciół. Chyba że ktoś bardzo się postarał, żeby w Konwencie nie wiadano o działaniach egzorcyistów. To nie byłoby łatwe i wymagałoby wielkich wpływów... Ale było możliwe. Jeśli dziewczyna mówiła prawdę, a nie miała żadnych powodów, by kłamać... To oznaczało wielkie, wielkie trudności. - Opowiedz mi o tym - poprosił. Nie umiał udawać tak dobrze jak królowa. Salianka od razu zorientowała się, że bardzo mu zależy, żeby usłyszeć tę historię. I właściwie nie było powodu, dla którego nie miałaby mu jej opowiedzieć.

Opowieść o najważniejszych wydarzeniach sprzed pół roku zajęła królowi trochę czasu. Zwłaszcza że najpierw musiała opisać sytuację geopolityczną południowej strony gór. Swoją udział w wydarzeniach starannie ominęła, tak na wszelki wypadek. Już dawno

przekonała się, że najlepszy i wymagający najmniej wysiłku sposób kłamania to mówić prawie całą prawdę. Opowiedziała więc Jonasowi o przybyciu egzorcyistów najpierw do Ujścia i Nadrzecza, potem do innych krain, o tym, jak Pani Twierdzy wypowiedziała im wojnę, i o dwóch wielkich bitwach. Nie wspomniała o niczym, co mogłoby sugerować, że ona sama zna tę historię lepiej niż przeciętny słuchacz plotek i pogłosek. Zresztą czy miało teraz jakiegokolwiek znaczenie, że to ona kazała zniszczyć egzorcyistów, że to na niej ci obrońcy dobra chcieli się zemścić za porażkę sprzed kilkuset lat? Że to dla niej poświęcił się ostatni Obrońca Dolin? Że to jej sumienie obciążała śmierć wyegzorcyizowanego Bolurka? Tutaj to wszystko nie miało znaczenia dla nikogo poza samą Salianką.

- Prawie wszyscy egzorcyści zginęli, Twierdza nie brała jeńców. Ale ocaleli ci najważniejsi. Królowa z Twierdzy miała dość zabijania i pozwoliła im odejść. Głupio zrobiła - zakończyła samokrytycznie królowa. Trzeba było ich zabić, przecież mogła! Nie wróciliby wtedy. Następnym razem... Postanowiła, że następnym razem, kiedy będzie miała wątpliwości, czy warto kogoś zabijać, pozbędzie się najpierw wątpliwości, a potem tego kogoś.

- Raczej szlachetnie - sprostował Jonas. Dla niego litość nie miała w sobie nic z głupoty.

- Szlachetność nie popłaca - westchnęła królowa. Powinna o tym wtedy pamiętać, powinna o tym pamiętać przez cały czas! - Teraz oni wracają do Dolin, do Twierdzy. Znowu będą kłopoty. - Kłopoty właściwie już były, ale ten fakt Salianka postanowiła przemilczeć. Chociażby dlatego, że nie była w stanie się zdecydować, ile plusów, a ile minusów ma jej obecna sytuacja.

- To dość prawdopodobne - zgodził się dla świętego spokoju Jonas. On sam pełen był ideałów i marzeń o idealnym świecie. Zorientował się już, że towarzyska podróży nie podziela jego wiary we wszechobecne dobro. Uznał, że może nie miała szczęścia w życiu, ale na pewno niedługo odkryje, że świat, nawet jeśli nie zdaje się idealny, może takim być. Wystarczy spróbować go zmienić. Tymczasem zamiast zmieniania świata zadowolił się zmianą tematu rozmowy.

- Z którego z tych królestw pochodzisz?

Saliance zrobiło się odrobinę gorąco. Właściwie to nazwa Twierdza niewiele znaczyła po tej stronie gór, ale mimo wszystko... Egzorcyści też tu niewiele znaczyli, a ile zdążyli narobić kłopotów w jej stronach. Poza tym już opowiedziała swojemu towarzyszowi podróży to i owo o Twierdzy. Lepiej było nie dodawać, że ma z tym ponurym miejscem cokolwiek wspólnego.

- Nie wspominałam o tym? - zdziwiła się obłudnie. - Jestem z Dolin - skłamała. Ta

odpowiedź nasunęła się sama, w końcu poza Twierdzą znalazła tylko Doliny.

- To królestwo najbliższe gór, tak? - upewnił się Jonas, udowadniając tym samym, jak dokładnie słuchał wszystkiego, co mu opowiedziała.

- Tak - przyświadczyła królowna, która w ogóle nie zwracała uwagi na treść pytania. - Daleko jeszcze do tych Szarych Skał?

- Szaroskał - poprawił ją. - Niedaleko.

- Skąd wiesz? - zapytała Salianka, zdecydowana w razie czego rozmawiać choćby i o pogodzie.

- Poznając po okolicznych skałach - wyjaśnił Jonas. - Są szare.

Królowna przyjrzała się ignorowanym dotychczas krajobrazom. Miał rację. Skały co prawda z reguły były szare, ale te tutaj jakby bardziej. Do tego brzydkie i monotonne. Królowna nie była wielbiczką przyrody, szczególnie nie była wielbiczką występujących w przyrodzie kamieni. Nudziły ją. Z tych nudów już po chwili przypomniało jej się, jakiego to nader istotnego pytania nie zdążyła dotąd zadać.

- A właściwie to czego chciały te zarośnięte draby?

Niewinne pytanie spowodowało nagły i widoczny

wstrząs u Jonasa. Dotąd siedział i spokojnie powoził, nie przeszkadzając Saliance w kontemplowaniu uroków okolicy. Ledwo dziewczyna wspomniała o wydarzeniach w gospodzie, poblądł i wyraźnie się spłoszył. Najwidoczniej miał nadzieję, że jego towarzyszką zdążyła już zapomnieć, w jakich okolicznościach się poznali, albo przynajmniej nie jest zainteresowana drażeniem tego tematu. Nie przygotował sobie żadnego sensownego wyjaśnienia, a prawda... Cóż, prawda nie wchodziła w grę.

- Jakie draby? - zapytał bezradnie, jakby w nadziei, że może żadnych drabów tam nie było.

Królowna przestała obserwować szare krajobrazy i zajęła się obserwacją zjawiska o wiele bardziej zajmującego. Miała okazję wielokrotnie patrzeć na członków Rady, którzy usiłowali okłamać swoją Pierwszą, ale oni przynajmniej umieli kłamać, nie wspominając już o tym, że chcieli to robić. Tymczasem Jonas w sposób oczywisty nie był mistrzem w naginaniu prawdy, co więcej, wcale nie chciał jej naginać. Najchętniej nie mówiłby nic, byle tylko nie musieć nikogo oszukiwać.

- Ci w gospodzie - przypomniała bezlitośnie.

- A, ci - Jonas grał na zwłokę. Był też coraz bardziej zdenerwowany. - Nie mam pojęcia. Może im się nie spodobałem?

Salianka zmarszczyła brwi. Ostatecznie ona też skłamała. Przyjął kłamstwo za

kłamstwo, wydawało się to sprawiedliwe. Z drugiej strony w Twierdzy nigdy nie przykładano zbytnej wagi do sprawiedliwości. Poza tym królownie się nudziło.

- Ci twoi przyjaciele, których musisz przed nimi ostrzec, też mogą im się nie spodobać?

- Ustalmy coś - zaproponował Jonas wyraźnie zdesperowany i zdecydowany wziąć byka za rogi. - Ja nie będę pytał, jakim sposobem zwyczajna dziewczyna potrafi gołymi rękami wyrwać komuś serce, a ty nie będziesz pytać, kto i dlaczego mnie ściga.

- Jak chcesz. - Królowna wzruszyła ramionami.

Ostatecznie i tak nie miało to znaczenia. Jonas był właściwie tylko przygodnym towarzyszem podróży. Zamierzała się z nim rozstać, jak tylko dotrą do Szaroskał. Nie potrzebowała towarzystwa podczas wędrówki, której celu nawet jeszcze nie знаła. Wróciła do obserwowania okolicy, która na szczęście robiła się coraz mniej monotonna. Po obu stronach drogi do Szaroskał coraz gęściej wyrastały domostwa. Chaty sprawiały nieciekawe wrażenie. Choć wydawało się to niemożliwe, mimo że drewniane, były przy tym szare, a już z pewnością szarawe. Jakby przesiąkły barwą okolicy. Stopniowo szare chatynki ustąpiły miejsca szarym chatom, aż wreszcie wyrosły przed nimi szare kamienne mury miejskie.

Miasto było, jakżeby inaczej, szare. Szary kamienny bruk prawie niezauważenie stawał się szarymi kamiennymi ścianami domów pokrytych szarymi łupkowymi dachami. Zupełnie jakby wszystko wykuto z jednego wielkiego kawałka skały i tylko dla niepoznaki wyrzeźbiono na murach krawędzie rzekomych kamieni. Kamienice i eleganckie rezydencje były jednakowej barwy. Gdyby choć mech zechciał porastać ściany, ożywiłby ten cmentarz kolorów. Salianka ze zdumieniem odkryła, że miasto robiło bardziej przygnębiające wrażenie niż sama Twierdza. Tam szarość miała przynajmniej charakter - tutaj była przytłaczająco nudna.

- Jest tu jakaś gospoda? - zapytała. Czula się potwornie rozczerowana, a nawet oszukana. Chciała zobaczyć piękno świata, nie jego brzydotę. Doliny były tak wspaniałe, że przypuszczała, iż świat dalej od Twierdzy musi być jeszcze piękniejszy, pełen barw, cudów, nowości. A nie szarej nudy i pustki. Już wiedziała, że w tym mieście nie zostanie. Prędzej wróci do domu.

- Nawet kilka.

- Wsiądę przy najbliższej - zdecydowała królowna. Nie zamierzała wędrować po nocy, ale w duchu obiecała sobie, że następnego dnia spróbuje znaleźć jakąś mapę i wybrać nowy cel podróży. Przede wszystkim bardziej kolorowy.

Wkrótce Jonas zatrzymał wóz. Szary budynek nie różnił się od pozostałych niczym poza zawieszonym nad drzwiami szyldem. Szyld był wyblakły i głosił: „Pod Przygodą”.



Królewna zręcznie zeskoczyła z kozła i w mgnieniu oka zebrała z wozu swoje rzeczy, zanim Jonas zdążył jej pomóc. Sakwę zarzuciła na ramię, psa wzięła na ręce, a morgenstern przycisnęła łokciem do biodra.

- Żegnaj - rzuciła i ruszyła szybkim krokiem do gospody.

Nawet jeśli chciał jej coś powiedzieć na do widzenia, to nie zdążył.

Saliance od chwili, kiedy zobaczyła miasto, zdecydowanie pogorszyło się samopoczucie. Żeby jakoś odreagować zły nastrój, kopnęła subtelnie drzwi do gospody i weszła do środka.

Zwykle w chwilę po tym, jak drzwi wejściowe otwierają się gwałtownie na skutek kontaktu z czyimś butem, ten ktoś wpada do środka z krzykiem i obnażoną bronią. Na taki widok byli nastawieni zarówno siedzący Przy stołach, jak i karczmarz, który już sięgał po ukrytą pod kontuarem kuszę, trzymaną na wszelki wypadek, a nie z konieczności. Średniego wzrostu atrakcyjna dziewczyna, obładowana wielkim czarnym psem i bagażami, z którymi najwyraźniej nie mogła dojść do ładu, zdołała zbić wszystkich z pantałyku, zwłaszcza że nie obnażała. Była zdecydowanie za porządnie ubrana jak na włóczęgę, nie miała też broni, choć jeden z jej pakunków miał dość intrygujący kształt. Oprócz kształtu miał też kokardę. Kokardy zaś były czymś zarezerwowanym dla eleganckich pań. Eleganckie panienki zwykle nie chadzają samotnie wieczorem po gospodach, ale ta najwidoczniej była ekscentryczna.

Królewna nie zamierzała zawracać sobie głowy wrażeniem, jakie zrobiła. Jeśli klienci przy stołach nie mieli nic lepszego do roboty, to trudno, zniesie jakoś, że się na nią gapią. Nie niepokojona przez nikogo dotarła Pazura do karczmarza i położyła go beztrąsko na kontuarze.

- Kolację i pokój - zadysonowała niezbyt przyjaznym tonem.

Karczmarz był urodzonym człowiekiem interesu i zasadę klient nasz pan (o ile płaci) wrył złotymi głoskami w swoim sercu.

- A pieseczek co będzie jadł? - zatroszczył się. O ile się orientował, panienki podróżujące ze zwierzątkami zwykle traktowały swoich pupili niemal jak własne dzieci i nie żałowały im niczego, płacąc bez mrugnięcia okiem wysokie sumy za różne frykasy. Co prawda ta reguła dotyczyła starszych, dużo starszych - od tej konkretnej - pań i młodszych, o wiele młodszych - od tego konkretnego - zwierzątek, ale to karczmarzowi nie przeszkadzało. Był tolerancyjny tak długo, jak długo czuł złoto.

Salianka spojrzała na grubasa z ukosa. Uprzejmi ludzie budzili w niej mimowolnie podejrzliwość. Do tego w ciągu jednego dnia spotkała ich więcej niż przez całe życie. To czyniło ją podejrzliwą w dwójnasób.

- Mięsko - zdecydowała. - Świeże.

Zerknęła do tyłu, na pozostałych gości. Goście z braku ciekawszych rozrywek nadal się gapili. Nie była tym zachwycona. Owszem, w Twierdzy była nieustannie w centrum uwagi, ale tam ludzie patrzyli na nią inaczej. Starali się przewidzieć jej życzenia, odgadnąć nastrój albo sprawdzić, czy jest zadowolona z czystości posadzek. Ci tutaj gapili się tylko z ciekawości. A ona czuła się jak cyrkowy dziwoląg. Nie miała zamiaru robić za atrakcję wieczoru.

- Najpierw pokój - powiedziała do karczmarza. - Proszę mi tam dostarczyć kolację.

- Oczywiście, oczywiście. - Gospodarz ugiął się w głębokim ukłonie.

Przez te kilka chwil, kiedy królowna oceniała klientów gospody, on oceniał ją. I wyciągnął swoje wnioski. Karczmarz zawsze uważał, że tylko przez tragiczną pomyłkę losu jego lokal nie został Miejscem, Gdzie Się Bywa. A konkretniej, gdzie bywają bohaterowie, podróżnicy i inni im podobni, a nie ta hołota, która wprawdzie zjeżdżała pół świata, ale nie ma aparycji pozwalającej na status prawdziwych obywateli. A w mniemaniu karczmarza pierwszym krokiem ku sprowadzeniu prawdziwych bohaterów było przybycie samotnych, atrakcyjnych kobiet z tragicznym wyrazem twarzy, potrzebujących ratunku. Ponieważ mimo najlepszych chęci nie miał w swoim długim życiu zbyt wiele do czynienia z kobietami, nie należy się dziwić, że naburmuszoną minę Salianki wziął za wyraz głębokich i tragicznych przeżyć wewnętrznych.

Tymczasem królowna zdążyła dojść do wniosku, że karczma też jej się niespecjalnie podoba. Pod ścianami siedziały jakieś smętne zbiry, a karczmarz miał minę obłąkanego. Salianka gwałtownie zapragnęła znaleźć się z powrotem w domu. O tym, że sama chciała zwiedzić świat, zamiast wracać do Twierdzy, zdążyła już zapomnieć. Za obce i za brzydkie były te dalekie strony, żeby mogły jej się podobać.

Usłużny gospodarz złapał tobołki klientki i zaprowadził ją do komnatki. Psa dziewczyna wolała nieść sama.

Pokoik na piętrze był przynajmniej czysty, co błyskawicznie poprawiło nastawienie królowny do świata. Prawie nie było w nim mebli, poza łóżkiem, stołem, krzesłem i lustrem wiszącym na ścianie, ale robił dobre wrażenie. Królowna położyła Pazura na łóżku i odebrała od karczmarza sakwy i morgenstern.

- Kolacja - przypomniała z naciskiem, bo zacny człowiek przebierał nogami w miejscu, czekając chwili, gdy dama rzuci mu się wreszcie na tłustą pierś, by wypłakać swe troski i żale, które w jego mniemaniu dręczyły tę nieszczęsną samotną duszyczkę. Dama nie tylko nie rzuciła się za nim, ale jeszcze zatrasnęła drzwi, jak tylko wyszedł.

Salianka usiadła na łóżku obok psa.

- Pora na lekarstwo - oznajmiła, wygrzebując z sakwy flaszczkę. - No już, otwórz pysk.

Pazur wyglądał, jakby krzywił się z obrzydzenia, ale posłusznie przełknął miksturę, którą królowna wlała mu do gardła. Potem podczołgał się bliżej i położył jej łeb na kolanach.

- I co my teraz zrobimy? - zapytała Salianka, głaszcząc go delikatnie po grzbiecie. - Nawet nie wiem, gdzie właściwie jesteśmy. Gdybym uważniej przeglądała mapy... Gdybym w ogóle przeglądała jakieś mapy pokazujące miejsca, których nie miałam pod nosem! Mapy! Poderwała się nagle. Pazur pisnął z pretensją.

Na wchodzącego z tacą karczmarza rzuciła się dama, aktualnie przywodząca na myśl chciwą krwi harpię.

- Macie tu jakieś mapy?! - spytała pazernie.

- Tu to nie. - Odstawił tacę na stół, żeby w razie czego dama miała swobodny dostęp do jego ramion. Zdążył już w międzyczasie dojść do wniosku, że kolejnym etapem, zaraz po wypłakiwaniu się w jego fartuch, winien być gwałtowny wybuch uczuć białogłowy skierowany, rzecz jasna, na niego. Panienska jakoś niesztampowo się zachowywała, ale karczmarz wciąż miał nadzieję. Jeśli nie na płomienny romans, to chociaż na trochę uścisków.

- A gdzie indziej? - nie zrażała się królowna. W końcu podobno to były cywilizowane krainy, musieli mieć jakichś kartografów! Albo przynajmniej jakieś szkice dróg, cokolwiek, co wskazałoby jej drogę do innych, piękniejszych miast, albo chociaż do Twierdzy.

- No. - Karczmarz zastanowił się głęboko. - Jużci to w Domu Skrybów.

- Daleko do tego domu?

- Niii, bliziutko.

- To świetnie. - Salianka zdjęła z tacy miseczkę z posiekany mięsem i podstawiała psu pod nos. - Jedz powoli - upomniała.

- Panienko - odezwał się nieśmiało karczmarz.

Królowna odwróciła się do niego. Ten irytujący człowiek mógłby sobie wreszcie pójść. Denerwował ją sposób, w jaki mężczyzna na nią patrzył, na przemian składając i rozkładając ręce, jakby uczył się fruwać.

- Za pokój trzeba zapłacić - powiedział cichutko. - Takie teraz czasy, panienska wybaczy, że zapłatę bierzem z góry.

Salianka po raz pierwszy nocowała w gospodzie i nie miała pojęcia, jakie czasy były przedtem. Nie miała zamiaru zresztą negocjować konieczności zapłaty. W końcu na tym, o ile się orientowała, polegało nocowanie w gospodach: płaciło się i spało.

- Ile? - zapytała rzeczowo, grzebiąc w sakwie w poszukiwaniu zabranej egzorcystom

sakiewki.

- Sześć złociszów za noc - dusza człowieka interesu kazała karczmarzowi wykorzystać okazję do podwójnego zarobku.

Królowna wygrzebała wreszcie sakiewkę, która mimo obfitych zakupów dokonanych w Leśnej Przystani nadal była ciężka. Karczmarzowi zaświtało w głowie, że mógł zażądać zapłaty trzykrotnej. Salianka odliczyła pieniądze i wetknęła mu je w dłoń.

Ścisnął monety w garści i czekał, aż dama wreszcie ze szlochaniem rzuci mu się na szyję, szukając ratunku. Dama, nieświadoma oczekiwań w niej pokładanych, bez ceremonii wypchnęła go za próg, mimo że tusza nadawała mu masę dwóch dorosłych ludzi, i zamknęła za nim drzwi. Wysłuchując się w dźwięk zasuwanego skobla, karczmarz pomyślał, że widać jest bidulka nieśmiała.

Królowna, pozbywszy się wreszcie denerwującego gospodarza, spożyła sprawnie kolację, zepchnęła psa na jedną połowę łóżka, a sama ułożyła się do snu na drugiej. Miała zamiar porozmyślać sobie o tym, jak bardzo jest na cały świat obrażona, ale nie zdążyła, bo zasnęła.

Słodki sen nie trwał długo, bo koło północy obudziło ją głucho walnięcie czegoś o okiennice. W pierwszym odruchu Salianka skuliła się pod pierzyną. Chwilę trwało, zanim uświadomiła sobie, że już od jakiegoś czasu zdana jest sama na siebie i osobiście musi się zająć tym czymś, co nie dawało jej spać. Poza tym dotarło do niej, że cokolwiek by się za tym oknem czaiło, prawdopodobnie byłaby w stanie rozszarpać temu czemuś gardło jedną ręką.

Podbudowana na duchu tym ostatnim wnioskiem, wyszła spod pierzyny. Pazur dalej chrapał i nie raczył nawet otworzyć jednego oka. Królowna spojrzała na niego z pretensją. Mógł chociaż warknąć. Zamiast tego przewrócił się na grzbiet, zamachał lewą tylną łapą w powietrzu i sapnął smacznie.

Salianka podeszła do okna, posłuchała drapania po drugiej stronie, uniosła haczyk blokady i jednym gwałtownym ruchem otworzyła okiennice. Coś drapiącego po drugiej stronie straciło równowagę i z rozpędu wpadło do środka, rozplaszczając się na podłodze. Królowna stanęła nad niespodziewanym gościem z nierozpakowanym morgensternem w dłoni. Kokardka na opakowaniu załopotowała złowrogo.

To był bez wątpienia demon. Salianka przyjrzała mu się z odrazą. Miał zieloną, chropowatą skórę i coś na kształt błony między palcami. Z szerokiej gęby sterczał żółty jęzor.

- Czego? - zapytała niezyczliwie królowna.

Demon podniósł zieloną głowę i spojrzał na nią jednolicie czarnymi oczami. Wzrok miał badawczy, przeszywający, nieprzyjemny.

- Nie ma Wrót - stwierdził po chwili ze zdumieniem.

- Nie ma - przyświadczyła z satysfakcją Salianka. Przynajmniej tyle dobrego miała z ich odejścia: demony nie miały czego u niej szukać.

- Chcę przejść na drugą stronę - ryknęła z pretensją kreatura.

Ryk obudził Pazura, który otworzył oczy, ocenił sytuację i dał nura pod pierzynę.

- Odbiło ci? - zapytała zaskoczona królowna. Pierwszy raz zetknęła się z tak absurdalnym życzeniem. - Chcesz wracać do piekieł? Normalny jesteś?

Demon skrzywił się paskudnie. Zielona twarz przypominała grzbiet ogromnej ropuchy. Na dziewczynie jego grymasy nie robiły wrażenia, ale mimo to próbował.

- Gdzie Wrota? - Uczynił ruch, jakby chciał złapać dziewczynę za nogę.

- Won z łapami, bo ci przywałę - straciła cierpliwość Salianka. Najwidoczniej uprzejme argumenty do tej kreatury nie docierały. - Nie ma Wrót, poszły sobie w cholere.

- Chcę przejść - zażądał gwałtownie demon. W jego głosie slychać było wielką desperację, zupełnie jakby po drugiej stronie Wrót czekał raj, a nie piekła.

- W głowie ci się poprzestawiało - oceniła ze zgrozą królowna. Nie mogła sobie wyobrazić żadnego powodu, który pchałby jakiegokolwiek demona z powrotem do piekieł. No, może poza lojalnością i poświęceniem, ale to dotyczyło tylko Virvena. Ten demon musiał być szalony, innego wyjaśnienia nie było. - Jak ci przyłożę, to zaraz wszystko wróci na miejsce. - Zamierzyła się morgensternem.

Demon rzucił jej ostatnie, pełne urazy spojrzenie i zwiął przez okno, najwidoczniej nie chcąc ryzykować przeprawy z uzbrojoną Strażniczką. Salianka zamknęła za nim dokładnie okiennice i dopiero wtedy odłożyła broń.

- Powariowały te demony w obcych stronach - poinformowała psa, ściągając z niego swoją połowę pierzyny.

## ROZDZIAŁ 2

Rano dama nadal nie rzucała się karczmarzowi ze szlochem na szyję, mimo że założył na tę okazję swoją najlepszą koszulę. Zjadła prędko śniadanie, zapytała o drogę do Domu Skrybów, wzięła swojego psa na ręce i poszła we wskazanym kierunku, odprowadzana rozżalonym spojrzeniem. Nawet się nie obejrzała.

\* \* \*

Siedziba skrybów zrobiła na Saliance dość dobre wrażenie, pomijając oczywiście fakt, że, jak wszystko w tym okropnym mieście, była szara. Oprócz tego także cicha i pusta, o czym przekonała się królowna, kiedy zapukała do drzwi. Nikt jej nie odpowiedział, ale skrzydło, w które walnęła pięścią, uchyliło się odrobinę. Niewiele myśląc, wkroczyła do środka. Chciała być uprzejma i poczekać na zaproszenie, ale jak nie, to nie.

Budynek od środka okazał się czymś na podobieństwo olbrzymiego magazynu, całkowicie pozbawionego wewnętrznych ścian, których rolę przejęły z powodzeniem ogromne szafy i regały, pełne pergaminów i ksiąg. Dzieliły przestrzeń na wąskie, ciasne i ciemne korytarzyki, których końców nie można było dostrzec. Bardziej wyglądało to na labirynt niż na archiwum.

Zainteresowany nowym otoczeniem Pazur poruszył się niecierpliwie w ramionach królowny. Salianka postawiła go na posadzce. Sama rozejrzała się wokół. Szczerze żałowała, że nie zastała żadnego bibliotekarza czy archiwisty. Z ich pomocą znalezienie właściwej mapy byłoby o wiele łatwiejsze. Pocieszyła się, że może opiekun domu jest starym, głuchym paralitykiem i nie usłyszał jej pukania. Istniała szansa, że idąc w głąb labiryntu, natknie się na niego, albo przynajmniej na jakiś regał z napisem „mapy”. Powoli, tak żeby utykający Pazur mógł za nią nadążyć, królowna zapuściła się w głąb archiwum.

Po przejściu kilkuset kroków pomiędzy półkami wciąż wydawało jej się, że są w budynku sami. Nikogo nie było słyhać i przy marnym świetle padającym przez umieszczone pod dachem świetliki nic nie było też widać.

- Dziwne - stwierdziła Salianka. - Może jeszcze śpią?

Idący za nią pies zajrzał w jeden z odchodzących na bok korytarzy. Powęszył chwilę z nosem przy posadzce, a potem wystawił zwierzyne.

Królewna zawróciła i skręciła między półki, podążając we wskazanym kierunku. Im dalej szli, tym bardziej nerwowo stawał się Pazur. W końcu zjeżył się i zaskomlał dramatycznie. Salianka zerknęła za najbliższy regał.

Trup leżał w wyjątkowo ciemnym kącie i do tego ubrany był w szare szaty. Gdyby nie pies, królewna pewnie by go przeoczyła. Nie przeoczywszy, stanęła nad zwłokami i przyjrzała im się sceptycznie. Niewątpliwie człowiek był martwy, choć trudno było dociec, co go zabiło. Przerazone szkliste spojrzenie sugerowało, że raczej nie przypadek.

- Chyba sobie stąd pójdziemy - powiedziała powoli Salianka do Pazura. - Nie podobają mi się takie niewysprzątane biblioteki.

Pies w ogóle przestał zwracać na nią uwagę. Nasłuchiwał przez chwilę, nagle zapiszczał i pokuśtykał w głąb budynku.

- Wracaj! - Salianka rzuciła się za nim. Nie mogła pojąć, co strzeliło do łba tchórzliwemu normalnie zwierzakowi, żeby iść gdzieś, gdzie mogli być mordercy.

Pazur utykał, więc nie mógł poruszać się szybko. Po chwili pani dopadła go i chwyciła na ręce. Już miała zawrócić i wyjść jak najszybciej, kiedy coś usłyszała. Coś jak rżenie. Niespecjalnie przerażona możliwością spotkania zabójcy, ale za to zaciekawiona, cichutko zrobiła kilka kroków i wyjrzała zza najbliższej szafy.

Pomiędzy regałami stał stolik i kilka krzeseł. Na krześle siedział nie kto inny jak Jonas, chociaż „siedział” było nieprecyzyjnym określeniem. Pófleżał, czy też zwijał malowniczo, a jakiś drab dusił go sznurem. Drugi napastnik już szykował się użyć noża. Wyglądało na to, że nowy znajomy Salianki ma duży talent do wpadania w kłopoty. A może zwyczajnie w każdym mieście czy osadzie był ktoś, kto chciał go zabić. Niezależnie od powodów, dla których za Jonaszem uganił się kolejni mordercy, królewna nie mogła go tak po prostu zostawić.

Cofnęła się o krok i postawiła psa na podłodze.

- Schowaj się - poleciała szeptem. - Porządnie.

Pazur posłusznie odpelzł w ciemny kąt. Salianka rozejrzała się. Wszędzie były tylko książki. W związku z tym wzięła z najbliższej półki dwa grube, oprawione w skórę

woluminy. Jeden z rozmachem rzuciła na podłogę. Okuty grzbiet walnął o posadzkę z głośnym hukiem.

Zwabiony hałasem drab z nożem wszedł między regały i natychmiast oberwał w głowę grubą księgą. Zwalił się na podłogę jak ścięte drzewo. Salianka przeszła nad ciałem. Drab dusiciel podniósł głowę, spodziewając się zobaczyć swojego kompana. Zamiast niego ujrzał ładną dziewczynę z grubą książką w rękach. Nie zdążył zareagować, bo królowna przywaliła mu woluminem prosto w zastygły na twarzy wyraz zdumienia, tak że niedoszły morderca przeleciał aż pod szafę z papirusami.

- Wszystko w porządku? - zapytała, pomagając Jonasowi odplątać sznur z szyi.

Pokiwał głową, bo ze ściśniętej krtani nie udawało mu się wydobyć żadnego dźwięku.

- Coś często się komuś nie podobasz - zauważyła kwaśno Salianka. Właśnie uświadomiła sobie nielogiczność sytuacji. Po raz kolejny, i to w ciągu zaledwie dwóch dni, ratowała komuś życie. Nie uważała, żeby ratowanie czyjegokolwiek, poza jej własnym, życia było właściwym dla niej zajęciem. To była robota dla bohaterów, a nie dla Czarownicy z Twierdzy. Poczucie humoru los miał co najmniej spaczone.

Mężczyzna dyszał ciężko, jakby przyzwyczajając się na nowo do faktu, że może oddychać. Dużo czasu na to przyzwyczajanie się nie miał, bo nagle coś świsnęło i w regał, tuż przed nosem królowny, wbił się belt.

- A niech to, jeszcze jeden - jęknęła Salianka, zezując na strzałę. Trudno, temu też trzeba będzie złoić skórę. Zabójcy powinni mieć więcej rozumu w głowie i uciekać, kiedy tylko nadarzy im się okazja, zamiast przysparzać jej trudności.

Spomiędzy regałów wyszła postać odziana w długą oponce. Twarz skrywał kaptur, ale zasadniczo nie zwraca się zbyt wielkiej uwagi na fizjonomię kogoś, kto trzyma w rękach załadowaną kuszę. Królowna rzuciła się, żeby złapać odłożoną księgę, ale Jonas chwycił ją za nadgarstek. Wciąż nie mógł mówić, ale gorączkowo starał się coś przekazać na migi tak Saliance, jak i postaci z kuszą.

Królowna zrezygnowała chwilowo z morderczych zamiarów i zerknęła podejrzliwie w miejsce, gdzie przybysz miał prawdopodobnie oczy.

- Czy ja dobrze rozumiem, że mam cię nie zabijać?

- Ja zrozumiałam, że mam nie zabijać ciebie. - Postać zsunęła z głowy kaptur.

Okazała się jasnawłosą kobietą, starszą od Salianki. Kilka zmarszczek nie odbierało jej urody, wręcz przeciwnie, podkreślało tylko dojrzałość. Nowo przybyła zdawała się kimś, kogo rady każdy chętnie by wysłuchał. Kimś, kto niesie z sobą ukojenie i spokój. Tylko ta kusza psuła trochę wrażenie. Przez chwilę jasnawłosa i królowna mierzyły się wzrokiem.



Kobieta z kuszą z pewnością nie podzielała zwyczajów Jonasa w kwestii nawiązywania znajomości, najwyraźniej też nie podzielała jego wiary w ludzi. Opuściła co prawda kuszę i nie zachowywała się wrogo, ale nie spuszczała z Salianki czujnego spojrzenia. Zupełnie jakby oceniała zagrożenie.

Ocena chyba wypadła pozytywnie, bo kobieta trochę się rozluźniła. W końcu czy młoda dziewczyna, bez broni, bez towarzystwa, mogła być niebezpieczna? Poza tym wyglądało na to, że Jonas ją zna. Nie była to wystarczająca rekomendacja, by nieznajomej zaufać, ale w tych okolicznościach... Można było przynajmniej przestać nie ufać.

- Może po prostu nie zabijajcie się nawzajem - zaproponował zachrypnięty skryba, któremu w końcu udało się wydobyć z siebie głos.

Salianka wzruszyła ramionami. Ona w ogóle nie miała zamiaru nikogo zabijać, choć gdyby przypadkiem *jej* się udało, nie rozpaczaliby zbyt. Dyskretne drapanie o podłogę przypomniało jej o Pazurze, więc zostawiła ich oboje i poszła go poszukać. Po chwili wróciła, niosąc psa, który na widok Jonasa zamerdał ogonem, waląc nim przy okazji królownę w nos.

Kobieta z kuszą zdążyła tymczasem obejrzeć ledwo, ale jeszcze dychających zbirów.

- Nieźle im przyłożyłeś - oceniła z podziwem i zaskoczeniem.

Jonas tylko pokręcił głową i wskazał na Saliankę. Nie miał zamiaru przypisywać sobie cudzych zasług, czy też może win.

- Owszem, uszkodziłam ich trochę. - Królowna, przechodząc, szturchnęła jednego z leżących stopą, wywołując przeciągły jęk. - Miałam ładnie prosić, żeby sobie poszli? Chybaby nie posłuchali.

- Sama dałaś sobie z nimi radę? - zdziwiła się kobieta. Szczupła, średniego wzrostu dziewczyna nie wyglądała na kogoś, kto złożyłby skórę dwóm drabom, i to tak, że teraz nie mieli siły wstać. A przy tym nawet nie potargała sobie ubrania ani włosów.

- Jakoś nie było nikogo, żeby mi pomóc. - Salianka odepchnęła psi ogon, który uparcie pchał jej się w twarz. Pazur wiercił się w jej ramionach, wyciągając łeb w stronę Jonasa. Nie musiał długo czekać, mężczyzna pochylił się i podrapał go za uszami.

Kuszniczka lustrowała królownę nieodgadnionym wzrokiem.

- Znasz ciekawych ludzi - powiedziała Jonasowi na pożegnanie, naciągając na głowę kaptur. W jej głosie zabrzmiała nuta ostrzeżenia. - Żegnajcie. Muszę... muszę już iść. Miło było cię poznać, nieznajoma. - Obrzuciła królownę ostatnim, uważnym spojrzeniem.

- Salianka - pośpieszył z prezentacją Jonas. - To jest Salianka z Dolin, po drugiej stronie Gór Omszałych.

Kobieta skinęła głową, jakby przyjmując ten fakt do wiadomości, i znikła między

pólkami.

- A ona to kto? - zmarszczyła brwi królowna. - Nieładnie tak się nie przedstawiać. Cywilizacja widać nie gwarantuje manier - dodała zgryźliwie.

- To Kalta -. wyjaśnił Jonas, najwidoczniej zdeterminowany, by bronić honoru cywilizacji, a może tylko kuszniczki. - Jest... ona... - wyraźnie starał się nie powiedzieć za dużo, a jednocześnie nie sprawiać wrażenia, że coś przed Salianką ukrywa. W obu przypadkach szło mu to tragicznie. W końcu rozkaszał się gwałtownie, bardziej z desperacji niż z rzeczywistej potrzeby.

Królowna obserwowała jego wysiłki najpierw z pobłażaniem, potem ze zniecierpliwieniem. Mało ją obchodziły tajemnice Jonasa, choć potykanie się o nie na każdym kroku zaczynało być męczące. Miała wrażenie, że właśnie została w coś wplątana, absolutnie wbrew własnej woli czy chęciom. Nie po to przyszła do Domu Skrybów, żeby walić po mordach nieszczęsnych zbirów. Owszem, w Leśnej Przystani uratowała Jonasowi życie, ale chyba jeden raz, do stu demonów, powinien wystarczyć. Była Panią Twierdzy, Strażniczką Wrót, przekleństwem sąsiednich krain, a nie etatową wybawicielką. Irytowało ją, że przypadła jej w udziale rola tej szlachetnej. I właśnie z powodu tej irytacji postanowiła wyciągnąć z Jonasa tę jego straszliwą tajemnicę, żeby przynajmniej wiedzieć, w imię czego ma się bawić w wielkiego wojownika Ulka.

- Mogę cię wałnąć w plecy - zaproponowała zimno.

Po twarzy Jonasa przemknął wyraz paniki.

- Nie trzeba - zapewnił pośpiesznie. - Już mi lepiej.

- Świetnie - stwierdziła Salianka. - To wyjaśnij mi, kim jest ta Kalta z kuszą. Czy słusznie przypuszczam, że należy do grupy ludzi, którzy często nie podobają się innym ludziom? - jej słowa wprost ociekały słodyczą, niczym kły węża jadem.

- Nie, jest jedną z nas. - Mężczyzna rozejrzał się niespokojnie. Nie dało się określić, co martwi go bardziej: możliwość pojawienia się kolejnych zbirów czy fakt, że królowna robi się wręcz upiornie uprzejma. - Chodźmy stąd, tu nie jest bezpiecznie.

- Nie jest - zgodziła się Salianka. - Mam wrażenie, że w żadnym miejscu, w którym przebywam, nie jest bezpiecznie. Nie mam pojęcia dlaczego - dodała ponuro i nieszczerze.

Jonas nie miał zamiaru dyskutować. Zabrał królownie Pazura, wykazując się raczej dobrymi manierami niż rozsądkiem. W końcu dziewczyna była kilkakrotnie silniejsza od niego.

Skryba w milczeniu ruszył do wyjścia, rzucając niespokojne spojrzenia pomiędzy mijane regały. Obrażona na cały świat Salianka poszła za nim, rozglądając się po zapełnionych

papierzyskami półkach, czy przypadkiem nie leżą tam jakieś mapy. Nie leżały, co ją trochę rozczarowało. Jedna mapa naprawdę niezmiernie ułatwiłaby jej życie. Ale jak na złość nie było nawet śladu po ewentualnych dokonaniach kartografów. Za to minęli trzech martwych drabów z bełtami wbitymi w strategiczne życiowo miejsca. Jonas omijał ich szerokim łukiem, królowna uważała tylko, żeby bezpośrednio jakiegoś trupa nie nadepnąć. W milczeniu wyszli na ulicę.

- Teraz odprowadzisz mnie do gospody, wciśniesz kolejną historyjkę o ludziach, którym bardzo nie podobają się inni ludzie, i pójdziesz sobie precz - domyśliła się Salianka, kiedy Jonas postawił psa na bruku.

Mężczyzna podniósł powoli głowę. Miał bardziej nieszczęśliwą minę niż Pazur, kiedy dawno, dawno temu królowna, wracając do Twierdzy, zostawiła go w Dolinach. Bezpośrednie i pełne pretensji stwierdzenie dziewczyny całkiem skonfundowało Jonasa.

- Właściwie... - zaczął.

- Sama pójdę - burknęła Salianka.

Miała zamiar odwrócić się i odmaszerować z godnością, nie za daleko, ale na tyle, żeby móc ukradkiem zawrócić i śledzić mężczyznę, gdziekolwiek by szedł. Nic jej z tego nie wyszło, bo już po kilku krokach zorientowała się, że nie ma z nią Pazura. Odwróciła się na pięcie, żeby sprawdzić, co się z nim stało. Pies miał się dobrze, ale nie miał zamiaru nigdzie iść. Usiadł na ulicy. Miał otwarty pysk, wywieszony język i wyglądał, jakby się złośliwie uśmiechał. Królowna spojrzała na niego krzywo, ale udawał, że tego nie widzi.

- Nie chciałem cię urazić - powiedział zmartwiony Jonas.

Ciężko było stwierdzić, co go bardziej gryzie: fakt, że dziewczyna zadaje mu niewygodne pytania, czy to, że odmowa odpowiedzi może sprawić, iż się na niego obrazi, a może nawet mu przyłoży.

Salianka była skłonna założyć, że to urażenia jej uczuć Jonas obawiał się najbardziej. Był, co tu dużo mówić, dziwny. Nie drżał z lęku przed tym, że królowna powtórzy swój wybryk z Leśnej Przystani, ba, w ogóle chyba się jej nie bał. Wydawał się raczej pełen współczucia na okoliczność faktu, że dziewczyna musi sama zmagać się ze złym, podłym światem. Dziwak, aczkolwiek przynajmniej nieszkodliwy.

- Jestem związany tajemnicą, która dotyczy nie tylko mnie - wyznał wreszcie w płonnej nadziei, że Salianka go zrozumie.

- Tajemnica, jasne. - Królowna lekceważąco machnęła dłonią. Tego, że istnieje jakaś tajemnica, sama już się domyśliła. Równie dobrze Jonas mógł jej zdradzić fakt, iż słońce świeci albo wiatr wieje.

- Rusz się - poleciła Pazurowi, który siedział i ani myślał wstawać.

- To nie oznacza, że nie jestem ci wdzięczny - ciągnął mężczyzna, desperacko próbując jakoś złagodzić złe wrażenie. - Za dwukrotne uratowanie mi życia i za informacje o egzorcystach.

- Spiskujecie przeciw egzorcystom? - zainteresowała się gwałtownie królowna. Wszelka myśl o oddaleniu się, choćby na odległość wystarczającą na to, by zawrócić i śledzić Jonasa, wywietrzała jej z głowy. Za to gdzieś w zakamarkach jej umysłu, tam gdzie nie ma już słów, a zostaje tylko instynkt, przebudził się gniew demona.

- Ciii... - Jonas spojrział nerwowo na boki. Przechodnie nie zwracali na nich uwagi, i całe szczęście. Jeszcze by dostrzegli twarz Salianki. Tym, co się na niej w tej chwili malowało, była ni mniej, ni więcej, tylko żądza krwi. I, co wydało się mężczyźnie najstraszniejsze, to pragnienie zdawało się do niej... pasować. Zupełnie jakby tę wyrazistą, piękną twarz stworzono z myślą o tym, że kiedyś będą się na niej malować takie uczucia.

- Tak czy nie? - zapytała natarczywie, podchodząc bliżej. Nawet szła, zdawało się, inaczej. Niczym pół człowiek, pół drapieżnik, jakby każdy krok mógł być tym, który rozpocznie walkę. Zupełnie nie zwracała uwagi na ulicę i przechodniów. Właściwie na Jonasa też nie do końca zwracała uwagę, jakby jedynym, co ją teraz interesowało, była odpowiedź, którą musiała od niego wydobyć.

- Tak - przyznał wreszcie mężczyzna przyciśnięty przez nią do muru, dosłownie.

- Trzeba było tak od razu mówić. - Królowna natychmiast się uspokoiła. Cofnęła się o krok, umożliwiając mu oderwanie się od ściany Domu Skrybów.

Kiedy Jonas znowu na nią spojrział, po drapieżniku nie zostało nawet śladu. Stała przed nim zwyczajna dziewczyna, może tylko o wiele bardziej zdeterminowana. Kontrast pomiędzy tą osobą, która przed chwilą przyciskała go do ściany, a tą, która teraz w zamyśleniu skubała koniec warkocza, był tak duży, że mężczyzna uznał, iż przed chwilą musiał ulec złudzeniu. Pewnie drab w Domu Skrybów za długo go dusił.

Tymczasem w głowie Salianki zaległa się myśl, dojrzewająca w mgnieniu oka do niezłomnego postanowienia.

- Wracasz ze mną do gospody - oznajmiła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Nie mogę...

- To ja nie mogę pozwolić, żeby ktoś cię zamordował - przerwała mu. - Rób sobie, co chcesz, ale masz pożyć i dokopać egzorcystom.

Miała przy tym taki wyraz twarzy, że Jonas nie odważył się zaprotestować. Nie pisnął nawet, kiedy chwyciła go za rękę, chociaż jej uścisk przypominał imadło. Nie zważając na

nic, królowna poprowadziła go do gospody. Pazur grzecznie szedł za nimi.

- Niezupełnie chodzi nam o egzorcystów - powiedział nieśmiało mężczyzna, kiedy już doszli do kolorowego szyldu.

Salianka stanęła jak wryta. Spojrzała na niego tak, że niezbędne były dalsze wyjaśnienia. Gdyby ich nie udzielił, prawdopodobnie wytrząsnęłyby je z niego siłą.

- Egzorcyci są tylko jednymi z wielu, którzy niszczą ład po obu stronach gór - dodał szczerze, chociaż ostrożnie.

Królowna zastanowiła się. Mało ją obchodzili pozostali burzyciele ładu i chwilowo nic do nich nie miała, ale jeśli skopanie im tyłków oznaczało jednocześnie skopanie tyłków egzorcystom, to gotowa była robić to z pieśnią na ustach. Nie przejmowała się specjalnie przypadkowymi ofiarami.

- Wszystko mi jedno - oznajmiła wspaniałomyślnie. - Spiskujcie sobie, przeciwko komu chcecie, jeśli tylko przy okazji pozbędziecie się egzorcystów. A ja wam w tym pomogę!

- Nie mogę cię narażać - zaprotestował natychmiast Jonas. Szlachetność i tym podobne niezyciowe cechy wprost z niego promieniowały. Teraz już mniej chodziło mu o zachowanie tajemnicy, a bardziej o to, żeby uchronić tę nieświadomą trudności życia dziewczynę z barbarzyńskiego kraiku od wpakowania się w brutalną wojnę, której nawet nie rozumiała. Zawsze był zatwardziałym idealistą. Nic dziwnego, że stworzył sobie obraz Salianki tak odległy od rzeczywistości, że chyba bardziej się nie dało. W światopoglądzie Jonasa nie było miejsca na rzekome opętania, za to mnóstwo na niewinne, cierpiące stworzenia.

Salianka spojrzała na towarzysza jak na idiotę, którym zresztą w jej opinii był.

- Bardziej to spiskowanie jest szkodliwe dla ciebie niż dla mnie - zauważyła trzeźwo.

- To, co dotąd widziałeś, to jeszcze nic - nie ustępował. - Jeśli coś pójdzie nie tak, możesz zginąć.

Królowna nie przejęła się tym tak bardzo, jak oczekiwał. Właściwie to wcale się nie przejęła.

- Wszyscy umrzemy - stwierdziła filozoficznie.

- Pytanie tylko kiedy i w jaki sposób - zirytował się Jonas. Był z natury uprzejmy, ale nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się gadać z pniem, do tego głuchym na rzeczowe argumenty. Chciał dla niej jak najlepiej, może by to wreszcie zrozumiała!!

Salianka tylko pokiwała głową.

- No właśnie. - Uśmiechnęła się smutno. - Wygląda na to, że przyłączając się do tego waszego spisku, mogę tylko zyskać. Tylko ktoś godny zaufania musi przeżyć, żeby zająć się moim psem - zaznaczyła. - Nie wybiorę się na tamten świat, póki nie będę pewna, że

zostawiam go w dobrych rękach.

- Oszalałaś. - Jonas spojrział na nią ze zgrozą. Musiała być obłąkana, innego wyjaśnienia nie było. Sama pchała się na ścieżkę zagłady, jakby nie miała nic do stracenia.

- Chyba właśnie nie - przyznała szczerze Salianka. Spojrzawszy mu w twarz, zorientowała się, że lada chwila mężczyzna weźmie nogi za pas i po prostu ucieknie, a z jej planów nic nie wyjdzie. Westchnęła lekko. - Wszystko ci wyjaśnię - zaproponowała.

Pchnęła drzwi do gospody i puściła przodem psa. Karczmarz na widok swojej nowej klientki ożywił się wyraźnie, ale zaraz oklapł, zobaczywszy wchodzącego za nią mężczyznę. Zafrasował się bardzo, że panienka znalazła sobie innego wybawcę, i to takiego niedorostka chuderlawego, co to nawet by tasakiem świńskiej nogi nie przeciął.

Królewna poszła prosto do swojego pokoju. Kiedy Pazur i Jonas weszli, zamknęła za nimi drzwi. Pies wskoczył na łóżko, Salianka zajęła miejsce obok niego, mężczyźnie pozostało krzesło. Usiadł na nim, wyraźnie skrepowany faktem, że przebywa sam na sam z młodą kobietą w jej sypialni. Milczenie w końcu przerwała królewna. Potrzebowała pomocy Jonasa, a to wykluczało wydobywanie z niego jakichkolwiek informacji siłą. Trudno, skoro jedynym pozbawionym przemocy sposobem, żeby wyciągnąć z Jonasa, co wie o egzorcytach i jak to się ma do tego tajemniczego spisku, jest powiedzieć prawdę, to będzie musiała to zrobić.

- Egzorcyści zrujnowali mi życie - powiedziała stanowczo. - Żyłabym sobie długo, może niezbyt szczęśliwie, ale za to spokojnie, gdyby nie oni. Było całkiem dobrze, dopóki się nie pojawili. Najpierw zabili Pirkę. Za nic! Pirka był taki miły i uprzejmy, ale zginął, bo brakowało im kogoś, z kogo mogliby wygonić zło! Potem zaczęli egzorcyzmować kogo popadnie i wszędzie zaroilo się od demonów, a one wszystkie... nie były miłe. A potem zaczęła się wojna... - w miarę jak ciągnęła swoją historię, zapominała o tym, po co i komu ją opowiada, przestała też zwracać uwagę na to, co mówi. Żal i gorycz, które ułały się z raz przechylonego kielicha, nie chciały przestać płynąć. - Rozbito ich siły, ale nie wszystkie. Ci, którzy zostali, zabili Ulka... i właściwie to Virvena też - zdecydowała się ująć to dyplomatycznie, nie wspominając o tym, że oba demony, choć prawdopodobnie w bardzo złym stanie, wróciły do piekieł. Przecież w pieklach nie czekało na nie nic dobrego! - A oni tylko ratowali moje przekłete życie!!! W ogóle by mnie tu nie było, gdyby nie egzorcyści! - Poderwała się i przeszła nerwowo kilka kroków.

Od pół roku nie opowiadała nikomu tej historii. Od pół roku dusiła ją w sobie, licząc, że w ten sposób zniszczy ból i poczucie winy, że zapomni. Tymczasem skutek był zupełnie odwrotny. Salianka sama nie była świadoma, ile żalu i złości się w niej nagromadziło. Nie

obchodziła jej cała wojna, podboje, poglądy słuszne i słusniejsze, a nawet straty wśród żołnierzy. Zresztą ci akurat nikogo nie obchodzili. O wiele gorsze było to, że ofiarami stali się też ludzie, którzy byli dla królowy ważni. To była podłość z ich strony, dać się zabić i zostawić ją z poczuciem winy, że nie udało jej się ich ocalić. Takich rzeczy nie robi się Pani Twierdzy!! Teraz wyrzucała z siebie tłumione żale i żałowała, że jej słowa nie mogą zabijać.

- Tyle zniszczyli, tylu lepszych od nich zginęło w walce, ale pozwoliłam im odejść! Nie mogli pójść sobie do diabła i tam zostać? Dałam im szansę, chociaż naprawdę nie musiałam, nie powinnam nawet. Nie ja jestem od dawania drugich szans. Ale oni musieli wrócić!! - Nawet nie zauważyła, że oparła się o stół i jej palce szarpią blat, żłobiąc w nim głębokie bruzdy. - Musieli mnie porwać, chociaż niedługo i tak mnie już nie będzie. No, o tym akurat mogli nie wiedzieć - dodała ucziwie.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że powiedziała więcej, niż powinna. O wiele więcej. Zmieszała się, skubnęła nerwowo koniec warkocza. Jednak była przecież realistką. Wrodzony pragmatyzm przypominał jej, że raz wypowiedzianych słów nie da się cofnąć. Pozostało tylko czekać na jakąś reakcję Jonasa. Mężczyzna wydawał się dopiero przyswajać sobie to wszystko, co usłyszał. Nie patrzył na królową, tylko na stół.

- Nie pochodzisz z Dolin, prawda? - zapytał po chwili milczenia, nie odrywając oczu od bruzd wyżłobionych w drewnie. Powinien się bać. Strach byłby przecież naturalną reakcją, jeśli nie na opowieść dziewczyny, to chociażby na to, co zrobiła ze stołem. Ale Jonas się nie bał.

- No nie - przyznała dziewczyna. - Kłamanie weszło mi już w krew.

- I jesteś królową - dodał, spoglądając tym razem na nią.

To spojrzenie wydało się Saliance jakieś dziwne. Jakby wszystko, co dotąd powiedziała, było niczym wobec faktu, że płynie w jej żyłach błękitna krew.

- To jakiś problem? - Zmarszczyła brwi. Miała nadzieję, że jej nowy znajomy nie okaże się antyroyalistą. To dopiero mogło spowodować kłopoty.

- Nie, skąd. Hmmm - odchrząknął Jonas, wyraźnie coraz bardziej zmieszany. Nie patrzył już wprost na dziewczynę, rzucał tylko ukradkowe spojrzenia, jakby otwarte gapienie się było obrazą majestatu. - Nigdy nie widziałem prawdziwej królowy. W Konwencie od lat nie ma królów. Królestwami rządzą arystokraci. W kilku miastach ostali się może jeszcze jacyś książęta, ale nigdy nie zdarzyło mi się widzieć kogoś wyżej postawionego od hrabiego.

- Ach tak - stwierdziła odrobinę nerwowo Salianka. Spojrzenie Jonasa sprawiało, że zaczynała czuć się jak atrakcja turystyczna. Niemalże oczekiwała, że za chwilę otworzą się drzwi, wpuszczając zachwyconych turystów, a pierwszy gołąb radośnie zanieczyści jej

czubek głowy. - Mniejsza teraz o waszą arystokrację. - Zbyła temat machnięciem dłoni. Wyszło jej to wyjątkowo arystokratycznie. - Teraz ja słucham, a ty mówisz. Na pytania przyjdzie jeszcze czas.

- Nie wiem, od czego zacząć. - Wyglądało na to, że najchętniej zacząłby od pytania, jak to jest być królową, ale Salianka pośpiesznie mu przeszkodziła.

- Od egzorcystów - zażyczyła sobie.

- Oni naprawdę nie są ważni... To znaczy nie byli ważni - poprawił się natychmiast, widząc wyraz twarzy królowy.

- Są ważni dla mnie. I wkrótce tego pożałują - stwierdziła sucho Salianka. Zemsta, i to krwawa zemsta, jako cel życia wydawała jej się coraz bardziej pociągającą koncepcją. Podejrzewała, że duży wpływ ma na to ten fragment Virvena, który w niej pozostał, ale czy to było ważne?

- Ponieważ jak dotąd nie poświęciliśmy im należytej uwagi - tym razem Jonas starannie dobierał słowa - niewiele o nich wiemy. Jednak postaram się to jakoś zebrać w całość. Pojawili się kilka lat temu, może zresztą istnieli wcześniej, a dopiero wtedy wyszli z ukrycia. Od początku nie byli zbyt popularni. Pouczali ludzi, jak mają żyć, a nikt tego nie lubi. Rozgłaszali wieści o demonach, rzekomo wychodzących z piekła.

- Piekło - poprawiła odruchowo królowa.

- Piekło - zgodził się Jonas, patrząc na nią z ukosa. - Nikt im nie wierzył, rzecz jasna, poza jakimś motłochem. Jednak w imię tolerancji pozwalano im istnieć. Wybuchło parę skandali, zamęczyli kogoś pod pozorem egzorcyzmów, kogoś spalili na stosie i musieli się wynosić. Najwyraźniej udali się na drugą stronę gór. A kilka miesięcy temu zaczęli wracać i co istotniejsze, pokazywać się w towarzystwie znaczących ludzi. Wtedy zaczęliśmy zwracać na nich uwagę.

- „My” to znaczy kto? - zapytała natychmiast dziewczyna. Nie miała zamiaru odpuszczać mu nawet takich drobiazków. Jonas uznał widocznie, że po tym, jak ona opowiedziała mu prawdę o swoim życiu, on też jest jej winien wyjaśnienia, bo odpowiedział od razu, bez żadnych wykrętów:

- No, nie ja osobiście, ale ludzie, których martwi to, co się dzieje w Konwencie. Podstawą jego potęgi jest jedność, ale i różnorodność. Ostatnio wiele mówi się o tym pierwszym. Być może... pewne siły... dążą do połączenia wszystkich królestw i stworzenia jednego potężnego cesarstwa.

- To takie złe? - zdziwiła się Salianka. Nigdy się specjalnie nie przejmowała meandrami polityki, zresztą nikt tego od niej nie oczekiwał. Miała rządzić, a nie bawić się w teoretyczne



dywagacje nad formą owych rządów. - Zresztą nieważne, wszystko, co ma coś wspólnego z egzorcystami, zasługuje na potępienie. Dużo was jest, tych zmartwionych ludzi?

- Coraz więcej. Szlachcice, mieszczanie, rycerze, skrybowie. Sam jestem skrybą - to wyznanie wyraźnie go zmieszało. Jakby ujawnienie jego profesji mogło go zdeprecjonować w oczach królowej. - Nam udaje się zebrać najwięcej informacji. Dużo piszemy, czytamy, dużo wiemy.

- To doskonale - ton dziewczyny świadczył o tym, że w rzeczywistości jest jej to doskonale obojętne. Osoby spiskowców tak naprawdę niewiele ją obchodziły. Wystarczyło jej wiedzieć, że tacy ludzie istnieją i mogą ją doprowadzić do egzorcystów. W tej chwili zresztą bardziej interesowała ją inna kwestia. Przypomniała sobie o demonie, który odwiedził ją zeszłej nocy. - A jak to jest u was z tymi demonami wypędzanymi przez egzorcystów?

- Bajki dla dzieci - stwierdził pobłaźliwie Jonas. - Podobno kiedyś demony istniały, ale za dowód służyć mogą tylko stare kroniki. Wtedy to ludzie mieli wyobraźnię.

- Może po prostu wtedy demonom bardziej się tu podobało - powiedziała zamyślona Salianka. Przypomniała sobie desperację swojego nocnego gościa. Pożałowała, że nie porozmawiała z nim dłużej, może udałoby jej się czegoś dowiedzieć. - Bo teraz wieją stąd choćby do piekieł.

- O czym ty mówisz? - zdziwił się skryba. Miał wrażenie, że całkiem umknął mu temat rozmowy.

Jego słowa oderwały królową od rozmyślań. Przyjrzała mu się uważnie. Skryba, jasne, miłośnik nauki. Czego innego mogła się po kimś takim spodziewać.

- W magię pewnie też nie wierzysz? - zainteresowała się zniecierpliwiona.

- W pewnym ograniczonym zakresie da się okiełznać siły natury - stwierdził, zaskoczony pytaniem. - Uczeni mędrcy to potrafią.

- Świetnie - mruknęła do siebie Salianka. - Następny.

- Następny kto? - Jonas miał dobry słuch.

- Następny niedowiarek - wyjaśniła głęboko niezadowolona królowa. Ona tu przed takim wywleka sekrety własnego życia, a nie może liczyć nawet na odrobinę zrozumienia. Poza tym co to za rozwinięta cywilizacja, co nie zna elementarnych prawd na temat świata? - Miałam już do czynienia z takim jak ty. Władza tak, ambicje tak, ale ledwo się dowiedział o demonach i magii, od razu zdradził!

- Jakich demonach? - zapytał zdezorientowany.

- Takich, co istnieją. Jeden robił scenę w nocy pod oknem. - Salianka nigdy nie miała przekonania do subtelnych metod. Prawda przekazywana prosto z mostu miała dla niej taką

samą wartość jak ta wyjawiana krok po kroku, tyle że pierwsza metoda była o wiele szybsza i wygodniejsza. - Magia też istnieje, przynajmniej po naszej stronie gór.

- Niesamowite - zdziwił się Jonas. - Masz na to jakieś naukowe dowody?

Królewna wytrzeszczyła na niego oczy. Czegoś takiego się nie spodziewała. Raczej zaprzeczeń, śmiechu, może oburzenia. Tymczasem mężczyzna był najwyraźniej gotów uwierzyć w jej słowa, jeśli tylko przedstawi mu jakiś dowód. Właściwie dlaczego nie miałyby tego zrobić? Po krótkim namyśle uniosła rękę. Razem z jej dłonią uniół się stół.

- Hmm... Prosta lewitacja. Widziałem taką na jarmarkach - powiedział skryba. - Może mogłabyś przyzwać demona?

- Chwilowo to wykluczone - odparła uprzejmie Salianka, raczej słabym głosem.

- Kiedy będzie możliwe, z chęcią popatrzę - w głosie Jonasa nie było ironii, tylko szczere zainteresowanie, jak u badacza, który z chęcią obejrzałby nowe, zaskakujące zjawisko.

Królewna osłupiała i kto wie jak długo pozostałaby w tym stanie, gdyby nadąsany karczmarz nie dostarczył do pokoju posiłku. Postawił na stole talerze, przy okazji z niechęcią taksując wzrokiem skrybę. Jonas nic sobie z tego nie robił, nawet tego nie zauważył. Karczmarz, zignorowany tak przez damę, jak przez kawalera, wyszedł głęboko nieszczęśliwy. Ewentualne rzucanie się w ramiona nieodwracalnie stało się kwestią zamkniętą.

Salianka. zdecydowała się przerwać odpytywanie Jonasa na rzecz apetycznie pachnącego posiłku. Skryba natychmiast skorzystał z okazji i zaczął drażnić temat, który jego z kolei interesował najbardziej:

- Jak to Jest być królowną?

Dziewczyna prawie udławiła się kawałkiem kurczaka. Natychmiast uświadomiła sobie, że nie dane jej będzie zjeść w spokoju. Nie wtedy, gdy ma przy sobie podekscytowanego miłośnika arystokracji, przynajmniej tej rzadkiej. Po kimś, kto spiskował w celu zapobieżenia powstaniu cesarstwa, spodziewałaby się raczej odwrotnej postawy, ale może w obcych stronach spiski były bardziej skomplikowane, niż sama odważyłaby się przypuszczać.

- A jak ma być? - zapytała podejrzliwie.

- Nie wiem... to przecież ty nią jesteś - zauważył przytomnie Jonas. - Powinno chyba być jakoś... - sam nie był pewien, jak to określić - inaczej.

- Niż co? - Salianka przełknęła wreszcie kurczaka.

- Niż być kimś innym.

Wzruszyła ramionami. Ależ sobie znalazł temat do konwersacji! W obliczu faktu, że okazała się królowną, wszystko inne najwyraźniej przestało mieć znaczenie. Nic, tylko ubrać się w falbanki, skombinować jakieś berło i zasiąść na tronie ku uciesze gawiedzi.

- Skąd mam wiedzieć takie rzeczy. No owszem, z całą pewnością inaczej jest być królowną niż sprzątaczką - dodała, sięgając pamięcią do nielicznych własnych doświadczeń. - I w tym wypadku inaczej znaczy lepiej.

- Ale musiałś sobie w pewnym momencie uświadomić, że jesteś kimś innym... niż ludzie na ulicach - drążył temat wyraźnie zafascynowany Jonas.

- W Twierdzy nie ma ulic. - Salianka pochyliła się nad swoim talerzem. Doskonale wiedziała, o co on tak naprawdę pyta: o chwilę, kiedy zrozumiała, że jest królowną, a wszyscy inni jej służą. Dokładnie wiedziała, kiedy to było: tego dnia, gdy Rada zamordowała jej ojca, a ona sama spojrzała po raz pierwszy świadomie na swoje odbicie. I wtedy już w jednej chwili wiedziała: jest Salianką, Pierwszą Rady, królowną. Jakoś nie miała ochoty opowiadać o tym Jonasowi. Z tego, co wtedy poczuła, nie zwierzyła się nikomu. Nigdy.

- Ale musiałś coś zauważyć Anie było łatwo go zniechęcić do rozmowy, kontynuował ją z wyraźną pasją badacza amatora. - Na przykład kiedy przyjaciele zaczęli się przed tobą płaszczyć.

- Nie mam przyjaciół - ucięła krótko. Pani Twierdzy nie mogła ich mieć. - I po diabła ktokolwiek miałby się przede mną płaszczyć?

- Żeby okazać, jak bardzo jesteś ważna, poważana, szanowana i klasowo odległa od pospólstwa - wyjaśnił Jonas, w sposób widoczny zdumiony, jak można tego nie wiedzieć. - Takiego zachowania wymaga nawet niższa szlachta.

- Nie potrzebuję, żeby się przede mną płaszczono - oznajmiła stanowczo królowna. Tylko tego brakowało, żeby wszyscy walili brudnymi nosami o czyste posadzki za każdym razem, gdy widzą swoją Panią. - To znaczy owszem, czasem jest to pożyteczne, nawet miłe, ale niepotrzebne mi takie wyrazy szacunku.

- A co robisz, kiedy ludzie cię nie szanują?

Salianka ponownie wzruszyła ramionami.

- Cóż, zawsze mogę ich zabić, niekoniecznie osobiście.

To wreszcie zamknęło skrybie usta i królowna mogła dokończyć obiad w spokoju. Jednak Jonas, choć milczał, myślami najwyraźniej wciąż krążył wokół tematu. Przez jakiś czas grzebał widelcem w talerzu, aż wreszcie pozostałe ponad pół porcji potrawy podsunął Pazurowi. Pies radośnie przyjął podarunek i zaczął wylizywać miskę. Jonas siedział jeszcze przez chwilę w ciszy, po czym nagle wstał.

- Powinienem sprawdzić, co u moich towarzyszy - powiedział i wyszedł, skłoniwszy się Saliance na pożegnanie.

Królowna pośpiesznie przełknęła ostatni kęs, ale nie zdążyła już wyrazić swojego zdania.

Mogła tylko popatrzeć na drzwi, które starannie za sobą zamknął. Jego nagłe wyjście tak ją zaskoczyło, że przez moment nie wiedziała, co ma robić.

- Czy mi się wydaje, pieseczku, czy właśnie nas porzucono i co gorsza, wykluczono ze spisku? - zapytała złowrogo, kiedy już otrząsnęła się ze zdumienia.

Pazur, który właśnie skończył wylizywać talerz, podszedł do drzwi, powęszył chwilę i zapisał.

- Też tak myślę - zgodziła się Salianka, pakując pośpiesznie swoje rzeczy do sakwy. Jonas mógł zakładać, że można ją tak po prostu zostawić bez słowa wyjaśnienia, ale prawda wyglądała inaczej: to królowna decydowała, kto i kiedy może nie odpowiadać na jej pytania. Skoro tego nie wiedział, cóż, to jego problem. Szybko przekona się, z kim ma do czynienia. - Nikt nas nie będzie wyrzucał z żadnego spisku!

Udało jej się jakoś zebrać wszystko i niczego przy tym nie upuścić. Zbiegła po schodach najwolniej jak tylko umiała, czekając na Pazura, który szedł powoli z nosem przy ziemi. Spodobało mu się tropienie nowego, sympatycznego znajomego. Oszołomiony karczmarz usłyszał od zaaferowanej damy krótkie „żegnajcie” i już jej nie było. Chlipnął sobie żałośnie w przybrudzony fartuch, bo oczyma duszy widział już siebie na dworze hrabiowskim, jako męża rozanielonej hrabianki, która wszystkim swoim zachwyconym krewnym z klasy wyższej opowiada, jak to on ją z nieszczęścia wybawił. Ciężko było się z taką wizją rozstać.

\* \* \*

- Czy on się naprawdę pętał po całym mieście? - zapytała z rozgoryczeniem Salianka, zbierając pakunki, które po raz kolejny jej upadły, kiedy się potknęła. - Mam tego dość. I nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy. Co to za głupi pomysł, żeby całe miasto było szare!

Usiadła na najbliższym murku i zajęła się przywiązywaniem morgensterna do sakwy. Pies grzecznie kręcił się nie dalej niż o dwa kroki od niej, węsząc zapamiętałe. Biegali po mieście już od kilku godzin, szukając Jonasa i reszty spiskowców. Bez rezultatu. Skryba chyba zapadł się pod ziemię. Salianka zaczynała tracić cierpliwość, a w konsekwencji i nadzieję. Powoli wpadała w wir ponurych rozmyślań, który nieodmiennie prowadził do przygnębienia zgoła trumiennego. Ze staczania się w czarną otchłań pesymizmu wyrwało ją szczeknięcie Pazura. Królowna gwałtownie podskoczyła, potem jęknęła, kiedy opadła z powrotem na murek, obtłukując sobie przy tym dolną część tułowia, i wreszcie spojrzała na psa, który, niesamowicie z siebie dumny, wystawiał zwierzybę.

Salianka zlustrowała wzrokiem przeciwną stronę ulicy, ale Jonasa tam na pewno nie

było. Pod ścianą stał uliczny handlarz, obok przechodziło dwóch mężczyzn, wyeleganconych niczym pawie, i kobieta w pięknej, zdobionej haftem sukni. Początkowo królownę zainteresowało to arcydzieło krawiectwa o wiele bardziej niż jego właścicielka, ale już przy drugim spojrzeniu kobieta wydała się Saliance znajoma. Potrwało chwilę, zanim dziewczyna uświadomiła sobie, że osobą, na którą patrzy, jest Kalta. Peruka o długich jasnych włosach i błękitna suknia odmieniły ją nie do poznania. Zamiast kobiety wojowniczką ulicą szła subtelną damą, której nikt by nie posądził o strzelanie do ludzi, ani nawet o to, że kiedykolwiek miała broń w ręku. Królowna zerwała się z murku i zastąpiła jej drogę.

- To ty! - wykrzyknęła triumfalnie.

Po twarzy Kalty przemknął cień niepokoju. Rozejrzała się czujnie. Na szczęście nikt nie zwrócił uwagi na okrzyk Saliarki. Nieopodal handlarz zachwalał na cały głos swoje towary, a dwóch przechodniów zdążyło już zniknąć za rogiem.

- Cii... - syknęła kuszniczka, łapiąc królownę za łokieć i ciągnąc w stronę ciemnego zaułka. - Tak, to ja. Nie musisz krzyczeć.

- Już nie krzyczę - oznajmiła z godnością Saliarka, dając się grzecznie wlec. Było jej wszystko jedno, gdzie będą rozmawiały, byleby miała szansę wyciągnąć z Kalty potrzebne informacje. Instynkt podpowiadał królownie, że nie pójdzie jej tak łatwo jak z Jonasem. Doszła do wniosku, iż lepiej będzie nie wspominać, że wie już co nieco o spisku ani tym bardziej, że zamierza wziąć w nim aktywny udział, i to na swoich zasadach.

- Szukam Jonasa - od razu przeszła do rzeczy, nie zwracając sobie głowy ewentualnymi kłamstwami i wyjaśnieniami.

- A, tak - uśmiechnęła się ze zrozumieniem Kalta. Uśmiech dodawał jej uroku, czyniąc ją prawie piękną. Ale tylko prawie. - O wszystkim mi opowiedział.

- Tak? - ucieszyła się królowna. Nie do wiary, jak się wszystko wspaniale układało. Gdyby się jeszcze okazało, że już, w tej chwili, może ruszać do siedziby egzorcystów, to spełniłyby się jej wszystkie marzenia.

Nie popełni już żadnego błędu. Nie martwiła się tym, że nie będzie mogła skorzystać z pomocy Wrót. Koniec końców były tylko źródłem kłopotów i komplikacji. Saliarka nie miała wątpliwości, że potęga Twierdzy nie pochodziła z Wrót, ale z jej władców, przodków królowny. To oni mieli w sobie siłę, która pozwoliła im żyć z wejściem do piekieł w umysłach, wyrwać się spod kurateli Dolin, stanąć przeciw wszystkim. A Saliarka czuła, że jest ich godną następczynią.

- Nic się nie martw - ciągnęła życzliwie kuszniczka - za dwa dni rusza karawana na drugą stronę Gór Omszałych. Postaramy się, żeby cię zabrali.

- Na drugą stronę gór? - Królownie zrzęda mina. Druga strona gór jej nie odpowiadała. Życzyła sobie pozostać po tej, po której aktualnie byli egzorcyści. Po co miała wracać do Twierdzy? I to teraz, kiedy miała już tak sprecyzowane plany na resztę życia? Kiedy jednym ruchem szponów... to jest dłoni... mogła uwolnić rzeki krwi? Za nic w świecie!

- Jonas powiedział mi, kim jesteś - szepnęła konspiracyjnie Kalta. - Nie martw się, królowno. Odstawimy cię bezpiecznie z powrotem do domu, do twoich poddanych.

- Do domu? - powtórzyła Salianka. Ton kuszniczki kazał jej przypuszczać, że jednak skryba nie poinformował swojej przyjaciółki, kim królowna jest naprawdę. Zapewne powiedział, za kogo on ją uważa. A treść jego wyobrażeń Pierwsza mogła sobie łatwo dopowiedzieć: nieszczęsna sterroryzowana władczyni małego barbarzyńskiego kraiku, porwana przez szalonych egzorcyistów, przerażona nowym światem. W głębi serca Salianka przeklęła wszystkich mężczyzn, którzy patrzą na kobiety, ale zamiast nich widzą własne marzenia. Stanowczo za często miała z takimi ludźmi do czynienia: najpierw Talok, teraz Jonas. A ile z byłym Szóstym było kłopotów...

- Wspaniale, prawda? - Kalta uśmiechnęła się i poklepała ją przyjaźnie po ręce, biorąc osłupienie dziewczyny za przejaw radości z nagłego ocalenia. - Czekaj w gospodzie i lepiej nie wychodź stamtąd bez potrzeby. Po tej stronie gór świat jest dziki i nieprzyjazny dla księżniczek, nawet z takim ciosem jak twój.

Już odchodziła, kiedy królownę odmurowało. Nie miała czasu na to, by szukać egzorcyistów na własną rękę. Potrzebowała pomocy, a przynajmniej informacji. Kuszniczka nie była najwyraźniej chętna do ich udzielenia, pewnie Jonas nawet nie przyznał jej się, że powiedział zagubionej dziewczeczce więcej, niż powinien. W takiej sytuacji królownie pozostawało tylko odnaleźć skrybę. Był użyteczny nie tylko jako źródło wiedzy; jego życzliwość i szczerą troską o świat nasunęły Saliance jeszcze jeden pomysł: musiała przecież znaleźć kogoś, kto zajmie się Pazurem, kiedy ona nie będzie już w stanie, albo przynajmniej odeśle psa bezpiecznie do Twierdzy, do Jali i Plaskata. Wielbiciel monarchii nadawał się do tego doskonale.

- A gdzie Jonas? - zapytała z wcale nie udawaną rozpaczą w głosie.

Kalta, już wychodząca z zaułka, zatrzymała się. Spojrzała z namysłem na Saliankę, jakby rozważała, co zaszło między dziewczyną a skrybą.

- Wyjechał.

- Chciałam się pożegnać i mu podziękować - powiedziała królowna, pociągając nosem. Wątpiła, czy uda jej się rozplakać na zawołanie, ale warto było spróbować. Ta metoda, sądząc po reakcji kuszniczki, miała szanse powodzenia.

- Przekażę mu - zapewniła ją z całego serca Kalta. W jej oczach widać było współczucie dla biednej dziewczyny, która zdążyła się już najwidoczniej zadurzyć w swoim, no cóż... wybawcy, a teraz musiała odjechać do domu ze świadomością, że zapewne już nigdy go nie zobaczy. Kuszniczka dobrze wiedziała, jakie to uczucie... nawet aż za dobrze. Uśmiechnęła się smutno, bardziej do siebie niż do rozmówczyni. Po tylu latach... a to wciąż bolało.

- Chciałabym napisać list - Saliance przyszedł do głowy nowy pomysł. Przycisnęła rękę do piersi, szczypiąc się jednocześnie w wierzch dłoni tak mocno, że aż łzy jej stanęły w oczach. - Oficjalny, z godłem i... takimi tam - dodała z naciskiem, sugerując, że oprócz godła i oficjalnych formułek na pergaminie znajdzie się dużo cikliwych wyznań ozdobionych śladami łez.

- Ach, oczywiście - Kalta nie miała serca odbierać tej smutnej dziewczynie ostatniej szansy na pożegnanie się z młodzieńcem. - Możesz wysłać posłańca do Morskiej Bryzy, do domu hrabiego Osmołu. Na pewno przekaze go Jonasowi.

- Wspaniale - stwierdziła królowna dystyngowanym głosem. Dla podkreślenia swoich słów pociągnęła jeszcze ostentacyjnie nosem. - Dziękuję.

Ocierając łzy i rozmasowując obolałą dłoń, patrzyła, jak Kalta odchodzi. Kiedy tylko kuszniczka znikła jej wreszcie z pola widzenia, Salianka dała ujście pęczniącym w niej uczuciom i zaczęła skakać ze złości.

Wizja siebie jako mrocznej, bezwzględnej mścicielki kładącej kres istnieniu bandy egzorcystów była zbyt piękna, żeby z niej zrezygnować. Oprócz tego królowna miała świadomość, że niebawem zmieni się znowu w bezmyślną lalkę, i koniecznie, ale to naprawdę koniecznie chciała przedtem pokazać wszystkim: egzorcystom, Radzie, światu jako takiemu, że stać ją na to, żeby wstrząsnąć posadami systemu, wszystko jedno jakiego. Że skoro jest ostatnią Panią Twierdzy, to będzie z wszystkich władców najwspanialszą. Samotna królowna kontra świat to, jak przemknęło jej przez myśl, całkiem dobry temat na balladę. Szansa znalezienia sobie miejsca w historii poezji śpiewanej, przy boku takich znamienitości jak wielki wojownik Ulk (choć piosenki o nim chwilowo nie były w Dolinach zbyt popularne) i król Rozstajów Eind (który wreszcie powrócił, by uwolnić swoje królestwo, dając tym samym potężny kopniak natchnienia twórcom ludowym), częściowo Saliankę rozbawiła, a częściowo zirytowała. Z jednej strony nie znosiła tych przeklętych przekłamanych przyśpiewek, ale z drugiej całkiem podobało jej się, że zostanie na wieki uwieczniona w przekazach ludowych jako kwintesencja zła wszelkiego. W każdym razie nie zamierzała rezygnować ze swoich niszczyielskich planów, a to oznaczało konieczność dostania się do Morskiej Bryzy.

Pozostawał tylko jeden drobny problem. Królowna nie miała pojęcia, gdzie Morska Bryza się znajduje, nie wiedziała nawet, w jakim kierunku powinna się udać. A wszystkie te problemy rozwiązałyby jedna porządna mapa.

Potężna irytacja Salianki musiała znaleźć jakieś ujście. Miała ochotę coś zniszczyć, rozbić na drobne kawałki, a może nawet rozszarpać komuś gardło. Ze wszystkich dostępnych możliwości wybrała tę najbardziej ludzką i najmniej krwawą.

Zgrzytnęła zębami tak, że aż Pazur podniósł uszy. Całe szczęście, że wystarczył jeden krok, żeby cofnąć się z powrotem do zaułka, gdzie mogła bez przeszkód powalić sobie pięścią w ścianę, bez żadnych gapiów zastanawiających się, jak taka młoda i drobna panienka jest w stanie ukruszyć tynk i cegły.

Tyle że nawet nie zdążyła unieść pięści.

Ktoś nagle chwycił ją mocno i zatkał usta szorstką dłonią. Tak ją to zaskoczyło, że nawet nie próbowała się wyrwać, za to upuściła zarówno sakwę, jak i morgenstern. Pazur zamarł pod ścianą. Nie zamierzał się na nikogo rzucać, nie był w końcu psem obronnym, za to miał obronną właścicielkę.

- Oszalałeś? - wysyczał ktoś z boku, sądząc z tonu, bardzo zdenerwowany. - Co robisz, nie mamy czasu!

- To królowna, i to bogata - odparł szeptem ten ktoś, kto trzymał Saliankę. Miał głos spokojniejszy od swojego towarzysza, ale dawało się w nim wyczuć pewne napięcie. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że życie powinno mu właśnie przelatywać przed oczami. W końcu zaraz miał zginąć z rąk coraz bardziej zdenerwowanej dziewczyny. - Diabli wzięli zarobek, więc przynajmniej zgarniemy okup.

- Królowna pętałaby się sama po mieście? - zgorszył się ten pierwszy. Najwidoczniej należał do zwolenników teorii, iż królowny powinny wyglądać i... Właściwie tylko wyglądać, a pod żadnym pozorem nie brać się do robienia czegokolwiek poza słodkimi oczami.

- Może zwariowała? Może jest dziwaczką? Czy to ważne? Zabierzemy ją do Morskiej Bryzy...

Te dwa słowa ocaliły mu życie. Królowna już się przymierzała, żeby się oswobodzić, a przy okazji może wyrwać napastnikowi ramiona, tak profilaktycznie i na przyszłość, ale teraz zmieniła zdanie. Być dostarczoną do celu swojej podróży w charakterze zakładniczki bardzo jej odpowiadało. W końcu nie musiała przy tym nic robić, tylko „zakładniczyć”, a całą robotę odwalą za nią porywacze. Same plusy.

- Tu jest pies - odezwał się nagle trzeci głos. - I jeszcze na mnie warczy! Ja ci, kundlu...

Królowna uznała za konieczne włączyć się do dyskusji i ugryzła dłoń zatykającą jej usta.



Człowiek, który ją trzymał, syknął z bólu i zabrał rękę z zasięgu jej zębów, ale królowny nie puścił.

- Zróbcie krzywdę mojemu psu, to zacznę tak wrzeszczeć, że zleci się tu pół miasta - zagroziła pośpiesznie Salianka, korzystając z okazji, żeby przyjrzeć się najbliższemu stojącemu porywaczowi. Najemnik był wzrostu wielkiego wojownika Ulka, przypominał go do tego trochę z postury, tylko mięśnie wyhodował sobie w rozsądniejszej, normalnej ilości. Miał brązową skórę i długie czarne włosy zaplecione w drobne warkoczyki zebrane z tyłu. W całkiem przystojnej twarzy ciemne oczy lśniły złowrogo w sposób, który zniechęcał do kłamania ich właścicielowi. Królowna szczerze postanowiła przynajmniej postarać się nie kłamać. - To po pierwsze, a po drugie, pochodzę ze specyficznego barbarzyńskiego kraiku i jako królowna bez psa nie jestem nic warta. Jako królowna z psem jestem zaś warta przynajmniej tyle, ile oboje ważymy.

To wystąpienie nieco zdeprymowało porywaczy. Nie pierwszy raz kogoś porywali, nie pierwszy raz była to arystokratka. Prawdę mówiąc, takie gryzące szlachcianki też już im się wcześniej trafiały. Ale żadna, ale to naprawdę żadna, nie była tak straszliwie rzeczowa.

- Po trzecie - skorzystała natychmiast z okazji królowna - tu są moje bagaże, bądźcie uprzejmi je też zabrać. A w ogóle to ruszcie się!!

Apel poskutkował i już po chwili w zaułkach miasta zniknęli wszyscy trzej porywacze, pierwszy - przerzuciwszy sobie Saliankę przez ramię, drugi taszczący Pazura, a trzeci sakwę i morgenstern, wciąż elegancko opakowany.

## ROZDZIAŁ 3

W Twierdzy zauważono zniknięcie królowny po upływie kilku godzin. Ścisłej rzecz biorąc, zauważył je Plaskat. On jeden tak naprawdę miał oko na Saliankę, bo też tylko *on* wiedział, co jej może grozić. Wiedział, że wyszła z Twierdzy. Straże przysięgały, że ich Pani nie wróciła ze spaceru. W takiej sytuacji Piąty zdecydował się zarządzić poszukiwania. A, co było do przewidzenia, takie działania nie mogły przejść niezauważone. Pozostali Doradcy zlecieli się jak sępy.

Cokolwiek dotyczyło królowny, oni życzyli sobie o tym wiedzieć. Już dawno pozbyli się złudzeń, że mają jakikolwiek rzeczywisty wpływ na swoją Panią, ale wciąż próbowali walczyć o swoją pozycję i wtykać haczykowane nosy, w co tylko się dało.

Teraz też zjawili się na dziedzińcu, jeszcze zanim zaczęły spływać pierwsze meldunki od przeszukujących Twierdzę i jej okolice łupieżców. Drugi, Czwarty i Siódmy, wszyscy odziani w obowiązkowe czernie i szarości, na tle szarego muru wyglądali jak trzy gargulce wypatrujące ofiar. Jednak na Plaskacie, na którym skupiały się ich karpiovate spojrzenia, nie robili żadnego wrażenia. Teraz obchodziła go tylko Salianka, no i może jeszcze Dziewiąty Rady, tępy, zakutany w skóry i kolczugi barbarzyńca, który miał denerwującą tendencję do stania w charakterze głupiego kołka w najmniej odpowiednim miejscu, w tym wypadku: na drodze Piątego.

Szczęśliwym przypadkiem wśród tych sępów była też Jala, która choć oficjalnie rezydowała w Rozstajach, regularnie odwiedzała Twierdzę, kłując przy okazji Plaskata w oczy swoją urodą. Namiestnictwo jej służyło, choć Piąty nigdy, przenigdy by tego głośno nie przyznał. Nie była już słodką trzpiotką. Spoważniała, jasne włosy splatała w ciasny kok, a kolorowe stroje zmieniała na prostą, ciemną suknię, podobną do szat innych członków Rady. Bardzo jej z tym wszystkim było do twarzy.

Jala, która oprócz piastowanego stanowiska cieszyła się też rolą przyjaciółki królowny, podzielała ze wszech miar niepokój Plaskata. I, jak to miała w zwyczaju, zaraz wszystkich

poderwała do działania. Nie tylko sługi i łupieżców, ale też odziane w czerń sępy. Zdopingowana przez Jale reszta Rady rozpierzchła się po całej budowli, robiąc to, co im wychodziło najlepiej, czyli wrzeszcząc na wszystkich. Skutkiem tych wrzasków było znalezienie dwóch strażników, którzy ostatni widzieli swoją Panią. Obaj należeli do gatunku cechującego się przyrostem masy mięśni kosztem masy mózgu. Wyglądali nawet imponująco, o ile unikało się spoglądania na ich tępawę twarzyczki.

Strażników doprowadzono natychmiast przed oblicze zaaferowanych członków Rady. Wszyscy Doradcy chcieli wiedzieć, gdzie podziała się ich Pani i co ważniejsze, co ta wiedźma tym razem knuje. Gurlek, Siódmy Rady, z właściwym sobie kulejącym poczuciem humoru suponował, że królowna uciekła z Trzecim, którego też akurat nie było nigdzie w pobliżu. Ta uwaga zdenerwowała Jale, która gromkim głosem zapewniła Siódmego, że pod tym względem to Saliankę zdecydowanie stać na więcej. Kłótnia już wisiała w powietrzu, ale zażegnał ją Plaskat, który naprawdę chciał się dowiedzieć, co stało się z jego Panią, a na co ją stać, to już sam doskonale wiedział.

Ze strażników udało się wydobyć informację, że królowna, owszem, wyszła na łąki otaczające twierdzę i przez dłuższy czas siedziała sobie jak zwykle na kamieniu. Drobnym zgrzyt pojawił się, gdy członkowie Rady zapytali, co działo się później.

- No, nasi ją stamtąd zabrali - powiedział jeden z łupieżców, zdziwiony, że ktokolwiek ma do niego pretensje. W końcu wypełnił swoje zadanie znakomicie: kazano mu siedzieć na murach i wyglądać wroga, to siedział i wyglądał. Salianki nikt mu pilnować nie kazał; to, że ją w ogóle zauważył, powinno zostać potraktowane jako wyraz szczególnej, zasługującej na nagrodę inwencji i kreatywności własnej.

- Jak to nasi?! - huknął na niego Dawasz. Od śmierci ojca królowny to on rządził Twierdzą, póki Salianka pod wpływem Wrót nie doszła do wniosku, że właściwie to ona jest Pierwszą Rady i najwyższy czas zacząć z tego korzystać. - Skąd wiecie, że nasi?

- No przecież inaczej by z nimi nie poszła. - Strażnik popatrzył na niego jak na idiotę, co mogło być albo dowodem straceńczej odwagi, albo bezdennej głupoty. W tym wypadku chodziło raczej o to drugie. - Jakby to nie byli nasi, to nasza Pani by ich wysłała hen do diabła.

Za nimi rozległ się głuchy dźwięk. Wszyscy odwrócili się, żeby zobaczyć, co się stało.

Plaskat właśnie walnął głową o ścianę, aż zatrzęsły się gobeliny, i przymierzał się do następnego uderzenia. Po czole ściekała mu już strużka krwi.

- Co robisz?! - osłupiała Jala. Na jej uroczej twarzyczce malował się wyraz przerażenia, co niewątpliwie stanowiło dowód, iż tkliwe uczucia, które kiedyś wobec Plaskata żywiła, nie

do końca wygasły.

Czwarty i Siódmy otrząsnęli się ze zbarania, w jakie wprawiło ich niewątpliwe szaleństwo towarzysza, i rzucili się go odciągać od muru. Marnie im to szło, bo Piąty był młody i sprawny, a oni wręcz przeciwnie, ale Gurlkowi wpadło do głowy wezwać na pomoc Dziewiątego. Sirparak bystrością nie grzeszył, ale muskuły miał, jak na barbarzyńcę z gór przystało. W mig powstrzymał Plaskata od dalszego uszkodzenia ściany i przytrzymał go w miejscu.

- Oszalałeś? - zapytał z naganą Dawasz. Doprawdy urządzenie przedstawienia w takim momencie dowodziło wyjątkowego braku wyczucia. - I to w takiej chwili?

Potrwało trochę, zanim Piątemu zniknęły mroczki sprzed oczu. Przez ten czas pozostali skupili się wokół niego, nieufni i pełni podejrzeń co do stanu jego umysłu. Do tego, że królowna jest trochę... nietypowa, zdążyli się przyzwyczaić. Do tego, że Ósma jest trochę za inteligentna, też. Ale jak dotąd Plaskat wydawał się nie dość, że normalny, to jeszcze całkiem rozsądny. Paru członkom Rady przemknęła przez głowę obawa, czy może nietypowość królowny nie jest zaraźliwa...

- Trzeba ich ściąć. - Kiedy tylko Plaskat oprzytomniał, wskazał na strażników. - Natychmiast. Zanim się rozniesie.

- Co się rozniesie? - spytała Jala. Naprawdę wyglądało na to, że Piąty stracił rozum. Ścinanie ludzi nie było co prawda w Twierdzy niczym nowym, ale nikt jakoś nie miał pomysłu, co poza wszami mogli roznieść ci łupieżcy. Dekapitacja jako metoda walki z pasożytami wydawała się lekką przesadą.

- Że porwano królownę - wyjaśnił gorączkowo Plaskat. Żałował szczerze swojej gwałtownej reakcji, ale kiedy uświadomił sobie, jakim był idiotą, wypuszczając Saliankę samą z Twierdzy, po prostu musiał, musiał ukarać się za własną głupotę. Jak mógł zapomnieć, że jego Pani bywa bezbronna. Jak mógł zlekceważyć zagrożenie, jakie przyniosła ze sobą utrata przez nią Wrot!!

- Królowna nie dałaby się porwać - stwierdził autorytatywnie Czwarty, składając patriarchalnym gestem dłonie na swoim okrągłym brzuchu. - Gdyby ktoś próbował, otworzyłaby Wrota. Na pewno byśmy to zauważyli, głównie dlatego, że wszędzie byłoby pełno trupów...

Pozostali pokiwali głowami. Tak, na tym się znali. Naoglądali się sporo za czasów opętanego ojca królowny, za jej rządów też zdarzyło się parę „nieszczęśliwych wypadków”. Oczywiście przy zachowaniu pewnych środków ostrożności człowiek mógł się czuć w Twierdzy względnie bezpiecznie. Wystarczyło nie denerwować królowny, nie być w pobliżu,

kiedy ona się zdenerwuje, nie bałaganić i nie wchodzić w drogę jej faworytowi, który zresztą od dłuższego czasu się nie pokazywał. Większość Rady przyjęła to z ulgą, choć bała się nawet myśleć, jakiego następnego ulubieńca znajdzie sobie ich Pani...

- Wyślijcie ich na egzekucję - powiedział ponuro Piąty. - A ja wam wszystko wyjaśnię...

Dawasz spojrział na niego podejrzliwie spod swoich krzaczastych brwi. Coś mu tu nie pasowało, Plaskat zdecydowanie wiedział więcej niż pozostali. Normalne było, że poszczególni członkowie Rady spiskowali ze sobą, przeciw sobie i za swoimi plecami, ale jeśli chodziło o królowną, zgodnie trzymali wspólny front. Prawdopodobnie dlatego, że kiedy stali w zwartej grupie, zwiększała się szansa, iż gniew królowny trafi w stojącego obok, choćby przez pomyłkę...

- Chyba nie masz jakichś sekretów przed Radą? - zapytał Drugi. Jego twarz przypominała w tej chwili fizjonomię bazyliuszka szykującego się do ataku.

- Nie mam własnych - przyznał zmęczonym głosem Piąty. Przepadło, coś musiał im powiedzieć. Dla dobra Salianki. - Ale strzegę tajemnic mojej Pani.

Nie wywołał tym takiego poruszenia, jak się spodziewał. Członkowie Rady po prostu pokiwali ze zrozumieniem głowami.

- Otworzyła Wrota i wybiła ze sto osób? - zgadł Czwarty. - Zdarza się. - Machnął dłonią z wyrozumiałym lekceważeniem.

- Nie będziemy przecież mieli pretensji - dodał wspaniałomyślnie Siódmy. - Wiadomo, królowna z Twierdzy musi sobie czasami pofolgować. A jeszcze biorąc pod uwagę te jej Wrota...

- Nie ma już Wrót! - wrzasnął Plaskat, tracąc cierpliwość.

- He? - zainteresowali się dotąd zapomniani i pozostawieni pod ścianą strażnicy.

Doradcy, porażeni wiadomością, osłupieli. Nie mieściło im się w głowach, jak może nie być Wrót. Wrota i ich aktualny Strażnik zawsze współhistnieli w jednym ciele, od tej zasady nie było wyjątków. Słowa Piątego brzmiały niczym informacja, że słońce następnego dnia nie wzejdzie.

Jak zwykle jedynie Dawasz wykazał przytomność umysłu i osobiście zasztyletował obu przesłuchiwanym strażników. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby tajemnice stanu rozniosły się wśród pospólstwa. Pozostali członkowie Rady nawet tego nie zauważyli, zajęci przetrawianiem zaskakujących wieści. Dotąd podstawowym założeniem było, że aby pozbyć się Wrót z umysłu Strażnika, należy doprowadzić do śmiertelnego zejścia tego drugiego. A królowna nie dość, że bez Wrót żyła, to jeszcze obżerała się kaszanką. Sami to obżeranie się widzieli.

- Przejdźmy do innej sali - zaproponował Drugi, czyszcząc sztylet. - Tu trzeba posprzątać...

Stygającymi zwłokami zajęła się służba, a wszyscy Doradcy przeszli do najbliższej pustej komnaty. Przede wszystkim upewnili się, że nikt nie będzie ich podsłuchiwał. Wyrzeli za okno, czy aby nikt nie uczepił się stromego muru. Podnieśli gobeliny, żeby upewnić się, że nikt pod nimi nie usnął. Dokładnie zamknęli za sobą drzwi, ale nie na klucz, żeby móc w razie czego zerkać przez dziurkę, czy nikt nie stoi z drugiej strony. Aczkolwiek było mało prawdopodobne, żeby ktokolwiek ośmielił się ich szpiegować. Mieszkańcy Twierdzy nie byli może wzorami dyskrecji, ale jak jeden byli mistrzami dbania o własną skórę i unikania niebezpieczeństw. Szpiegowanie zaś było niewątpliwie na czele listy czynności nad wyraz niebezpiecznych.

Podjąwszy niezbędne środki ostrożności, Doradcy mogli wreszcie zrobić to, po co tu przyszli. Wszyscy zgodnie dopadli Plaskata, jednocześnie zadając mu pytania. Każdy chciał wiedzieć, co się tak w ogóle dzieje, i co więcej, chciał się tego dowiedzieć wcześniej niż pozostali. Do tego wszyscy mieli pretensje...

- Cisza! - ryknął wreszcie Piąty, który miał wrażenie, że nad głową brzęczy mu stado gigantycznych much. - Ja będę mówił, pytać będziecie później.

Pogodzili się z tym niechętnie i otoczyli go ciasnym półkolem, ograniczając mu dostęp powietrza. Przeciw temu Plaskat już nie protestował, w pełni świadom, że gdyby poprosił ich, żeby się odsunęli, pozabijaliby się o to, kto ma stać najbliżej.

- Nie ma już Wrót - powtórzył, chcąc mieć pewność, że na pewno to do nich dotrze.

- Jak to? - wyrwał się z pretensjami Siódmy, ale Drugi zgromił go spojrzeniem.

- Mów dalej - polecił Piątemu. Po jego twarzy można było poznać, że nim też targają wielkie emocje. Trzymał je jednak jak zwykle na wodzy. Tylko głupcy działali pod wpływem chwili, a Dawasz na pewno się do nich nie zaliczał. Nie przypadkiem jako jedyny przetrwał rządy nie tylko ojca, ale jeszcze i dziadka Salianki...

- Pamiętacie ostatnią bitwę z egzorcystami? - ciągnął Plaskat. Starał się mówić wyraźnie, żeby go dobrze zrozumieli, ale też nie za wolno, żeby z niecierpliwości nie rzucili się na niego. - Kiedy łupieżcy twierdzili, że widzieli tam królową, otóż ona rzeczywiście tam była. Zdrajca Talok porwał ją i uwięził. Nasza Pani wydostała się na wolność, ale nie było to łatwe. Przede wszystkim ktoś jej strzelił z łuku w plecy. Wtedy Wrota opuściły jej umysł i przeniosły się do umysłu jej matki.

- Królowa ma matkę? - zdziwił się Czwarty. Wydawał się tym zaskoczony niemal tak bardzo jak wiadomością, że nie ma już Wrót.

- Każdy ma matkę - syknęła Jala. Jako jedyna z nich wszystkich, no, może poza Plaskatem, upierała się myśleć logicznie. Być może dlatego pozostali czuli się zwolnieni z tego obowiązku.

- No tak, ale królowna... Przecież ona po prostu była pod bramą Twierdzy, pamiętacie? - przypomniał Gurlek. - Więc ta matka ją porzuciła. Wróciła tak nagle, bo ją dopadły wyrzuty sumienia?

- Wątpię, żeby matka Salianki kiedykolwiek miała wyrzuty sumienia - stwierdził Piąty. Nie miał okazji spotkać Pawlinki, ale królowna trochę mu o niej opowiedziała. Swoje dołożył też Szutel, który Pawlinkę poznał. Opinia mózgojadka była równie niepochlebna, co dosadna. - Jej matka... w pewnym sensie była zawsze w okolicy. Tu niedaleko mieszkała czarodziejka, pamiętacie?

- Zwykła szarlatanka - skrzywił się mimowolnie Siódmy. - Nie żebym korzystał z jej usług - dodał pośpiesznie, poczuwszy na sobie zaskoczone spojrzenia pozostałych.

- Za czasów ojca naszej Pani, zdaje się, porywaliśmy ją kilka razy - zmarszczył brwi Dawasz, przypominając sobie z wysiłkiem dawne, nieszczęśliwe czasy. - Ale to było... niech pomyślę... ponad dwadzieścia lat temu.

Spojrzeli po sobie. Liczyć umieli wszyscy. Od ponad trzech lat Salianka rządziła Twierdzą. Wcześniej przez siedemnaście, aż do śmierci swojego ojca, trwała w niebycie.

- Ona jest matką królowny? - upewnił się Czwarty. Na twarz powoli wpełzał mu wyraz niezmiernie grozy. - Szarlatanka ma w głowie potężne Wrota do piekieł? I mieszka tu niedaleko?

- Już nie mieszka - poinformował Plaskat.

Czwarty nawet nie starał się stłumić westchnienia ulgi.

- Pojechała zwiedzać świat, razem z Wrotami.

- Chwileczkę - wtrąciła Jala, która miała zwyczaj słuchać uważnie i jeszcze zapamiętywać wszystko, co zostało powiedziane. - Powiedziałeś, że ktoś strzelił Saliance w plecy. Z jakim skutkiem?

- Śmiertelnym - uprzejmie odpowiedział Piąty. Miał nadzieję, że nad tym nie będzie musiał się rozwodzić, ale nie docenił dociekliwości swojej byłej ukochanej.

- Ale ona żyje?! - zdziwił się Dziewiąty, który kojarzył zdecydowanie wolniej niż pozostali.

- Sądzę, że zechcesz nam to wyjaśnić - powiedział z naciskiem Dawasz. Jak się okazało, Plaskat miał o wiele więcej tajemnic, niż się spodziewali. Co gorsza, były to bardzo ważne tajemnice, a on najwyraźniej się nie palił, żeby zdradzić je pozostałym członkom Rady. Do

tego, że Jala wierzy w takie bzdury jak lojalność i posłuszeństwo wobec władcy, Drugi już przywykł, ale podobna postawa ze strony Piątego to był niemal nóż wbity w plecy...

- Proszę bardzo - zgodził się Plaskat. Powiedział im już tyle, że właściwie mógł wyjawić wszystko. No, prawie wszystko. Pewnych tajemnic swojej Pani zdradzać nie zamierzał. Podejrzewał, że gdyby nie była do tego zmuszona okolicznościami, nigdy by mu się nie przyznała, co kryje się w jej sercu. Ale zwierzyła mu się i teraz za wszelką cenę chciał ochronić jej największy sekret. - Pamiętacie Virvena, faworyta królowny?

Pamiętali. Jak głosiła niepotwierdzona, ale i niezdemontowana plotka, Virven rozszarpał na śmierć przynajmniej dwóch, teraz już byłych członków Rady. Oprócz tego miał miły zwyczaj rozrywać ludziom gardła, na szczęście ci ludzie byli z reguły wrogami Twierdzy. I zawsze patrzył na rozmówcę tak, jakby się zastanawiał, od której strony go napocząć.

Ogólnie był uznawany za dość użytecznego.

- Był demonem - wyjaśnił Piąty.

- Wiedziałem! - wyrwał się entuzjastycznie Czwarty. Pozostali zaraz go uciszyli. Właściwie to wszyscy wiedzieli, a przynajmniej się domyślali, ale nikt nie ośmielił się głośno krytykować gustu królowny, zwłaszcza że w swojej ludzkiej postaci Virven był całkiem, a nawet bardzo atrakcyjny, przynajmniej tak twierdziła Jala. Pozostali nie znali się na męskiej urodzie, więc nie próbowali podważać jej opinii. Nikt nie miał jednak teraz zamiaru tracić czasu na krzyki „a nie mówiłem?”. Opowieść robiła się coraz bardziej interesująca i koniecznie chcieli się dowiedzieć, co jeszcze przed nimi ukrywano.

- Kiedy królowna umierała, a Wrota opuszczały jej umysł - kontynuował Plaskat - Virven przez nie przeszedł, ale nie całkiem. W królownie została jakaś jego część, pozwalając jej przeżyć i strzałą w sercu, i odejście Wrót. Oprócz tego zostawił jej jeszcze swoją siłę i... chyba apetyt...

- To stąd ta kaszanka! - domyśliła się Jala. Zmiana upodobań kulinarnych Salianki niepokoiła całą Radę, w końcu kiedyś królowna preferowała warzywa, potem nagle przeczuciła się na mięso, możliwie krwiste, i kaszankę właśnie. Taką dietę tylko mały krok dzielił od pieczenia dzieci w kuchennym piecu...

- Czyli królowna nie ma już Wrót, ale ma siłę demona - podsumował zwięźle Dawasz. Nie miał w zwyczaju emocjonować się czymś więcej, niż to było absolutnie konieczne, przynajmniej nie otwarcie. No i pod nieobecność Salianki to on przewodził Radzie i uważał, że to do czegoś zobowiązuje, a mianowicie do zachowania zimnej krwi i jasnego umysłu.

- Skąd przypuszczenie, że dała się porwać?

Piąty westchnął. Tego wolałby im nie wyjaśniać. Jeszcze by zaczęli robić plany.



- Ta część demona, która została w Saliance nie wystarcza, żeby przeżyła bez Wrót. Miała już jeden... atak... zanik świadomości... miesiąc temu. Dziś musiała mieć drugi.

- Trzeba jej wsadzić Wrota z powrotem do głowy - stwierdziła stanowczo Jala, zanim ktokolwiek inny zdołał powiedzieć choć słowo. Pozostali spojrzeli na nią wilkiem, ale siedzieli cicho. Nie pierwszy raz dochodzili do wniosku, że Ósma wyznaczała im pewne standardy, których wcale nie potrzebowali.

- To nie takie proste - ostudził jej zapały Plaskat. Bardzo by chciał, żeby ten problem dało się załatwić ot tak. Ale rzeczywistość miała to do siebie, że okazywała się bardziej skomplikowana od wszelkich wyobrażeń i absolutnie niekompatybilna z chęciami. - Rozesłaliśmy już posłańców, żeby znaleźli czarodziejkę Pawlinkę. Na próżno. Ale nie to mnie martwi. To znaczy to też, ale jest coś, co martwi mnie bardziej.

- Co? - zapytał ponuro Siódmy. Złe wieści piętrzyły się jedna nad drugą i zdawały się nie mieć końca.

- Królowna jest gdzieś tam - Piąty zrobił gest obejmujący cały świat. - W każdej chwili może stracić świadomość. A jeszcze ma do czynienia ze światem, którego nawet nie zna. Złym. Niebezpiecznym.

- Możemy wysłać po nią łupieżców - powiedział niepewnie Czwarty. Ratowanie królowny przed czymś było nowym doświadczeniem i wszyscy byli nim lekko ogłuszeni. Gdyby sprawy miały się na odwrót, czuliby się dużo lepiej. Nie ma to jak borykanie się z sytuacją, która jest bardziej niż dobrze znana, wręcz oswojona.

- To banda głupkowatych rabusiów, którzy nie poradzą sobie z dala od Twierdzy - powiedział gniewnie Dawasz. Nie dało się zaprzeczyć, że miał rację. Łupieżcy nadawali się do łupienia, czasami jeszcze mogli komuś przyłożyć. Bardziej zaawansowanych zadań nikt nawet nie próbował im zlecać.

W komnacie zapanował dość ponury nastrój. Plaskat stał pod ścianą, pozostali tłoczyli się wokół, gapiąc się z nadzieją na siebie nawzajem. Ich nadzieje okazywały się płonne, więc spuszczaali wzrok i wpatrywali się depresyjnie w czubki własnych butów. Tę chwilę wybrał sobie Ernalik, spóźniony Trzeci, żeby wreszcie zaszczyścić zgromadzenie swoją obecnością. Wcześniej gdzieś znikł, jakby zapadł się pod ziemię, ale wszyscy szukali Saliarki i nikt nie miał głowy do jej zabłąkanych Doradców. Poza tym pozostali członkowie Rady doskonale wiedzieli, gdzie Ernalik bywa, gdy go nie ma z nimi. Kiedy wszedł do komnaty, powitały go surowe spojrzenia spod zmarszczonych brwi. Trzeci, zaskoczony marsowymi minami i smętną atmosferą, już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, jakoś usprawiedliwić swoje spóźnienie, ale nie zdążył, bo nagle Jala wydała triumfalny okrzyk.

- Wiem! - zawołała, prawie podskakując z podekscytowania własnym pomysłem. - Wiem! Potrzebni nam bohaterowie! Tacy, którzy zjechali pół świata, dzielni, doświadczeni.

Pozostali Doradcy popatrzyli na nią z politowaniem. Taki głupi pomysł, i to jeszcze podsuwany przez taką inteligentną dziewczynę...

- Znasz takich? - Gurlek, Siódmy Rady, popukał się w czoło. Twierdza z definicji była antybohaterska. Bohaterowie mogli nacierać na nią, walczyć przeciw niej, ale nigdy, przenigdy nie wchodziliby z nią w układy. A już na pewno nie ruszyliby z ekspedycją ratunkową za porwaną Panią Twierdzy. Prędzej osobiście by królownie poderznęli gardło. Względnie, z racji chwilowej nieobecności królowny, poderznęliby gardła jej Doradcom.

- Ja nie - Ósma nie straciła animuszu. - Ale wszyscy znamy kogoś, kto zna.

Rozwazyli sobie jej słowa. Potem powoli odwrócili się w stronę Trzeciego, który zadowolony, że okrzyk dziewczyny odwrócił uwagę od jego spóźnienia, trzymał się milcząco z boku. W ogóle ostatnio często milczał. Konkretnie, od chwili kiedy wrócił król Rozstajów. Ernalik, przed wstąpieniem do Rady namiestnik tej krainy, zrobił się wtedy trochę ponury i przybity. Zgodził się na warunki, jakie zaproponowała mu Salianka, ale wtedy nie przypuszczał, że legendarny władca, któremu, tak jak i poprzedni namiestnicy, przysięgał wierność i posłuszeństwo, kiedykolwiek naprawdę powróci. A potem król Eind pojawił się nagle w Twierdzy, upominając się o zagarnięty przez królownę tron. Ernalik poczuł się w tamtej chwili naprawdę niezręcznie. Jego przygnębienie się pogłębiło, gdy okazało się, że Talok, którego miał za szpiega i intryganta, odważył się zdradzić Pierwszą i jej Radę i stanąć u boku króla Rozstajów i egzorcystów. Ernalik żałował, że sam nie miał odwagi porwać się na taki czyn. Szóstego stracono na rozkaz Salianki, a zmarszczka, która pojawiła się na czole Trzeciego, z każdym dniem robiła się coraz głębsza.

- Co? - zapytał teraz, spoglądając na nich z zaskoczeniem.

- Daj spokój, wszyscy wiemy, że spiskujesz z królem Rozstajów i jego towarzyszami - powiedziała Jala. Uznała, że szkoda czasu na subtelniejsze metody, lepiej zacząć prosto z mostu. - Normalnie należałoby cię ściąć za zdradę, jak Taloka, ale w tej sytuacji może nam się to przydać.

- Ja wcale nie... - zaczął obronnie Trzeci, ale nie dano mu dokończyć.

- Mamy dokładne raporty z przebiegu twoich spotkań z królem Eindem - poinformował go Dawasz. - Od dawna o tym wiedzieliśmy. - Nie dodał, że przyszykowali już nawet pieńki, a kat czekał z zaostrzonym toporem. Doradcy pozwalali Ernalikowi na jego tajemne spotkania tylko i wyłącznie dlatego, że mieli nadzieję na zdobycie - dzięki swoim szpiegom - jakichś interesujących informacji. W chwili gdy Trzeci zaczęłyby się czegoś domyślać albo wieści

przynoszone przez śledzącego go Szutzela przestałyby być interesujące, mieli zamiar wysłać go na szafot.

- Ja nie wiedziałem! - oburzył się tubalnie Dziewiąty.

- Bobyś wszystko wygadał, idioto - uciszył go Czwarty. Jak dotąd nikt nie powiedział tego głośno, ale Sirparak był wyjątkowo użyteczny, dopóki nie wydawało mu się, że jest w stanie myśleć.

- Na co nam się przyda król Rozstajów i jego towarzysze? - zapytał ostro Plaskat. Nie przepadał za rycerzami, za dużo kłopotów narobili królownie. Był też pewien, że ona nie pochwalaby wciągania Einda i jego towarzyszy, zwłaszcza jednego z jego towarzyszy, w sprawy Twierdzy.

- To bez wątplenia bohaterowie - stwierdziła Jala, kiwając z zapalem głową.

- Ale nam nie pomogą - mruknął Siódmy. - Przecież próbowali zabić królownę...

- Bo chcieli odzyskać Rozstaje - powiedziała Ósma z błyskiem przebiegłości w oku. - Zaproponujemy im wymianę: odnajdą naszą Panią, a my im oddamy Rozstaje. Bez walki.

- Co?! - zawrzał oburzeniem Siódmy. Oddawanie zdobytych w uczciwym napadzie terenów nie mieściło się w granicach jego pojmowania. Nie tak postępowano w Twierdzy. Podbój tak, oddanie tego, co podbite - w żadnym wypadku.

- Zgodzą się? - powątpiewał Piąty. Jeśli o niego chodzi, oddałby nawet pół Twierdzy, jeśli to by gwarantowało sprowadzenie całej i zdrowej Salianki.

- Też pytanie! To bohaterowie, oni wykonują bzdurne misje w imię wyższych celów. Poza tym oddanie Rozstajów bez walki oznacza mniej ofiar po obu stronach - dodała Jala.

- Król Rozstajów wygląda na takiego, który troszczy się o niewinne, przypadkowe ofiary - powiedział w zadumie Dawasz, gładząc się po brodzie. Ci wszyscy bohaterowie tacy byli, pełni skrupułów i zwariowanej szlachetności. Nigdy nie mógł pojąć, skąd się tacy idioci biorą na świecie. Ale z drugiej strony nie pora była, by tę kwestię rozważać. Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby.

- To świetny pomysł! Na co czekasz? - Spojrzał surowo na Ernalika, który oszołomiony tym, że najwidoczniej wszyscy wiedzieli o jego zdradzie, a także tym, co się wokół niego dzieje, zaniemówił z wrażenia i nie brał udziału w dyskusji. - Jedź do swojego króla, przekaz mu naszą propozycję, niech będzie jakiś pożytek z twojej zdrady!

Kiedy osłupiały Trzeci, wciąż nie mogąc dojść do ładu z tym, co przed chwilą zaszło, dodatkowo zszokowany faktem, że jeszcze nikt go nie wpycha na szafot, opuścił komnatę, a raczej został z niej prawie na siłę wyekspediowany, zanim zdążył zapytać, dlaczego właściwie trzeba królowny poszukiwać, Czwarty przysunął się do Drugiego.

- Naprawdę oddamy im Rozstaje? - szepnął konspiracyjnie.

- Oczywiście, że nie! - oburzył się Dawasz. Tego by tylko brakowało. - Zaraz jak wrócą z królową, zetniemy i ich, i tego zdrajcę. Twierdza nie idzie na układy z nędznymi spiskującymi słabeuszami!

\* \* \*

Ernalik wrócił po dwóch dniach. Mógł nie wrócić wcale, taką możliwość członkowie Rady też brali pod uwagę. Na wszelki wypadek Szutzel czekał gotowy dopaść Trzeciego i wysać mu mózg. Ku rozczarowaniu demonka Ernalik wywiązał się z układu. Jak to stwierdził z satysfakcją, ale też z odcieniem pogardy Dawasz, patrząc ze szczytu murów na wracającego Ernalika, szlachetności można było ufać, że będzie działać na własną niekorzyść.

Przez te dwie doby Plaskat zdążył wyprawić się z oddziałem łupieżców i przeszukać okolice Twierdzy. Drobiazgowo śledztwo, poparte spaleniem kilku chałup, pozwoliło ustalić, w którym kierunku udali się domniemani porywacze. Mądrzejszy o wskazówki wydobyte z przerażonych chłopów, Piąty wrócił do Twierdzy donieść pozostałym Doradcom o sytuacji.

Wszyscy z przyzwyczajenia zebrali się w sali tronowej. Pusty tron stał pod ścianą niczym wyrzut sumienia, ale w tym towarzystwie mało kto mógł się pochwalić sumieniem.

- Wiozą ją na północny zachód - powiedział Piąty i węglem wyrysował prawdopodobną trasę.

Pozostali członkowie Rady, żywo zainteresowani, przybliżyli głowy do mapy tak, że prawie wodzili po niej nosami. Nie zareagowali, nawet gdy do zgromadzenia dołączył Trzeci. Były namiestnik stanął przed nimi, chrząknął donośnie i zarazem znacząco. Dopiero wtedy wyprostowali się wreszcie, tylko po to, żeby obdarzyć go nieżyczliwymi spojrzeniami. Nie dość, że zdradził, to jeszcze przeszkadzał.

- I co? - zapytał niecierpliwie Dawasz, bo po Trzecim było widać, że bez zachęty będzie tak stał do skończenia świata, pusząc się swoją szlachetnością.

- Król Rozstajów przyjmuje waszą propozycję - oznajmił patetycznie Ernalik. - Wyruszy jutro o świcie.

- Świetnie. - Plaskat zwinął mapę. - Zaraz się spakuję i na jutro będę gotowy.

- Co? - zdumiał się Trzeci. Nie przypominał sobie, żeby ktokolwiek napomknął o tym, że Piąty jedzie z królem.

- Nie sądziłeś chyba, że puścimy króla i jego miłych przyjaciół samych - powiedział łagodnie Dawasz. - Już raz próbowali zamordować królową, wolelibyśmy mieć ich na oku.

Plaskat nie będzie ciężarem podczas wyprawy, jest młody i zna się na obieżyświatowaniu.

- Ja też się znam - wtrącił z urazą Sirparak. W końcu to on był barbarzyńcą z gór. Jak ktoś miał wyruszać na niebezpieczne wyprawy, to powinien to być on.

- Ale on jest oprócz tego inteligentny - wtrącił cierpko Siódmy. Tej akurat cechy Dziewiąty nie posiadał.

- A tak w ogóle to najmłodsza jestem ja! - Jala ujęła się pod boki. - I też znam się na obieżyświatowaniu!

Pozostali spojrzeli na nią pobłaźliwie. Ósma miała skłonności do takich wyskoków: to zniecka serwowała im pogadankę o lojalności wobec władcy, to pchała się do zajęć, o których wszyscy wiedzieli, iż są zajęciami męskimi.

- Ale ty jesteś kobietą - wyjaśnił tolerancyjnie Czwarty. - Nie możemy puścić szlachetnej panny samej z czterema zbirami, nawet jeśli to szlachetnie urodzone zbiry.

- A królowna będzie mogła sama ze zbirami przebywać? - najeżyła się Jala. Nie uważała za sprawiedliwe, że nie puszczono jej na wyprawę ratunkową. W końcu przewędrowała więcej świata niż wszyscy pozostali Doradcy razem wzięci.

- Królowny będzie pilnował Plaskat. A poza tym ona to co innego - uciął dyskusję Dawasz. - Z Wrotami w głowie czy bez nich, przyłoży każdemu potencjalnemu zbirowi. Potem, miejmy nadzieję, będzie miała dość rozumu, żeby uciekać gdzie pieprz rośnie.

- A ty gdzie? - zapytał Czwarty, widząc, jak Ernalik, korzystając z tego, że pozostali jak zwykle zaczynają się klócić, zmierza do wyjścia.

- Wracam do mojego króla - oznajmił z godnością były namiestnik. Nie mógł się już doczekać chwili, gdy na zawsze opuści tę plugawą siedzibę zła. Odegrał już swoją rolę, zaniósł królowi wiadomość, która mogła zaważyć na losie Rozstajów. Niemalże odkupił tym swoją winę.

- A co ze służbą w Twierdzy? - zapytał z potępieniem Dawasz. - Taki drobiazg jak zdrada stanu nie zwalnia cię od zobowiązań. Umowa, jaką zawarliśmy z królem Rozstajów, nie precyzowała, zdaje się, twoich losów.

- Nie precyzowała - przyświadczył ze złym uśmiechem Siódmy.

- Co oznacza, że nadal jesteś Trzecim - ciągnął gładko Drugi. - Jak wróci królowna, to może daruje ci karę śmierci za zdradę, a na razie masz areszt domowy.

Plaskat skorzystał z tego, że uwaga wszystkich skupiła się na Ernaliku, który chyba właśnie dostawał apopleksji, i wymknął się z sali. Przeszedł zaledwie kilka kroków, kiedy dogoniła go Jala, ciskająca gromy z szarych oczu. W przeciwieństwie do królowny jej ze złością nie było do twarzy. Kiedy się wściekała, człowiek miał ochotę ją ułagodzić, żeby na

tych koralowych ustach znowu pojawił się delikatny uśmiech. Być może nie każdy człowiek, ale Piąty na pewno.

- To nie w porządku! - wykrzyknęła Ósma. - Dlaczego ty masz jechać, a ja nie? Skoro tak się boją o moje bezpieczeństwo, to zabiorę się z tobą!

- Wykluczone - zaprotestował Piąty. Tylko tego mu brakowało, niewiasta pod opieką, i to jeszcze niewiasta, która kiedyś tyle dla niego znaczyła! Nie był bohaterem, nie nadawał się do niańczenia dam, zwłaszcza tych, które miały własne zdanie na każdy temat. Już i tak dość było problemów z zaginioną królową.

- Jak to?! - Tupnęła nogą ruchem podpatrzonym u Salianki. - Nie będziesz mi niczego zakazywał.

- Ktoś musi zostać w Twierdzy - wyjaśnił cierpliwie Plaskat. Nie miał ochoty się z Ósmą kłócić, jeszcze by zahaczyli o tematy osobiste. - Rada może dojść do wniosku, że lepiej im bez królowy, znasz ich równie dobrze jak ja.

- No, rzeczywiście - Jala uspokoiła się natychmiast. Uważała Saliankę, wbrew wszystkim przesłankom, za całkiem sympatyczną i wrażliwą dziewczynę. Nikt w Twierdzy nie mógł pojąć, na jakiej podstawie wyrobiła sobie taką opinię. - Biedna Salianka, jedni dranie ją porwali, drudzy ją szukają, a trzeci zostają na miejscu, żeby rządzić jej królestwem. Dobrze, że ona o tym nie wie.

- Wie - powiedział ponuro Piąty. Tego był akurat pewien.

- I żyje z tą świadomością? To musi być straszne.

Plaskat wzruszył ramionami. Już dawno zrezygnował z prób zrozumienia swojej Pani. Podejrzewał, że jedyną osobą, której naprawdę udało się poznać Saliankę, był Virven. Piąty żałował, że nigdy nie przyszło mu do głowy zapytać demona, jaka naprawdę jest królowa. Zresztą pewnie i tak nie otrzymałby odpowiedzi.

- Po prostu żyje. Jak dotąd lepszego pomysłu nie miała...

\* \* \*

O świcie z Twierdzy wyruszył samotny jeździec. Towarzyszył mu tylko juczny koń, obładowany dziwnego kształtu pakunkiem. Na murach stała Jala i pracownicy machała białą chusteczką. Reszcie Rady nie chciało się wstawać o tak wczesnej porze, nie mówiąc już o machaniu chusteczkami. Byli zdania, że całe to ostentacyjne żegnanie wojaków, czy też wojaka, to strata czasu. Piąty był w końcu dorosłym, inteligentnym mężczyzną i nie było sensu organizować dla niego całego przedstawienia, niezależnie od wagi misji.

Plaskat zjechał w dół ze wzgórza, zostawiając za sobą ponure gmaszysko z ciemnego kamienia. Dzień zapowiadał się pogodnie, ale Twierdza miała to do siebie, że zdawała się wysysać światło i radość z okolicy. Im bardziej Piąty oddalał się od siedziby zła wszelkiego, uosabianego przez szczupłą, ciemnowłosą dziewczynę, tym trawa była zieleńsza, ptaszki głośniej ćwierkały, a na drzewach było jakby więcej liści.

Mężczyzna opuszczał Twierdzę nie bez obaw. Pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy Rada ocknie się z osłupienia i przypomni sobie, że właściwie lepiej by im było bez wtrącającej się w istotne sprawy królowny. Jediną nadzieją była Jala, niewątpliwie sprytniejsza od pozostałych, a do tego jeszcze przyjaciółka Salianki. Nie było wątpliwości, że zrobi wszystko, żeby Rada, przynajmniej oficjalnie, nie szczydziła wysiłków w poszukiwaniu swojej Pierwszej. Niestety, zapewne nie uda jej się zablokować działań nieoficjalnych. Na to jednak Piąty nie mógł nic poradzić. Mógł tylko starać się znaleźć jak najszybciej swoją Panią, nawet jeśli w tym celu musiał się chwilowo sprzymierzyć z wrogami.

Pogrążony w dość ponurych rozmyślaniach minął złowrogi las otaczający Twierdzę. Żadna z zamieszkujących go bestii nie wystawiła nawet nosa. Virven, kiedy jeszcze przebywał na tym świecie, umiał sobie czas wycieczkami obficie kraszonymi krwawymi atrakcjami. Bestyjki, które jego pobyt w Twierdzy i leśnym domku czarodziejki jakoś przetrwały, wyrobiły sobie szereg reakcji samozachowawczych i uciekały nawet na widok zajęczka, nie wspominając o rosłym mężczyźnie na koniu.

Słońce stało już wysoko, kiedy Plaskat przy szlaku prowadzącym w stronę Wzgórz spotkał się z królem Rozstajów i jego przyjaciółmi. Rycerze z daleka przypominali spiżowe statuy, wszyscy wysocy, dobrze zbudowani i przyodziani w lekkie kolczugi. Kiedy Piąty podjechał bliżej, mógł dostrzec, że i ich twarze nie różnią się specjalnie od twarzy posągów: wszyscy byli przystojni, jakby celowo dobrali się według urody. Nic dziwnego, że królowna zakochała się w jednym z nich; szkoda tylko, że wynikało z tego tyle nieprzyjemności...

- Zostaliśmy uprzedzeni, że ktoś będzie nam towarzyszyć - powiedział oschle, ale bez przesadnej wrogości król. Był najstarszy z rycerzy, wiecznie zasepiony w lekko melancholijny sposób, jakby zamartwiał się o przyszłość swojego królestwa i na dodatek jeszcze całego świata jako takiego.

- Wiedziałem, że wysłanie posła będzie dobrym pomysłem - mruknął Piąty. - Inaczej pewnie porąbalibyście mnie na kawałki, zanim zdążyłbym wykrztusić, o co mi chodzi.

- Nie myl waszych zwyczajów z naszymi - skrzywił się jasnowłosy rycerz z brązowym gryfem na tarczy. Bił od niego dziwny rodzaj optymistycznego fatalizmu, jakby każda przykrość była powodem do satysfakcji.

- O ile mnie pamięć nie myli, to wy wparowaliście do naszej Twierdzy i rzuciliście się bez uprzedzenia na naszą Panią - odparował Plaskat. Pamiętał ten dzień i pamiętał wyraz twarzy królowej, kiedy okazało się, że rycerze przybyli, by ją zabić. Nigdy wcześniej nie widział jej tak wstrząśniętej i nigdy więcej nie chciał jej takiej oglądać.

- Przecież przeżyła - zauważył pogodnie Tord, właściciel tarczy ze srebrnym gryfem. On jeden nie silił się na zachowanie przesadnej godności, wręcz przeciwnie: z nieukrywaną ciekawością obserwował człowieka z Twierdzy, jakby miał przed sobą rzadki i interesujący okaz.

- Nie dzięki wam - stwierdził sucho Piąty. Virven ocalił wtedy królowę i gdyby nie nagły atak szlachetności, a może innych wzniosłych uczuć, którego doznała ocalona, rozszarpałby rycerzyków na kawałeczki.

- Rzeczywiście - przyznał Tord. Podrapał się w głowę. - To mnie właśnie intryguje - wyznał - jak komuś udało się ją porwać, skoro pilnuje jej taka bestia...

- Virven... ta bestia... można przyjąć, że nie żyje - powiedział Plaskat.

- Że też komuś udało się taką kreaturę ukatrupić - mruknął ciemnowłosa mężczyzna z czarnym gryfem na tarczy. Ze wszystkich rycerzy to on wydawał się najbardziej bezwzględny i oddany sprawie, dowolnej sprawie, o ile tylko mieściła się w granicach tego, co uznawał za godne i prawe. Udowodnił to zresztą, próbując bez ceregieli zabić królowę, co dowodziło, że przynajmniej na jego charakter składało się coś więcej niż tylko irytująca szlachetność.

Piąty spiorunował rycerza wzrokiem. Właściwie to miał ochotę spiorunować go wszystkim innym, najchętniej mieczem albo toporem, zresztą tak jak i pozostałych, ale zdusił tę chęć w sobie. Być może oni byli jedyną szansą na odnalezienie królowej, a tej szansy nie wolno mu było zaprzepaścić. Salianka była najważniejsza.

- Dość - stwierdził król. - Jesteśmy wrogami, ale na dłuższy czas zostajemy towarzyszami podróży. Nie uda nam się niczego osiągnąć, jeśli będziemy walczyć ze sobą nawzajem. Spróbujmy uznać, że dzielące nas różnice chwilowo nie mają znaczenia.

- Założmy, że to możliwe - zgodził się Plaskat równie życzliwie, co nieszczerze.

- Nazywam się Eind i będę dowodził - ciągnął z godnością król. - Moi ludzie to Tord - wesolek uśmiechnął się krzywo - Alvad i Orvd - ciemnowłosa i fatalista spojrzeli spode łba.

- Jestem Plaskat - przedstawił się Piąty. - Jestem Piątym Rady. I szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, kto będzie dowodził i jak zamierzacie wypełnić tę misję. Jedyne, co mnie interesuje, to sprowadzenie królowej z powrotem do Twierdzy. Za wszelką cenę.

Pięciu jeźdźców przemierzało przełęcz, jedyny w miarę bezpieczny szlak łączący dwie strony Gór Omszałych. Nie była to zbyt uczęszczana droga. Krainy przedzielone górskim



pasmem były niczym dwa światy niechętnie wzajemnemu bliższemu poznaniu. Od kilkuset lat każdy z nich zmierzał w innym kierunku. Na północy powstawał i rozwijał się Konwent. Budował swoją potęgę, kontakty z innymi cywilizowanymi krajami i z pogardą spoglądał na południe, na małe kraiki pogrążone w swoich waśniach i przesądach. Ponieważ nie było w nich ani rzadkich towarów, ani bogactwa, słowem, niczego, co mogłoby zainteresować oligarchów Konwentu, mało kto zapuszczał się w tamte okolice. Może poza poszukiwaczami przygód, którzy po powrocie, jeśli w ogóle powracali, opowiadali niestworzone historie, w które nikt rozsądny nie wierzył.

Ze swojej strony owe mało cywilizowane kraiki też osiągały niezły wynik w pogardzaniu wszystkim, co pochodziło z przeciwnej strony gór. Dowolnie wybrany mieszkaniec Dolin, Wzgórz, Rozstajów czy Nadrzecza zapytany o północne królestwa niewątpliwie zaprezentowałby szeroką gamę pogardliwych gestów i obelżywych zachowań, nie szczędząc przy tym równie mało przyjemnych komentarzy. Jednak najwyżej co dziesiąty byłby w stanie podać przyczyny owej, tradycyjnej już, niechęci. Niemniej wciąż jednak niektórzy pamiętali, że kilkaset lat temu, kiedy południe dotknął największy kataklizm, nie było co liczyć na pomoc królestw z drugiej strony gór. Tak zwane zacofane kraiki musiały same poradzić sobie z niebezpieczeństwem. I poradziły. Bez pomocy. Bez łaski. Nie znaczyło to jednak wcale, że niegodną obojętność północnych ludów można było wybaczyć. Tym bardziej że samodzielne radzenie sobie nie wyszło tak do końca najlepiej. Desperackie, nieprzemysłane działania odsunęły wprawdzie widmo zagłady, ale ich skutkiem było powstanie Twierdzy, która niczym niema groźba górowała nad swoimi sąsiadami. Tak naprawdę to już nikt na południu nie pamiętał, jaki to był kataklizm ani że Twierdza miała być wybawieniem. Pamiętano za to, że sojusznicy z północy zawiedli. Mało kto wdawał się w konszachty z Konwentem. A jeśli jakiś podróżnik odwiedził północną stronę gór i opowiadał, jakie wspaniałości tam zastał, słuchacze spluwali z pogardą, wspominając, że szczerwane skąpiradła odmówiły pomocy, kiedy była potrzebna, bo woleli bogacić się na cudzej krzywdzie. Co nie miało wpływu na fakt, że od czasu do czasu jakiś zdesperowany poszukiwacz przygód, bogactwa tudzież innych wrażeń przeprawiał się przez góry.

Dla króla Einda i jego towarzyszy podróż na północ nie była niczym nowym. Swego czasu niejeden rok stawali na wędrownkach, zawsze było to lepsze zajęcie niż czajenie się w krzakach na granicy własnego królestwa. Woleli czaić się w nieco bardziej aktywny, a przy tym mniej oczywisty sposób. Niemniej nigdy nie tracili z oczu celu najważniejszego, dlatego choć odwiedzili wiele miejsc, zazwyczaj były to miejsca nie tak bardzo odległe. Musieli być w pogotowiu, w razie gdyby nadszedł czas wypełnienia przepowiedni i wyzwolenia krainy

spod jarzma tyranii. Tylko w ten sposób Eind mógł zasiąść na tronie. Przynajmniej jeśli chodziło o sposoby bezkrwawe i zapewniające jednogłośne poparcie ludu dla władcy.

Tymczasem Rozstajami rządili namiestnicy, tak jak to zaplanował przed kilkuset laty ostatni król. O żadnym jarzmie nie było mowy. Nie zanosilo się na to, by było kogo lub co wyzwalać, za to poważnie zanosilo się na to, że teoretyczny następca tronu i jego wierni rycerze będą do zgrzybiałej starości plątać się po okolicy, podtrzymując się wzajemnie na duchu i w przekonaniu, że wiara w starożytne przepowiednie nie jest wcale dowodem na słabość władz umysłowych.

Aż wreszcie Pani Twierdzy zdecydowała się zagarnąć ziemie sąsiedniego królestwa.

Czterech rycerzy przybyło, by wyzwolić uciskany przez Saliankę lud.

Przepowiednia się dopełniała.

Tak naprawdę to cała ta historia budziła w nowym królu przytłaczające i krępujące poczucie wstydu. Czuł się jak sęp krążący przez lata wokół konającej ofiary, czekający na jej ostatnie tchnienie. Z jednej strony całe życie przygotowywał się na ten moment, z drugiej strony tego typu rozwiązanie nie leżało w jego charakterze. Czułby się o wiele lepiej, gdyby mógł po prostu przybyć i zająć należne mu miejsce. Oczywiście przedstawiłby się wszystkim przed koronacją.

No ale była przecież przepowiednia. Przez wiele lat Eind pocieszał się myślą, że prawdziwy bohater nigdy nie lekceważy starożytnych wróżb i znaków i nie działa wbrew własnemu przeznaczeniu. Gdyby przewidział konsekwencje próby wyzwolenia Rozstajów spod jarzma, prawdopodobnie starożytnym wieszczom życzyłby wieczności na dnie piekieł, a przeznaczenie posłałby do diabła.

Przez sześć miesięcy, które minęły od ostatniej bitwy Twierdzy z egzorcystami, postarzał się widocznie. Zmarszczka na czole pogłębiła się, melancholię w oczach zastąpił szczyry ból.

Eind znał straszną prawdę. Znał prawdziwą twarz Pani Twierdzy. I cierpiał...

Kiedy królowna podbiła Rozstaje, Eind przez krótką chwilę czuł się jak wybawca. Heros zapowiadany przez wieszczów. Zasypiał z myślą, że jednak to wszystko miało sens, nauka, szkolenie, oczekiwanie, jego życie. Miało sens i cel. Do chwili, dopóki nie zobaczył Salianki.

O ileż byłoby mu łatwiej, gdyby jego przeciwniczką była po prostu krostowata czarownica lubująca się w zadawaniu innym cierpienia. Ale nie. Była zwyczajną dziewczyną.

I to był koniec herosa. Wspaniały wybawca zniknął tak szybko, jak się pojawił. Eind już nie zasypiał szczęśliwy, ufny w swe powołanie. Dręczyły go koszmary. Śnił o ładnej dziewczęcej buzi, o pełnych ustach, w których kącikach przyczał się wyraz goryczy. I o oczach pełnych smutku.

Jak mógł głosić ideę walki z plugawą potęgą, wiedząc, że na jej szczycie stoi Salianka? Widział w królownie ofiarę nieszczęśliwego zbiegu okoliczności: urodziła się, by stać się Panią Twierdzy. Nieważne, jaka była naprawdę. Nikogo to nie obchodziło. Jej przeznaczeniem było stać się symbolem zła. Tak jak jego przeznaczeniem było stać się wyzwolicielem.

Kiedy o tym myślał, dochodził nieodmiennie do wniosku, że jego własny los był bez porównania lepszy niż los królowny. Sam przecież chciał być bohaterem, od dziecka na to czekał. A ona? Chciała być Panią Twierdzy?

Gdyby Eind znalazł jakiś sposób, żeby odkręcić to całe nieporozumienie, ten złośliwy wybryk losu, zrobiłby to bez wahania. Ale żadnego sposobu nie było. On był dobrym królem, ona złą czarownicą. Pewne historie musiały biec z góry określonym torem.

Narastające od miesięcy przygnębienie Einda nie uszło uwadze jego wiernych przyjaciół, choć każdy z nich zinterpretował je po swojemu.

Dla zielonookiego Alvada, najbliższego druha króla, jasne było, kto odpowiada za ten smutek. Rycerz żałował, że nie zabił Pani Twierdzy, kiedy miał okazję. Próbował, próbował dwa razy. Niestety, czarownica przeżyła i zdołała zatruć swoim jadem serce Einda. Alwad właściwie się tego spodziewał. Czarownica z Twierdzy była zła, a generalnym założeniem zła było zatrucie tego, co dobre. Elementarne wręcz. Skoro czarownica przetrwała, oczywiste było, że jej kłątwy i wszeteczne czary uderzą w najlepszego z rycerzy. Tym bardziej że Eind był tak szlachetny i dobry, że starał się zrozumieć swoich wrogów, nawet najgorszych. Uważał, że jest im to winien. A to czyniło go jeszcze mniej odpornym na zły wpływ wiedzy. Zdaniem Alvada, nie warto było tracić czasu na współczucie dla tych, którzy na nie, nie zasługują. A poza tym próby zrozumienia zła, gdy samemu opowiedziało się po stronie dobra, były raczej z góry skazane na niepowodzenie. Zresztą co mogła kryć w swoim sercu Pani Twierdzy? Tylko najbardziej plugawe tajemnice. Szlachetni rycerze nie powinni okazywać zainteresowania plugastwem.

Trochę odmiennie na całą sprawę patrzył Tord, najweselszy z całej kompanii. Żadne plugastwo nie mogło zmącić radości lśniącej w jego niebieskich oczach, więc trudno mu było zrozumieć, jak Eind może się czymkolwiek gryźć do tego stopnia. Kimkolwiek by była królowna z Twierdzy, a zdaniem Torda była kimś co najmniej dziwnym, nie warto było zatruwać sobie życia myśleniem o niej. Żadna kobieta nie była tego warta. Niestety, król Rozstajów nie podzielał tego zdania.

Kuzyn Torda, Orvd, zdawał się być całkowitym przeciwieństwem brązowowłosego wesółka. Wydawało się, że żył tylko po to, by się martwić. Ale paradoksalnie te zmartwienia

były największą radością jego egzystencji. Pozostali rycerze podejrzewali, że gdyby Orvda pozbawić jego trosk, pochorowałby się z żalu. On jeden z lubością rozprawiał o tym, jak to czarownica rzuciła na nich, a w szczególności na króla, klątwę - i wręcz namacalnie się z tego cieszył.

Oczywiście od kilku dni żaden z nich nie wspominał już o plugastwie, klątwach, złej magii i wszetecznych wiedźmach, przynajmniej nie głośno. Nie kiedy Plaskat mógł usłyszeć. Plaskat zaś nie musiał słyszeć, żeby wiedzieć, co o nim i jego Pani myślą wybawcy z przymusu.

Wspólna podróż była ciężka dla obu stron. Dzieliła ich przepaść nie do przebycia: rycerze byli dobrzy, a Piąty był tym złym, a może i ZŁYM. CO straszniejsze, nawet tego nie żałował, ani nie był tym zawstydzony. Fakt, że Plaskat nie wykazywał się nawet cieniem, nawet czymś z grubsza choćby podobnym do skruchy, był solą w oku rycerzy. Szczególnie zaś mierzył Alvada. Sam Piąty nie widział powodów, żeby czuć się winnym tylko dlatego, że jest, jaki jest. Akceptację w tej kwestii uważał za podstawę szczęśliwego życia. Przymus nieustannego poprawiania siebie i otoczenia, jaki prześladował rycerzy, był w najlepszym razie irytujący. I męczący! Po stronie zła było, jego zdaniem, o wiele lepiej niż wśród dobrych ludzi. Mógł bez jakichś zbędnych skrupułów realizować swoje ambicje i nikt nie spodziewał się po nim, że będzie odprowadzał do domu zagubione dzieci i prznosił przez rzekę zreumatyzowane staruszki. Tym bardziej że zagubione dzieci były zazwyczaj obsmarkane, brudne i nie współpracowały, a staruszki z reguły ważyły tyle co granitowy blok, no i próby jakiegokolwiek przenoszenia traktowały z reguły jako zamach na swoją przepadłą w pomroce dziejów cnotę. Plaskat nie wierzył, że którykolwiek z rycerzy mógłby znajdować w takiej działalności przyjemność, jednak tych szlachetnych biedaków prześladowała obsesja, by być lepszymi. Lepszymi niż wczoraj i nieco mniej lepszymi niż jutro. Lepszymi od zasmarkanych dzieci i cnotliwych staruszek, od parobków, kucharzy, woźniców, od psów, kur, kaczek, grzybów jadalnych i niejadalnych, i czegokolwiek, co tylko napotkał ich wzrok. Zdaniem Piątego, to było czyste obłąkaństwo. No i nic dziwnego, że zazdrościli wszystkim, którzy wiedli normalne życie i nie zawracali sobie głowy poprawianiem czegokolwiek poza pasem na biodrach. I żywiłowo ich nie cierpieli. Nie, to Plaskata nie dziwiło. Ale niewymownie denerwowało go to, iż rycerze przez sam fakt, że jest z Twierdzy, odmawiają mu człowieczeństwa. A co gorsza, odmawiali też człowieczeństwa jego Pani.

Nic dziwnego, że towarzysze podróży wymieniali pomiędzy sobą tylko zdawkowe uwagi i niechętnie spojrzenia.

Teraz też jechali w milczeniu, a ponure nastroje wręcz promieniowały z nich na okolicę. Aż dziwne, że wokół nie usychały drzewa. Napiętą atmosferę rozluźnił dopiero widok zwłok niedbale porzuconych w zaroślach.

Choć leśne stworzonka zdążyły już zaznajomić się z twarzą trupa, nie ruszyły charakterystycznej opończy. Nie ulegało wątpliwości, że za życia ten człowiek był egzorcystą. Jeźdźcy podjechali bliżej, rozglądając się uważnie po okolicy. Nikt jednak nie chwycił za broń: nie było sensu, skoro osobnik nie żył już od pewnego czasu...

- Zabity jakieś dwa, trzy dni temu - orzekł Orvd. Zsiadł z konia i pochylił się nad trupem.  
- Ma złamany kark - dodał.

Alvad pogonił wierzchowca naprzód. Dojechał aż do miejsca, w którym droga lekko zakręcała, i wychylił się z siodła, przyglądając się czemuś, co leżało przy trakcie. Po chwili wrócił klusem.

- Dalej leży następny - poinformował pozostałych.

Teraz już wszyscy zsiadli z koni i zapuścili się pomiędzy drzewa, wyglądając kolejnych śladów. Krótkie poszukiwania doprowadziły ich do jeszcze jednego martwego egzorcysty, upchniętego starannie w krzakach, i do dużego ogniska, rozpalonego najwyraźniej za pomocą drewna z czegoś, co kiedyś było wozem. Podróżnicy zebrali się wokół paleniska. Tord i Orvd znieśli tam wszystkie trzy trupy, żeby je spalić. Tak, zdaniem rycerzy, należało postąpić. Plaskat nic nie powiedział, choć osobiście też uważał, że egzorcystów należy palić. Najlepiej żywcem.

- Ktoś dopadł ich przed nami - stwierdził król. Jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy, ale nie patrzył już na egzorcystów jak na dobrych ludzi i sojuszników. Przestał ich za takich uważać, kiedy zniszczyli Ulka i nieomal zabili księcia Gawarka. W skrytości ducha potępiał ich też za porwanie Salianki. Jakoś nie mógł zaakceptować ich planów wobec niej.

- Niezupełnie. - Tord od jakiegoś czasu krążył wokół małej polany z paleniskiem. Pochylił się, prawie wsadzając nos w murawę. - Dziwne są tu ślady... Kulejącego psa, zdaje się...

- ...i dziewczyny - dokończył za niego stojący obok Plaskat. Też umiał tropić, nie musiał nawet w tym celu wachać źdźbeł.

- Królewna? - zapytał z nadzieją Eind. Naprawdę chciał wiedzieć, czy nic jej nie jest. Gdyby okazało się, że żyje, poczułby wielką ulgę.

- Znudziło jej się towarzystwo egzorcystów. Szkoda, że dopiero tutaj - westchnął Piąty. Dla niego już wszystko było jasne. Pazur musiał pójść za swoją panią, to oczywiste. Pytanie tylko, dlaczego Salianka tak długo zwlekała z pozbyciem się swoich porywaczy. Przecież

zabicie ich nie stanowiło dla niej żadnego problemu. Chyba że... Ten atak utraty świadomości był aż tak długi... Plaskat poczuł nagle dreszcze. To by oznaczało, że mogła lada dzień pograć się w niebycie. A on musiał, musiał być przy królownie, kiedy to się stanie! Kiedy Salianka zmieni się w bezmyślną lalkę, ktoś musi ją obronić, zabrać z powrotem do Twierdzy, wysłać kolejnych posłów za tą przeklętą czarodziejką, która odeszła z Wrotami!

- I co, poskręcała im karki? - parsknął drwiąco Orvd.

Jego towarzysze uśmiechnęli się, ale zaraz spoważniali, widząc wyraz twarzy Piątego. Nie chodziło o to, że był śmiertelnie poważny. Bo nie był. Ale z miny Plaskata niezbitie wynikało, że wysunięta przez Orvda supozycja zdawała się dla niego czymś oczywistym.

- Nie chcesz chyba powiedzieć... - zaczął król. Widać było wyraźnie, że nie mieściło mu się to w głowie. Pamiętał dobrze królownę. Wciąż stał mu przed oczami jej obraz, jak szlochała nad umierającym księciem, który, jak głosiła jedna z ludowych plotek, podobno wcale nie umarł, ale splugawiony konszachtami z Panią Twierdzy udał się na wygnanie.

Plaskat w milczeniu skinął głową. Nie było sensu ukrywać przed nimi, że królowna delikatną mimozą nie jest. Zresztą nie miał siły wymyślać więcej kłamstw, niż to było absolutnie konieczne. Zbyt absorbował go lęk o Saliankę.

- Żartujesz! - zawołał z niedowierzaniem Tord. Drapał się w głowę, kompletnie oszołomiony tym, w co przyszło mu teraz uwierzyć. - Widzieliśmy ją, co tu dużo mówić, była u nas w niewoli. Ona nie zdołałaby zrobić czegoś takiego!

- Nie znacie naszej Pani - mruknął Piąty. Właściwie wiedział już wszystko, co powinien: Salianka była przytomna i z całą pewnością można było liczyć na to, że póki pozostanie świadoma, da sobie radę. Tylko czemu, do wszystkich demonów, zamiast wracać do Twierdzy, poszła w przeciwną stronę? Powinna wracać do domu, do niego, Plaskata, i do Jali - jedynych życzliwych jej osób. Nie miał wątpliwości, że nadal jest w niebezpieczeństwie. Sądząc po tym, jak długo teraz była nieprzytomna, chwila, w której straci świadomość na zawsze, była tuż-tuż. A nieświadomej królownie każdy mógł zrobić krzywdę. Egzorcyci mogli zyskać szansę na urzeczywistnienie swoich zamiarów w tym względzie. Zawłoką nieprzytomną Saliankę na stos... Musi ją odnaleźć! A wtedy przekona ją, żeby wróciła do Twierdzy i została pod opieką Jali, podczas gdy on zajmie się poszukiwaniem tej przeklętej czarodziejki... I równie przeklętych Wrót.

- Najwidoczniej. - Król spojrział na zwłoki, a potem na nadpalone kawałki drewna. - Kogo właściwie szukamy: zagubionej w podłym świecie królowny czy kobiety, która najpewniej zabiła gołymi rękami trzech ludzi i własnoręcznie połamała drewno na opał?

- Przyjmijmy, że obu - zaproponował Plaskat. Gdyby kazano mu powiedzieć, który z

tych opisów bardziej pasuje do Salianki, byłby w kłopotcie. Jak mógł komukolwiek wyjaśnić, że królewna jest i zagubioną dziewczyną, i bezwzględną morderczynią, i ma jeszcze wiele, wiele innych twarzy, każdą bardziej zaskakującą od poprzedniej. - Musiała pójść w tamtym kierunku - wskazał połamane krzaki. - O ile wzrok mnie nie myli, są tam jakieś zabudowania. Pojedziemy drogą, nie ma sensu pchać się w zarośla.

- Nie powinniśmy jakoś zawiadomić... waszych? - zapytał powoli otrząsający się z oszołomienia Tord. Pani Twierdzy była potworem, wiedział o tym, ale zakładał sens metaforyczny! Kazała swoim łupieżcom zabijać ludzi, jednak nie łamała im karków osobiście. Chyba. A przynajmniej do tej chwili Tord był o tym przekonany.

- Że wasza królewna, kim by nie była, żyje i kilka dni temu miała się dobrze?

- Posłaniec niedługo przybędzie - powiedział sucho Piąty.

- Skąd wiesz? - zainteresował się podejrzliwie Orvd. Nie przypominał sobie, żeby przez całą dotychczasową drogę Plaskat z kimkolwiek się kontaktował.

- Przybywa codziennie. To, że go nie widzieliście, nie oznacza, że go nie było.

- Dużo masz jeszcze przed nami małych, słodkich tajemnic? - zapytał drwiąco Alvad. Nie podobała mu się ta skrytość i lakoniczność Piątego. W końcu Plaskat był zły, a to oznaczało, że z pewnością na boku knuł jakieś podłe plany. Lepiej było mieć na oku i jego, i tego rzekomego posłańca.

- Skąd. - Plaskat odwrócił się, żeby spojrzeć mu w oczy. - Tylko tyle, ile wy macie przede mną. - Wskoczył na siodło. Wierzchowiec łagodnym stępem ruszył drogą w stronę zabudowań.

Rycerze w milczeniu dosiedli swoich koni i podążyli za nim. Tylko spojrzenia, które pomiędzy sobą wymieniali, wyraźnie spochmurniały.

\* \* \*

Wspomniany przez Plaskata posłaniec dogonił ich, jeszcze zanim dotarli do ludzkich siedzib. Konkretniej: zwałił się znienacka z góry, płosząc rycerzom rumaki. Wyglądało to, jakby ogromny ptak nagle zapomniał, jak się lata, i gwałtownie runął na ziemię. Ale kiedy spadł prosto na łeb konia Orvda, okazało się, że to wcale nie jest ptak. Ogromne błoniaste skrzydła złożyły się nagle i zostały jakby wchłonięte w plecy stwora. Sama kreatura okazała się zaskakująco niewielka, choć nawet taki rozmiar wystarczał, by zdenerwować konie. Rycerze na widok paskudztwa zgodnie sięgnęli po broń, gotowi na odparcie ataku tajemniczego monstrum, ale uprzedził ich Plaskat. Chwycił stworka za kark.

- Ja się na odchudzanie nie zgłaszałem - wycharczała paskuda z pretensją, podczas gdy król i jego towarzysze starali się uspokoić swoje wierzchowce. Zwierzę Piątego niewzruszenie przyjęło na swój grzbiet dodatkowego pasażera, widocznie nie takie rzeczy zdarzyło mu się widzieć w Twierdzy...

- Co to, u diabła, jest? - krzyknął Alvad, przyglądając się z odrazą stworkowi. Na wszelki wypadek miecz trzymał w pogotowiu.

- Spokojnie, szefuniu - rzucił potworek, moszcząc się wygodnie na siodle przed Plaskatem. - Taki bywały w świecie podobnież jesteś, a demona nie widziałeś?

- Nie takiego - mruknął osłupiały Tord.

Demony, owszem, w świecie się spotykało, ale rzeczywiście nie takie! Przede wszystkim z reguły stwory były większe, podczas gdy ten rozmiarem przypominał tłustego kocura. Miał zieloną, pokrytą łuskami skórę i ostry grzebień biegnący po linii kręgosłupa aż po koniec ogona. Z karykaturalnie wielkiego łba wyglądały ogromne różowe oczka, wręcz rozczulające w swojej urodzie. Mniej rozczulające były zęby, małe i bardzo ostre.

- To nasz posłaniec, Szutzel - wyjaśnił Plaskat. Przynajmniej tym razem nie musiał się wysilać na jakieś kłamstwa czy zawile tłumaczenia. Demonek mówił sam za siebie i jak zwykle mówił za dużo. - Kursuje pomiędzy nami i Twierdzą.

- Ta praca nie jest warta pieniędzy, których mi za nią i tak nie płacicie - oświadczył z godnością mózgojadek, rozmasowując sobie czubek ogona. Nie był zadowolony z dystansów, jakie przyszło mu teraz pokonywać. Ostatnio kursował tylko między Twierdzą a Rozstajami, zanosząc rozkazy i przynosząc wieści od Jali. To mu odpowiadało: Ósma zawsze miała czas, żeby go pogłaskać i przytulić. A teraz... Co to się porobiło: jego Pani dała się porwać, a Jala była tak wytracona z równowagi i zajęta pilnowaniem reszty Rady, że nawet nie pamiętała, żeby podrapać ulubieńca po grzbiecie. Swoim osobistym zdaniem, demonek miał teraz iście pieskie życie.

- Wszystko mnie boli. Moglibyście się postarać o gołębie pocztowe... Nie wiem, dlaczego w ogóle ja to robię!

- Dla królowej - przypomniał sucho Plaskat.

Co więcej mógł powiedzieć? Virven próbował mu kiedyś wyjaśnić, czym jest lojalność demonów wobec ich Pani, ale człowiek nie był w stanie tego zrozumieć. Wierność, oddanie, bezwarunkowa miłość i poświęcenie - te słowa jakoś dziwnie nie pasowały do kreatur z piekieł, poza tym i tak nie oddawały istoty więzi pomiędzy nimi a Salianką. Jakkolwiek by tę więź nazwać, mózgojadek na jedną wzmiankę o Saliance natychmiast zapomniał o niedopieczczeniu i gotów był służyć swojej jednej prawdziwej władczyni.



Na samo wspomnienie o Pani Twierdzy różowe ślepie Szutzela zapatrzyły się tęsknie w dal, tam gdzie znajdowała się królowna. Demonek wiedział, że Piąty i rycerze podążają właściwą drogą, czuł ślad pozostawiony przez Strażniczkę Wrót, słaby i ulotny, ale czuł. Nie miał zamiaru wspominać o tym Plaskatowi, przynajmniej tak długo, jak drużyna wybierała właściwy kierunek.

- No tak, tak, dla mojej Pani - westchnął Szutel, a w jego skrzekliwym głosie pojawił się ton nostalgii. - Znowu mam powiedzieć Radzie, że jesteście na tropie i tym podobne bzdury?  
- dodał urzędowo.

- Nie tym razem. Królowna jest przytomna i sprawna. Pozbyła się swoich porywaczy.

Szutel aż podskoczył z radości, denerwując przy okazji wierzchowce rycerzy. Różowe oczka zapłonęły różowym blaskiem.

- Skopała im tyłki! Zostały jakieś mózgi? - zapytał rzeczowo.

- Nie! - zaprzeczył stanowczo Piąty, nie chcąc wdawać się w dyskusję na temat pustego żołądka posłańca. - Przekaż Radzie, że z nieznanых powodów królowna ruszyła na drugą stronę Gór Omszałych. Pewnie pomyliły jej się kierunki...

- Naszej Pani? - Szutel zmarszczył brwi w zafrasowaniu. Mózgojadek miał swoje zdanie na temat poszukiwań. Jeśli udałoby mu się dotrzeć do Salianki przed poszukiwaczami, miał zamiar ją zapytać, czy życzy sobie być odnalezioną. Szutel był wścibski i do tego niegłupi, doskonale wiedział, co się działo z królowną przez ostatnie kilka miesięcy. I był zdania, że podróż w nieznaną to może najlepsze, co mogło jego Panią spotkać. Nie przejmował się jej porywaczami, wierzył, że skoro raz sobie poradziła z egzorcystami, poradzi sobie i drugi, i trzeci. A nowe, nieznanne krainy dawały jej szansę na zakosztowanie życia, którego niewiele jej zostało, a może nawet na odnalezienie tej głupiej czarodziejki, która zabrała Wrota? Mózgojadek żałował, że nie jest w stanie znaleźć tego babsztyla.

Swoje podejrzenia co do powodów, dla których Salianka nie chciała wracać do domu, ukrył starannie.

- Musieli jej solidnie przyłożyć w głowę. Ale cóż tam, nareszcie mam dobre wieści!

Zeskoczył z końskiego grzbietu na drogę. Naprężył mocno mięśnie, aż na plecach pojawiły mu się skrzydła. Stęknął potężnie, kiedy wreszcie się rozłożyły. Były tak wielkie, że kiedy demonek zamachał nimi na próbę, całkiem go zakryły. Szutel podskoczył kilka razy, aż wreszcie oderwał się od ziemi i odleciał zygzakami, przyspieszając gwałtownie. Po chwili był już tylko małym punkcikiem na niebie.

- Po co mu mózgi? - spytał zaciekawiony Orvd, kiedy już posłaniec znikł im z oczu.

- Żeby je zjeść - odparł uprzejmie Plaskat. - To mózgojadek. Jeszcze jakieś pytania?

- Żadnych - zapewnił pośpiesznie Tord, któremu na twarzy wykwitł dziwny, zielonkawy rumieniec.

\* \* \*

W milczeniu dojechali do Leśnej Przystani. Rycerze wciąż przetrawiali wiadomość o tym, że poszukiwana królewna, którą mieli przecież uratować, jest w stanie rozprawić się własnoręcznie z co najmniej trzema roslymi mężczyznami. Tord był zdumiony, Orvd zastanawiał się nad wszelkimi możliwymi tragicznymi konsekwencjami tegoż faktu, A Alvad... Alvad się cieszył. Dla niego Salianka zawsze była potworem, dlaczego więc miało go dziwić, że zabijała ludzi gołymi rękami? Lepszego dowodu na to, że Salianka jest skończeniem zła, Alvad nie mógł sobie wymarzyć. Teraz miał jedynie nadzieję, że i król to zauważy. Wreszcie.

Tymczasem Eind jeszcze bardziej spochmurniał. Tak bardzo starał się zrozumieć swoją przeciwniczkę, a ona sama zdawała się rzucać mu kłody pod nogi.

Żaden z rycerzy nie miał chęci ciągnąć Plaskata za język, co go bardzo cieszyło. Miał nadzieję, że nie przyjdzie im do głowy dociekać, jak to się stało, że w ciągu pół roku ze zwyczajnej dziewczyny królewna zmieniła się w brutalną zabójczynię. Nie miał pojęcia, co powinien im wtedy powiedzieć: z jednej strony nie miał ochoty wyjawiać im roli Virvena w całej historii, z drugiej - zdawał sobie też sprawę, że dla dobra poszukiwań nie powinien ukrywać przed rycerzami ważnych informacji.

Kiedy drzewa się przerzedziły, i oczom podróżnych ukazała się palisada otaczająca przydrożne siedlisko, wszyscy odetchnęli z ulgą. Mogli zająć myśli czymś innym. A jak się szybko okazało, było czym.

Leśna Przystań wyglądała na to, czym dla wielu podróżnych była: na ostatni przyczółek na granicy poznanej świata. Ostrokół odgradzał ją od nieprzyjaznych kniei, a kilka chat wewnątrz ogrodzenia sprawiało wrażenie, jakby przycupnęły najbliżej ziemi, bojąc się wyrzeć ponad zastrzone pale. A jeszcze bardziej ostrożni od domów zdawali się ludzie. Strażnik przy bramie odsunął się, by wpuścić nowo przybyłych. Nie czynił im żadnych afrontów, nie odezwał się nawet, ale patrzył tak, jakby się spodziewał, że zaraz im co najmniej rogi na głowach i wielgaśne kły w gębach powyrastają.

- Jakoś dziwnie się tu ludzie zachowują - stwierdził król, kiedy przejechali przez bramę.

Trudno było nie przyznać mu racji. Nieliczni, których mijali, sądząc z wyglądu, zarówno podróżni, jak i miejscowi, zdawali się dziwnie podenerwowani. Patrzyli i na siebie nawzajem,

i na pięciu jeźdźców, jakby każdy mógł się okazać wilkiem ukrytym w owczej skórze. Starali się też trzymać w rozsądnej odległości od każdego przechodnia. No i nie dało się nie zauważyć, że wszyscy, co do jednego, nosili napierśniki. Niektórzy nawet dwa naraz.

- Chodzi ci o to, jak wyglądają czy że zerkają na nas podejrzliwie? - zapytał Plaskat. - To chyba normalne. W końcu jesteście nie dość, że obcy, to jeszcze uzbrojeni.

Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się być w takim miejscu. Wbrew temu, co twierdzili pozostali członkowie Rady, wcale nie znał się tak dobrze na obieżyświatowaniu. Ot, zdarzyło mu się najechać kilka wiosek, wdać się w parę potyczek z wielmożami spoza Twierdzy, a nawet złupić jedno miasteczko. Jeśli chodzi o doświadczenia, to Jala prawdopodobnie o wiele lepiej znalazłaby się w tej sytuacji. Ale jak mogli puścić Ósmą samą z czterema, do tego, tfu, szlachetnymi rycerzami?

- Tutaj wszyscy są obcy i uzbrojeni - wyjaśnił mu niecierpliwie Alvad, rozglądając się podejrzliwie na boki. - To jedno z takich miejsc, gdzie nikt nie zatrzymuje się na dłużej i nikt nie jest na tyle głupi, żeby przyjechać bez broni.

- A są jakieś szanse, że przeżyjemy nocleg tutaj? - zainteresował się Plaskat. Przyszło mu do głowy, że pierwszy raz w życiu jest, teoretycznie, nieszczęsnym podróżnikiem zdanym na łaskę miejscowych. Zwykle to różni miejscowi byli zdani na jego łaskę. Koncepcja zamiany ról niezbyt przypadła mu do gustu.

- Raczej tak - uspokoił go król.

Piąty zsiadł ze swojego wierzchowca. Gwizdnięciem przywołał jucznego konia. Szkapę podeszła chętnie i spokojnie przeczekwała manipulację swojego pana przy pakunkach. Plaskat ściągnął z jej grzbietu płaską, prostokątną paczkę i zaczął odwijać płótno, w które była zawinięta.

- No wreszcie - ucieszył się Tord, wychylając się z siodła. - Od początku mnie język świerzbiał, żeby zapytać, co tam masz!

- To dlaczego nie zapytałeś? - zdziwił się Piąty.

- Eind mi zabronił. Powiedział, że bym nie był wścibski.

Plaskat nie skomentował tego, ściągnął tylko płótno, którym owinięty był bagaż. Pakunek okazał się obrazem, ogromnym, oprawionym do tego w pozłacaną ramę. Widniała na nim Salianka, Pierwsza Rady, Czarownica z Twierdzy. Artysta, choć przerażony zadaniem, jakie wyznaczyła mu Rada, wywiązał się z niego znakomicie. Wydawało się, że lada chwila fałdy bordowej sukni zmienią ułożenie, a najmniejszy powiew wiatru poruszy niedbale upięte loki. Brązowe oczy, tak wyraźne na tle jasnej skóry, spoglądały przenikliwie. Królowie towarzyszył Pazur, a za tronem, na którym siedziała, rozpięto mapę Twierdzy i

okolic, z zamazanymi węglem terytoriami, które aktualnie do Twierdzy należały.

- Niech to diabli, zapomniałem, że była taka ładna - westchnął Tord, a w jego głosie pojawił się ton rozmarzenia.

Rzeczywiście, na portrecie Salianka była niemal piękna. I nie należało przypisywać tego jedynie zasługom malarza czy jakości upiększających specyfików. Przez ostatnie kilka miesięcy królowna naprawdę wypiękniała, jakby wszystkie ciężkie przeżycia wykuły nie tylko jej charakter, ale i urodę.

Alvad tylko prychnął pogardliwie. Jakie znaczenie miało piękno ciała królowny, skoro w swoim wnętrzu skrywało ono plugawego, okrutnego ducha? Niechętnie jednak musiał w jednym z Tordem się zgodzić: też zapomniał, jaka była ładna. Myślał o niej tylko jak o podłej czarownicy, wrogu z czeluści piekielnych. Prawie całkiem wymazał z pamięci jej prawdziwe oblicze i teraz dużym zaskoczeniem był dla niego widok szczupłej twarzy o dużych oczach i wyraźnie zarysowanych ustach. Jego uwagę przykuł jednak nie wizerunek uwieczniony na obrazie, ale pewien drobny element. Zeskoczył z konia i podszedł do portretu. Pochylił się nad pozłacaną, rzeźbioną ramą. Na dole ktoś wydrapał gwoździem napis, na tyle małymi literami, że można go było łatwo przeoczyć.

- Salianka I Ponura - odczytał z lekkim trudem Alvad. - Nie da się ukryć, że pasuje - odstepił o krok i przyjrzał się krytycznie wizerunkowi. Królowna spoglądała na świat z wyjątkowym przygnębieniem, jakby zdarzyło się już nieodwracalnie najgorsze. I chyba właśnie tak było, bowiem obraz namalowano wkrótce po zwycięstwie nad egzorcystami, kiedy to serce Salianki zostało nieodwołalnie złamane. Ale nawet smutna i pozbawiona nadziei Salianka była ładna. Nawet to, co odebrało jej uśmiech, nie zgasiło blasku w jej oczach. Rycerz zorientował się, że wpatruje się w ciemne źrenice zdecydowanie dłużej, niż powinien. Natychmiast odwrócił wzrok.

Piąty zerknął z ukosa na podpis pod obrazem. Tak naprawdę nikt nie był pewien, kto ośmielił się nadać królownie przydomek, zresztą niewątpliwie trafny. Podpis pojawił się pod obrazem wyryty nieznaną ręką. Kiedy wieść się rozeszła, wszyscy członkowie Rady pobiegli obejrzeć sprofanowaną ramę. A potem zaczęli się kłócić, kto ma donieść Pierwszej o zdradzie stanu, którą niewątpliwie był napis. Podczas gdy Doradcy przekrzykiwali się nawzajem, pod swój portret dotarła królowna. Popatrzyła, wzruszyła ramionami i mruknęła: „Przecież pasuje”. Trudno było się z tym nie zgodzić.

- Po co właściwie taszczysz ze sobą jej portret? - zapytał Eind. Wpatrywał się w obraz tak, jakby były na nim ukryte odpowiedzi na wszystkie dręczące go wątpliwości.

- Żeby go pokazywać ludziom, którzy mogli ją widzieć - wyjaśnił Plaskat. Dla niego

było to oczywiste, przecież po świecie mogło się pętać kilkaset młodych, zagubionych kobiet z ciemnymi włosami. - To o wiele prostsze, niż pytać, czy widzieli średniego wzrostu dziewczynę z brązowym warkoczem, podróżującą z wielkim czarnym psem, która może jeszcze była uprzejma przedstawić się jako królowa z Twierdzy.

- Rzeczywiście prostsze - przyznał król. Nie udało mu się ukryć zaskoczenia. Taki banalny pomysł... A jakoś nigdy nie przyszłoby mu coś takiego do głowy. Widać trzeba było być z Twierdzy, żeby wykoncypować tak oczywistą rzecz.

- Szkoda, że na to wcześniej nie wpadliśmy - dodał ponuro Orvd. Właśnie przypomniały mu się wszystkie chwile, kiedy portrecik, niekoniecznie taki duży, byłby niesłychanie wręcz pożytecznym elementem ekwipunku poszukiwacza przygód. - Wtedy, kiedy szukaliśmy syna hrabiego Bazul albo narzeczonej grafa Folony, albo...

- Nie wasza wina - pocieszył ich wspaniałomyślnie Piąty. - Jesteście, jak by nie patrzeć, bohaterami, a bohaterowie nie myślą w ten sposób.

- A kto niby w ten sposób myśli? - burknął obrażony Alvad. Ta uwaga podwójnie go zezłościła, bo była prawdziwa.

- Jala. Moja... - Plaskat ugryzł się z język. Jala już od dawna nie była jego. Ale wciąż czasem o tym zapominał. - Nasza Ósma.

- Myślisz, że po prostu pokażesz ten obraz i zaraz znajdzie się ktoś, kto ją widział? - powątpiewał Tord. Wciąż wpatrywał się w wizerunek królowy, jakby rzeźbiąc w swojej pamięci jej rysy.

- No cóż... - zaczął Plaskat. Tego fragmentu planu jakoś nie zdążył z Jala przedyskutować. Właściwie to nawet nie przyszło mu to do głowy.

- Ja ją widziałem - wtrącił niski człowieczek o niezdrowym odcieniu cery, który od pewnego czasu przysłuchiwał się ich rozmowie. Stał cicho z boku i prawie nie zwracał na siebie uwagi, aż do tej chwili, bo na dźwięk jego piskliwego głosu odwrócili się do niego wszyscy. - To na pewno ona - ciągnął speszony. Pięciu rostrych, uzbrojonych mężczyzn spoglądających mu chciwie na usta wyprowadzało go odrobinę z równowagi. - Co prawda była bardziej rozczochrana i sprawiała wrażenie, że przydałoby jej się spędzić trochę czasu przed lustrem, ale to była ona. Miała nawet ze sobą tego psa. Tylko że nic nie wspomniała o tym, że jest królową z Twierdzy. Powiedziała, że jest z Dolin.

Teraz już wszyscy rycerze zsiadli z koni i otoczyli go ciasnym kręgiem, znacznie ograniczając mu dostęp powietrza. Medyk poczuł się niemal jak mała rybka w dużym metalowym pudełku. Gdzie spojrzął, widział przed sobą kolczugę okrywającą muskularny tors.

- Kiedy tu była? - zapytał rzeczowo król.

- Trzy dni temu - odpowiedział pospiesznie znachor. - W nocy. Przyszła do mnie z chorym psem. Jestem tu medykiem, więc wyleczyłem jej pieska. I nie wziąłem za to ani grosza! - Walnął się chudą pięścią w chudą pierś. - Nigdy bym nie pomyślał o tym, żeby brać pieniądze od zagubionej panienci.

- Przypuszczam, że już jej tu nie ma - westchnął ciężko Piąty.

Zbyt pięknie by było, gdyby tak od razu udało im się ją znaleźć. Ale przynajmniej mieli jakiś ślad i pewność, że trzy dni temu z królowną wszystko było w porządku. I już wiedział, dlaczego nie wróciła do Twierdzy: musiała znaleźć pomoc dla Pazura.

- Nie ma, nie ma. - Medyk energicznie pokręcił głową. - Odjechała zaraz rano.

- Trzeba będzie popytać, może ktoś wie w którą stronę - stwierdził Orvd.

- Stąd do Konwentu prowadzi tylko jedna droga, panie - powiedział medyk, którego bliskość i ilość broni i kolczug skłaniała do szczerości i wylewności. - Musieli pojechać do Szaroskał.

- Musieli? - zmarszczył brwi Tord. Zaraz sobie uświadomił, że pewnie chodzi o dziewczynę i psa; swoją drogą, co z tą królowną było, niby taka zła, a o kundla się najwidoczniej troszczyła. Zaraz jednak porzucił rozważania nad stosunkiem Salianki do zwierzątek, bo medyk udzielił mu zaskakującej odpowiedzi:

- Ona i ten młodzieniec, z którym się zabrała.

- Młodzieniec... - powtórzył zaskoczony Plaskat. To już nie było w stylu królowny, zabierać się z byle kim. Miała generalnie zbyt złe zdanie o ludziach, by im ufać.

- O niego też nie macie co pytać - dodał usłużnie znachor. - Pierwszy raz podobniez tu był. Jedynymi, którzy go znali, były te zbiry, co to go ścigały, ale oni też odjechali. Jak tylko pogrzebali jednego ze swoich, tego, któremu ta wasza królowna wyrwała gołymi rękami serce. Na waszym miejscu - ciągnął już ze zwykłej życzliwości - tobym tego obrazka tak wszystkim nie pokazywał. Ludzie tu nie lubią takich, co innym wyszarpują organy wewnętrzne.

- Jasne - zgodził się lekko oszołomiony Piąty, naciągając kawał szarego płótna na obraz.

- Dziękujemy za dobrą radę.

Musiał sobie jakoś poukładać to, co usłyszał. Nie dość, że królowna znalazła sobie przygodnego towarzysza podróży w nieznaną, to jeszcze zajęła się wrywaniem ludziom serc. Piąty dobrze wiedział, że to skutek uboczny częściowego opętania jej przez Virvena. Nie potępiał też swojej Pani, w końcu skoro miała ochotę komuś wypruć wnętrzności, to dlaczego miałaby tego nie zrobić, ale, do stu demonów, czemu przy licznych świadkach? Przecież nie

byli w Twierdzy, tu ludzie mogli mieć inne zdanie o postępkach czarownicy! Zachowanie królowny mogło sprawić, że wpadnie ona w poważne kłopoty o wiele wcześniej, niż straci świadomość.

- Ależ proszę - rozpromienił się medyk. Przestał już się denerwować, pozwolił sobie nawet na poufale mrugnięcie. W końcu w takich miejscach jak Leśna Przystań każdy był obcy, więc na dłuższą metę nieufność pozbawiona była sensu. Zwłaszcza że ci rycerze nie mieli chyba zamiaru nikomu serc wyrywać. - Gdybyście kiedy potrzebowali leczenia, to wszyscy tu wiedzą, gdzie mnie znaleźć. Ale... tylko psy leczę bezpłatnie.

- Będziemy pamiętali - zapewnił go nieuważnie Tord. Przestało go obchodzić, co się wokół dzieje, wpatrywał się tylko szeroko otwartymi oczami w zasłaniany właśnie portret królowny. A konkretnie: na jej dłonie, smukłe, delikatne, zadbane. I jeśli wierzyć znachorowi, całkiem dosłownie unurzane we krwi.

- No, świetnie - warknął Alvad, kiedy medyk już sobie poszedł. - My tu gonimy nieszczęsnej rzekomo dziewoi na ratunek, a ona wyszarpuje innym serca i ucieka sobie na romantyczne wycieczki.

- Królowna nie uciekłaby sobie na romantyczną wycieczkę - stwierdził stanowczo Plaskat. Przynajmniej tego był pewien. Cokolwiek pchało Saliankę w głąb Konwentu, nie były to ckliwe porywy serca. Z tego jego Pani wyleczyła się już ostatecznie.

- Doprawdy? Chłopak pewnie zawrócił jej w głowie i przestała się zastanawiać, co robi - Alvad ani myślał rezygnować ze swojego pomysłu. Wyglądało na to, że sprawia mu przyjemność robienie z królowny ślepo zakochanej gąski.

Rycerzowi daleko było do rozterek moralnych króla, ale zdawał sobie sprawę, że w koncepcji Salianki jako bezwzględnej, okrutnej władczyni, uosobienia zła, są jakieś luki. Okrutne władczynie nie patrzyły ze smutkiem na świat, nie troszczyły się o swoje kundle i nie pętały się po nieznanach krainach w towarzystwie przygodnie poznanych ludzi. Ta ostatnia cecha nie świadczyła wprawdzie, że Salianka jakieś tam serce posiada, ale dwie pierwsze wręcz przeciwnie. A taka konkluzja była Alvadowi mocno nie w smak. Nie życzył sobie myśleć o królownie pozytywnie. Należało wizerunek Pani Twierdzy udoskonalić tak, by pasował do myślenia negatywnego. Alvad szczerze nie znosił głupich panienek, co rusz popadających w miłosne odurzenie i dostrzegających w każdym mężczyźnie, który podszedł wystarczająco blisko, materiał na męża albo przynajmniej ognistego kochanka. Nie znosił też królowny. Skoro zaś został zmuszony przyznać sam przed sobą, że królowna miała serce, to bez trudu rozwinął tę koncepcję, uznając, że na pewno oddawała je komu popadnie w najbardziej idiotyczny sposób. Okrutniczka i morderczyni, która dostaje małpiego rozumu na

tle jakiegoś parobka. Przy odrobinie szczęścia parobka pryszczatego i niezbyt rozgarniętego. Dużego, głupiego, radośnie uśmiechniętego przygłupa, który nie odróżnia dobra od zła. Tylko ktoś taki nie odrzuciłby karesów plugawej wiedźmy ze wstrętem. A jeśli chodzi o samą plugawą wiedźmę, to pewnie taki matoł był dokładnie w jej typie. Alvad uśmiechnął się lekko zadowolony. Nie pomylił się. Czarownica z Twierdzy była zła. A jej serce; było z pewnością czarne. Mógł teraz bez przeszkód pielęgnować swoją nienawiść.

- Wątpię - nie ustępował Piąty. - Nawet jeśli naszej Pani rzeczywiście na nim... zależy, to nie zrobiłaby z tego powodu niczego głupiego i nieprzemyślanego.

- Mądrzejsi od niej robią głupie rzeczy z takich powodów - zauważył pojednawczo król. Królowna, gdy ją spotkał, wydała mu się taka... zwyczajna. Dlaczego nie miałyby zakochać się ot tak, w miejscu gdzie nikt nie słyszał o Czarownicy z Twierdzy, uciec z ukochanym i żyć sobie gdzieś długo i szczęśliwie? To byłby piękny koniec opowieści...

Eind szczerze życzył Saliance płomiennej miłości. Choć nie powodowało nim altruistyczne pragnienie, by dziewczyna była szczęśliwa. Gdyby zakochała się tu, tak daleko od Twierdzy, może zechciałaby tu zostać. A wtedy... O ileż łatwiej byłoby królowi Rozstajów walczyć z Twierdzą, gdyby wiedział, że na czele jego wrogów nie stoi już ta zagubiona, tajemnicza królowna. Tak naprawdę nie chodziło mu o jej szczęście, ale o spokój i wygodę własnego sumienia. Nie mógł powstrzymać tych wypowiedzianych w myślach życzeń, ale cierpiał, wiedząc, co tak naprawdę jest ich przyczyną. Bycie szlachetnym wcale nie było łatwe ani przyjemne, nie pierwszy raz Eind się o tym przekonywał. Czasami, ale bardzo rzadko, orientował się, że zazdrości Saliance i Plaskatowi. W jego mniemaniu nigdy nie czuli się niczemu winni. Król był pewien, że ich sumień, jeśli je w ogóle mają, nie obciążają żadne troski.

Nawet nie przypuszczał, jak bardzo się mylił.

- Być może - przyznał niechętnie Piąty. Ostatecznie może Saliance coś piknęło w sercu na widok tego młodzieńca w tarapatach. Ale był pewien, że to nie wystarczyło, żeby rzuciła wszystko i ruszyła razem z nim w nieznaną, ratować go przed całym światem bez względu na wszystko. Już nie. - Ale królowna szybko się uczy... na własnych błędach. A ostatni raz, kiedy ktoś zawrócił jej w głowie, był dla niej bolesną nauczką.

- Doprawdy? - zapytał drwiąco Alvad. Znowu przekonywał się o własnej przenikliwości. Królowna niewątpliwie zadurzyła się w jakimś idiocie i miała z tego tytułu kłopoty. Wszystko składało się w spójną całość. Salianka była zła, okrutna i łatwa. Zapewne przedmiotem jej żądz, bo przecież nie mogła być zdolna do prawdziwej miłości, był jakiś stajenny albo łupieżca. Tak samo jak ona niezdolny do uczuć wyższych. - A cóż takiego ten poprzedni



obiekt jej uczuć, niewątpliwie szczerych i altruistycznych, zrobił, że ją tak uraził? Nie chciał się uczyć czytać?

Plaskat zawahał się. Od początku podróży wszyscy rycerze działali mu na nerwy. Miał dość ich komentarzy na temat królowny, Twierdzy i jego samego. Miał dość słowa „wasza”, które wbrew wszelkim regułom w ustach rycerzy brzmiało obraźliwie. Miał dość ich idiotycznej wyższości i przekonania, że tylko oni wiedzą, jak postępować właściwie.

Królownie to by pewnie nie przeszkadzało. Rzadko przejmowała się tym, co myślą i mówią o niej inni. Szkoda na to czasu i jego nerwów, już wiedział, że pewne pytania go nie ominą, a im szybciej będzie je miał za sobą, tym lepiej.

- Więc to prawda... O Alvadzie? - upewnił się Eind.

To, co usłyszał poprzedniego dnia, ledwo mieściło mu się w głowie. Wydarzenia ostatnich miesięcy i tak spędzały mu sen z powiek, zupełnie jakby los się na niego uwziął. Im bardziej Eind starał się być bohaterem, tym więcej miał sobie do zarzucenia. Im goręcej opowiadał się po stronie dobra, tym trudniej przychodziło mu zidentyfikować zło. Im mocniej dążył do zrozumienia sytuacji, tym bardziej stawała się ona skomplikowana. Uczucia Pani Twierdzy komplikowały ją jeszcze bardziej, niemal do granic możliwości. Sam fakt, że te uczucia istniały, był co najmniej znaczący. Król nie miał wątpliwości, że Plaskat mówił prawdę, musiał więc przyjąć do wiadomości fakt, że oto zło pokochało dobro. Nie było to takie trudne, w końcu w oczach Einda Salianka była bardziej ofiarą okoliczności niż epicentrum zła. Była zwyczajną dziewczyną, a w przypadku zwyczajnych dziewcząt miłość nie jest przecież niezwykła. To, że królowna pokochała Alvada, też nie było czymś niezrozumiałym. W końcu sam Eind też kochał go jak brata. Tylko że Alwad nie starał się zgładzić swojego przyjaciela i króla... Kiedy Eind próbował postawić się w sytuacji Salianki, wyobraźnia odmawiała mu posłuszeństwa. Co czuła ta nieszczęsna dziewczyna, kiedy mężczyzna, którego kochała, usiłował ją zabić? Nie wiedział. Nie miał nawet najbliższego pojęcia. Wydawało mu się tylko, że on sam załamałby się w takiej sytuacji, pograżył w rozpacz. Tymczasem królowna odnalazła w sobie siłę, by stawić czoła okrutnemu losowi. Jak? Skąd? Sam już nie wiedział, co o tym wszystkim, co o niej myśleć.

- Prawda - skrzywił się Plaskat. - Z pewnej perspektywy można by stwierdzić, że całe to zamieszanie sprzed kilku miesięcy, no, przynajmniej część, to jego wina.

- A z innej perspektywy?

- To może być wina tego zdrajcy Taloka albo matki królowny... albo po prostu możemy przyjąć, że życie jest podle.

- Tak się zastanawiam - zaczął po chwili milczenia Eind. - Ta nasza ucieczka z lochów w

Twierdzy... za łatwo nam poszło...

- Królowna to zaplanowała - przyznał Piąty. Mógł królowi powiedzieć, skoro ten już i tak się domyślał. - To ona sprowadziła Ulka.

Eind przypomniał sobie dzień ostatniej bitwy z egzorcystami i Saliankę szlochającą nad księciem, którego opuścił demon, zmieniając go w obrońcę Dolin. Nikt nie przypuszczał, że za wielkim wojownikiem stoi plugawa potęga Twierdzy. Tak naprawdę jakie to miało znaczenie dla tych wszystkich, których Ulk ratował? Żadnego. A mimo to okrzyknęli go zdrajcą i potworem. Ponoć dobrzy ludzie.

- obrońca Dolin był jej przyjacielem? - zapytał cicho. Zaraz podniósł zdumiony głowę, bo Plaskat wybuchnął głośnym, gorzkim śmiechem.

- Nie, nie był jej przyjacielem - wyjaśnił cierpko Piąty. - Królowna z Twierdzy nie ma przyjaciół. Ale - dodał sarkastycznie - gdyby ich miała, pewnie Ulk byłby jednym z nich. Wasza ucieczka poszłaby gładko, zgodnie z planem i bez komplikacji, gdyby nie ten przeklęty Talok.

Eind pokiwał głową. No tak, on też jakoś nie mógł polubić Taloka.

- Nie widziałem go po odejściu egzorcystów - powiedział. - Co się z nim stało?

- Został ścięty - wyjaśnił krótko Piąty. - Za zdradę. Na rozkaz królowny zresztą.

- Próbowałem ją zrozumieć - wyznał nagle król.

Zbyt długo dusił to w sobie, musiał wreszcie komuś opowiedzieć o swoich rozterkach. Na zrozumienie swoich rycerzy nie miał co liczyć, ale Plaskat... Plaskat był z Twierdzy, znał Saliankę, zależało mu na jej bezpieczeństwie. On powinien być w stanie rozwiązać choć część wątpliwości króla.

- Uważałem... dalej uważam, że każdemu z moich wrogów jestem to winny.

- Obrzydliwie szlachetny pomysł - stwierdził z przekonaniem Piąty.

- Tak myślisz? - stropił się wyraźnie Eind.

- Królowna też by tak pomyślała - dodał Plaskat.

- Tak? - ożywił się nagle król. - Znasz ją i rozumiesz lepiej niż ja. Może widzisz jakiś sens w tym, co robi, bo ja nie potrafię niczego zrozumieć. Nie wiem, kogo tak naprawdę szukamy, nie wiem, czy mamy ją ratować, czy może nasza pomoc nie jest jej wcale potrzebna. Mam nadzieję, że chociaż ty to wiesz. Nie oczekuję, że wyjaśnisz mi zaraz, kim naprawdę jest twoja Pani. Ale może powiesz mi, dlaczego nie wróciła z powrotem do Twierdzy? Dlaczego wyruszyła w nieznaną w towarzystwie kogoś, kogo dopiero co poznała?

Piąty wzruszył ramionami.. Sam się nad tym zastawaiał przez ostatnią dobę, a nnie udało mu się znaleźć satysfakcjonującej odpowiedzi..

Może po prostu zmusiły ją do tego okoliczności. Może szukała lekarza dla chorego psa. A może doszła do wniosku, że życie było podle już tyle razy, że najwyższy czas skopać mu za to tyłek.

## ROZDZIAŁ 4

Przekradanie się zaułkami, kanałami i innymi dziwacznymi i co do jednego ciemnymi i ponurymi zakamarkami trwało dość długo. Prawdę mówiąc, Saliance zaczynało się nudzić. Wydawało jej się, że porwania powinny być - cóż - odrobinę ciekawsze. Jej poprzednie z pewnością było, może dlatego, że przez całą nudną część była nieprzytomna, a ocknęła się w sam czas na mordobicie, czyli to, co najciekawsze. Teraz, niestety, zanosilo się na to, że zanim będzie mogła pobić porywaczy i uciec, musi się wynudzić.

Wreszcie kluczenie się skończyło i dotarli do miejsca najwyraźniej będącego kryjówką zbirów - piwnicy niewielkiego domu, stojącego tuż przy murach miasta. Dom był - co za zaskoczenie! - szary. Piwnica też, od sufitu aż po podłogę, która jeszcze dodatkowo była twarda. Tę informację przekazały królowie jej własne posładki, kiedy niosący ją mężczyzna bezceremonialnie pozbył się ciężaru.

- Trzeba będzie szybko zdobyć konie... - zwrócił się do swoich towarzyszy.

- Wóz - poprawiła go natychmiast Salianka.

Przywódca spojrzał na nią tak, że z czystej przyzwoitości powinna paść trupem na miejscu. Ale nie padła.

- Nie umiem jeździć konno - oznajmiła stanowczo. - A mój pies nie będzie biegł za końmi. Jest chory.

Porywacz przez chwilę przetrawiał jej słowa niczym gar bigosu. Nigdy wcześniej nie zdarzyła mu się zakładniczka mówiąca coś więcej niż „och”, „ach”, „ratunku, pomocy” i „pożałujecie tego, wstrętni barbarzyńcy”. Zawsze irytowały go takie okrzyki, a teraz... Cóż, podejrzewał, że niedługo zacznie za nimi tęsknić. Dziewczyna, otrzepująca właśnie ostentacyjnie sukienkę z kurzu, po pierwsze - nie bała się, było to po niej widać, a po drugie - zdecydowanie za dużo myślała. Przecież to oni byli porywaczami i oni powinni zajmować się organizacją porwania! Sugestie zakładników tradycyjnie nie były brane pod uwagę. Przynajmniej aż do tej pory.

Branka, nawet jeśli nie umiała jeździć konno, nie stanowiła problemu. Zawsze można ją było po prostu załadować na siodło w charakterze tobołka. Gorzej z kundlem. Jeśli rzeczywiście bez niego królowna była nic niewarta, a w tych barbarzyńskich krainach na południu wierzyli w takie różne wariactwa, to trzeba go transportować w odpowiednich warunkach. Czyli na wozie.

- Znajdźcie wóz - skapitulował, chociaż wcale mu się to nie podobało, a jeszcze bardziej nie podobał mu się wyraz twarzy królowny. Jeszcze tylko brakowało, żeby poklepała go po głowie i powiedziała: „Grzeczny najemnik, jeszcze będą z ciebie ludzie”.

Jego podwładni bez słowa ruszyli wykonać rozkaz. W piwnicy zostali tylko on, Salianka i pies. Mężczyzna spojrzał na nią spode łba i zajął miejsce przy schodach, blokując wyjście.

- Nie musisz się tak starać - zwróciła mu uwagę Salianka. - Nie zamierzam uciekać. - Królowna z godnością rozsiadła się wygodniej, po czym sięgnęła po swoją sakwę. Nie wyglądał na przekonanego, obserwował ją podejrzliwie, z dłonią wspartą na rękojeści miecza. Salianka nie miała zamiaru się tym przejmować. Były ważniejsze rzeczy do zrobienia. Pazur podczołgał się do swojej pani, ocenił sytuację i poszedł spać. Przy dźwięku jego melodyjnego pochrapywania królowna znalazła wreszcie jedwabny woreczek, wygrzebała z niego lustro i inne potrzebne specyfiki i zajęła się poprawianiem swojej urody. Nie przeszkadzało jej, że w piwnicy jest dość ciemno. Widziała w mroku o wiele lepiej niż jej porywacze, prawdę mówiąc, miała iście demoni wzrok. I nie życzyła sobie źle wyglądać podczas własnego porwania.

Mężczyzna przyglądał jej się trochę podejrzliwie, a trochę z zaskoczeniem.

- Nie masz zamiaru mdleć? - zapytał z irytacją. Nie podobało mu się takie zmienianie reguł. Porywacz był porywaczem, a zakładniczka zakładniczką. I jak zakładniczka powinna się zachowywać, w końcu miał chyba prawo wymagać od niej odrobiny przyzwoitości!

- A muszę? - zainteresowała się królowna, której niezbyt się spodobała sugestia. - Sukienka mi się pomnie.

- No to co?! - zdumiał się porywacz.

- Pierwszy raz mam okazję dobrze wyglądać przy porwaniu. Nie zamierzam jej przepuścić. - Salianka schowała mazidła z powrotem do woreczka i wyciągnęła Pazurovi spod łba sakwę.

- Porywano cię już kiedyś? - Wojownik najwyraźniej nie był pewny, co właściwie powinien zrobić. Konwersacja z osobą porwaną raczej nie powinna sięgać poziomu wyższego niż jęki i wzywanie pomocy. Z braku lepszego pomysłu ciągnął rozmowę, licząc, że może panienka się opamięta i wreszcie puszcza jej nerwy.

- Dla okupu pierwszy raz - poinformowała uprzejmie dziewczyna. Teraz, kiedy skończyła już nakładać te wszystkie mazidła na twarz, przynajmniej trochę zainteresowała się sytuacją, choć nie tak, jak jej porywacz by sobie tego życzył. Siedziała na klepisku wyprostowana, zwrócona przodem do niego, z głową lekko przechyloną na bok. Przyglądała mu się z ciekawością.

- A wcześniej? - Trudno mu było zdusić w sobie niepokój i pozbyć się denerwującego uczucia, że tak naprawdę to ona tutaj dyktuje warunki.

- Żeby mnie zabić - westchnęła teatralnie królowa. - Z grubsza rzecz biorąc. Mam napisać do mojej Rady list z żądaniem okupu? - zaproponowała życzliwie, czując, że rozmowa zmierza w dość niepożądanym kierunku. Nie powinna była wspominać o wcześniejszym porwaniu, ale jakoś tak z rozpędu powiedziała prawdę.

- List?

- Im szybciej, tym lepiej - pouczyła go z sympatią Salianka. - Do Twierdzy jest stąd... zaraz, niech policzę... cztery dni do Leśnej Przystani... i jeszcze sześć... będzie z dziesięć dni drogi.

- Skoro tak dobrze wiesz, jak wrócić do domu, to dlaczego pętasz się po zaułkach obcego miasta?

Królowa zawahała się. Początkowo miała zamiar powiedzieć, że nie zna drogi powrotnej, ale przypadkowo własnoręcznie odcięła sobie tę możliwość. Przeklęła w duchu nagły nadmiar szczerości. Na szczęście przypomniała sobie, że tak właściwie to przecież jest całkiem inteligentna i ostatecznie mogłaby wyteńczyć umysł i coś wymyślić.

- Boję się wyjść za mury - oznajmiła odkrywco. - Taki wielki, nieznan, niebezpieczny świat, a ja tu sama i bezbronna, olaboga.

To „olaboga” było błędem, zorientowała się w chwili, gdy skończyła mówić. Dodała je zupełnie odruchowo, niesłusznie nie doceniając inteligencji najemnika. Już prawie, prawie jej uwierzył. Przełknąłby tę bajeczkę, gdyby nie to nieszczęsne westchnienie. Salianka skarciła się w duchu, ale zaraz sobie wybaczyła. Skąd niby miała wiedzieć, że oprócz mięśni ten człowiek ma też rozum? Takich jak on nie spotykało się znowu tak często.

- To jak z tym listem? - ożywiła się, mając nikłą, ale zawsze nadzieję, że porywacz zapomni o wpadce. Tak łatwo nie poszło. Po jego twarzy widziała, że o ile wcześniej rozmawiał z nią tylko dlatego, że zaskoczyło go jej zachowanie, to teraz miał zamiar ciągnąć konwersację z wrodzonej podejrzliwości i ostrożności. W historyjce o zagubionej, przerażonej królowie, która w rozpaczyc włączyła się po obcym mieście, pojawiło się nagle zbyt wiele luk. Luki oznaczały niepewność i brak istotnych informacji, a to z kolei z reguły

prowadziło do kłopotów.

- Za chwilę - stwierdził spokojnie. Rozsiadł się wygodniej, jakby nastawiając się z góry na dłuższą rozmowę, choć przez cały czas trzymał dłoń na rękojeści miecza. - A skąd się wzięłaś tak daleko od domu, w tym wielkim, niebezpiecznym świecie?

Saliance początkowe zdenerwowanie już przeszło. W końcu nie działo się nic, z czym nie miałyby wcześniej do czynienia. Po prostu musiała udawać kogoś, kim nigdy nie była. Poradziła sobie z podszywaniem się pod tępą sługę, udawała Panią Twierdzy, zanim się nią tak naprawdę stała, czymże było więc dla niej pozowanie na rozpuszczoną arystokratkę, tak wyniosłą, że aż tępą? Jednocześnie przyszło jej do głowy, że jeśli porywacz nie zechce zawieźć jej po dobroci do Morskiej Bryzy, zawsze można go do tego zmusić. Nie stanowiłoby to dla niej problemu. Konkluzja była jasna: bez względu na rozwój sytuacji Salianka i tak będzie górą. Ta myśl bardzo poprawiła jej humor. Z niejakim rozbawieniem, ale i z pełnym zaangażowaniem zaczęła więc realizować wariant trudniejszy.

- Zbierałam kwiatki - powiedziała z godnością, patrząc porywaczowi wyzywająco w oczy.

Wytrzymał jej spojrzenie. Właściwie to już żałował, że postanowił porwać tę dziewczuchę. Ale prawda była taka, że on i towarzysze oczekujący go w Morskiej Bryzie potrzebowali złota. Królowna, nawet niepokojąca i dziwaczna, była cennym towarem, z którego nie mogli łatwo zrezygnować. Co innego, rzecz jasna, gdyby okazało się, że zwyczajnie trzeba ją zabić... Na przykład celem uniknięcia kłopotów o wiele większych niż powszedni dość brak funduszy.

- Blżej ich nie było? - mówił wręcz upiornie uprzejmym tonem.

- Były, ale nie takie ładne - odpowiedziała natychmiast.

- I poszłaś je zrywać całkiem sama i bezbronna? - zapytał z ironią.

- Nie, miałam eskortę. - Na twarzy dziewczyny odmalowało się niebotyczne zdumienie. Jakby nie mieściło jej się w głowie, że ktokolwiek mógłby ją posądzać o wychodzenie na spacer bez oddziału zbrojnych. Odgrywanie nowej roli przychodziło jej łatwiej z minuty na minutę.

- I co się z nią stało?

- Niedźwiedzie zeżarły - westchnęła Salianka z lekkim smuteczkiem.

- Tu nie ma niedźwiedzi - powiedział porywacz. Zdawał sobie sprawę, że przegrywa ten słowny pojedynek, choć nie jest w stanie udowodnić dziewczynie, że w ogóle toczy się między nimi jakakolwiek rozgrywka. Niemal zaczynał się bać, co za chwilę usłyszy.

- Ale to nie było tu, tylko w górach - wyjaśniła grzecznie królowna. Jednego była pewna,

w górach bez wątpienia były niedźwiedzie. A także wilki, zbóje i tajemnicze klasztory, każdy głupek to wiedział.

- A dużo było tych niedźwiedzi? - zainteresował się podchwytliwie.

- Nie wiem, nie zauważyłam - wzruszyła ramionami dziewczyna.

- Nie zauważyłaś, jak niedźwiedzie zżerają twoją eskortę? - Dłoń porywacza zacisnęła się na rękojeści miecza. Nie mylił się, dziewczyna łgała jak najęta, pytanie tylko po co... Miecz przyłożony do gardła na pewno skłoni ją do udzielenia wyjaśnień, a jeśli nie... Zawsze może mu się omsknąć ostrze, prawda? Zwłaszcza jak zakładniczka będzie się wyrywać.

Tymczasem Salianka wytrzeszczyła na niego oczy w wyrazie osłupiałej niewinności.

- Zbierałam kwiatki - wyjaśniła z urazą. Wyraźnie dawała po sobie poznać, że tylko ostatni głupek mógłby przypuszczać, że przerwie tak pasjonującą czynność po to, żeby oglądać, jak jej eskorta karmi sobą niedźwiedzie. A skoro już o głupkach mowa, to ktoś tu powinien spojrzeć w lustro.

Porywaczowi zaczęły puszczać nerwy. Poderwał się na nogi.

- I to było ważniejsze od masowego pożarcia? - wykrzyknął.

Królewna, absolutnie nieporuszona jego wybuchem, tylko wzruszyła ramionami.

- E tam, od razu masowe, ledwo dziesięciu zbrojnych. Poza tym chciałam mieć ładny bukiet - dodała melancholijnie.

Powrót pozostałych dwóch zbirów prawdopodobnie powstrzymał rozmówcę Salianki od rzucenia się na nią i uduszenia jej gołymi rękami. A wyglądało, że naprawdę miał na to ochotę. Królewna skupiła się na siedzeniu i mruganiu rzęsami. Pozę tę podpatrzyła kiedyś u księżniczki Hilpy z Ujścia, ale jak dotąd nigdy nie odczuwała potrzeby jej zastosowania. Dwóch mężczyzn, którzy nie mieli okazji porozmawiać z Salianką, natychmiast doszło do wniosku, że branka jest jakąś wyjątkowo głupią arystokratką. Prościej mówiąc, była całkiem niegroźna. Ich przywódca za to dalej wyglądał, jakby zastanawiał się, czy nie lepiej ofiarę porwania na wszelki wypadek zasztyletować.

- Podyktujesz list - powiedział, patrząc spode łba na swoją zakładniczkę.

- Umiem pisać - obraziła się. Porywacz zignorował tę uwagę. Nie miał zamiaru ryzykować, że panna przemyci w liście jakąś zaszyfowaną wiadomość. Słyszał o takich przypadkach - a jego branka, zdecydowanie bystrzejsza od przeciętnej księżniczki, wyglądała na taką, co byłaby do takich szachrajstw zdolna.

- Dyktuj - zaproponował głosem ociekającym uprzejmością. - Coś, co przekona twoją Radę do zapłacenia okupu.

Królewna odchrząknęła. Przynajmniej to było łatwe zadanie. Do tego spokojnie mogła



odżalować ten okup. W Twierdzy było tyle złota, że nawet gdyby przyszło im wykupywać z niewoli wszystkich członków Rady po kolei, i tak nikt by nie zauważył ubytku w zasobach skarbcza.

- No więc tak: Porwano mnie. Macie dostarczyć tyle złota, ile ważymy ja i Pazur, we wskazane miejsce. Jak tego nie zrobicie, policzę się z wami po śmierci albo jeszcze za życia. Zastanówcie się, co gorsze. Wasza ukochana Pierwsza, Salianka. Koniec. No co? - powiedziała, widząc miny zbirów. - Moje stosunki z Radą są skomplikowane. - Nie miała zamiaru wdawać się w szczegóły, w końcu to było porwanie, a nie kółko zwierzeń.

Przywódca, czyli Terk, jak nazywały go zbiry niższe rangą, wydawał się dość zadowolony z tekstu.

- Zawieziesz to do Twierdzy.

- Trzeba jechać... - zaczęła usłużnie Salianka.

- Wiemy, jak tam dojechać.

- Trzeba było od razu tak mówić - obrazila się królowna. Gdyby od początku wyszło na jaw, że wiedzą, gdzie jest Twierdza, może ona nie zaczęłaby się płatać w wyjaśnieniach. - Tylko im powiedz, że mają cię nie zabijać - dodała po chwili życzliwie.

- A ty - Terk odwrócił się do drugiego podwładnego - bierz konia i uprzedź naszych ludzi w Morskiej Bryzie. Ja pojedę wozem. - Zostawanie sam na sam z tą dziwną dziewczyną nie było chyba najlepszym pomysłem, ale nie chciał ryzykować, że ta mała wykorzysta jego ludzi przeciw niemu. Nie przyszło jej chyba jeszcze do głowy, że mogłaby to zrobić, ale za to przyszło jemu. Właściwie to najrozsądniej byłoby ją zabić, tu i teraz, a potem kłamać i oszukiwać ile wlezie, byleby zdobyć okup. Był tylko jeden drobny problem - okup był za duży, żeby ryzykować, że cokolwiek pójdzie nie tak. Terk nie zdążył podać sumy, bo królowna beztrąsko wyznaczyła cenę za siebie samą. Bardzo interesującą cenę. Wartą tego, żeby zaryzykować podróż z podejrzaną, przemądrzałą pannicą, wartą tego, by zrezygnować z koncepcji przedwczesnego zgonu branki. W końcu jeśli naprawdę, ale to naprawdę będzie to konieczne, zawsze zdąży ją zabić. A póki takiej potrzeby nie ma, to lepiej myśleć o złocie. Dużej ilości złota. Tak dużej, że brzęk sypiących się w wyobraźni monet już zagłuszał instynkt, przeczucia i wszelkie inne wewnętrzne głosy.

Salianka wstała z głazu i otrzepała spódnicę. Była całkiem zadowolona z tego, jak się potoczyły wydarzenia. Miała zapewniony transport do Morskiej Bryzy. Tam wystarczyło dopaść Jonasa i odstawić jakąś łzawą opowieść o tym, jak to egzorcyści zatruwają jej życie i gdzie oni tak właściwie siedzą, bo ona powinna tego miejsca unikać... Względnie dla pewności zrównać je z ziemią... albo coś w tym stylu. Miała jeszcze czas na dopracowanie

przemowy. Jedynym minusem było to, że porywacz wydawał się zdecydowanie za inteligentny, jak na powszechnie przyjęte standardy, ale to był jego problem. Królowna nie miała żadnych, głównie dlatego, że doskonale zdawała sobie sprawę, kto z nich dwojga ma przewagę. Ta słodka świadomość własnej potęgi pozwalała jej przychylniej patrzeć na świat, a nawet na nowego towarzysza podróży.

- To co, jedziemy razem na wycieczkę? - zagaiła radośnie. - To nawet dobrze się składa, bo... - nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo Terk zaszedł ją od tyłu i zniemacka zawiązał jej knebel. Potem, nie zważając na zdegrustowane spojrzenia i pochrząkiwania, skrępował jej ręce i niczym tobołek wyniósł z piwnicy, i wrzucił na wóz. Po chwili obok wylądowały sakwa i morgenstern. Pazur, merdając ogonem, wskoczył sam.

- Zdrajca - rzuciła mu królowna. Przez knebel nie mówiła specjalnie wyraźnie, więc pies się nie przejął. Skorzystał za to z okazji i polizał ją w nos.

\* \* \*

Salianka poczuła, że rola porwanej białogłowy zdecydowanie nie jest jej przeznaczeniem. Może i nie musiała błąkać się po łąkach i lasach, ale za to została potraktowana jak... jak wór ziemniaków mniej więcej. Postanowiła jednak wytrwać. Denerwowanie porywacza mogło doprowadzić do konfrontacji, a to oznaczałoby najprawdopodobniej, że Salianka zostanie sama w lesie, nadal nie mając pojęcia, w którą stronę powinna się udać, i bez możliwości spytania kogoś o drogę.

Więzy poluzowała sobie przy pierwszej sposobności, gdy tylko Terk odwrócił się do niej plecami. Sznury co prawda zamotane były mocno i fachowo, ale tylko w odniesieniu do przeciętnej jednostki ludzkiej, a przeciętną Salianka z pewnością nie była. Szybko zdołała poprawić swoją sytuację z paskudnie niewygodnej do znośnej i zdecydowała się zdrzemnąć.

Kiedy już się obudziła, postanowienie o wytrwaniu w roli branki zaczęło w niej słabnąć. I nie chodziło wcale o brak wygod, czy też nadmiar niewygód. Wóz trząśł, Pazur pochrapywał, porywacz milczał jak głaz, a nastrój Salianki pogarszał się z minuty na minutę.

Nie przywykła do tego, by być sam na sam ze swoimi myślami. Odkąd odeszły Wrota, poświęcała się głównie życiu z dnia na dzień, ewentualnie uzalaniu się nad sobą. I tęskniła za nimi.

Ją samą to zdziwiło, w końcu przez całe świadome życie marzyła, żeby się ich pozbyć bez szkody dla zdrowia. Czy mogło być coś bardziej irytującego, gorszego od innej osobowości ukrytej w głębi umysłu? Od bytu, który obserwuje wszystko, co się dzieje wokół,

i jeszcze wyraża własne, najczęściej krytyczne zdanie? Od podłej istoty, która przejmując kontrolę nad ciałem nosiciela, kiedy tylko chce, i robi wtedy, co tylko jej przyjdzie na myśl? Królowna zawsze uważała, że Wrota to najgorsze przekleństwo, jakie mogło ją spotkać, tyle że, niestety, konieczne, by świadomie żyć. A teraz, kiedy ich nie miała i była, przynajmniej na razie, żywa i zdrowa, chwilami zwyczajnie się nudziła. Brakowało jej głosu odbijającego się echem w jej umyśle, złośliwości, żartów, wyrażanych z wyższością opinii. A nade wszystko tego, że zawsze mogła z kimś, czy raczej z czymś, porozmawiać.

Była sama w swoim umyśle i czuła się tam bardzo samotna.

I znudzona do granic wytrzymałości.

Nigdy nie była ani cierpliwa, ani specjalnie skłonna do poświęceń i wyrzeczeń. A do jej wrodzonego egoizmu i egocentryzmu doszedł jeszcze instynkt Virvena, który pchał ją do podążania za dowolną chętką bądź kaprysem bez zastanawiania się nad konsekwencjami. Salianka nie do końca była świadoma tych akurat skutków opętania. Być może dlatego, że coraz rzadziej się zastanawiała, a coraz częściej bez zastanowienia brała sprawy w swoje ręce.

A w tej chwili nie miała ochoty tkwić na wozie związana, zakneblowana i do tego przemoczona, bo jakby mało było niewygód, z nieba lunął rześisty deszcz. A zaraz potem zaczęło grzmieć. I błyskać, skoro już o tym mowa.

Pioruny rozdzierające szare niebo przywoływały niedobre wspomnienia. Salianka przez chwilę poczuła się jak małe, przestraszone zwierzątko. Gdyby stał gdzieś w pobliżu jej tron, pewnie by pod niego weszła, jak to kiedyś robiła, w płonnej nadziei, że ochroni ją to przed atakiem burzy. Cień przeszłości zaraz znikł, wypchnięty przez drzemiącego w królownie demona. Nie, teraz już Salianka nie była osobą skłonną do tego, by się przed czymkolwiek chować. Spojrzała wyzywająco w niebo. Błyskawice mogły chłostać swoimi biczami świat, grzmoty mogły ogłuszać swoimi krzykami, ale na niej nie robiło to już wrażenia. Nie było Wrót, nie było demonów, które mogłyby zostać uwolnione przez wyładowanie. Nie było już czego się bać. Burza została nie tylko pokonana. Burza należała do niej.

Virven był nie tylko demonem obdarzonym ogromnymi zębiskami i szponami rozmiaru sztyletów. Wrota sprowadziły go, bo był demonem pogody. Za jego bytności burze przetaczające się nad Twierdzą nie mogły zagrozić jej Pani.

Tylko że Virvena już nie było, a pioruny wyglądały na niezdecydowane, czy powinny być Saliance posłuszne, czy może raczej w nią rąbnąć w imię starych, dobrych czasów.

Jeden po drugim sięgały coraz bliżej wozu. Wreszcie jeden z nich uderzył w drzewo rosnące tuż przy trakcie, zwalając je na drogę niemal tuż przed końmi.

Terk zdołał jakoś zapanować nad spłoszonymi zwierzętami, ale leżącą na wozie

królowną ta szarpanina lekko sponiewierała. O irytacji nie wspominając. Kiedy Virven panował nad burzami, to wyglądało to na o wiele prostsze, niż było w rzeczywistości... No i cela miał o wiele lepszego niż królowna. Chciała pogonić konie, a nie niszczyć okoliczną florę. Chociaż, sądząc po tym, jak się poobijała, kiedy zwierzęta się spłoszyły, może i lepiej, że spudłowała.

Pazur, kierowany niewątpliwie psim szóstym zmysłem, podkulił ogon i zeskoczył z wozu na chwilę przed tym, nim piorun trafił w drzewo i spłoszył zaprzęg. Całej sprawie przyglądał się teraz z bezpiecznej odległości. Porywacz nie próbował go łąpać. Już się przekonał, że zwierzaka nie trzeba nawet uwiązywać, i tak nie ucieknie.

Co innego zakładniczka. Od chwili kiedy ją załadował na wóz, w zasadzie była niekłopotliwa, do tego stopnia, że Terk niemal zapomniał o tym, jak niepokojąco się z nią rozmawiało wcześniej. Niemal. Ale deszcz dziewczynie najwyraźniej nie służył, a w każdym razie nie służył szmacie, którą była zakneblowana. Królowna najwidoczniej dławiała się materiałem, więc ją odkneblował. Jakby przypadkiem zmarło jej się z takiego głupiego powodu, uzyskanie okupu mogło stać się problematyczne. Z drugiej strony sama dziewczyna przestałaby być problemem...

Mężczyzna zawahał się przez chwilę, wciąż z kneblem w dłoni, ale po chwili cisnął szmatę na wóz. Nie, musiał być rozsądny. Potrzebował złota. Złoto było najważniejsze, warte tego, żeby znieść drobne niewygody.

Zeskoczył z wozu i zajął się oglądaniem zwałonego drzewa. Trzeba je było jakoś usunąć z drogi.

Za jego plecami królowna odkaszlnęła parę razy i wykonała kilka dziwnych grymasów, mających ją upewnić, że jej usta i zęby są w porządku. A konkretniej, że są ludzkie.

Wcale nie dławiała się kneblem, w każdym razie nie wedle własnego mniemania. Usiłowała go tylko wypchnąć z ust, nie korzystając przy tym z pomocy rąk. Przekonała się, że może swoje usta rozciągnąć niczym paszczę... no, może taką małą, ale zawsze. A przy okazji może się prawie udusić kneblem. Dałaby sobie z tym radę, rzecz jasna, ale nie zdążyła. Jej porywacz szlachetnie pośpieszył jej na ratunek, po czym, ocaliwszy ją od groźby zadławienia się na śmierć, zostawił ją leżącą na wozie, moknącą na deszczu i wystawioną na o wiele bardziej realną groźbę złapania zapalenia płuc.

Królowna uklękła i oceniła sytuację. Drogę zagraadzało zwałone błyskawicą drzewo, a nad drzewem dumał najemnik. Z nieba twardo lał deszcz. Salianka kichnęła.

- Jedźmy, do stu demonów - zażądała. - Przeziębę się i Pazur też!

- Drzewo zagraadza drogę - rzucił jej na odczepnego porywacz. Arystokratki były... no

cóż, niezyciowe, ślepe, niepraktyczne i takie tam. A, jeszcze histeryczne.

- To pojedźmy inną drogą - nie ustępowała królowna. Rzut oka na obwąchującego przydrożne kałuże Pazura upewnił ją, że pies wygląda jak zmokła kura. Mogła przypuszczać, że ona sama wygląda podobnie. Oboje musieli się wysuszyć i przynajmniej w jednym wypadku napić gorącego mleka z miodem. Takiego jak niania jej zawsze robiła.

- Objazd potrwałby za długo - burknął Terk. Zajęty był rozważaniami, jak usunąć przeszkodę z drogi, i nie do końca zdawał sobie sprawę, co i do kogo mówi. Zresztą czy mógł przypuszczać, że podaje swojej zakładniczce na tacy najważniejszą dla niej informację? - To najkrótsza, prosta droga do Morskiej Bryzy.

Salianka potrafiła myśleć szybko. Ba, nawet bardzo szybko. Chciała dostać się do Morskiej Bryzy. Była na prostej drodze do Morskiej Bryzy. Czyli nie miała już najmniejszych powodów, by spokojnie uczestniczyć we własnym porwaniu. Prostą drogą do celu umiała dotrzeć bez pomocy. Nie umiała powozić zaprzęgiem, ale, o ile się zorientowała, nie było to aż takie trudne. Z pewnością łatwiejsze niż kierowanie wierzchowcem i przynajmniej tyłka sobie człowiek przy tym nie obtłukiwał.

Z prostego rachunku zysków i strat wychodziło, że porywacz nie był jej już potrzebny. Sznury na nadgarstkach też.

- Pazur, na wóz - zakomenderowała Salianka, strzepując z rąk więzy. Pies posłuchał natychmiast. Kiedy pani mówiła takim tonem, każdy, kto posiadał odrobinę rozsądku, powinien jej słuchać. Nawet ukochany pupil.

Zbir zorientował się, że coś jest nie tak, dopiero kiedy leżące w błocie drzewo drgnęło. Początkowo uznał, że pień musiał się omsknąć po jakiejś nierówności drogi, ale na jednym drgnięciu się nie skończyło. Przy akompaniamencie padającego deszczu, z głośnym plasknięciem błota, zwalone drzewo uniosło się w powietrze.

Terk nie był w stanie określić, co się dzieje. Takie rzeczy... Takie rzeczy były niemożliwe! Rozejrzył się wokoło, jakby szukając potwierdzenia, że to wszystko to tylko złudzenie, i dostrzegł swoją zakładniczkę.

Pozbyła się więzów. Siedziała na koźle, w dłoniach trzymając lejce. Deszcz spływał po jej włosach, nadając jej wygląd topielicy. To wrażenie potęgowała jeszcze bladość cery, wręcz trupia w zestawieniu z ciemnymi puklami. Miała straszliwie zapadnięte oczy, chociaż, jak się po chwili zorientował, cienie okazały się rozmazanymi przez deszcz mazidłami upiększającymi. Zza pleców dziewczyny wyglądał jej zwierzak, merdając przemoczonym ogonem.

Królowna siedziała nieruchomo i wpatrywała się w pień. A ten unosił się coraz wyżej.

- Co... - wyrwało się zaskoczonemu Terkowi.

Pożałował tego natychmiast. Salianka na ułamek sekundy oderwała wzrok od drzewa i spojrzała na niego. Miał dość rozsądku, żeby dać nura w najbliższe zarośla i uciekać. Chwilę później poleciał za nim pień. Rozległ się trzask łamanych krzewów i małych drzewek.

Królewna na próbę potrząsnęła lejcami. Zaraz... jak to szło?

- Wio - zakomenderowała. Konie rozsądnie posłuchały.

\*\*\*

Droga rzeczywiście była prosta. I koszmarnie monotonna. Drzewo, krzak, jakieś kwiatki, kałuża. I znowu: drzewo, krzak... Przynajmniej deszcz przestał padać. Królewna wyjęła swój warkocz i sukienkę. Wizja zapalenia płuc już dawno przestała ją dręczyć, w końcu miała niemalże końskie zdrowie. Co prawda chętnie by wypila kubek gorącego mleka, ale ponieważ nie natknęli się po drodze na żadną gospodę czy inne miejsce, gdzie zachcianka Salianki mogłaby zostać spełniona, musiała zadowolić się wodą ze strumienia. Koniom i Pazurovi woda odpowiadała, królewna też w zasadzie nie miała powodu narzekać. Zwłaszcza że nikt jej marudzenia by nie usłyszał. Dlatego kiedy tylko zaczął zapadać zmierzch, bez szemrania uwiązała konie, trochę nieumiejętnie, ale za to skutecznie, i ułożyła się do snu na wozie. Miejsce na postój wybrała sobie dość beztrąsko, nie pofatygowała się nawet, żeby zjechać z drogi. Wobec koni była odrobinę bardziej przewidująca, sprowadziła je na trawę. Pazur nie narzekał na warunki polowe, zajął miejsce przy boku swojej pani i, przytulony do niej, już po chwili pochrapywał. Zmęczona królewna zasnęła równie szybko.

\* \* \*

Rzadko zdarzało się, żeby Salianka o czymś śniła. Tak rzadko, że kiedy sny nadchodziły, przeszkadzały jej spać. Jeszcze nie zaczęło nawet świtać, kiedy usiadła na wozie, z dłońmi zaciśniętymi na derce, którą się okryła. Nie pamiętała, co właściwie jej się śniło, ale nie było to, zdaje się, przyjemne.

Śpiący obok Pazur nawet nie zauważył, że się poruszyła. Królewna podniosła głowę i rozejrzała się po okolicy. Już świtało. Drogę i pobliskie drzewa spowijała mgła. Wszystko było szare i rozmyte. Mimo to Salianka dostrzegła kształty, które przy takiej pogodzie można by wziąć po prostu za ułudę, a które ułudą nie były. Już wcześniej wydawało jej się, że coś za nią podąża, obserwuje. Były trzy, tyle udało jej się naliczyć. Trzy demony chcące przejść przez Wrota, których nie było.

- Nie ma ich, słyszycie! Odeszły! - wcale nie krzyczała głośno, ale demony usłyszały.

Zatrzepotały skrzydła, chociaż może było to tylko złudzenie.

Pazur, zbudzony dźwiękiem jej głosu, otworzył oczy i ziewnął.

- Śpij - Salianka podrapała go za uchem. - Nic się nie stało, miałam tylko zły sen.

Nie trzeba mu było tego dwa razy powtarzać, po chwili chrapał tak głośno, że nawet gdyby chciała, nie mogłaby zasnąć.

Leżała ze wzrokiem wbitym w szare niebo. W pobliżu wciąż były demony. Daleko co prawda, ale wyczuwała ich obecność. Demon zawsze wyczuje demona. Mimo że już wiedziały, iż w umyśle Salianki nie ma Wrót, wciąż za nią podążały, zupełnie jakby była ich jedyną szansą, ostatnią deską ratunku. To królową niepokoiło.

Nie bała się demonów. Zbyt wiele miała już z nimi do czynienia, poza tym z pewnością potrafiłaby im solidnie przyłożyć. Niepokoiło ją, że one naprawdę chciały wrócić do piekieł. Demony, które wołały żyć w pieklach niż w tej krainie, musiały być obłąkane. Albo, co było równie czy nawet bardziej przerażające, ta kraina była tak obłąkana, że demony wołały wrócić do piekieł, niż tu żyć.

\* \* \*

Salianka zamrugła gwałtownie. Mogłaby przysiąc, że przed chwilą widziała nad sobą szare niebo, a teraz patrzyła na kamienny mur. Zupełnie jakby ktoś wykorzystał chwilę pomiędzy jej jednym a drugim mrugnięciem i podmienił krajobraz.

- Niech to diabli, znowu - westchnęła. Ledwie kilka dni wcześniej przytrafiło jej się to samo. Jeśli te... ataki miały się teraz stawać coraz częstsze, to oznaczało, że chwila, w której pograży się w niebycie, jest coraz bliższa. Trzeba się było pośpieszyć z realizacją wielkiego planu zemsty.

Dziewczyna przeciągnęła się, rozprostowując zdrętwiałe mięśnie. Wstała. Rozejrzała się. Otaczały ją trzy ściany z kamienia i czwarta z żelaznych prętów. Najwidoczniej jej porywacz przeżył spotkanie z latającym pniem i postanowił ścigać swoją krnąbrną zakładniczkę. Nieświadomą królową było łatwo schwytać. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Przy odrobinie szczęścia mogło się okazać, że Salianka już jest w Morskiej Bryzie.

- Nie wiedziałam, że macie nawet własne więzienie - stwierdziła królowa, podchodząc do krat. Kto by się w końcu spodziewał takiego zaplecza po bandzie zbirów. Za prętami znajdowało się ogromne pomieszczenie, zastawione czymś, co mogło być narzędziami tortur. Na ścianach wisiało kilkanaście szkiców przedstawiających różne żywe istoty od środka. Zerknąwszy na malunki, Salianka doszła do wniosku, że te żywe istoty bardziej jej się

podobają od zewnątrz, a poza tym twórca tych niby dzieł nie miał talentu za grosz. - Często muszą wam się trafiać porwa... albo i nie. Nie jest ci chyba zbyt wygodnie? - zapytała.

Jedno spojrzenie na komnatę upewniło ją, że gdziekolwiek by się znajdowała, nie jest to na pewno budynek należący do jej porywaczy. Świadczył o tym drobny, ale istotny fakt: pośród tych wszystkich wyrafinowanych urządzeń i szkiców leżał Terk rozkrzyżowany na czymś w rodzaju drewnianego stołu. W usta miał wepchniętą jakąś szmatę. Pozycja, w jakiej go spętano, nasuwała nieprzyjemne skojarzenie ze szkicami, których na swoje szczęście mężczyzna nie mógł widzieć, bo wisiały za jego głową. Nie wyglądał jednak na kogoś, kto docenia ten rodzaj szczęścia. Rzucił Saliance wściekle spojrzenie.

- No co? Nie moja wina... - oburzyła się dziewczyna, ale zaraz urwała. Na stole obok Terka leżał Pazur, również unieruchomiony, i popiskiwał. Królowna zacisnęła dłonie na prętach tak mocno, że aż wgniotła żelazo.

- Kto... - zaczęła głosem, który nie wróżył nic dobrego.

- Ach, obudziłaś szę - powiedział ktoś. W pole widzenia Salianki wkroczył człowiek przypominający z twarzy gнома, w przybrudzonej czymś brunatnym szacie. Zacierał ręce w sposób, który Saliance natychmiast skojarzył się ze słowami: obsesyjny, anormalny, paranoiczny, obłąkany.

- Thansz nie thfa długo. Faszczynujące.

Zatarł jeszcze raz dłonie, a potem wykręcił nimi młynka. W tym czasie jego łysa, osadzona na pomarszczonej szyi głowa zbliżyła się do krat, żeby przyjrzeć się dziewczynie. Wyglądało na to, że pomiędzy ruchami wąskich palców i karku nie ma żadnej koordynacji.

- Czyżby? - Królowna nie wyglądała na zafascynowaną. Ktoś śmiał zrobić krzywdę jej pupilowi i jeśli tym kimś był ten brudny szaleniec, to mógł być pewien, że zobaczy jeszcze wiele „faszczynujących” rzeczy. Z tym że już na tamtym świecie.

- Szkoda, że nie mogę pszyjszeć czy szę bliszej... - zmartwił się tymczasem chudzielec.

- Ale w Tszech Wieszach chcą czę szyfą. Thudno, thudno... - zasepił się jeszcze bardziej. Cmokając z niezadowoleniem podszedł do drewnianych stołów i przysunął sobie niewielką skrzyneczkę. Kiedy ją otworzył, na jego gnomiastej twarzy pojawił się grymas niemal ekstatycznego szczęścia. Zanurzył dłonie w skrzyneczce i począł w niej grzebać.

Salianka, Terk i Pazur obserwowali każdy jego ruch, niczym zahipnotyzowane ofiary grzechotnika.

- Thudno - powtórzył jeszcze raz gospodarz tego dziwnego przybytku - shobię tylko dfie fifisekcje. - Uniósł do góry nieduży, ale na oko ostry nożyk.

- Wiwisekcje?! - wrzasnęła królowna, tak że aż jeden ze szkiców odpadł ze ściany.



- Tak, tak - zachichotał człowiek o chorym umyśle. Gładził ostrze niemal z uczuciem. - Najpiehwo człowiek, potem pies. Alesz będzie sabafa!

Terk szarpnął desperacko łańcuchami, ale nic mu to nie dało. Trzymały mocno. Szalencie dalej chichotał, oglądając swój nożyk i przymierzając się do pierwszego cięcia. Jego euforię przerwał zgrzyt żelaza. Eksperymentator odwrócił się, wojownik też dał sobie spokój z szarpaniem łańcuchów. Obaj spojrzeli w stronę celi. A było na co popatrzeć.

Salianka właśnie wyginała pręty. Robiła to zupełnie bez wysiłku i prawdopodobnie bez zastanowienia. Wściekły wzrok wbiła w chudego człowieka.

- Czo? Czo? - spłoszył się, widząc, co się dzieje. - To niemożliwe!

A jednak, wbrew wszystkiemu, było to możliwe. Już po chwili wyrwa w kracie była na tyle duża, że zmieściłaby się w niej nie tylko dziewczyna, ale nawet ktoś ze dwa razy od niej większy.

- Ja ci pokażę wiwisekcję na moim piesku! - warknęła królowna, przechodząc pomiędzy wygiętymi prętami. W jej ruchach było coś nieludzkiego, zupełnie jakby miejsce człowieka zajął nagle drapieżnik. Nie odrywała oczu od swojego celu, a jej źrenice, choć może było to tylko złudzenie spowodowane grą światła i cienia, stały się niemal żółte.

Niedoszły oprawca cofał się, podrygując przy tym nerwowo. Nagle poczuł się bardzo, bardzo mały i bardzo, bardzo słaby. Nie miał nawet siły wzywać pomocy. Uciekał tylko kroczonek za kroczonek, ale nie miał szans. Saliance wystarczyło kilka kroków, przypominających raczej susy dzikiego zwierzęcia niż ludzki chód, żeby go dopaść.

- Eksperymenty, co? - Złapała go dłonią za szyję. Chudzielec rzeził trochę, gdy unosiła go w górę. Przebierał bezradnie nogami w powietrzu i mętnie zastanawiał się, czy to naprawdę szczupłe palce królowny czuje na gardle. Rozsądek podpowiadał mu, że tak, panika, że wręcz przeciwnie. Jego rozterki zostały w brutalny sposób przerwane, gdy Salianka rzuciła nim o ścianę. Chrupnęły łamane kości.

Królowna stanęła nad ciałem niedoszłego oprawcy. Wytrzymały to on nie był. Wystarczyło jedno uderzenie i już złamał kark. A szkoda. Miała ochotę zrobić z nim jeszcze parę rzeczy, rozszarpać mu gardło na przykład albo wypruć wnętrzności. Odruchowo dotknęła dłonią ust. Przed chwilą czuła, jak rosną jej kły. Ale nie było już po nich śladu.

- Sam sobie zrób wiwisekcję. - Z trudem powstrzymała się przed kopnięciem zwłok. - Na mojego pieska z nożem się pchać, idiota - mrużąc pod nosem, podeszła do drewnianych stołów.

Rozzerwanie łańcuchów nie stanowiło problemu. Uszczęśliwiony Pazur rzucił się wylizywać jej twarz. Salianka z roztargnieniem podrapała go za uszami. Ponad czarnym łbem

psa patrzyła na rozkrzyżowanego Terka. Denerwujący był, ale z drugiej strony...

- A co mi tam - stwierdziła i zajęła się kruszeniem jego łańcuchów. - Będiesz mi winien przysługę - uprzedziła, strzepując z dłoni okruchy żelaza.

Porywacz nie odpowiedział, choć gdy tylko uwolniła mu ręce, wyciągnął sobie z ust knebel. Usiadł i rozcierając obolałe nadgarstki, wpatrywał się ponuro w królową, ze szczególnym uwzględnieniem smukłych dłoni, które przed chwilą cisnęły dorosłym mężczyzną o ścianę, a potem rozerwały żelazne kajdany, jakby to była pajęczyna.

Tak naprawdę Terk nie mówił nic, bo nie miał pojęcia, co powiedzieć. Powinien był zaufać instynktowi, który od początku mu podpowiadał, że z tą dziewczyną będą kłopoty, i to duże. Ale z drugiej strony, nawet gdyby wtedy spróbował ją zabić, a nie porywać, niby dlaczego miałoby mu się to udać? Ktoś, kto jedną myślą unosi w górę pnie drzew i gołymi rękami kruszy żelazo, raczej nie ma powodu, by obawiać się rosnącego mężczyzny z mieczem. Ktoś taki nie musi bać się niczego.

Kiedy udało mu się uniknąć zmiżdżenia przez lewitujące drzewo, doszedł do wniosku, że musi się na dziewczynie zemścić. Wiedźma przeklęta, potraktowała go jak zabawkę. Podążał za nią, a kiedy wreszcie był blisko, napad tych dziwnych zbirów uniemożliwił mu działanie. Teraz nie był już pewien, czy zemsta to taki dobry pomysł. Duma wojownika walczyła z rozsądkiem i przegrywała.

- Jak długo byłam nieprzytomna? - zainteresowała się nagle królowa, zupełnie jakby odpowiedź na to pytanie była najważniejszą sprawą na świecie.

- Kilka godzin... może kilkanaście... chyba - powiedział najemnik głosem tak spokojnym, że aż sztucznym.

- Mógłbyś zwracać baczniejszą uwagę na takie rzeczy! - Salianka w jednej chwili zrobiła się nerwowa. Z jej ruchów znikła ta dziwna drapieżność, zgasł lekko żółtawy blask w oczach. Zupełnie jakby bestia, która zamordowała człowieka i skruszyła metal, odeszła, ustępując miejsca zwyczajnej, bardzo przestraszonej i zmartwionej dziewczynie. - Kilka godzin... - Przygryzła nerwowo wargi i usiadła na stole, z którego przed chwilą zdjęła Pazura. Wpatrywała się smętnie w podłogę i wyglądało na to, że zaraz pograży się w ponurych rozmyślaniach.

- Co właściwie się z tobą działo? - Terk zadał pytanie ostrożnie, jakby badał grunt. Wciąż trudno mu było poukładać sobie to wszystko, co przed chwilą zaszło.

- Co... Ten trans, tak? - upewniła się, odzyskując rezon. - To choroba rodzinna. Dziedziczna. Takie coś, co potwierdza przynależność do arystokracji.

- Niektórym księżniczkom wystarcza sypianie na ziarnkach grochu - zauważył delikatnie

wojownik. Tylko dlaczego, dodał boleśnie w duchu, akurat nie tej?!

- Niektóre księżniczki mają w życiu z górki - odwarknęła Salianka. - A ja nie mam czasu na to wszystko! - Zeskoczyła na podłogę i rozejrzała się po sali. - Gdzie my, do diabła, właściwie jesteśmy?

Teraz, kiedy ściany celi nie ograniczały pola jej widzenia, mogła się wszystkiemu przyjrzeć dokładniej, chociaż nie było warto. Oprócz maszyn, nad których przeznaczeniem nie zamierzała się zastanawiać, i ohydnych szkiców nie było tam nic. W kamiennych ścianach nie było żadnego okna, które pozwalałoby stwierdzić, co jest na zewnątrz. Brak widoków starał się rekompensować zatęchły odorek.

- Założyłbym się, że w jakimś lochu - zaryzykował Terk.

- Nie zwróciłeś uwagi, gdzie nas zamykali? - Królowna była zdeglustowana.

- Ogłuszyli mnie - przyznał niechętnie. Dziewczyna nabrała powietrza w płuca i wydała z siebie coś na kształt męznego westchnienia.

- Gdzie byśmy nie byli, trzeba stąd wyjść - stwierdziła rzeczowo. Z góry przyjęła, że Terk stoi teraz po tej samej stronie co ona. Poza tym różniej się uciekało z niewoli we dwójkę, no i było do kogo głowę otworzyć. Pazur jako partner do konwersacji nie spełniał swojego zadania. Królowna przywykła do dyskusji z kimś, kto ma własne, często złośliwe zdanie.

Brakowało jej tych przeklętych Wrót.

Nie mieli wielkiego wyboru, bo z lochu wychodził tylko jeden korytarz, wąski i ciemny. Salianka najpierw przyjrzała mu się dokładnie, jakby był czymś obrzydliwym, a potem weszła. Pazur, usilnie starający się nie oddalać od swojej pani ani nie iść na przódzie, deptał jej po piętach.

Terk poszedł za nimi, bo żadnej innej możliwości nie widział. Trudno mu było skupić się na ucieczce, kiedy przed oczami uparcie przewijał się obraz królowny gołymi rękami rozrywającej łańcuchy. Dlaczego pozwoliła się porwać?!

Nie rozważał tej kwestii zbyt długo, bo za pierwszym zakrętem zderzył się z zawracającą królowną. Zatykała nos, krzywiła się i ogólnie wyglądała na niezbyt szczęśliwą.

Idący obok niej pies miał podkulony ogon.

- Uciekamy inną drogą - wyskrzeczwała Salianka. Ponieważ ścisnęła nos palcami, jej głos brzmiał dość śmiesznie.

- Nie ma innej drogi - zaprotestował wojownik.

- Musi być - uparła się dziewczyna, wymijając go. Najwyraźniej miała zamiar wrócić do miejsca, z którego wyszli.

- A co jest nie tak z tą?

- Śmierdzi - westchnęła z bólem królowna. - Ktoś tu nie opłacał dobrze sprzątaczek - dodała potępiająco.

- Nie będziemy chyba rezygnować z ucieczki tylko dlatego, że po drodze śmierdzi - zirytował się Terk. Mógłby podać wiele powodów, dla których należałoby zrezygnować w wyboru jakiejś drogi, ale zapach na pewno nie był jednym z nich.

- Jak dla mnie to wystarczający powód - oceniła Salianka. - Obmacamy meble w tym lochu, może jest jakieś tajne przejście.

- W tajnych przejściach są pułapki - wyjaśnił, dziwiąc się, skąd bierze się w nim tyle cierpliwości. Być może miało na to pewien wpływ towarzystwo szalonej zakładniczkimorderczyni. - Zasadzki, koła z zębami, topory wylatujące ze ścian. To jest gorsze niż jakiś odorek.

Wyraz twarzy dziewczyny świadczył, że jest odmiennego zdania. Wciąż ostentacyjnie zaciskała sobie palce na nosie.

- Posłuchaj, to tylko kawałek korytarza. Wyjdziemy na świeże powietrze, zanim się obejrzysz.

Nie wyglądała na przekonaną, ale poszła za nim. Niestety, korytarz, nie dość, że straszliwie śmierdzący, był długi i rozgałęziony.

- Zgubiliśmy się - stwierdziła królowna jakieś piętnaście zakrętów dalej. - I ciągle śmierdzi.

- Wcale się nie zgubiliśmy - zaprzeczył Terk. Czuł, że jego cierpliwość już kona w mękach.

- Zgubiliśmy się - upierała się. Przez to, że zatykała nos, jej głos przypominał kwakanie znerwicowanej kaczkę.

W korytarzu śmierdziało zresztą tak, że i Terk chętnie odizolowałby sobie zmysł węchu, ale nie mógł tego zrobić, przynajmniej nie wtedy, kiedy ona patrzyła. Pewne rzeczy były kwestią honoru.

- Nie! Bądź przez chwilę cicho, muszę się zastanowić.

Królowna wzruszyła ramionami i demonstracyjnie zajęła się swoimi sprawami, czyli zaglądaniem do odchodzących na boki korytarzy. W jednym wydało jej się, że dostrzegła jakiś ruch. Zajrzała głębiej, za nią, z nosem przy jej spódnicy, szedł Pazur.

W pewnej chwili rozległ się trzask i krzyk dziewczyny. Terk rzucił się w głąb korytarza, w którym zniknęła. Kilka zakrętów dalej Salianka klęczała nad ciemną dziurą. Połamane deski, niegdyś zapewne przykrywające otwór, świadczyły, że ktoś tam niedawno wpadł. Dochodzące z dołu szczekanie sugerowało, że tym kimś był Pazur.

Zanim najemnik zdążył do niej dobiec, królowna już siedziała na brzegu dziury.

- Co robisz?

- Schodzę na dół. Tu trupio śmierdzi, a tam jest mój pies. Wybór jest dość oczywisty, prawda? - Zeskoczyła w ciemną czeluść. - Tu jest drugi korytarz! - z głębi dobiegł jej głos.

Wojownik zastanowił się. Czy to w tych korytarzach czy poziom niżej, sytuacja przedstawiała się tak samo niewesoło. Nie miał pojęcia, w którą stronę iść, do tego za którymś zakretem mogły czyhać straże albo wspólnicy szaleńca z nożykiem. Sam nie dałby im rady. Pójście za Salianką sprawiało wrażenie lepszej alternatywy.

Dziura nie była głęboka. Odkryty przez królownę korytarz okazał się niższy od tego na górze, Terk musiał się schylać, żeby nie walić głową o sufit. Było tu też o wiele ciemniej, ale oczy szybko przyzwyczajały się do mroku. Już po chwili mógł rozróżnić kształty, chropowate ściany, stojącą obok dziewczynę i Pazura merdającego radośnie ogonem.

- W lewo czy w prawo? - zapytała Salianka.

- Co? - nie zrozumiał jej porywacz.

- Którędy idziemy - wyjaśniła cierpliwie. - Mnie jest wszystko jedno, z żadnej strony nie śmierdzi.

Najemnik mimowolnie zaczął wachać powietrze. Było trochę stęchłe, ale trupi odorek nie rzucał się już w nozdrza.

- Ja mam wybierać? - upewnił się.

- A kto? - popukała się w czoło królowna. - Podobno się znasz. Zakładnicy, psy i ryby głosu nie mają.

Terk doszedł nagle do wniosku, że ma zwyczajnie dość. Tego, że wszystko idzie nie tak, tego, że to jego zakładniczka zdaje się kierować całym porwaniem, miał dość ponurych lochów, obrzydliwych kreatur, wyskakujących zza rogu niebezpieczeństw, a nawet psa, który go chyba polubił. Oświadczenie, że ona tu jest ofiarą porwania i w związku z tym nie ma zamiaru o niczym decydować, wyprowadziło go z równowagi. Tego było już za wiele.

- Kim ty właściwie jesteś? - wybuchnął. - Odkąd to księżniczki rozrywają łańcuchy gołymi rękoma? Co tu w ogóle robisz i dlaczego pozwoliłaś się porwać?!

- Koniecznie musisz to wszystko wiedzieć? - zmarszczyła nos Salianka.

- Chciałbym tylko wiedzieć dlaczego - nie ustępował.

- Jestem Panią Twierdzy, nie muszę się nikomu tłumaczyć - przypomniała sobie nagle królowna. - To jak, w lewo czy w prawo?

- Przynajmniej, skoro już łaskawie uznałaś się za zakładniczkę, mogłabyś zachowywać się jak zakładniczka - burknął, pogodziwszy się widać z faktem, że tym razem nic więcej od

niej nie wyciągnie. Teraz i tak miał w zasadzie większe zmartwienie: na przykład jak wyjść z tego wszystkiego żywym.

- Staram się. - Nerwowo zabębniła palcami o ścianę. - Naprawdę się staram. Tylko czasami przypominam sobie, jak mało mam czasu... - urwała nagle. - Zresztą chyba i tak jesteś za inteligentny, żeby się dać tak nabrać. To w lewo czy w prawo?

- W lewo - poddał się wojownik. Chyba nie miał wyjścia, nie wyobrażał sobie raczej, że to jemu uda się zmusić królową do wykonywania poleceń. Pozostało mu więc tylko stosować się do jej koncepcji. I odgrywać rolę porywacza, skoro akurat taki miała kaprys.

- Dlaczego akurat w lewo?

- Bo po tej stronie ludzie mają serce - udzielił pierwszej odpowiedzi, jaka przyszła mu na myśl.

- W takim razie to fatalny wybór - stwierdziła Salianka. - Ale oczywiście ja nic nie mówię - dodała, dostrzegłszy spojrzenie Terka. - Idziemy. - Ruszyła w lewo, a za nią Pazur.

W tym korytarzu nie sposób było się zgubić. Był wąski, prosty, a idealnie gładkie ściany wykluczały istnienie jawnych czy ukrytych przejść. Nie czuć było trupiego odoru, ale za to panowała całkowita i bezdyskusyjna ciemność. Szli już dosyć długo, kiedy Salianka nagle się zatrzymała.

- Kraty - oznajmiła.

Mężczyzna musiał solidnie wyteżać wzrok, zanim dostrzegł przeszkodę.

- Zawracamy?

Królowa przyjrzała się krytycznie kratom, po czym chwyciła dwa pręty. Potrwało trochę, zanim udało jej się je wygiąć. Pies natychmiast przeskoczył na drugą stronę.

- Przełaż - ponagliła najemnika.

Posłuchał, ale umięśniona klatka piersiowa sprawiła, że utknął. Salianka musiała przepychać go pomiędzy prętami. Kiedy wreszcie jej się udało, przeszła sama.

- Z mojej Twierdzy byłoby o niebo łatwiej uciec - mruknęła, przywracając prętom poprzedni kształt. - To powinno zatrzymać na jakiś czas ewentualny pościg.

- A ktoś nas ściga?

- A skąd mam wiedzieć? Nie musiałam nigdy uciekać z więzień, ratowano mnie!

- Szkoda, że teraz nie ma nikogo, kto by ciebie, i przy okazji mnie, uratował - zauważył zgryźliwie Terk. Doprawdy nie mógł sobie wyobrazić, jak ktokolwiek mógł wpaść na pomysł, że tej „bezbronnej” dziewczeczce potrzebny jest ratunek. O wiele więcej sensu miałyby ratowanie przed nią. Samokrytycznie zaczynał dochodzić do wniosku, że trzeba być skończonym idiotą, żeby porywać kogoś takiego.

- Nie liczyłabym na żadnego bohatera - sprowadziła go na ziemię królowna. - To gatunek na wymarcie. Żyj bohatersko, umrzyj młodo, a możesz liczyć na cholerną skoczną piosenkę.

- Prawdziwego bohatera nie tak łatwo zabić - zaprotestował Terk, któremu w dzieciństwie umysł podtruły wspaniałe sagi serwowane dzieciom w postaci bajeczek pełnych krwi, za to ubogich w niecenzuralne namiętności. Nie zapalał co prawda chęcią zostania herosem, był na to zbyt egoistyczny i zbyt rozsądny, ale swoje o bohaterach wiedział.

- Prawdziwy bohater we własnym interesie powinien umrzeć jak najszybciej - odburknęła. - Bo im dłużej żyje, tym większa szansa, że zrobi coś, czego prawdziwy bohater robić nie powinien. Wtedy przestanie być bohaterem. A to byłby przecież koniec świata, prawda? - zabrzmiało to dziwnie gorzko, ale wojownik nie miał czasu się nad tym zastanawiać, bo natknęli się na kolejną kratę.

Salianka bez słowa chwyciła za pręty, żeby je odgiąć, ale żelazo, zamiast ustąpić, rozblysło dziwnym światłem. Coś jakby parsknęło, a królownę odrzuciło w głąb korytarza. Wylądowała twardo na podłodze. Potrwało kilka chwil, zanim doszła do siebie.

- Co, u diabła... - Złapała się za głowę. Huczało jej pod czaszką tak, jakby jej ktoś zwałił na łeb jedną z wież Twierdzy.

- Trzeba będzie zawrócić - stwierdził pochylający się nad nią Terk. On sam nie próbował nawet dotknąć kraty. Skoro dziewczyna nie mogła dać sobie z nią rady, to on nie miał najmniejszych szans.

- Ty chyba sobie żartujesz. - Salianka natychmiast otworzyła oczy i zapomniała o tym, że miała ochotę się nad sobą poużalać. Chwiejnie stanęła z powrotem na własnych nogach. - Tam śmierdzi!

- Nie zostaniemy tu przecież na zawsze! - zaprotestował najemnik.

Wyraz twarzy królowny świadczył, że owszem, byłoby to całkiem dobre wyjście, ale zaraz wzięła się w garść.

- Nie tak, to inaczej - stwierdziła filozoficznie. Wyciągnęła przed siebie rękę, wycelowała ją w kratę. - To tylko jeden duży kawałek żelaza - powiedziała sama do siebie. - Drobiazg w porównaniu z lewitacją toporami.

Najpierw nic się nie działo, potem coś lekko zgrzytnęło. Najemnik ze zdumieniem zauważył, że kratka zaczyna się trząść. Tryskały z niej snopy iskier, ale nie mogły uczynić krzywdy komuś, kto nie dotykał żelaza. Na czole Salianki pojawiły się kropelki potu, ale nie opuszczała ręki. Krata wygięła się, najpierw pośrodku, potem pręty wyrwały się ze ścian i całość poleciała w ciemny korytarz.

Królowna opuściła gwałtownie ramię, zupełnie jakby nie miała już siły trzymać go w

górze. Gdzieś rozległ się brzdęk świadczący, że żelazo upadło na podłogę.

Terk ostrożnie obszedł swoją zakładniczkę naokoło. W ciemności ciężko to było stwierdzić, ale chyba pobladła.

- Czy jest coś jeszcze, o czym jako porywacz powinienem wiedzieć? - zapytał z naciskiem. Poruszanie pni jedną myślą, kruszenie łańcuchów, wyłamywanie krat siłą woli... Sam nie wiedział, czego jeszcze mógł się po niej spodziewać.

Salianka podniosła na niego zmęczone oczy. Wyłamanie tych prętów musiało być dla niej strasliwym wysiłkiem, bo ledwo trzymała się na nogach.

- Nie pamiętam.

- Trudno - skrzywił się. - Pomóc ci?

Pokręciła głową powoli, jakby bała się, że przy gwałtowniejszym ruchu odpadnie.

- Zaraz dojdę do siebie.

Ruszyli dalej, mijając rozwaloną kratę. Po kilku krokach korytarz rozszerzał się gwałtownie na boki i w górę, przechodząc w gigantyczną pieczarę.

- A to niby co ma być? - zdziwiła się niemrawo królowa. Jaskinia była tak przepastna, że nawet swoim demonim wzrokiem nie mogła dostrzec sufitu ani jej drugiego końca.

- W ścianie są łańcuchy - zauważył najemnik, spoglądając z niepokojem na okowy, najwyraźniej przez kogoś, czy może coś, zerwane. - Ogromne. To trochę przypomina celę...

- Na coś ogromnego? - dokończyła słabym głosem Salianka. Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. Miała już dość, chciała do domu. Zemsta na egzorcystach nagle okazała się bardzo męczącym przedsięwzięciem, choć przecież jeszcze nawet ich nie dopadła.

- Trudno. Co by to nie było, zabiję to - oznajmiła mężnie. - Jeśli nie będzie zgniłe i śmierdzące - zastrzegła na wszelki wypadek.

- Nie jesteśmy zgnili i śmierdzący - odezwał się ktoś miłym, głębokim głosem. - A mimo to wolelibyśmy pozostać przy życiu.

Królowa i wojownik natychmiast odwrócili się w tamtą stronę.

Zza załomu skalnego wyszły dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Na umarlaków nie wyglądali, byli wręcz bezdyskusyjnie żywi. Nie mieli też broni, której mogliby użyć do ataku. Nie widać po nich było zresztą chęci do bitki, zwłaszcza po kobiecie. Była drobna, wręcz filigranowa, i nie do pomyślenia było, żeby taka istota mogła komukolwiek zrobić krzywdę swoimi małymi, białymi dłońmi. Miała długie jasne włosy spowijające ją niczym królewski płaszcz i ogromne błękitne oczy, lśniące tak, że niemal przyćmiewały swoim blaskiem resztę jej twarzy. A szkoda, bo delikatne, jakby wyrzeźbione rysy warte były podziwiania. Prosta szarobłękitna szata stanowiła doskonale tło dla jej urody, nie przyćmiewając jej zbędnym



przepychem, a podkreślając subtelną prostotę. Swojemu towarzyszowi kobieta nie sięgała nawet do ramienia, prawie przy nim nikła. Mężczyzna był bardzo wysoki, wyższy może nawet od Terka. Szerokie barki i rysujące się pod ubraniem mięśnie kazały domyślać się w nim wojownika. Jego twarz zdawała się wyciosana z twardego kamienia. Miał mocno zarysowaną szczękę, prosty nos i głęboko osadzone szare oczy.

Salianka uświadomiła sobie nagle wyraźnie, że wszystkie upiększające utensylia trafił gdzieś szlag, nigdzie nie ma lustra, a ucieczka przez zatęchłe lochy raczej nie dodała jej urody. W rozpuszczone włosy zaplątało się pewnie kilkanaście pajęczyn, zmagania z dziwną kratą potwornie ją zmęczyły, co musiało się odbić na jej wyglądzie, a sukienka jest co najmniej przykurzona. W pierwszej chwili już nawet zaczęła unosić dłonie, żeby poprawić włosy i otrzepać sukienkę, kiedy dotarł do niej bezsens takiego działania. Do stu demonów, pętała się po obcych krainach, trzeci raz ją porwano, ktoś chciał wiwisekcjonować jej pieska, a aktualnie uciekała nie wiadomo przed kim i co gorsza, nie wiadomo dokąd. Po tym wszystkim miała chyba prawo wyglądać na tak zaniedbaną, jak tylko jej się podobało. I nie było sensu się tym przejmować tylko dlatego, że na jej drodze stanął jakiś typ z pięknymi oczami. Drugi raz na piękne oczy Salianka nie miała zamiaru dać się nabrać, co to, to nie!

- Ja bym ich i tak zabił - zauważył Terk, spoglądając na nieznajomych z niechęcią. - Na wszelki wypadek.

Salianka już miała mu entuzjastycznie przytaknąć, ale ugryzła się w język. Z tą dwójką coś było nie tak, mówiły jej to demonie zmysły. Głupio byłoby wpakować się niechcący w jeszcze większe kłopoty, jeśli można było na przykład połączyć swoje siły, wydostać się z tego lochu, a potem ich zabić. Tak, wykorzystanie ludzi i pozbycie się ich, kiedy już nie będą potrzebni, to był zdecydowanie dobry plan. Godny Pani Twierdzy.

- Zabić zawsze zdążymy - stwierdziła ugodowo. - To więźniowie szaleńca, tak jak i my. Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem, czy jakoś tak.

- Zaiste - zgodził się nieznajomy, mierząc ją wzrokiem. - Pan tego zamku nie jest zbyt życzliwy dla swoich gości. Przyjdzie mu za to kiedyś zapłacić. - W jego oczach błysnęło coś złowrogo.

- Już zapłacił - mruknął Terk.

Instynkty Salianki zakrzyknęły dwugłosem. Ludzka część jej „ja” nie życzyła sobie informować właściciela tego powalającego uśmiechu o tym, że Salianka łamie ludziom karki lub wrywa serca, nawet jeśli zrobiła to właściwie niechcący. Demonia część „ja” wrzaskliwie protestowała przeciwko ujawnianiu potencjalnych atutów. Nieco cichszym głosem informowała też, że z tą ludzką połówką coś jest mocno nie w porządku, ale na to

królowna nie zwróciła już uwagi, posłusznie stosując się do najgłośniejszych postulatów.

- Mój rycerz go pokonał - oznajmiła z dumą w głosie, zanim najemnik zdążył coś palnąć. Ale Terk nie próbował nawet sprostować tego, co powiedziała, bo dłoń, którą Salianka mimochodem położyła mu na ramieniu, zaciskała się o wiele mocniej, niż można się było spodziewać po smukłych palcach.

- Dzielnego masz, pani rycerza. Chylę czoło przed jego męstwem. - Nieznajomy skłonił lekko głowę, nie spuszczać wzroku z rzekomego bohatera.

Kiedy się wyprostował, przez chwilę, prawie niedostrzegalny moment, zatrzymał spojrzenie na dłoni królowny opartej na ramieniu najemnika. Wciąż uśmiechał się nad wyraz uprzejmie, ale w szarych oczach błysnęła niechęć, a może nawet nienawiść.

- Zrobię wszystko, by chronić moją panią - zapewnił przez zaciśnięte zęby Terk. Pełne wrogości spojrzenie nieznajomego nie umknęło uwadze najemnika, ale mimo to udało mu się udzielić uprzejmej odpowiedzi i sprostać tym samym oczekiwaniom królowny, bo uścisk na jego ramieniu zelżał. Co więcej, Salianka, spoglądając na niego z ukosa, cofnęła rękę.

- My nie stanowimy dla niej zagrożenia - zapewnił go mężczyzna, który widać mylnie odczytał grymas na twarzy najemnika. - Choć przyznaję, że wykazaliśmy się karygodnym brakiem manier. Zwą mnie Yan, a moim przywilejem i obowiązkiem jest strzec pani Esy. - Skłonił lekko głowę. Jego towarzyszka nawet nie drgnęła. Milczała przez cały czas i niczym nie zdradzała, co w ogóle myśli o spotkanym towarzystwie. Patrzyła tylko na nich tymi ogromnymi oczami, przewiercając spojrzeniem. Kiedy tak stała w milczeniu, otoczona aureolą złotych włosów, nieruchoma niczym posąg, stawała się niemal straszna.

Królowna nie dostrzegała Esy prawie wcale. Właściwie w ogóle niewiele dostrzegała, a to dlatego, że strasznie zaczęła ją boleć głowa. Miała ochotę jedną ręką uwodzicielsko odgarniać włosy z twarzy, a drugą wypruć nowym znajomym wnętrzości. Ech, z Wrotami było mniej problemu niż z opętaniem. One przynajmniej jasno i dobitnie komunikowały co i jak, a nie grzebały dziewczynie w instynktach.

Terk jak na złość nie kwapił się do dokonania dwornej prezentacji, więc zapadła po słowach Yana niezręczną ciszę musiała przerwać Salianka. Z niejakim wysiłkiem zdusiła w sobie i ciągoty romantyczne, i mordercze i przywołując na twarz krzywy grymas, mający imitować serdeczny uśmiech, dokonała prezentacji.

- Jestem Salianka. To Terk, mój rycerz, i oczywiście Pazur. - Pies nieufnie wystawił łeb zza jej spódnicy. Nie podobali mu się nowi znajomi jego pani, ale na wszelki wypadek zachował warczenie dla siebie.

W zapadłej ponownie ciszy Yan patrzył na Saliankę, nawet nie próbując ukryć swojego

wręcz nieuprzejmego zainteresowania, a ona nawet nie musiała udawać, że tego nie widzi. Te cholerne instynkty znowu zaczęły szarpać jej wnętrzem, i to ze zdwojoną siłą, zupełnie jakby coś je podsycalo.

Nie zdążyła sprecyzować do końca myśli, bo z korytarza echo przyniosło jakby odgłosy kroków i nawoływań. Wszyscy odruchowo spojrzeli w tamtą stronę, a Pazur schował się za spódnicą Salianki.

- Nie zabiliście strażników! - Esa błyskawicznie, niczym atakująca żmija, odwróciła głowę w stronę najemnika i królowy. W jej głosie dało się odczuć pretensję.

- Zabiliśmy szaleńca! - zdenerwowała się Salianka. - To mało?

- Trzeba będzie się przedrzeć. - Yan wyraźnie spochmurniał. - A oni mają magiczną broń.

- Nie ma stąd innego wyjścia?

- Jest, ale zakratowane, tak jak...

- Jeśli tak jak to, którym przyszliśmy, to Terk sobie poradzi. - Królowa klepnęła najemnika w plecy, pozornie przyjaźnie, a naprawdę tak, że musiał zaciskać zęby, żeby nie jęknąć. - Prawda, Terk? W końcu jest bohaterem. Wyłamał jedną kratę, wyłamie i drugą.

Terkowi nie pozostało nic innego, jak pokiwać energicznie głową i znieść dwie pary nieufnych spojrzeń, jakimi go obdarzono.

- No to już - zarządziła Salianka, złapała najemnika za ramię i pociągnęła w mrok jaskini, szukając wzrokiem drugiego korytarza. - Po prostu udawaj, że łapiesz kratę - poleciała szeptem. - A potem zawróć po mnie, bo mogę nie być w stanie sama iść. I nie próbuj mnie oszukać, bo na pewno będę miała jeszcze dość siły, żeby przylewitować twoją głową o ścianę.

Rzeczywiście był drugi korytarz. Pazur wbiegł w niego pierwszy, Salianka bezceremonialnie wepchnęła za nim Terka. Sama zwolniła kroku. Zależało jej, żeby iść na końcu, za Esą i Yanem. Wtedy mogła zza ich pleców wyłamać pręty, a potem zamaskować wysiłek, jaki ją to kosztowało, i upozorować omdlenie. W końcu księżniczki coraz to mdleją, a już w lochach szaleńca, ścigane przez zbrojnych wyposażonych w jakąś straszliwą broń, to obowiązkowo.

- Jest krata - usłyszała okrzyk współnika w oszustwie.

- Na co czekasz, wyłam ją - niecierpliwiła się następująca mu na pięty Esa.

Królowa zatrzymała się za ich plecami, skryta za załomem skalnym. Wsparła się dłonią o ścianę i skoncentrowała. Żelazna zaporą, o którą w teatralnej pozie opierał się Terk, zaczęła drżeć. Na czole Salianki pojawiły się krople potu, zaczęła się lekko chwiać. Krata nagle ze zgrzytem odleciała w głąb korytarza i upadła poza polem widzenia.

Królewnie udało się utrzymać na nogach, ale łatwe to nie było. Gdyby nie skała, o którą się opierała nie tylko rozczapierzonymi dłońmi, ale i plecami, osunęłaby się na ziemię.

Tamci chwilowo nie zwracali na nią uwagi, Terk w oszołomieniu rozcierał podrapane dłonie, a Esa starała się przemknąć przez korytarz, nie dotykając przy tym szczątków żelastwa. Pazur już dawno pobiegł naprzód i teraz poszczekiwał niecierpliwie.

Nie było z nimi Yana.

Salianka była przekonana, że szedł przed nią, ale nie było go tam, na pewno. Tylko tego brakowało, żeby ukradkiem zamarudził gdzieś z tyłu i skojarzył sobie wysiłek królowny z wyrwanymi prętami... Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że dziewczynę coś w jej wnętrzu usilnie przed nim ostrzegało.

Na wszelki wypadek jedną myślą poderwała w powietrze odłupany kawałek skały, dostatecznie duży, żeby przy odpowiedniej prędkości lotu nie tylko mężczyznę ogłuszyć, ale zrobić mu z głowy miazgę. Na samą myśl o takim scenariuszu ludzkie instynkty zaczęły protestować, ale kazała im się zamknąć. Nie miała zamiaru wchodzić dwa razy do tej samej rzeki, o nie! Ba, miała zamiar w ogóle omijać wszelkie zbiorniki wodne.

I zabijać pięknookich głupców, zanim oni spróbują zabić ją.

Skutkiem tej decyzji było, że Salianka stanęła u wylotu korytarza dokładnie w chwili, gdy ogromny smok palił swoim ogniem ostatnich strażników, a raczej to, co z nich zostało. Rzecz jasna, zaniemówiła.

Smok był chyba ostatnim, czego mogła się spodziewać. Jaskinia nie miała żadnych przepastnych odnóg, w których mógłby się ukryć, i naprawdę, ale to naprawdę nie mógł się ot tak, z nagle pojawić, wcześniej niezauważony. Zwłaszcza że bestia była ogromna, zdawała się wypełniać całą pieczarę, przytłaczając swoim rozmiarem nie tylko drobne, niemal rachityczne trupki, ale i skalne więzienie. Królowna nigdy wcześniej nie widziała smoka, ale czytała o nich w książkach, widziała starannie wykonane ryciny. I musiała przyznać, że choć zaskakująco podobne do pierwowzoru, obrazki nie oddawały bestiom sprawiedliwości. Nic dziwnego zresztą. Jak dzieło ludzkich rąk mogło wyrazić tę potęgę i majestat, które zdawały się wręcz emanować z potwora? A kiedy smok spalił już wszystkie upiory, zamknął pysk, skurczył się w sobie i stał z powrotem Yanem, który odkaslnął, oczyszczając gardło z ostatniego obłoczka dymu.

Salianka z wrażenia upuściła kamień.

Smok zauważył ją i podszedł bliżej, skupiając na królewnie spojrzenie swoich szarych oczu. Nie przypominały już luster, miały białka, tęczówki i źrenice, a mimo to kiedy dziewczyna w nie patrzyła, czuła się, jakby nagle ktoś zamknął ją w pudełku zrobionym ze

zwierciadeł, bez wyjścia i bez wejścia, gdzie nie ma nic, tylko gładkie tafle szkła. Demonie „ja” wreszcie zdołało zagłuszyć rozmarzone zachwyty ludzkiego i wrzeszczało na alarm. Ale Salianka, mimo że nagle uwolniona spod czaru smoczego spojrzenia, nadal nie była w stanie się ruszyć.

- Nie powinnaś była zawracać - powiedział złowrogo Yan, a w oczach zaślnęły mu płomienie, zupełnie jakby przymierzał się do spalenia królowny jednym oddechem. Zanim zdążył dodać coś jeszcze, rąbnął plecami o ścianę jaskini, a palce Salianki zacisnęły mu się na gardle. Grunt usunął mu się spod nóg, a on podjechał w górę, podtrzymywany przez dziewczynę jedną ręką.

Królowna nie zdążyła się nawet zastanowić, co robi, instynkt demona pchnął ją wreszcie do działania.

- Nie mów do mnie więcej takim tonem - zasugerowała mu zimno.

Ku jej zaskoczeniu smok, zamiast drżeć z lęku albo choć trochę zaniepokoić się obrotem sprawy, roześmiał się. Trochę słabo, bo przeszkadzała mu jej dłoń, wciąż zacisnięta na gardle.

- Nie miałem pojęcia, z kim mam do czynienia.

- Serio? - skrzywiła się Salianka. - To skoro już wiesz, że twoje mieszanie w głowie na mnie nie działa, to łaskawie przestań, bo coś ci wyrwę. Głowa mnie od tego boli!

Westchnął teatralnie, jakby jej żądanie sprawiło mu przykrość, ale posłuchał. Ta część Salianki, która dotąd wpatrywała się w niego cielecym wzrokiem, otrząsnęła się z ogłupienia i pełnym głosem zaczęła domagać się krwi. Smoczej.

- Mogłabyś mnie puścić - zaproponował. - Możemy zagrać w otwarte karty, zamiast próbować się tu pozabijać.

Królowna rozważyła tę opcję. Miała poważne obawy, że w starciu z kimś takim może nie dać sobie rady... Poza tym w końcu oboje chcieli stąd uciec - skoro mieli wspólny cel, to nie warto było się zabijać... Na razie.

Puściła jego gardło i odstepiła o krok.

- Więc jesteś smokiem? - upewniła się.

Skinął głową.

- Ale wyglądasz jak człowiek! - Królowna wycelowała w niego oskarżycielsko palec. Do diabła, świat był wystarczająco skomplikowany i bez smoków, które wcale nie wyglądają jak smoki. O ileż byłoby łatwiej, gdyby wszyscy byli tym, na co wyglądali. Salianka na przykład miałaby wtedy krosty, garb i szpiczasty podbródek. I kto wie, może byłaby szczęśliwsza.

- Nie, to ludzie wyglądają jak smoki - sprostował spokojnie Yan.

- Że niby jak? - Salianka uznała, że sposób, w jaki to powiedział, był dla ludzi wybitnie

obraźliwy.

- Upodobniliście się do nas... na swój własny, dość ograniczony sposób.

- Jak cię palnę! - W obronie dobrego imienia całej ludzkiej rasy królowna poderwała się z już uniesioną pięścią. W porę przypomniała sobie, że w tym akurat przypadku wynik ewentualnej bójki pozostaje pod znakiem zapytania. Zresztą o wiele rozsądniejszym wyjściem byłby pakt. Mając Yana po swojej stronie, miałyby dużo większe szanse wydostać się z tego paskudnego miejsca bez szwanku.

- To nie będzie konieczne. - Yan cofnął się odrobinę, unosząc ręce w obronnym geście. Wyglądał raczej na rozbawionego niż rzeczywiście przestraszonego. - Zdążyłem się już przekonać, co twoje palnięcia potrafią zdziałać.

- No właśnie. - Salianka uświadomiła sobie, że on wcale nie jest silniejszy od niej... Kiedy złapała go za gardło, w pierwszym odruchu próbował się wyrwać i nie udało mu się. Chociaż prawdopodobnie, gdyby próbował dłużej... - Smoki powinny być silniejsze od demonów! - zauważyła z pretensją. Były w końcu... ogromne. Coś tak wielkiego powinno być najpotężniejsze na świecie! A tymczasem nawet ona dała sobie z nim radę.

- Jesteśmy, od niektórych. Ale ty nie jesteś demonem... - zawiesił głos, oczekując od niej wyjaśnienia. Nie była demonem, nie była też całkiem człowiekiem, tego był pewien. Intrygowała go coraz bardziej.

- Ale jestem silna - ucięła krótko królowna. Nie miała najmniejszego zamiaru wdawać się w skomplikowane tłumaczenia. W końcu to nie była jego sprawa. - Wylałam kratę, inaczej dalej gnilibyście w tym lochu. Ty byś nie był w stanie tego zrobić, prawda? Zgaduję, że była tu specjalnie przeciw smokom - przypomniała, przyglądając mu się podejrzliwie. - Gdybym była, dajmy na to, zwykłą dziewczuchą, to pewnie skręciłbyś mi teraz kark? - domyśliła się.

- Nawet byś nie poczuła.

- Dziękuję bardzo - zdenerwowała się Salianka. Miała dość ludzi chcących ją zabić. Zwłaszcza tych przystojnych. - Byłabym martwa, do stu diabłów, tobym chyba poczuła.

- Pięknie wyglądasz, kiedy się złości - zauważył zniemacka Yan, wodząc spojrzeniem po jej twarzy. - Byłoby mi bardzo przykro, gdybym cię musiał zabić.

Królowna na chwilę zaniemówiła. Poczowała, jak zdradliwe gorąco wypełza jej na policzki, prawdopodobnie ozdabiając je wściekle czerwonym rumieńcem. Ludzkie „ja” poderwało się radośnie, gotowe ponownie poddać się wpływowi smoka i rozplýwać w głupekowatym zauroczeniu. Salianka strzeliła mu mentalnego kopa. Pomogło.

- Też by mi było przykro - zauważyła chłodno. - Zwłaszcza że łatwo by ci nie poszło i

być może to ja bym musiała zabić ciebie.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem, królowna rozzłoszczona jak coś większego od kotki, tygrysica na przykład albo gryficy, a smok chłodny i pozornie obojętny, jak chwilowo nieaktywny wulkan. Żadne tej potyczki nie wygrało, więc niezależnie od siebie, ale wyjątkowo zgodnie, postanowili zachowywać się, jakby do niej w ogóle nie doszło.

Zwłaszcza że w korytarzu pojawił się zdyszany Terk.

- Ko... pani - poprawił się. - Czyżbyś zasłabła? Pomogę...

- Nie trzeba - osadził go Yan, ujmując Saliankę pod ramię. - Właśnie pomagałem panience iść.

Wojownik spojrzał na niego z ukosa, ale ponieważ królowna wydawała się nie mieć nic przeciwko, wruszył tylko ramionami i pośpieszył z powrotem. Salianka, podtrzymywana kordialnie przez smoka, ruszyła za nim.

- Wyjaśnij mi jedno - powiedziała cicho. - Skoro smoki wyglądają jak ludzie, to skąd w bajkach, legendach i całej reszcie tego chlamu takie drobiazgi jak na przykład łuski? Przecież ty wyglądałeś... jak smok tylko przez chwilę!

- Potrafimy morfować, na krótko. Kiedyś dla żartu jeden z nas przybrał kształt wielkiej jaszczurki specjalnie po to, żeby przestraszyć jakiegoś namolnego kmiotka. Kmiotek zwał, niestety, i co gorsza, okazał się jakimś bardem - westchnął ciężko i melancholijnie Yan. - Plotka... kto by pomyślał, że ma taką siłę. Większą niż armia, większą niż moc smoka.

- Niech zgadnę: napisał jakąś chwytliwą piosnkę, którą nagle zaczęło nucić pół okolicy - domyśliła się królowna. Historia brzmiała nieprzyjemnie znajomo.

- Owszem. Skąd wiesz? - zapytał zdziwiony.

- Znam takich jak on. O mnie też śpiewają.

- Naprawdę? - Smok spojrzał na nią z zainteresowaniem.

- Ostatnio, zdaje się, o tym, że mam kurczaki na nosie i piekę ludzi żywcem w piecu - uzupełniła Salianka.

- To idiotyzm - uznał smok. - Człowiek nie zmieści się do pieca, nie żywcem i w jednym kawałku.

- Do mojego się zmieści - stwierdziła królowna. - Nie żebym korzystała z tej możliwości - dodała zaraz. Powinna była ugryźć się w język.

- Bardowie naprawdę są dziwni - stwierdził zdumiony Yan, przystając gwałtownie. - Na ich miejscu, gdybym cię zobaczył, zająłbym się pisaniem o blasku twoich oczu, uśmiechu... cóż, ty się nie uśmiechasz. A szkoda... Twój uśmiech musi być wart całego złota świata.

- Oni mnie nie widzieli - sprostowała z kamienną twarzą Salianka. Ludzkie „ja”

znokautowało demona jednym silnym ciosem. Pod królowną ugięły się kolana. - A co do uśmiechu... raczej nie mam powodów.

- Niemożliwe. - Pochylił się ku niej. - Gdybyś powiedziała, że bawi cię widok płomieni, podpaliłbym cały świat, żeby tylko usłyszeć twój śmiech.

Salianka nagle zaczęła z całego serca żałować, że przeklętych Wrót nie ma wtedy, kiedy akurat są potrzebne. Gdyby z nią były, wymyśliłyby jakąś błyskotliwą ripostę albo wręcz przeciwnie, byłyby jadowicie złośliwe, co natychmiast sprowadziłyby królowną na ziemię. A tak miała wrażenie, że jej stopy unoszą się nad kamienną podłogą.

Wyrwała smokowi swoje ramię i oddaliła się stanowczym krokiem, stawiając stopy na ziemi tak mocno, że prawie się w nią wbijały.

- Ty masz chyba problemy z określeniem celów, wiesz? - rzuciła przez ramię. - Raz chcesz zabijać, raz uwodzić, zdecyduj się może.

Na to smokowi zabrakło słów i tylko włożył się za nią w milczeniu.

Terk, Esa i Pazur czekali przy rozwidleniu korytarzy. Yan wyminął królowną i zajął miejsce przy boku swojej towarzyszki, która zlustrowała go podejrzliwym spojrzeniem. Widać wedle jej gustu za długo zamarudził, pałac strażników.

Zaraz... Saliankę prawie wmurowało w ziemię, ale ciało na szczęście reagowało wolniej niż umysł.

Smoczyca.

To było tak oczywiste, że Salianka sama się sobie dziwiła, iż wcześniej na to nie wpadła. Prawda, obecność Yana rozpraszała jej uwagę. A wystarczyło się tylko lepiej przyjrzeć. Smoki przecież różniły się od ludzi, choć trudno było na pierwszy rzut oka dostrzec ich odmienność.

Przed wszystkim inaczej się poruszali. Z gracją i wdziękiem, zupełnie jakby płynęli w powietrzu. Każdy najdrobniejszy gest wydawał się być przemyślany i wystudiowany. Kiedy obracali głowy, robili to zupełnie tak jak gady - lekko pochylali się do przodu i zataczali szyjami ćwierć obrotu. Ich twarze przypominały rzeźby, były o wiele bardziej symetryczne i kształtne od ludzkich.

Dwa smoki. Królowna ugryzła się w język, żeby nie zacząć kłąć. Z dwoma nie dałaby sobie rady. Nie była wystarczająco silna. Gdyby tylko z jakiegoś powodu postanowiły zaatakować...

Trzeba się było zmywać z tych lochów, i to jak najszybciej. A potem koniecznie pożegnać się ze smokami i ruszyć w przeciwnym kierunku niż one, byleby był to kierunek na Morską Bryzę.



- Tędy - zarządziła, skręcając w jedną z odnóg korytarza.

Esa przyjrzała się uważnie obu odnogom i skierowała się do przeciwnej niż Salianka.

- Tędy - stwierdziła. - To droga do wyjścia - dodała.

- Skąd wiesz? - zapytał podejrzliwie Terk. Wskazany przez nią korytarz niczym nie różnił się od pozostałych.

Smoczyca powoli odwróciła głowę, by spojrzeć na niego błękitnymi, prawie nieruchomymi oczami. Terk poczuł nieprzyjemny dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Esa była piękna, bardzo piękna, jak powołana do życia rzeźba z pracowni artysty, ale jednocześnie, kiedy patrzył na jej urodę, czuł odrazę. Jakby pod alabastrową skórą czaiła się zgnilizna. Yan tylko Terka niepokoił, ale jego towarzysza... w niej czaiło się coś obrzydliwego.

- Stąd napływa świeże powietrze - powiedziała swoim pięknym głosem. - Nie czujecie?

Wojownik zmarszczył nos, próbując coś wyczuć. Na próżno. Stojąca obok niego królowna nawet się nie wysilała, stęchły odór przytłaczał wszystko inne. Najwidoczniej smoki miały wrażliwszy węch niż ludzie. Nie widziała powodu, dlaczego nie mieliby z tego skorzystać.

- Idziemy - zarządziła niecierpliwie. Nie miała zamiaru siedzieć w tych lochach aż do ostatecznej utraty świadomości. Zawołała psa i ruszyła w ślad za Esą, która nie czekając na nich, już znikła w ciemnościach korytarza. Smok z ukłonem puścił królowną przodem. Chciał przepuścić też jej towarzysza, ale ten pokręcił głową.

- Ty przodem - zasugerował.

Yan wzruszył tylko ramionami, ale posłuchał. Dla niego nie miało znaczenia, czy ma kogoś za plecami. Tak było nawet lepiej. Widział przed sobą Saliankę, jej ciemne włosy i smukłą sylwetkę.

Terk wolał iść ostatni. Żałował tylko, że nie ma miecza, maczugi, kuszy czy czegokolwiek o ostrym czubku. Coś było nie tak już nie tylko z jego zakładniczką, ale z miejscem, w którym się znaleźli, i z ich przygodnymi towarzyszami, a już najbardziej z kobietą o błękitnych oczach. Nie pocieszało go nawet, że będzie mógł opowiadać historie o tym, jak wyratował cudnej urody pannę i jeszcze parę włóczęgów z niewoli szaleńca. Żeby móc się chełpić, musiałby najpierw dotrzeć żywy do domu.

\* \* \*

Esa szła bardzo szybko, nie zważając na to, czy za nią nadążają. Już po przejściu kilku

zakrętów królowna wzięła psa na ręce. Tak było szybciej, poza tym nie chciała go zbyt przemęcać, Pazur zasnął, a nawet pochrapywał.

Obudziło go dopiero jasne światło słońca, niemal oślepiające po długiej wędrówce mrocznymi korytarzami.

Smoczy ślepotą zdawała się nie dotyczyć, wyszła na niewielkie prostokątne podwórko i zatrzymała się, obserwując czujnie chropowate ściany i niskie przejście prowadzące gdzieś dalej. Idąca za nią królowna musiała przystanąć na chwilę, mrugając intensywnie. Dopiero wtedy była w stanie rozróżnić szczegóły otoczenia. Postawiła psa na ziemi i *zadarła* głowę do góry, wciągając głęboko świeże powietrze. Aż do tej chwili nie zdawała sobie do końca sprawy, jak bardzo zatęchłe i ciemne były podziemia.

Yan, tak jak i Esa, nie miał żadnych problemów ze wzrokiem, ale Terk zaklął paskudnie, jak tylko wyszedł na zewnątrz. Światło dnia oślepiło go, sprawiło, że czuł się kompletnie bezbronny. Po omacku szukał najbliższej ściany, żeby przywrzeć do niej plecami i w razie niespodziewanego ataku mieć przynajmniej zabezpieczone tyły. Wyciągnięte ręce zamiast na ścianę trafiły na zde gustowaną Saliankę.

- Co ty, u diabła, robisz? - zapytała gniewnie.

- Nic nie widzę!

- Bo też i nie ma na co patrzeć - uznała, spoglądając krytycznie na kamienne ściany. Wyglądały, jakby od kilkuset lat tylko i wyłącznie stały, znosząc cierpliwie kaprysy pogody i brak ludzkiego towarzystwa. - Uspokój się, zaraz ci przejdzie.

- Jeśli nas zaatakują...

- Tu nikogo nie ma. - Esa pochyliła się i prześlizgnęła przez niskie drzwi. Teraz stała po drugiej stronie. Królowna pośpieszyła za nią, tak że ucze pionny jej ramienia Terk musiał prawie biec, żeby ją dogonić. Salianka zatrzymała się obok smoczy.

Przed nimi rozpościerał się pusty, zakurzony dziedziniec, otoczony z trzech stron pozostałościami murów, z czwartej stykający się z na wpół zrujnowaną, niekształtną budowlą, która ziała złowrogo dziurami nielicznych okien. Wszystko zbudowano z jasnego kamienia i teraz, w świetle słońca, wyglądało to jak pustynia. Nie było nawet śladu ludzkiej obecności, jedynymi żywymi istotami były konie zaprzęgnięte do wozu, którym jechali najemnik i królowna. Zwierzęta z filozoficznym spokojem skubały jakąś wyschniętą trawkę.

- Przynajmniej jest nasz wóz - stwierdziła Salianka. - Możemy się stąd wynosić, im szybciej, tym lepiej. Chyba że chcecie poczekać, może się jacyś siepacze pojawią.

Nikt nie zdradzał ochoty na czekanie. Pazur obwąchał wóz, zamerdał ogonem, dając znać, że wszystko w porządku. Konie spojrzwały z niepokojem na smoki, ale się nie spłoszyły.

Terk, który już odzyskał wzrok, uparł się powozić. Yan i Esa nie protestowali, Saliance było wszystko jedno. Byle jak najdalej od tej ruiny i byle wreszcie pozbyć się towarzystwa smoków.

## ROZDZIAŁ 5

Kto by pomyślał, że to takie wielkie miasto - westchnął z rozpaczą Tord. - Kto by pomyślał, że tyle tu samotnych dziewcząt z psami. - Orvd zapatrzył się ponuro w talerz ze śniadaniem. Nawet jedzenie nie sprawiało mu już przyjemności, nawet wrodzony fatalizm, dotąd źródło jego nieustającej satysfakcji, zwinął manatki i poszedł przygnębiać się gdzieś indziej.

Musieli wszyscy przyznać sami przed sobą, że rozgłoszenie, kogo poszukują, było błędem. Przybyli do Szaroskał wieczorem, półtora dnia temu. Pięciu przystojnych, postawnych, noszących się z godnością młodych mężczyzn, od razu wzbudziło niezdrowe zainteresowanie. To zainteresowanie, połączone z szeptaną informacją, że ci wspaniali rycerze poszukują młodej kobiety podróżującej z psem, doprowadziło do nagłego i gwałtownego wzrostu popytu na szczeniaczki.

Portret królowy ustawili pod ścianą, tak żeby każdy wchodzący miał na niego widok. Mimo oczywistego niepodobieństwa do wizerunku niektóre panienki usiłowały ich przekonać, że to jednak one są tą poszukiwaną. Ich upór w tej materii nadszarpnął mocno morale drużyny. Rycerze zaczęli zdradzać niejaki objawy załamania nerwowego. Tord i Orvd, zupełnie nie zważając na godność stanu rycerskiego, dawali nura pod stół, gdy tylko uchylały się drzwi gospody. Tak jak teraz.

- Kobieta, ale bez psa - rzucił Alvad w stronę podłogi. On jeden siedział twarzą do drzwi, podczas gdy pozostali kulili się zwróceniem plecami do wejścia. Zielonooki rycerz wolał patrzeć na maślane ślepia rozchichotanych pańienek niż na portret Salianki i jej ponurą, pozbawioną nadziei twarz. Ilekroć zerkał na malowidło, miał wrażenie, że królowa spogląda właśnie na niego i co gorsza, w jej oczach wcale nie ma oskarżeń. Tylko rezygnacja i smutek.

- Kot? Kura? Szal z lisów? - dopytywał się Orvd, wierząc się pod stołem. Obaj z Tordem byli zbyt rośli, żeby łatwo zmieścić się na ograniczonej przestrzeni. - Wiesz, jakie one potrafią być uparte.

- Żadnego zwierzaka.

Dwaj bohaterowie wdrapali się z powrotem na ławę. Nawet nie próbowali tłumić westchnień ulgi. Mieli już zdecydowanie dość rozemocjonowanych arystokratek, niewykluczone, że na całe życie.

- Lepiej, żeby się nie okazało, że gdzieś chowa szczeniaczka - mruknął Tord, rzucając na przybyłą nieufne spojrzenie. Kobieta nie była co prawda w wieku, kiedy uchodzi uganiać się za rycerzami, ale to samo można było powiedzieć o zreumatyzowanej babinie, która rzucała im się w ramiona kilka godzin wcześniej.

- Nie wygląda... - zaczął król, oglądając się na jasnowłosą szlachciankę. Nie sprawiała wrażenia kogoś, kto robi rzeczy głupie. Ubrana była w błękitną suknię pozbawioną zbędnych ozdób, niezwykle dobrze skrojoną, mimo to raczej skromną. Takiego stroju nie założyłaby osoba, której jedynym celem jest zrobienie wrażenia na mężczyźnie. Ruchy jasnowłosej szlachcianki pełne były dostojęstwa. Szare oczy spoglądały na świat z uwagą, ale bez podejrzliwości. - Widziała królową - stwierdził nagle Eind.

- Jesteś jakimś medium? - zainteresował się zgryźliwie siedzący trochę z boku Plaskat. On już stracił nadzieję, że w tym przeklętym mieście trafią na jakikolwiek ślad Salianki.

- Spojrzała na obraz i rozpoznała ją, jestem pewien - upierał się król. Wyraźnie widział, że kiedy nieznajoma dostrzegła portret królowy, na jej twarzy na chwilę pojawił się wyraz zaskoczenia. Z całą pewnością widziała już wcześniej Saliankę, choć najwyraźniej nie miała zamiaru się do tego przyznawać. Król wstał i zbliżył się do jasnowłosej kobiety. Rycerze i Plaskat, wszyscy jednakowo sceptyczni, obserwowali go ze swoich miejsc.

- Proszę mi wybaczyć, szlachetna pani, ale czy...

Szlachetna pani nie traciła czasu, tylko od razu kopnęła Eindę w goleń, pchnęła z całej siły na najbliższy stół i korzystając z tego, że król chwilowo nie był w stanie jej zatrzymać, zwała, roztrącając osłupiałych klientów gospody. Rycerze natychmiast rzucili się zbierać z podłogi powalonego króla, a zebrawszy, rzucili się w pogoń za kobietą. Plaskat na widok króla potraktowanego w tak bezczelnie pozbawiony szacunku sposób najpierw parsknął w kufel ze śmiechu, a potem dołączył do pogoni. Dzięki temu, że rzucił się nieco inaczej niż pozostali, to jest przez okno, a nie przez drzwi, udało mu się odciąć jasnowłosej drogę ucieczki. Kobieta znalazła się w potrzasku: jeden koniec uliczki zagradzał jej Piąty, za jej plecami rycerze jeden po drugim wypadali z gospody. Na blondynce nie zrobiło to wrażenia, obrzuciła taksującym spojrzeniem najpierw stojącego naprzeciw niej mężczyznę, potem czterech wojaków, którzy zachodzili ją od tyłu. Sięgnęła do jednego z szerokich rękawów sukni i wyciągnęła sztylet. Sposób, w jaki go trzymała, kazał przypuszczać, że jest z tą bronią

nieźle obeznana.

Przy drzwiach gospody wśród rycerzy zapanowała widoczna konsternacja. Niemal zaczęli grzebać nerwowo palcami stóp w ziemi, tak byli zafrasowani.

- Co jest? - wrzasnął z drugiego końca uliczki Plaskat. Nie czas był teraz na jakieś bohaterskie przedstawienia, nie kiedy znowu znaleźli ślad Salianki.

- To kobieta! Nie możemy walczyć z kobietą! - odkrzyknął mu wyraźnie zdenerwowany Orvd. - Nie wypada!

Pozostali rycerze pokiwali głowami. Kobiety były od czczenia, wielbienia z oddali i wygłaszania poematów na ich cześć. W każdym razie kobiety w eleganckich sukniach właśnie do tego służyły.

- Gdyby była barbarzyńską wojowniczką w skórach, to jeszcze by uszło! - dodał gromko Tord. - Ale ona ma sukienkę!!

Piąty w myślach odmówił skróconą wersję litanii do wszystkich najgorszych demonów w najgłębszych piekłach, polecając ich opiece wszystkich przeklętych szlachetnych bohaterów.

- Królowna też nosi sukienki, a nie muszę wam chyba przypominać...! - warknął głośno.

- No tak! - zmieszał się trochę Alvad. Czuł się coraz bardziej niekomfortowo ze świadomością, że próbował zabić Saliankę. - Ale ona jest... była zła!

- A ta tutaj ma nóż! Dobre kobiety nie noszą noży!

- Ty się nią zajmij! - zaproponował Tord, wyraźnie ucieszony prostotą rozwiązania. - Wy tam w Twierdzy i tak nie macie honoru...!

- Tylko jej nie zabij! - uzupełnił ostrzegawczo Orvd. - Bo może nigdy nie uratujemy tej waszej królowny!

Przez cały czas jasnowłosa kobieta przysłuchiwała się ich wrzeszczanej dyskusji najpierw z zaskoczeniem, a potem z zainteresowaniem. To zainteresowanie znacznie wzrosło, kiedy padły słowa „królowna” i „Twierdza”. Do tego stopnia, że energiczna szlachcianka opuściła sztylet. Co prawda tylko odrobinę, ale zawsze. W każdym razie przestała rozważać rzucenie nim w gardło Plaskata.

- Jesteście z Twierdzy? - zapytała.

Rycerze i Piąty spojrzeli na nią, jakby dopiero teraz zdali sobie sprawę z jej istnienia. Przez cały czas, kiedy krzyczeli do siebie nawzajem, jakimś cudem umknął im fakt, że temat ich rozmowy nie tylko stoi obok, ale jeszcze słucha. Teraz nagle to do nich dotarło. Była to dość kłopotliwa świadomość, zwłaszcza że w ferworze dyskusji nie do końca liczyli się ze słowami.

- Tak. Praktycznie rzecz biorąc... Tak - przyznał z lekkim wahaniem Plaskat. W zasadzie byli po drugiej stronie Gór Omszałych. Tu przyznanie się do pochodzenia z Twierdzy chyba niczym nie groziło, przynajmniej niczym brutalnym. A jeśli ta kobieta wiedziała coś o królownie, gotów był przyznać się nie tylko do pochodzenia, ale do wszystkich zbrodni, które popełnił. - Widziałas moją Panią, prawda? - Postąpił o krok w jej stronę, ale zaraz się zatrzymał. Przypuszczalna szlachecianka wciąż trzymała w dłoni sztylet. I chyba nie do końca porzuciła pomysł ewentualnego wykorzystania broni. - Wiesz, gdzie ona jest?

Kobieta przygryzła wargi, jakby szykując się do przekazania złych wieści. Jej spojrzenie uciekło w bok, omijając Piątego.

Plaskat nagle poczuł, że ziemia ugina mu się pod stopami. Na oślep podszedł do najbliższej ściany i wsparł się o nią ręką.

- Nie żyje? - zapytał dziwnie ochrypłym głosem.

- Nie, skąd - zapewniła go pośpiesznie jasnowłosa, wyraźnie przestraszona jego reakcją. Z drugiego końca ulicy rycerze spoglądali na swego towarzysza ze zdumieniem. Podczas wspólnej podróży nie zdarzyło im się jeszcze widzieć, żeby coś go tak poruszyło.

- Żyje, to znaczy tak mi się wydaje... Ale na pewno żyje, tylko podąża prosto w paszczę lwa.

Powietrze, które Piąty wciągał do płuc, nagle straciło swój nieznośny ciężar. Bruk na ulicy znów był prosty i twardy, a na wieczornym niebie, choć było to niemożliwe, zaświeciło słońce. Plaskat wyprostował się, otrzepując z irytacją dłoni. Nie powinien był dać się ponieść emocjom, nie przy ludziach, a konkretniej, nie przy tych ludziach. Ale najważniejsze, że Saliance nic nie było.

- Lepiej dla tego lwa, żeby miał mocne zęby - mruknął. - Więc gdzie ona jest?

Kobieta wciąż nie wyglądała na przekonaną, czy powinna z nimi rozmawiać. Za jej plecami Eind zrobił krok do przodu. Natychmiast odwróciła się do niego, wciąż gotowa odeprzeć atak.

- Królowna została porwana - powiedział łagodnie król, a szczerść i szlachetność wręcz z niego promieniowały, rozświetlając blaskiem szarą ulicę. - Wyruszyliśmy jej na ratunek. Nim jednak zdołaliśmy dogonić porywaczy, królowna zdołała im uciec. Ona nie zna tutejszych okolic, zwyczajów, krain. Pierwszy raz jest sama poza Twierdzą, w ogóle nie wie, jak wygląda zwyczajne życie. Musimy ją odnaleźć i odwieźć do domu.

- Jesteście z Twierdzy? - upewniła się jasnowłosa.

- Tak - odparł stanowczo Piąty, zanim którykolwiek z rycerzy zdążył się odezwać. Tylko tego teraz brakowało, żeby powiedzieli prawdę, a może jeszcze wdali się w zawile

tłumaczenia. - Jestem Plaskat, Piąty Rady Twierdzy. Ci szlachetni rycerze - wskazał na drugi koniec uliczki - towarzyszą mi w szaczonej misji odnalezienia i ocalenia naszej Pani - udało mi się nie przyznać, jak jest naprawdę, a jednocześnie nie skłamać, przynajmniej nie na tyle, żeby król i jego towarzysze poczuli się zmuszeni go skorygować. - Proszę, powiedz nam, kiedy spotkałaś królową? Wszystko z nią w porządku? Gdzie ona jest?

- Na imię mam Kalta - przedstawiła się kobieta. - Trzy dni temu waszą królową przedstawił mi nasz... mój przyjaciel.

- A skąd on ją znał? - rzucił obojętnie Alwad. Tak bardzo obojętnie, że aż nie dało się tej całkowitej obojętności nie zauważyć.

- Spotkali się w Leśnej Przystani - słysząc to, rycerze wymienili między sobą spojrzenia. Znalazł się tajemniczy młodzieniec, z którym Salianka podążyła w nieznaną, choć wciąż niejasną drogą, dlatego to zrobiła. Kalta nie dostrzegła ich reakcji. Mówiła dalej: - O ile wiem, pomogła mu wypłatać się z... drobnych kłopotów, a on zabrał ją do miasta. Była zagubiona i bała się swoich porywaczy.

- Bała się? - zdziwił się Tord. - Przecież ona ich... - urwał gwałtownie. Zajął się masowaniem obolałej nogi, w którą kopnął go stojący obok król. Jasne było, że kobieta nie mówi im wszystkiego. Zrećnie prześlizgiwała się po tematach „mój przyjaciel” i „drobne kłopoty”. Może zresztą sama nie wiedziała, co właściwie zaszło w Leśnej Przystani. Lepiej jej było nie uświadamiać, że zagubiona i przerażona królowa zabiła już co najmniej cztery osoby.

- Miło z jego strony, że się o nią zatroszczył - wtrącił Piąty, mając nadzieję, że Kalta szybko zapomni o zaskoczeniu Torda. - Ale gdzie królowa jest teraz?

- Tu właśnie pojawia się problem - zmartwiła się Kalta. - Spotkałam ją trzy dni temu, była bardzo zmartwiona, kiedy dowiedziała się, że Jonas opuścił miasto. Wczoraj wyruszała karawana na drugą stronę Gór Omszałych, wasza królowa miała się z nią zabrać, ale kiedy poszłam do niej do gospody, powiedziano mi, że wyniosła się stamtąd jeszcze przed rozmową ze mną. Obawiam się, że pojechała za Jonaszem... Księżniczki bywają afektowane, a on jej pomógł.

Było jej bardzo przykro, że nie dopilnowała arystokratki. W końcu trudno od królowy wymagać znajomości życia czy choćby sensownych postępów. Jak się całe życie spędza w pięknym pałacu, z dala od trosk, w otoczeniu wiernych sług chroniących swoją panią od wszelkich cieni i problemów, to trudno postępować rozsądnie, kiedy jest się nagle zdanym na samą siebie. Kalta czuła się winna, że o tym wcześniej nie pomyślała. Nie należało zostawiać Salianki samej w gospodzie w obcym mieście, przerażonej i z pewnością przekonanej, że



jedyną życzliwą jej osobą na tym świecie jest Jonas.

Kalta знаła się na ludziach, znała się na ich kłamstwach i dobrze wiedziała, że lęk Plaskata i słowa Einda były szczerze. Im naprawdę zależało na odnalezieniu królowny. A ona była gotowa im pomóc w miarę swoich możliwości. W końcu jaki byłby ten świat, gdyby ludzie nie pomagali sobie w nieszczęściu?

- Cóż... - zawahał się król. Nie był pewien, czy takie określenie pasuje do Salianki.

- Nasza nie jest afektowana - stanowczo wszedł mu w słowo Plaskat. Jego Pani afektowana! Gdyby nie to, że miał na głowie zbyt wiele zmartwień, zdrowo by się z tego uśmieł. - Jeśli rzeczywiście pojechała za tym chłopakiem, to nie z porywów serca. Musiał istnieć inny powód.

- Wydaje mi się... - Kalta nie wyglądała na przekonaną. Tord drapał się w głowę z powątpiewającym zamyśleniem wypisanym na twarzy.

- Znam ją - uparł się Piąty. - Jeśli nawet zakochała się w tym, jak mu tam, Jonasie, to nie pobieglaby za nim. Chyba że groziłoby mu jakieś śmiertelne niebezpieczeństwo, wtedy owszem, pewnie rzuciłaby się, żeby go ratować. Miała takie niezdrowe skłonności, chociaż liczyłem, że się z nich wyleczyła... - zakończył gorzko. Alvad miał tyle przyzwoitości, żeby spuścić głowę.

- Ale w takim razie... kiedy już uciekła egzorcystom, powinna była wrócić do Twierdzy razem z karawaną - zaprotestował król. - Po co miałyby podążać w głąb Konwentu?

Przez cały czas Plaskat wpatrywał się w twarz kobiety, jakby liczył, że tam znajdzie odpowiedź. I rzeczywiście znalazł. Kalta dobrze ukrywała swoje myśli i uczucia, ale nie potrafiła zapanować nad jednym drobnym odruchem, lekkim zmarszczeniem brwi, gdy słyszała lub widziała coś znajomego. To właśnie zdradziło Piątemu, co mogło mieć związek z szaloną wyprawą Salianki.

- Egzorcyci - powiedział głośno. Wszyscy odwrócili głowy w jego stronę. - Co oni mają z tym wszystkim wspólnego?

Spłoszone spojrzenie, jakim kobieta obrzuciła ulicę, sprawdzając, czy nikt ich nie słyszy, wystarczyło, by stwierdzić, że trafił w dziesiątkę. Plaskat bez wahania sięgnął po miecz.

- Pozostaje tylko pytanie: jesteś z nimi czy przeciw nim? - ciągnął, kierując ostrze w stronę Kalty.

Nie cofnęła się, uniosła tylko dumnie podbródek.

- Stoję przeciw wszystkim, którzy sieją chaos i zamęt, by pod pozorem szlachetnej walki ze złem realizować własne brudne cele.

- To dotyczy także egzorcystów, tak? - upewnił się Orvd, któremu „szlachetna walka ze

złem” natychmiast skojarzyła się z pewnymi dziejowymi wydarzeniami, w których do tego brał osobiście udział. - Tych głupków w opończach, którzy patrzą na wszystkich jak pies na kość, jakby się zastanawiali, od którego końca zacząć wypędzanie z człowieka zła, które koniecznie i na pewno musi w nim siedzieć.

- Wszystko jasne - mruknął Plaskat, chowając broń. - Nie wiem, czy obchodzi ją twój przyjaciel, ale wiem, jaki miała powód, żeby za nim jechać - powiedział do Kalty.

- Nie myślisz chyba, że postanowiła zemścić się na egzorcystach? - zdumiał się Eind.

Wiedział, jakim torem podążają myśli Piątego, ale nie mógł się pogodzić z nasuwającymi się wnioskami. Kto porwałby się na coś takiego, by z dala od domu, z dala od sojuszników, na nieznanym terenie, wydać wojnę organizacji, której siły nie można nie doceniać? Królowa nie była głupia, nie zrobiłaby czegoś takiego. Poza tym król mimo tego wszystkiego, czego dowiedział się o Saliance w ciągu ostatnich kilku dni, nie mógł wypchnąć z głowy obrazu tej zagubionej dziewczyny zza krat. Ona miałaby się stać mścicielką? Zabiła kilku ludzi, ale przecież w samoobronie lub, co było niewątpliwie szlachetne, broniąc tego tajemniczego młodzieńca.

- Sama przeciw nim, i to na ich terenie, to szaleństwo - poparł go Alwad. - Jeśli już koniecznie chciała z nimi walczyć, to rozsądniej było wrócić do Twierdzy po armię.

- Może uznała, że nie ma dość czasu - powiedział ponuro Piąty.

Był już prawie pewien, że ma rację. Salianka nie wierzyła, że uda jej się odzyskać Wrota i zachować świadomość. Czy to dziwne, że przed końcem swojej egzystencji postanowiła policzyć się z tymi, którzy sprawili jej najwięcej kłopotów? Plaskat był pewien, że krwiożerczość demona musiała wzmocnić złość dziewczyny i doprowadzić do tego, że rzuciła się niemal na oślep w pogoń za swoimi wrogami, żeby tylko zdążyć rozszarpać ich na strzępy, póki jeszcze ma jaźń, która będzie to z satysfakcją obserwować.

- Dlaczego? - zdziwił się Tord. O ile pamiętał, ludowa mądrość głosiła, że zemsta najlepiej smakuje na zimno.

- Jest jeszcze coś, o czym nie wiecie - oznajmił Piąty. - Właściwie jest pewnie jeszcze wiele rzeczy, o których nie wiecie - dodał uczciwie - ale to jest najważniejsze. Nie mogę wam powiedzieć zbyt wiele, właściwie to jest tajemnica państwowa, ale wygląda na to, że dla dobra poszukiwań muszę dopuścić się zdrady stanu. - Wziął głęboki oddech. - Królowa sądzi, że niebawem odejdzie w niebyt. Znaczący umrze.

Miał nadzieję, że obejdzie się bez wtajemniczenia rycerzy w, nazwijmy to, stan zdrowia jego Pani, ale okazało się, że świadomość rychłego końca wywiera na postępowanie Saliarki zbyt wielki wpływ. Podążający jej na ratunek bohaterowie powinni wiedzieć, co pcha

nieszczęsną porwaną dziewczeczkę dokładnie w przeciwną stronę, niż znajduje się Twierdza. Wtedy, a przynajmniej taką miał Plaskat nadzieję, odnalezienie Salianki stanie się o wiele prostsze. Na twarzach rycerzy i kobiety, wciąż przysłuchującej się rozmowie, pojawiło się zaskoczenie. Salianka nie wyglądała na kogoś, kto lada chwila miał paść trupem. Jak na konającą osobę, miała stanowczo za dużo energii.

Ale po minie Piątego widzieli, że nie kłamał. Ze zbyt wielkim trudem przyszło mu to wyznanie, jak zawsze, kiedy musiał być skończenie uczciwy.

Zaś Plaskat wiedział, że nie kłamał, i bez oglądania własnej miny. I wcale nie czuł się z tym najłepiej. W końcu po raz kolejny zdradzał jedną z największych tajemnic swojej Pani. Zrobił to tylko dlatego, że wierzył, iż pomoże to w poszukiwaniach królowny. Kiedy już Salianka się odnajdzie, będzie musiał przyznać jej się do swojego braku dyskrecji. Niewykluczone, że rozwścieczona władczyni urwie mu wtedy głowę. Miał tylko nadzieję, że kiedy już znajdą królownę, będzie jeszcze w stanie coś takiego zrobić.

- Czy rzeczywiście tak będzie? - przerwał milczenie Alvad. Za każdym razem, kiedy mówił o Saliance, robił to tak obojętnie jak tylko mógł.

- Nie, jeśli znajdę na czas lekarstwo - stwierdził stanowczo Plaskat. Dobrze wiedział, jaki to medykament może uratować jego Panią. I gotów był osobiście zabić tę przekłątą czarodziejkę, byle tylko Wrota wróciły do umysłu jej córki. - Ale najpierw muszę znaleźć królownę.

Z piersi Kalty wyrwało się ciężkie westchnienie. Już wcześniej było jej przykro, że nie dopilnowała królowny w Szaroskałach, teraz wina leżała na jej sercu niczym kamień młyński.

Biedna dziewczyna.

Salianka w pewien dziwny, przewrotny sposób przypominała Kalcie ją samą sprzed kilku lat. Kobieta z całego serca życzyła królownie, żeby jej los oszczędził tych wszystkich rozczarowań, które tylko czekają na każdą naiwną, ciekawą świata dziewczynę.

- Możemy przypuszczać, że wyruszyła do Morskiej Bryzy trzy dni temu - powiedziała zatroskanym tonem. - Samotna podróż nie jest bezpieczna...

- Niewiele rzeczy jest w stanie Saliankę zabić - Piąty pocieszył ją i przy okazji siebie. - W każdym razie niewiele rzeczy z zewnątrz.

\* \* \*

O świcie pięciu jeźdźców opuściło Szaroskały. Wyjechali z miasta przez północną bramę i zatrzymali się na samym skraju równiny, gdzie jeszcze niedawno rozbili swój obóz

najemnicy. Teraz pozostała po nich tylko wydeptana trawa i dawno wygasłe ogniska. Rycerzom i Plaskatowi nie pozostało nic innego, jak zaufać Kalcie, choć ten ostatni miał przed tym największe opory. Ludzie, zdaniem Piątego, nie po to zostali stworzeni, by ufać sobie nawzajem. Ale słowa kobiety i podane przez nią nazwisko hrabiego Osmołu były jedynym tropem prowadzącym do królowny. Do tego historia, w jaką ułożyły się wszystkie poszlaki, bardzo, ale to bardzo do królowny pasowała.

- Ma ponad trzy dni przewagi - westchnął Orvd, wpatrując się melancholijnie w horyzont. Musiał znaleźć jakąś złą stronę sytuacji, inaczej pewnie pochorowałby się z żalu.

- Nie ma chyba konia, nie będzie jechać szybko - zauważył rzeczowo Eind. - Dogonimy ją przed Morską Bryzą.

- I wtedy co? - zainteresował się Tord. - Łapiemy królownę i z powrotem?

Jak dotąd nikomu nie przyszło do głowy zadanie tego oczywistego pytania. Cała wyprawa opierała się na przekonaniu, że dziewczyna została porwana i marzy o powrocie do domu. Teraz stało się jasne, że tak nie jest. Salianka miała zamiar przed śmiercią wyrównać rachunki i było mało prawdopodobne, żeby łatwo dała się od tego odwieść.

Cztery pary rycerskich oczu spoczęły na Plaskacie. Nie dało się ukryć, że do nich należało dokonywanie bohaterskich czynów. Do niego zatem musiała należeć praca koncepcyjna. Poza tym najlepiej znał królownę.

- Coś wymyślę - stwierdził Piąty, chociaż bez przekonania. Dobrze wiedział, czego się spodziewać po swojej Pani: oślego uporu. Poza tym jak miał ją przekonać, że w Twierdzy czeka na nią coś więcej poza oczekiwaniem na nadejście niebytu? - Wytlumaczę jej...

- Zawsze możemy po prostu przyłączyć się do niej i skopać tyłki egzorcyantom - wtrącił Alvad, jak zwykle całkowicie obojętnym tonem. Tym razem jednak jego pozornie absolutnie niezaangażowane słowa wywołały dość gwałtowną reakcję wśród pozostałych rycerzy.

- Odbiło mu - szepnął ze zgrozą Orvd, odsuwając się odrobinę od najwyraźniej szalonego towarzysza. Był pewien, że Alvad musiał być, przynajmniej chwilowo, niespełna rozumu. Przecież od początku był przeciwny ratowaniu Pani Twierdzy, a teraz nagle zmienia zdanie, nie przeszkadza mu, że wyruszyli jej z pomocą, a nawet chce wziąć udział w tej jej zemście, czy jak to nazwać. A przecież Salianka była ZŁA. Owszem, może i Eind miał trochę racji, uzalając się nad splotem nieszczęśliwych okoliczności, których ponoć dziewczyna była ofiarą, ale pechowa czy nie, była ZŁA. I już. Za to rycerze byli dobrzy. A dobrzy wojacy nie mogą stawać u boku złej czarownicy, każdy brudny wsiowy bachor to wie!

- Co ty? - Tord szturchnął Orvda porozumiewawczo pod żebro. - Dowiedział się, że królowna za nim szaleje, i od razu zrobił się ważniejszy. - Strzał okazał się nadszpiegowanie

celny. Alvad miał minę, jakby ktoś wylał mu właśnie na głowę beczkę smoły i jeszcze dosypał pierza. Nawet uczynił gest, jakby miał zamiar przetrzepać skórę wścibskiemu dowcipnisiowi.

- Skopywanie tyłków egzorcystom jest najmniej pożądaną opcją - zaprotestował głośno Piąty, odganiając tym samym widmo rychłej bijatyki. Na żadne kopanie tyłków nie było teraz czasu ani możliwości.

- O to, jak namówić królową do powrotu, będziemy się martwić, dopiero jak ją znajdziemy - poparł Piątego król.

Szczerze mówiąc, sam nie wyobrażał sobie, jak mogliby skłonić Saliankę do tego, by porzuciła swoje plany.

\* \* \*

Straszliwy krzyk rozdarł szarość świtu. Odbił się echem od okolicznych drzew, od przydrożnych kamieni i od rozłożonego przy szlaku do Morskiej Bryzy obozowiska, żeby wreszcie przejść w nieprzyjemne charczenie.

Rozbudzeni rycerze jeszcze nie do końca otworzyli oczy, a już chwycili za miecze, gotowi walczyć z podstępny wrogiem. Trzymający wartę Tord rozglądał się nerwowo, szukając napastnika, którego nadejście przeoczył. Tylko Plaskat za nic nie chwycił i nie szukał żadnego wroga, bo rozpoznał zachrypnięty głos wypowiadający litanie przekleństw i przeprosin.

- Przeprosinki, szefuniu, ale któż to widział rozkładać się tak człowiekowi na drodze, szpona se obtłukłem, niech to wszystkie gorgony świata... - mamrotało coś skryte w porannej mgle.

- Nie jesteś człowiekiem - przypomniał Piąty, ziewając szeroko. - Możecie odłożyć broń - powiedział uspokajająco do pozostałych. Poranny gość nie przedstawiał sobą żadnego zagrożenia, choć wybrał nieodpowiednią porę odwiedzin. Mógł chociaż poczekać, aż wszyscy wstaną.

Nie wyglądało na to, żeby ktoś miał zamiar posłuchać Plaskata. Cztery ostrza skierowały się w stronę niewielkiego zielonego jaszczura, który wyłonił się z mgły niczym senna mara i teraz kaczym krokiem szedł w stronę Plaskata.

- Szanowanko, szefuniu - rzucił nonszalancko, mijając obojętnie potencjalnych agresorów i ich lśniącą broń. - Widzę, że królowy żeście jeszcze nie znaleźli, ale jesteście na coraz lepszej drodze. Próbujcie dalej - dodał patriarchalnie, zupełnie jakby to on był wodzem

tej wyprawy, łaskawie trzymającym pieczę nad maluczkimi.

- Mózgojad przeklęty - splunął Orvd, odsuwając się od stworzenia, na wszelki wypadek z wciąż uniesionym mieczem. Nie ufał demonom i potworom jako takim, a już na pewno nie tym, które żywiły się mózgiem. Nic go nie obchodziło, że chwilowo Szutzel i on są po tej samej stronie. Nie życzył sobie znaleźć się w pobliżu tej kreatury, kiedy będzie akurat głodna.

- Przeklęta bestia, trzeba pilnować przy niej własnej głowy.

- Nie ma co się obrzydliwić. Demon jaki jest, każdy głębi widzi - mruknął z urazą mózgojadek i rozłożył skrzydła, chcąc jak najszybciej opuścić nieciekawe, jego zdaniem, towarzystwo.

- Czekaj! - Piąty złapał już odlatującego mózgojadka za nogę. - Może chociaż wysłuchasz, co mam ci do powiedzenia?

Mina Szutzela świadczyła o tym, że najbardziej to by chciał się stąd wynieść, ale westchnął tylko ciężko i przysiadł przed Plaskatem, starannie odwracając się tyłem do Orvda. Niewiele to pomogło, czuł, jak jego wzrok niemal wwierca mu się w tył łba.

- Moje uszy są otwarte - zapewnił demonek uroczyście Piątego, w nadziei, że ten będzie się streszczał.

- Królowna najprawdopodobniej postanowiła rozprawić się z egzorcystami osobiście i teraz dość pokątną i okrężną drogą zmierza do ich siedziby. Podążamy jej śladem.

- Pomożecie jej stłuc egzorcystów? - zainteresował się gwałtownie Szutzel. Powiódł spojrzeniem po zgromadzonych na polanie i zaraz jego entuzjazm ustąpił miejsca rozczarowaniu. - Nie? Tak myślałem. Zepsujecie całą zabawę.

- Musimy powstrzymać naszą Panią, zanim wpakuje się w kłopoty - skarcił go surowo Plaskat. - Miejmy tylko nadzieję, że naprawdę podążamy za nią. Królowna bywa... nieprzewidywalna.

- Bywa, bywa - zgodził się demonek. Sprawiał wrażenie lekko roztargnionego. Zamachał na próbę kilka razy skrzydłami. - A ślad jest właściwy, nie martwcie się... - rzucił na pożegnanie.

Tym razem odlot uniemożliwił mu Tord, który rzucił się gwałtownie do przodu i złapał mózgojadka za obie nogi. Szutzel kwiknął z oburzeniem i spróbował się wyrwać, ale rycerz nie dawał za wygraną.

- Ta bestia coś wie, mówię wam - wysapał, ściągając szamoczącego się demonka na ziemię. - I ukrywa to przed nami. - Aż stęknął z wysiłku, ale udało mu się wreszcie, przy pomocy Einda i Alvada, zmusić mózgojadka do pozostania na polanie. Orvd obserwował to wszystko z bezpiecznej odległości. Nie miał zamiaru wchodzić w osobistą styczność z bestią,

chyba że byłoby to absolutnie konieczne.

- Wiesz coś? - zmarszczył brwi Piąty, pochylając się ku Szutelowi. Nie podobała mu się samowolna napaść rycerzy na posłańca Twierdzy, ale jeśli demonek naprawdę coś wiedział i ukrywał to przed nimi...

- Gadaj - Alvad przyłożył ostrze miecza do krótkiej szyjki mózgojadka.

- Oj, bo się przestraszę! - Szutel, zupełnie nieporuszony sytuacją ani groźbami, wyszarpnął rycerzom jedną łapę i popukał się w czoło. - Demona mieczem, geniuszu jeden, nie zabijesz. Zjeżdżaj z szabelką, bo nic nie powiem.

- Czyli coś wiesz - stwierdził Plaskat. Właściwie to mógł się tego spodziewać. W końcu demonek był z Twierdzy. A tam każdy miał swoje tajemnice, najczęściej poukładane warstwowo jedna na drugiej. Piąty żałował tylko, że nie przyłapał mózgojadka gdzieś na osobności. Diabli wiedzą co Szutel miał do powiedzenia, ale pewnie nie powinno to dotrzeć do niepowołanych uszu. Ale już przepadło. Plaskat miał nadzieję, że demon jest na tyle rozsądny, żeby przekazać informację w jakiś zawoalowany sposób, tak żeby rycerze nie dowiedzieli się za dużo.

- Można powiedzieć, że wiem. A ty won z tymi łapskami. - Mózgojadek wyszarpnął się z uścisku Torda i Einda. Nie stanowiło to dla niego problemu, był silniejszy niż wszyscy rycerze razem wzięci. Udało im się ściągnąć go na ziemię tylko dlatego, że go zaskoczyli, poza tym Szutel pamiętał, że nie wolno mu ich skrzywdzić, przynajmniej póki nie znajdą Salianki. Jala wyjaśniła mu to bardzo stanowczo. Gdyby nie to, wstrętni natręci już dawno nie mieliby mózgow. - Jakbyście nie mogli zwyczajnie uprzejmie zapytać.

- Pytamy uprzejmie: co wiesz? - powiedział z naciskiem król.

- Niewiele. - Demonek wzruszył ramionami. Trudno, będzie musiał im coś powiedzieć. Wcale nie miał zamiaru dzielić się z nimi całą swoją wiedzą. W końcu przede wszystkim służył Saliance. Wykonywał polecenia Rady tylko dlatego, że nie wiedział, czego żąda jego Pani. A gdy tylko uda mu się ją odnaleźć, najlepiej zanim zrobią to ci wspaniali bohaterowie, zapyta ją o jej plany. A wtedy, przynajmniej taką miał nadzieję, ona pozwoli mu wysać komuś mózg. Najlepiej temu draniowi, który ośmielił się złapać go za nogi. - Tyle, że królowna tu była. Demony za nią idą.

- Przecież... - Piąty ugryzł się w język. O Wrotach nie miał zamiaru rycerzom mówić. O ich braku tym bardziej.

- Wiem, wiem, ale to tak nie działa - wyjaśnił cierpliwie Szutel, który też był zdania, że przed hołotą tajemnic Pani Twierdzy ujawniać nie należy. - One wyczuwają obecność Strażnika. O tym, czego nie ma, dowiadują się później. To, co mnie intryguje, szefuniu, to to,

co takiego jest w tej krainie, że demony wolą wrócić do piekieł, niż tu dalej przebywać.

- Królowna jest w stanie wysłać je z powrotem do piekieł? - zapytał Alvad.

- Nie - zaprzeczył pośpiesznie Plaskat, zanim mózgojadek zdążył się odezwać. - Ale demony mogą sądzić, że ona może to zrobić.

- Jest zatem w jeszcze większym niebezpieczeństwie, niż sądziliśmy - stwierdził Eind, wyraźnie poruszony tym, że na nieszczęsną dziewczynę czyhają jeszcze podłe kreatury z piekieł.

- Nasza Pani da sobie radę - pobłażliwie zbagatelizował jego obawy Szutzel. - W końcu...

- Leć już, co? - pogonił go Piąty, zanim mózgojadek zdążył powiedzieć za dużo. - W Twierdzy pewnie umierają z niepokoju.

- A wiesz, że wręcz przeciwnie - mruknął demonek. - Poza panią Jala, rzecz jasna, ale...

- Leć!!

- Dobra, dobra, już się wynoszę. - Obrażony Szutzel oddalił się dostojnie.

Plaskat odprowadził go wzrokiem, póki mózgojadek nie znikł między drzewami. Dopiero wtedy Piąty odwrócił się do towarzyszy podróży. Rycerze wcale nie byli zachwyceni tym, co usłyszeli, a właściwie tym, czego nie było im dane usłyszeć. Po ich zaciśniętych szczękach łatwo można było poznać, że lada chwila zaczną się domagać krępujących wyjaśnień.

- No co? - Plaskat spojrzał na nich wrogo. - Nie zdradzę wam przecież wszystkich tajemnic stanu!

- Powinniśmy ruszać dalej - przerwał zapadłe po słowach Piątego milczenie Alvad. Siedział już na koniu, gotowy do dalszej drogi. - Tylko dokąd?

- Do Morskiej Bryzy - zdecydował król, otrząsając się z ponurych myśli. Nie było na nie teraz czasu. Musiał naprawić błąd, jaki popełnił, ufając egzorcystom. A zrobić to mógł tylko w jeden sposób: ratując Panią Twierdzy, nieważne, czy była dobra czy zła. Pewne winy po prostu wymagały odkupienia. - Tam chciała się dostać królowna. Możemy przyjąć, że tam teraz podąża.

- Z pewnością - przytaknął Plaskat. - W pewnych sprawach jest chorobliwie uparta. Taka drobna rzecz nie skłoni jej do zmiany planów.

- A co skłoniłoby ją do zmiany planów? - zapytał zrzędlawie Orvd. - Nie zaszkodziłoby, gdyby postanowiła zniecka zawrócić do Twierdzy, zamiast włóczyć się coraz dalej i dalej.

Piąty zastanowił się. Salianka zawsze wydawała mu się bardzo skomplikowaną osobą, ale nie wtedy, gdy przychodziło do konsekwentnego wypełniania postanowień.



- Kiedyś zaryzykowałbym stwierdzenie, że uczucia. Teraz powiedziałbym raczej, że nic.

## ROZDZIAŁ 6

W przytulnej gospodzie o dzień drogi od Morskiej Bryzy królowna doszła do identycznych wniosków.

Dojechali tu, kiedy już zmierchało, i było jasne, że rano rozejdą się w dwie różne strony: Salianka i Terk do Morskiej Bryzy, Esa i Yan załatwiać jakieś plugawe smocze sprawy. Kolację zjedli jeszcze wspólnie, ale w milczeniu, bo i nie mieli o czym rozmawiać. Potem rozeszli się do swoich pokojów, bo nawet im do głowy nie przyszło, żeby razem usiąść nad kielichem wina. Przyjaciółmi przecież nie byli, zdarzyło im się zaledwie wspólnie uciec z lochów szaleńca. Wędrowcom na szlaku pewnie co chwila zdarzały się takie przygody.

Pazur wgramolił się na łóżko swojej pani i niemal natychmiast zaczął chrapać. Salianka nie miała zamiaru iść w jego ślady. Przeprowa przez ohydne lochy sprawiła, że czuła się brudna, brzydka i ogólnie niezadowolona z życia. A na to wszystko było jedno niezawodne lekarstwo, na szczęście łatwo dostępne.

Obok łóżka leżała sakwa królowny, która przez czas ich uwięzienia przeleżała spokojnie na wozie. Królowna sięgnęła teraz do niej po kilka specyfików. Może jej się wydawało, ale od czasu opuszczenia Twierdzy jakby wyładniała i nie potrzebowała już tylu środków upiększających. Jakby coś się w niej zmieniło. Wciąż nie była podobna do księżniczek z bajek, ale mimo to... Miała wrażenie, że jest coraz bardziej sobą, Salianką, Panią Twierdzy, czarownicą, a jej twarz po prostu dopasowuje się do wnętrza. Dziewczyna wypiękniała, ale urodą złych kobiet. Taką, która rozpala żądze, opętuje zmysły, nie pozwala o sobie zapomnieć. Pięknem płomienia, który przyciąga ćmy.

Salianka sięgnęła do sakwy i wyjęła jeszcze grzebień, żeby rozczesać włosy. Przestała zaplatać je w warkocz. Może noszenie ich rozpuszczonych było mniej praktyczne, ale za to tak się sobie bardziej podobała.

Dbanie o wygląd było zdecydowanie bezpieczną i wartą kultywowania przyjemnością, nie to, co...

Ktoś zapukał do drzwi.

Obudzony Pazur uniósł półprzymknięte powieki. Królowa odłożyła grzebień. Miała swoje osobiste podejrzenia, kto nachodzi ją po nocy. I miała swój osobisty plan, co w związku z tym zrobić.

Tak jak się spodziewała, na korytarzu stał Yan.

- Bez żadnych sztuczek i manipulacji - zarzekł się, gdy tylko zobaczył jej nieprzyjemne spojrzenie. - Tylko prawda. A prawda jest taka - pochylił głowę i wbił głodne spojrzenie w usta królowy - że jesteś fascynująca.

Salianka zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. A właściwie w nos, bo huk na korytarzu świadczył o tym, że Yan oberwał i jeszcze się przewrócił. Królowa przyjęła ten fakt obojętnie i wróciła do czesania włosów.

Miała mało czasu, zemstę do wypełnienia, a wcześniejsze doświadczenia w materii damsko-męskiej pozwalały przypuszczać, że mężczyźni, ludzcy czy nieludzcy, to problemy. A problemów królowa miała zdecydowanie wystarczającą ilość, dodatkowe nie były jej potrzebne. Nawet tak atrakcyjnie opakowane w smocze ciało.

Salianka zdecydowała się poświęcić tylko i wyłącznie zemście. Z zemstą przynajmniej człowiek wiedział, na czym stoi.

Podeszła do okna. Nie było sensu zamykać okiennic, po pierwsze demony i tak dałyby radę wejść, a po drugie... wiedziały, że nie mają po co. Nie było Wrót. Ale najwyraźniej liczyły, że Salianka wskaże im drogę do piekieł.

Dziwadła.

\* \* \*

Rankiem królowa zebrała swoje rzeczy, bez ceregieli wręczyła je wojownikowi i zeszła na dół na śniadanie, nawet nie patrząc, czy porywacz idzie za nią. Szedł z grymasem niechęci na twarzy. Denerwowało go, że został potraktowany jak... jak pospolity służący, ale nie miał odwagi zaprotestować. Po raz pierwszy do Terka dotarło, że ma przed sobą nie tylko rozkapryszoną arystokratkę i morderczą psychopatkę, ale też prawdziwą władczynię.

Razem usiedli do stołu. Przez otwarte drzwi prowadzące do sieni można było dostrzec Yana i Esę rozmawiających z jakimś starszym mężczyzną.

- Dogadali się z jakimś przewoźnikiem, zaraz odjeżdżają - powiedział wojownik, dostrzegłszy, na kogo patrzy królowa.

Salianka wzruszyła ramionami. Nie obchodziły jej smoki. Obchodziło ją śniadanie i w

dalszej perspektywie - egzorcyci.

- To jak daleko jeszcze do Morskiej Bryzy?

- Dojedziemy przed wieczorem - powiedział ostrożnie Terk.

Do tej pory żadne z nich ani słowem nie wspomniało o tym, co będzie dalej. Ale pytanie dziewczyny kazało mu założyć, że pojedą do Morskiej Bryzy, i to razem. A potem... Może nawet uda mu się zgarnąć ten okup. A może tylko ocalić życie.

Jedno, czego był pewien, to że decyzja w tej sprawie nie należała do niego, tylko do niej. Takie było prawo silniejszego.

- To jedź szybciej, żebyśmy tam wreszcie mogli ruszać! - popędziła go Salianka. Posłuchał.

\* \* \*

Kiedy wreszcie wyrosły przed nimi mury Morskiej Bryzy, jasne, strzeliste, ozłocone światłem zachodzącego słońca, królowna spała zwinięta w kłębek. Obok niej pochrapywał Pazur, z pyskiem ułożonym wygodnie na jej dłoni. Trwaliby tak pewnie nadal, nieświadomi, że dotarli już do celu podróży, gdyby nie krzyk przelatującej mewy. Pies poderwał się od razu, bardziej przestraszony niż czujny, przy okazji deptając swojej pani po ręce, brzuchu i twarzy. Salianka najpierw jęknęła, dopiero potem usiadła, przecierając oczy.

- Zasnęłam? - zdziwiła się, spoglądając na pomarańczowo-szare niebo.

- Nie wyspałaś się w nocy? - zdziwił się w odpowiedzi Terk. Kilka godzin wcześniej jego kłopotliwa zakładniczka po prostu oparła policzek na dłoni i zamknęła oczy, chyba nawet nie zdając sobie sprawy z tego, co robi.

Niby mógł skorzystać z okazji i... Wiązać jej nie było sensu, dała sobie radę z kratami, czym były w takim razie dla niej nawet najmocniejsze pęta? Zabijać... Może to i był dobry pomysł, ale gdyby otworzyła oczy i zobaczyła go nad sobą z nożem... Nie miałby lekkiej śmierci, tego był pewien. Lepiej było zostawić sprawy tak, jak były.

- Źle sypiam. - Ziewnęła i zamarła z dłonią uniesioną do ust, wpatrzona w miasto.

Nigdy nie widziała czegoś tak ogromnego. Mury rozpościerały się jak okiem sięgnąć, zdawały się nie mieć końca. A za nimi...

Morska Bryza swoim pięknem mogłaby przyćmić Doliny, gdyby na ulicach tak nie śmierdziało mułem i rybami. Ale kiedy zignorowało się zapachy, można było sycić oczy widokami. Ulice były szerokie i brukowane, stojące przy nich kamienice niewysokie, wzniesione z jasnego kamienia, niekiedy przyozdobione mozaikami utrzymanymi w

odcieniach szarości, zieleni i błękitu. Na każdym większym placu stały posągi wodnych duchów, zaskakujące ilością macek, szczypiec i przyssawek. Mieszkańcy miasta wiedzieli, skąd wzięła się jego zamożność i potęga, i okazywali swoją wdzięczność.

Na ulicach pełno było ludzi, handlarzy składających swoje kramy lub przeciwnie, szykujących się do nocnej sprzedaży. Gwar, kolory, pokrzykiwania do tego stopnia zafascynowały królową, że prawie wypadła z wozu. Zupełnie przestała zwracać uwagę na to, gdzie Terk kieruje konie. To dało wojownikowi nadzieję, że może jeszcze uda się coś na tym porwaniu zyskać. Może jeśli uda się królową dowieźć niepostrzeżenie do miejsca, gdzie kilkunastu... no, może nawet kilkudziesięciu chłopów da jej radę. A jeśli nie, to przynajmniej nikt nie będzie się z niego wyśmiewał, że mu dziewczka związała.

Salianka, nieświadoma tego, co jej towarzyszywi postać w głowie, zajęta była oglądaniem ulic, przez które przejeżdżali, a które wyglądały coraz ubożej. Domy były szare, wysokie, okna wąskie, boczne uliczki przypominały chwilami tunele. Stojące na placach figurki dziwacznych bożków też zdawały się jakieś brzydsze.

Wóz jechał powoli, więc mogła dokładnie wszystkiemu się przyjrzeć. W pewnej chwili dojrzała coś, co sprawiło, że królowa nie uwierzyła swoim oczom. Kiedy już uszczypnęła się mocno i przekonała, że nie ma zwidów, z miejsca wyskoczyła z wozu, wpatrując się w portret, który dwóch mężczyzn z trudem ładowało właśnie na wóz. Pazur zaszczekał alarmująco, dopiero wtedy Terk zorientował się, że na koźle został sam.

- Co się stało? - zapytał, odwracając się. Nie sądził, żeby jego zakładniczka miała zamiar uciekać, na pewno nie bez swojego psiaka.

Królowa nie odpowiedziała. Ze spojrzeniem wbitym w obraz rzuciła się na drugą stronę ulicy. Jakimś cudem uniknęła stratowania przez przejeżdżający powóz i dopadła tragarzy.

- Skąd to macie? - krzyknęła.

Zamarli i popatrzyli na nią. Potem popatrzyli na siebie. Potem znowu na nią.

- To graty z lombardu, panienko - powiedział jeden z nich łagodnie. Reakcja na bohomaż wydała mu się całkiem przesadna i sugerowała, że zaczepiająca ich kobieta jest niespełna rozumu. - Właściciele ich nie wykupili, więc wieziemy je na targowisko.

- Ktoś zastawił ten portret? - upewniła się Salianka. - A teraz każdy może go kupić?

- No, w sumie tak.

- Kupuję. Natychmiast! Już!!

- Leć po pana Użuga. - Starszy tragarz trącił młodszego łokciem. Tak zdeterminowanej klientki jeszcze mu się nie zdarzyło oglądać.

Chłopak wpadł do budynku, a po chwili wyszedł w towarzystwie pucołowatego,

łysiejącego jegomościa, rozsiewającego wokół siebie aurę godności stanu lichwiarsko-kupieckiego. Dziewczyna przez ten czas wierciła się niecierpliwie, a oczu nie odrywała od portretu, zupełnie jakby to był co najmniej cud świata.

- Panienska chce kupić ten obraz? - zapytał uprzejmie Użug, składając z ukontentowaniem tłuste dłonie, oblepione grubymi i niegustownymi pierścieniami. - Wspaniałe dzieło sztuki, nieprawdaż?

- Ohydne - stwierdził z przekonaniem Terk, który właśnie dogonił królową. - I co to za maskara z takim podbródkiem?

- Moja matka - wyjaśniła krótko Salianka. Nie mogła się mylić, takiej twarzy się nie zapomina. Malarz oddał z zadziwiającą pieczołowitością kanty i krzywizny Pawlinkowego oblicza, choć zmarszczek było na niej jakby mniej. Albo był to wkład własny artysty, albo skutek pomocy Wrót. Ta druga opcja była bardziej denerwująca: oto królowa zbliża się do końca swojej egzystencji, przeżywa denerwujące przygody, a tymczasem jej matka i te przekłete wierzeje bawią się w upiększanie.

- Hmmm? - Właściciel lombardu, wojownik i dwaj tragarze zgodnie spojrzeli na sportretowaną fizjonomię, a potem na twarz dziewczyny.

Nie było ani śladu podobieństwa pomiędzy tymi dwoma kobietami. Na obrazie widniał wizerunek podstarzałej latawicy, sądząc po pseudokuszącym uśmiechu, wciąż wierzącej naiwnie w swój wdzięk i powab. Misternie utrefione włosy i nadmiar ozdób potwierdzały to przypuszczenie. Natomiast królowa nie zawracała sobie głowy ani biżuterią, ani fryzurą, a już na pewno nie kuszącymi uśmiechami.

- Wszyscy mówią, że bardziej przypominam ojca - dodała dziewczyna, marząc o tym, żeby mężczyźni przestali się gapić z niedowierzaniem. Nie jej wina, że miała taką matkę. - To ile za ten obraz?

- Sto sztuk złota - wspomnienie interesów natychmiast przywróciło Użugowi poczucie rzeczywistości. Gładko podał cenę.

Salianka osłupiała. Jej zdaniem, Pawlinka nie byłaby tyle warta, nawet gdyby mieli ją tu i teraz, żywą, na sprzedaż. Właściwie to ktokolwiek by wystawił czarodziejkę na sprzedaż, musiałby pewnie jeszcze dopłacić, żeby się jej pozbyć.

- Jeśli wolno zapytać - odezwał się za jej plecami wojownik, bardziej od dziewczyny zaznajomiony z zasadami wolnego rynku. - Ile dostał za niego poprzedni właściciel?

Użug zmierzył go od stóp do czubka głowy uważnym spojrzeniem, ze szczególnym uwzględnieniem miecza i nonszalancko wspartej na nim dłoni. Zawsze uważał, że najważniejszy jest zysk.

I w istocie na powiedzeniu prawdy mógł w tej sytuacji tylko zyskać.

- Pięć sztuk złota - przyznał. - Ale dochodzą koszty własne...

- Dam dwadzieścia - zaproponowała królowna. Właściwie to dałaby i sto, byle uzyskać potrzebną informację. - Jeśli powiecie mi, kim był poprzedni właściciel i gdzie go znajdę.

Na to Użug mógł się radośnie zgodzić. Pośpiesznie dokonano transakcji i wojownikowi pozostało tylko przekonać swoją zakładniczkę, że składanie natychmiast wizyty malarzowi jest złym pomysłem. Równie dobrze mógł zacząć rzucać grochem o ścianę, bo Salianka zwyczajnie go zignorowała.

Zabrała obraz i wróciła z nim do wozu. Zanim Terk ją dogonił, zdążyła już wydrzeć płótno z ramy i upchnąć je do sakwy. Pazur już grzecznie czekał z nosem przy kolanie swojej pani, gotów podążyć za nią wszędzie.

- Co ty robisz? - wyrwało się wojownikowi.

- Nie widać? - burknęła królowna, zarzucając sobie sakwę na ramię. Teraz, kiedy pies mógł już iść sam, nie miała żadnego problemu z niesieniem swoich pakunków. - Odchodzę.

Terk na takie stwierdzenie zwyczajnie zaniemówił. Nie spodziewał się, że Salianka grzecznie będzie dalej odgrywać rolę zakładniczki, ale tak bezpośrednie postawienie sprawy go oszołomiło. Nie zdołał odzyskać równowagi, bo dziewczyna jednym błyskawicznym ruchem złapała go za kark i grzmotnęła jego głową o bok wozu. Nieprzytomny Terk osunął się na ziemię, a Salianka rozejrzała się, sprawdzając, czy aby nikt tego nie widział.

Nieliczni przechodnie starannie nie zauważyli zajścia. Królownie to odpowiadało. Demon w niej dopominał się o to, żeby solidnie przyłożyć wszystkim niewygodnym świadkom, ale to by zajęło za dużo czasu, którego Salianka nie miała.

Zostawiła porywacza na ulicy i ruszyła w stronę nabrzeża, gdzie, jak twierdził lichwiarz, wynajmował dość marną pracownię niejaki Bówek. Salianka co prawda nie знаła miasta, ale była pewna, że jeśli się zgubi, jakiś usłużny tubylec na pewno wskaże jej drogę.

Istniała niewielka, ale zawsze szansa, że dzięki informacjom uzyskanym od malarza imieniem Bówek Saliance uda się odnaleźć Pawlinkę i Wrota. Szanse na to, że piekielne wierzeje wrócą tam, gdzie ich miejsce, i odsuną widmo zagłady wiszące nad królowną, były raczej znikome. Jedynym znanym dziewczynie sposobem zwabienia Wrót z powrotem do jej umysłu było zabicie ich aktualnego Strażnika. Może i królowna była zła, może i jej matka była denerwującą podstarzałą lafiryndą, ale istniały przecież jakieś granice! Pewnych rzeczy nawet Czarownica z Twierdzy by nie zrobiła.

Ale za to mogła spojrzeć im w oczy i powiedzieć, a może raczej wrzasnąć: „To wszystko wasza wina!!!”. Miała przecucie, że kiedy już to zrobi, od razu poczuje się lepiej.

Pazur pobiegł za swoją panią, starając się trzymać jej tak blisko, jak to tylko było możliwe. Przerażało go dziwne, obce miasto, pełne dziwnych, obcych zapachów.

\* \* \*

Znalezienie drogi okazało się łatwiejsze, niż królowna mogła przypuszczać. Zaledwie kilka razy musiała się zatrzymać, zatrzepotać rzęsami i zapytać słodkim głosem o drogę. Mało który zagadnięty przechodzień nie udzieliłby miłej panience odpowiedzi, a przynajmniej Saliance nie zdarzyło się trafić na takiego niewychowanego gbura. Można było przyjąć, że wszystkie niewychowane gbury z Morskiej Bryzy miały tego dnia wyjątkowe szczęście.

Jeszcze przed zapadnięciem zmroku królownie udało się dotrzeć do miejsca, gdzie zła dzielnica w subtelny sposób przechodziła w dzielnicę troszkę lepszą. Dokładnie tam rezydował niejaki Bowek. Zagadnięty handlarz z radością wskazał eleganckiej panience właściwy dom.

Z trafieniem do domu malarza Salianka nie miała problemu. Artysta chyba nie należał do tych najbardziej popularnych w mieście, mieszkał bowiem w nieciekawej okolicy. Nie był jednak ów Bowek twórcą nikomu nieznanym i miewał gości z tych bogatszych rejonów miasta. Czego dowodem był tarasujący uliczkę powóz upstrzony klejnotami i koronkami niczym gniazdo wielkiej sroki. Sama sroka zresztą była w pobliżu - strojem pełnym błyskotek i falbanek idealnie komponowała się z pojazdem. Największe wrażenie robiła jednak twarz właścicielki tych wszystkich ozdób, twarz bardzo niemłoda, za to pokryta taką ilością specyfików upiększających, że wydawała się zsuwać z właściwego miejsca pod ich ciężarem. Królownie ta kobieta w denerwujący sposób przypominała matkę. To był zdecydowanie ten sam typ spróchniałej lafiryndy. Wyglądało na to, że malarz ma ścisłą specjalizację.

Zanim Salianka doszła do drzwi Bowka, jej stan psychiczny pogorszył się zdecydowanie. Podążający wiernie za swoją panią Pazur zaczął przejawiać lekką nerwowość. Znał humory królowny. Znał też humory Virvena. Myśl o ich połączeniu powodowała ostrzegawcze wibrowanie psich zmysłów.

Królowna zatrzymała się o kilka kroków od właściwych drzwi i obrzuciła domostwo krytycznym spojrzeniem.

Być może niektórym malarzom potrzebne jest do pracy dobre światło, ale ten do takich nie należał. Salianka stała u wejścia do czegoś, co było właściwie przybudówką, a jedyne okieneczko, jakie posiadało, wychodziło na ciemnawy zaułek i ścianę sąsiedniej kamienicy.

Salianka zapukała w iście demonim stylu i drzwi domu malarza stanęły przed nią



otworem, przy głośnym proteście nadwierzonych zawiasów. Salianka bez wahania weszła do środka. Nie zdążyła się nawet porządnie rozejrzeć, bo już w progu stanęła jak przymurowana. Przez chwilę miała wrażenie, że patrzy prosto w twarz swojej matki. Na szczęście tylko przez chwilę; na wpół ukończony portret wcale nie przedstawiał Pawlinki, choć podobieństwo było niewątpliwe. Ulga spowodowana odkryciem pomyłki sprawiła, że Salianka aż oparła się o framugę.

- A niektórzy kochają swoje matki - stwierdziła z nieukrywanym zdumieniem.

Obraz poruszył się i wyjrzała zza niego rozczochrana, niezbyt czysta głowa malarza, który usłyszawszy wyłamywanie drzwi, rączym susem schował się za swoje dzieło. Niepewnie ocenił zagrożenie w postaci całkiem atrakcyjnej kobiety, aktualnie podłamanej psychicznie. Dotarło też do niego, co przed chwilą powiedziała.

- A panienka swojej nie kocha?

Królewna zastanowiła się. Doszła do mało pozytywnych wniosków.

- Spartaczyła mi życie - powiedziała. - Jak pomyślę, że ją znowu spotkam, to mam lęki. A muszę ją spotkać, żeby jej powiedzieć, że to wszystko jej wina! Chyba powinnam ją znienawidzić. A co cię to w ogóle obchodzi? - przecknęła się nagle.

- Nic a nic - zapewnił ją gorąco malarz. - Tak tylko zapytałem.

Salianka przyjrzała mu się nieufnie. Zdrowo to on nie wyglądał. Był chudy, nie szczupły, a właśnie chudy. Właściwym słowem byłoby: trochę przegłodzony. Miał mocno podkrążone oczy i cieniutkie palce. Wokół ogorzałej od słońca twarzy zwieszały się przydługie włosy. Ubranie miał raczej ubogie, choć niespotykane kolorowe. W sumie przypominał barwnego, lekko wyliniałego ptaszka.

Coś w jej spojrzeniu musiało być takiego, że poczuł potrzebę dalszych wyjaśnień.

- Moje klientki lubią, kiedy z nimi rozmawiam. Chociaż ich matki na ogół już nie żyją.

Królewna rozejrzała się po pracowni. Wszelkie portrety, dokończone czy dopiero szkicowane, przedstawiały podstarzałe lafiryndy, lepiej lub gorzej zakonserwowane. Niektóre były bardziej frywolne, inne bardziej dostojne, wszystkie niewątpliwie z wyższych sfer, ale w ich wyblakłych oczach błyszczała rozpusta.

Wzdrygnęła się wewnętrznie i oderwała wreszcie wzrok od maskaronów.

- Chciałabym porozmawiać o portrecie - zwróciła się do Bowka.

Malarz spojrzał na nią podejrzliwie.

- Na pewno panienka nie pomyliła ulic? Rencjusz, trzy ulice dalej, on się specjalizuje w młodych panienkach.

Salianka zmarszczyła brwi. Nie podobał jej się sposób, w jaki artysta wymówił słowo

„specjalizuje się”. Ale nie miała teraz głowy do niuansów.

- Nie chodzi mi o mój portret, tylko o to. - Rozwinęła trzymane w dłoni płótno. Koścista twarz Pawlinki znalazła się dokładnie naprzeciw Bowka, który najpewniej przypomniał sobie jej właścicielkę, bo skrzywił się straszliwie. - Ty to malowałeś?

- Ja - przyznał niechętnie.

- Co wiesz o tej kobiecie? - Nie kwapił się do odpowiedzi, więc królowna sięgnęła po sakiewkę. Pieniądze były w stanie rozwiązać masę problemów, takich jak nadmierne milczenie też. Na widok kilku monet malarzowi od razu otworzyły się usta.

- Pawlinka jej było - przypomniał sobie skwapliwie. - Przyjechała gdzieś z południa czy ze wschodu, z tych jakichś odległych, niecywilizowanych krain. Ponoć była barbarzyńską czarodziejką. Zadawała się z różnymi, jeden zażyczył sobie mieć jej portret, to przyszła do mnie. Ale znudziła się wielmoży i nie dał złota na ostatnią ratę. Baba gdzieś znikła, a ja zastawiłem obraz. Każdy grosz się przyda, co nie?

- A nie wiesz może, dokąd... - Salianka urwała, bo z ulicy dobiegł ich suchotniczy kaszel połączony z postukiwaniem laski o bruk. Bowek zareagował tak, jakby co najmniej piorun walnął w sam środeczek jego pracowni.

Rzucił się do okna, wyjrzał, po czym z obłędem w oczach zaczął przykrywać niektóre swoje obrazy płachtami materiału. Salianka powstrzymała się od głośnego powątpiewania w jego zdrowie umysłowe i też wyjrzała przez okno. Na ulicy stał powóz, należący bez wątplenia do kogoś zasobnego. Po linii prostej od powozu do drzwi pracowni posuwała się powoli zmora, którą ostatecznie można by uznać za jeszcze żywą kobietę. Koronki i uróżwione policzki nadawały jej wygląd wyszykowanych do trumny zwłok. Mimo to wciąż się poruszała, choć w powolny i skomplikowany sposób.

- Schowaj się gdzieś - jęknął za plecami królowny Bowek, który już skończył z nakrywaniem obrazów. Na widoku pozostały tylko pejzaże i te malowidła, które chyba przedstawiały nadchodzącą staruchę, choć może też były to mumie albo inne martwe natury. Odciągnął Saliankę od okna i popchnął w głąb domu.

- Po co? - zaprotestowała królowna.

- Ona jest bardzo stara i bardzo bogata. - Malarz nieustępliwie wpychał ją do małego składziku. - Zamawia coraz to nowe portrety.

- A co mnie do tego? - Salianka rzuciła spojrzenie na paniusią przechodzącą właśnie za oknem. Coś w jej postaci nasuwało królownie nieprzyjemne skojarzenie z własną matką. Wytrzeszczyła oczy na Bowka, na jej twarzy odmalował się wyraz lekkiej zgrozy. - Teraz to się nazywa malowanie portretów?

- Nie! Tak! Ja im naprawdę maluję portrety - warknął, upychając ją pomiędzy sztalugami. - Owszem, chciałyby coś więcej... Gdybym był taką przywiedłą wiedźmą, też bym chciał - stwierdził empatycznie. - Ale nic z tego. Mam swoją godność! Ale te wszystkie stare szkarłupnie są tak koszmarnie zazdrosne. Jakby która zobaczyła u mnie młodą dziewczynę, to koniec!! Źródełko ze złotem wysycha - jęknął smętnie.

Wreszcie udało mu się zmieścić osłupiałą królową w składziku. Zatrzasnął drzwiczki i pośpiesznie opuścił pracownię, żeby przywitać stojącą właśnie w progu szlachciankę. Salianka powstała chwilę w ukryciu, ale ponieważ było jej trochę niewygodnie, wyszła spomiędzy sztalug, uważając, żeby niczego nie potrącić. Na paluszkach przemknęła przez pracownię i przez uchylone drzwiczki zajrzała do saloniku. Szlachcianka przejawiała nikłe zainteresowanie płótnem, za to duże malarzem. Wmanewrowywała go właśnie w okolice otomany, zręcznie pomagając sobie w tym laską. Biła z niej wręcz namacalna determinacja.

Królowna zakłęła pod nosem. Nie na rękę były jej teraz te wszystkie zaawansowane w latach panienki, które do tego za bardzo przypominały jej Pawlinkę. Poza tym wyraz twarzy Bowka kazał przypuszczać, że lada chwila wpadnie on w ciężki szok co najmniej, co znacznie obniży jego przydatność z punktu widzenia Salianki.

Nie zastanawiała się długo, bo ostatnio zaczęła przedkładać prędkość myślenia nad jego jakością. Ręce bez konsultacji z rozumem pchnęły drzwi, a reszta ciała, straciwszy równowagę, udała się w ich ślady. Salianka z rozmachem wypadła ze składziku, do tego z całkiem nieludzkim blaskiem w oczach.

Szlachcianka wykonała zaskakująco szybki zwrot. Na widok czegoś, czym w danej chwili była królowna, zeszytniała i jak kłoda padła na podłogę.

Bowek, który ze skamieniałą zgrozą śledził wcześniej ruchy starej, w tym jej spektakularny upadek, przeniósł przerażone spojrzenie na Saliankę. Stała nad sztywnym ciałem z wyrazem zniecierpliwionego zafrasowania na twarzy.

- Zabiłaś ją! - jęknął malarz.

- Niby jak? - zapytała kąśliwie królowna, nie miała najmniejszego zamiaru brać na siebie winy. Nie oficjalnie. Nieoficjalnie natomiast przyszło jej do głowy, że takie próchno może mieć słabe serce. Widok młodej dziewczyny u potencjalnego żigolaka może i by taką babę zdenerwował, ale młoda dziewczyna z oczami demona... Tak, to mogło staruszkę wykończyć.

Bowek zastanowił się nad odpowiedzią. Nagle ożywił się przepełniony desperacką nadzieją.

- Może jeszcze żyje! Tylko zemdlą! - Padł na kolana przy szlachciance i zaczął ją klepać po policzkach, z początku nieśmiało, potem coraz energiczniej.

- Daruj sobie - zaproponowała Salianka. - Nic jej to nie pomoże. - Była tego pewna. Demony umiały odróżnić życie od jego braku. Królowna również.

Malarz zbladł straszliwie, począł rwać włosy z głowy.

- Zetną mnie - wyjęczał, zaciskając posiniałe wargi. - Zameczą! Powiedzą, że to moja wina! - Zaczął walić czołem i pięściami w podłogę obok zwłok, mimo że jak dowiodły wydarzenia, wstrząsy miały raczej skutek zabójczy niż uzdrawiający.

Królowna westchnęła. Nieboszczka mało ją obchodziła, była tylko irytującą przeszkodą na drodze do informacji. Ale była pewna, że jeśli czegoś z nią nie zrobi, to i nic z Bowka nie wydusi.

- Zrobimy tak - zaproponowała - ja usunę stąd trupa, tak żeby nikomu do głowy nie przyszło wysłać cię na męki, ale ty mi za to powiesz wszystko, co wiesz o Pawlince.

Na twarzy Bowka natychmiast rozlał się uśmiech człowieka, który nie wierzy w swoje szczęście. Już się rzucał podnosić zwłoki z podłogi, żeby się ich jak najszybciej pozbyć, ale Salianka go powstrzymała.

- Najpierw mów.

Malarz z żalem zostawił szlachciankę.

- Pawlinka jej było, to już wiesz. - Zmarszczył brwi w skupieniu. - Robiła w towarzystwie za jakąś czarodziejkę, wrózkę czy astrolożkę, wieszczyla przyszłość i sporządzała napary, głównie dla takich zwiędniętych wiedźm jak moje klientki.

- A ten jej wielbiciel?

- Przygruchała sobie jakiegoś arystokratę wagabundę, co to ledwo rzucił pirackie życie na Nieprzebytym Morzu na rzecz herbu i przyjęć. Prowadzał ją z sobą na bale, ku ogólnemu zgorszeniu. Wiadomo, co innego w cichości albo w alkowie, ale żeby tak otwarcie, między ludźmi...

Niecierpliwość kipiała w Saliance tak bardzo, że aż dziwne było, że królownie nie dymiło z uszu.

- Ale potem ją zostawił - podsunęła.

- A tak, pokłócili się ponoć i ona zaczęła zgrywać wielką damę. Zadarła nos do góry i wyniosła się z miasta. Podobno na drugą stronę Nieprzebytego Morza.

Królowna zgrzytnęła zębami. Tylko to jej jeszcze było potrzebne: włóczyć się po jakichś nieprzebytych morzach w poszukiwaniu drugiego brzegu.

- A co z wielbicielem?

- Z Dunakiem? Znalazł sobie inną, z nią też się prowadzi po salonach. - Malarz westchnął rozdzierająco, aż mu koszula na wątlym ciele zafalowała. - Przez niego ta stara

szkarłupnia - skinął brodą w kierunku trupa - doszła do wniosku, że ona też się może z młodym kochasiem afiszować i chciała prowadzić się ze mną. Chciała mnie zawlec jutro na przyjęcie do hrabiego Osmołu.

- Co? - Saliance znajome nazwisko przypomniało, po co właściwie tłukła się aż do Morskiej Bryzy. - Coś ty powiedział? Jakie przyjęcie?

- U hrabiego Osmołu, jutro wieczorem. Wielkie wydarzenie, cała śmietanka towarzyska tam się będzie kisić. Hej, a ona? - wrzasnął ze strachem, gdy królowna rzuciła się do drzwi. - Obiecałaś, że ją zabierzesz, żeby nie było na mnie - przypomniał w desperacji Bowek.

- A, tak - przypomniała sobie Salianka. Bez wysiłku podniosła ciało, zarzuciła sobie jedną rękę szlachcianki na szyję i objęła kobietę ramieniem w talii, jakby pomagała jej iść. - Już ją zabieram.

Malarz usłużnie otworzył drzwi i zatrzaskał je, gdy tylko Salianka przekroczyła próg. Nawet tego nie zauważyła, pochłonięta rozmyślaniami. Po raz pierwszy w życiu miała wrażenie, że los idzie jej na rękę. Mogła za jednym zamachem dowiedzieć się czegoś o Pawlince i o egzorcystach. Wystarczyło tylko pójść na ten bal i znaleźć tego... jak mu tam... Dunaka, no i oczywiście Jonasa. Albo lepiej na odwrót: najpierw znaleźć Jonasa, wyciągnąć z niego wszystko, co wie o egzorcystach, a właściwie tylko informację o tym, gdzie tych drani znaleźć, a potem skłonić go, żeby jej pokazał, który to Dunak. Prosty i genialny plan. Ostatecznie pociągnięcie Jonasa za język nie powinno być trudne... Wystarczy wygłosić kilka tekstów o przynależności do arystokracji, może ostatecznie zatańczyć... Tylko że najpierw trzeba umieć tańczyć.

Marszcząc czoło, przygryzając wargę i prezentując inne oznaki intensywnego wysiłku umysłowego, królowna zmierzała ku nabrzeżu. Była zbyt zajęta myśleniem, żeby zauważyć, gdzie właściwie idzie, albo przypomnieć sobie, że taszczy trupa. Nieliczni przechodnie nie zaszczycili dziwnej pary nawet odrobiną uwagi, tylko stanget szlachcianki rzucił za nimi okiem, zbyt dobrze wytresowany, by zainteresować się, gdzie zmierza jego pracodawczyni, niewygodnie wsparta na ramieniu młodej kobiety.

Piśnięcie Pazura skłoniło Saliankę do chwilowego przerwania rozmyślań. Niemal w tej samej chwili zauważyła kątem oka zbliżające się ostrze i wykonała wyjątkowo skuteczny unik, wypuszczając jednocześnie trupa z objąć. Świętej pamięci szlachcianka nie zdążyła upaść na chodnik, kiedy dosięgnął jej topór Terka. Podczas gdy porywacz dekapitował nieszczęsną staruszkę, królowna celnie kopnęła go w goleń, a kiedy padał na ziemię, wytrąciła mu z rąk broń. Topór uderzył o chodnik wcześniej niż głowa szlachcianki. I w przeciwieństwie do głowy, która potoczyła się po bruku w stronę nabrzeża, pozostał tam,

gdzie upadł.

Na dość sennej do tej pory uliczce wybuchła panika. Stangret szlachcianki zaczął wrzeszczeć, zaraz przyłączyło się do niego kilka kobiet i paru mężczyzn. W jednym z okien najbliższej kamienicy rozdarło się dziecko. Ktoś wzywał pomocy, ktoś wołał straż, ktoś inny nawoływał do ucieczki. Ciekawscy wyglądali zza drzwi i okien na ulicę, tylko po to, żeby zaraz z trzaskiem zaryglować okiennice, jakby spróchniałe drewno mogło ich obronić przed toporem mordercy.

Jedni ludzie uciekali, inni wręcz przeciwnie, pchali się bliżej, żeby zobaczyć, co się dzieje. W tym całym chaosie wysepką spokoju było tylko miejsce, gdzie leżała większa część zwłok szlachcianki. Stojąca nad nimi Salianka nie mogła nie zauważyć powiększającej się wolnej przestrzeni wokół siebie. To nie oznaczało nic dobrego. Trzeba było trochę zmodyfikować pierwotny plan.

Morgenstern wepchnęła siłą do sakwy, nie przejmując się, że kolce naddzierają portret Pawlinki. Tak wypchaną torbę przewiesiła sobie przez ramię.

Terk, lekko ogłuszony upadkiem na bruk, już zaczynał się podnosić, kiedy jego twarz napotkała pięść Salianki. Wojownik zwał się jak kłoda na chodnik, tuż obok bezgłowej szlachcianki. Bardzo malowniczo wyglądali, tak leżąc obok siebie, ale królowie nie w głowie było podziwiać widoki. Zagwizdała na psa.

Pazur, do tej pory obserwujący wydarzenia bezpiecznie wtulony w najbliższą ścianę, podpełzł na wezwanie swojej pani. Niepokoił go zebrani wokół ludzie, niepokoiły go ich spojrzenia, a już bardzo, ale to bardzo się zaniepokoił, kiedy Salianka chwyciła go wolną ręką i podniosła do góry. Zaskomlał.

- Cicho. Wiem, co robię - poinformowała go królowa.

Tak naprawdę nie wiedziała, przynajmniej nie na poziomie świadomości. Instykt wziął górę nad myśleniem. Granice ludzkich możliwości przestały mieć znaczenie.

Pierwszy skok był nieudany. Uniósł dziewczynę zaledwie na wysokość pierwszego piętra. Kiedy opadła z powrotem na ulicę, jej stopy wgniotły bruk. Teraz już nawet najbardziej ciekawscy gapie się cofnęli. A kiedy Salianka podniosła głowę i zobaczyli jej oczy, zaczęli uciekać.

Królowa nie zwracała na nich uwagi. Byli po prostu tłem. Rozejrzała się po najbliższych zabudowaniach. Znalezienie się jednym skokiem na dachu dwu - czy trzypiętrowego budynku nie leżało w granicach jej możliwości, nie z ciężarem, jaki ze sobą niosła. Ale kamienice miały przybudówki...

Salianka zaczęła biec. Pazur skomlał coraz głośniejsze, ale nie zwracała na niego uwagi. Nie

teraz. Odbiła się od bruku, jednym skokiem wylądowała na dachu najbliższej przybudówki i natychmiast odbiła się wyżej. Drewno i kamienie kruszyły jej się pod stopami, kiedy wspinała się coraz wyżej, skok za skokiem. Jak wielka ropucha. Kiedy wreszcie dotarła na dach, nie zatrzymała się, ale ruszyła dalej. Ludzie zebrani na dole widzieli, dokąd zmierza; jeśli na miejsce zbrodni dotrze jakaś straż, co, biorąc pod uwagę, z jakiej klasy społecznej wywodziła się ofiara, było prawdopodobne, pierwsze, co zrobi, to przeszuka dachy i strychy. Ale nie da rady sprawdzić wszystkich budynków w mieście.

\* \* \*

Podobno dachy nie były właściwym środowiskiem dla psów. Oczywiście to była tylko teoria. W praktyce było ciepło, słońce mocno grzało, a od morza wiał delikatny zefirek. Pazur nie miał powodów do narzekań. Było ciepło, przyjemnie i miał do towarzystwa swoją panią, która opuściła dach tylko na chwilę. Wróciła z jedzeniem i jakimś pakunkiem. Posiłek pies chętnie spożył, pakunek obwąchał i dał mu spokój. Miał ciekawsze rzeczy do roboty, na przykład spanie.

Salianka jedzenia prawie nie tknęła, za to zajęła się swoim drugim łupem. Zgodnie z najlepszymi tradycjami swoich przodków dokonała pierwszego w życiu osobistego i własnoręcznego rabunku. Ukradła żywność i sukienkę na swój pierwszy bal.

Królowny, te królowny, które żyły w innych miejscach niż Twierdza, notorycznie chadzały na bale. Saliance nigdy się to nie zdarzyło. Czarownica z Twierdzy raczej nie była rozchwytywana towarzysko.

Zgodnie z bajkami na myśl o swoim pierwszym balu dziewczęta winny odczuwać podniecenie i ekscytację. Królowna miała mętlik w głowie. Czuła potrzebę wymordowania wszystkich egzorcystów, już, zaraz i koniecznie własnoręcznie. Ciężko jej było nad tą chęcią zapanować i myśleć racjonalnie.

Salianka stanowiła ładnie opakowany kłębek negatywnych uczuć.

I miała sukienkę na bal.

Nie była jaką, ale zrabowaną od jednego z lepszych krawców w mieście. Suknia była w zasadzie żałobna, cała czarna i z minimalną ilością ozdób, ale królownie to nie przeszkadzało. Ta suknia pasowała do jej nastroju. No i była jeszcze maska.

\* \* \*

Hrabia Osmołu miał rezydencję w samym centrum miasta. Był to wykwintny pałacyk,

otoczony ogrodem niezbyt rozległym, bo w gęstej zabudowie trudno byłoby zmieścić park. Salianka znalazła ją bez większego trudu, przy odrobinie pomocy ze strony przyjaznych przechodniów. Królowna też starała się wykazać maksymalną „przyjaznością”. Oczywiście o wiele łatwiej byłoby kogoś złapać i wytrząść te informacje siłą, ale Salianka się przed tym powstrzymała. Z trudem. Nie wpadła też do rezydencji i nie obróciła jej w ruinę w poszukiwaniu Jonasa, chociaż na to też miała ochotę. Ostatnio większość pragnień królowny miała związek z robieniem czemuś albo komuś krzywdy. I coraz trudniej było je w sobie dusić.

Nic dziwnego, że Virven tak się rwał do rozszarpywania ludziom gardeł. Jeśli cały czas tak się czuł...

Pół dnia Salianka spędziła, obserwując rezydencję hrabiego. Kiedy pod pałacyk zaczęły zajeżdżać pierwsze powozy, wreszcie mogła skupić się na czymś innym niż na wizjach mordy i zniszczenia. Z karet wysiadali wystrojeni panowie i panie w zdobnych sukniach. Królowna nigdy nie widziała tylu tak pięknie ubranych ludzi. Nawet w Dolinach, nawet gdy przyjechała tam śliczna księżniczka z Ujścia.

Królownie w sercu coś piknęło z żalem, że ona nie ma takiego wachlarza z piór wielkiego ptaszyska ani takich koliai, ani powozów... To znaczy miała to wszystko, miała nawet więcej. Składy w Twierdzy pełne były zrabowanego mienia wszelkiego rodzaju, ale Saliance nigdy nie przyszło do głowy stroić się w te wszystkie ozdoby. Postanowiła, że jeśli jej stopa jeszcze kiedykolwiek stanie w czarnych murach warowni, to od razu pójdzie do składów i nałoży na siebie tyle złota, klejnotów, piór, szali, welonów i całej reszty ozdóbek, ile tylko będzie w stanie unieść. A nawet więcej.

Chwilowo miała ważniejsze rzeczy na głowie. Przebrała się w czarną suknię, użyła swoich mazideł. Włosy luźno związała czarną wstążką.

Salianka nie miała zaproszenia na bal, ale nie stanowiło to dla niej problemu. Kilka skoków, ostrożnych, żeby nie podrzeć sukni, i już była w pałacowym ogrodzie. Nikt jej nie zauważył, zresztą hrabia Osmołu za wielu strażników nie miał. Po tej stronie gór ludzie byli widać mniej paranoiczni.

Tym lepiej. Królowna mogła bez pośpiechu znaleźć jakąś kryjówkę dla Pazura. Zabrała go ze sobą do pałacyku, ale nie mogła wejść na bal w towarzystwie psa. To by zwróciło na nią niepotrzebną uwagę.

\* \* \*



- Widziałem go, zdaje się, w sali dębowej, jestem prawie pewien, że był w ciemnej zieleni... Nie, nie sędzę, żeby hrabia ostatnio mocno posiwał. Owszem, widać już pierwsze siwe włosy, ale...

Dyskusję na temat wyglądu hrabiego Osmołu wyjątkowo nieuprzejmie przerwał im postawny wojownik z toporem, przemierzający korytarz. Salianka i jej towarzysz zgodnie wrosli w ziemię. Uzbrojone zbiry to nie był częsty widok na arystokratycznych przyjęciach. Przy dużej ilości dobrej woli można by uznać, że hrabia przyszykował dla swoich gości niespodziankę, ale biorąc pod uwagę, że wojownik na widok dwojga ludzi chwycił mocniej broń i wykrzywił gębę w wyjątkowo paskudny sposób, należałoby przyjąć, że ta niespodzianka ma polegać na dekapitacji zaproszonych.

Atakujący rzucił się na zaskoczoną parę z uniesionym w górę toporem. Laune Lawek pisnął lękliwie i uczynił próbę ratowania towarzyszącej mu damy. Tyle że dama nie wyglądała, jakby potrzebowała ratunku. Celnym kopniakiem cisnęła wojownikowi pod nogi stojącą dotąd grzecznie pod ścianą kamienną wazę. Człowiek z toporem potknął się i upadł bardzo nieszczęśliwie, prosto na swój topór.

Lawek nie wytrzymał tej pokazowej lekcji anatomii i zemdlął. Salianka nawet tego nie zauważyła.

Odkąd zaczęła wędrować po tej stronie Gór Omszałych, bardzo często natykała się na ludzi, którzy chcieli kogoś zabić. Najczęściej tym kimś był Jonas. A skoro skryba znajdował się prawdopodobnie w tym budynku i po tym samym budynku pętali się agresywni, uzbrojeni ludzie...

Królewna gwałtownie przyśpieszyła kroku. Lepiej było dmuchać na zimne. Nie miała zamiaru pozwolić komukolwiek na zaszlachtowanie skryby. Nie póki nie wydobędzie z niego potrzebnych informacji.

Z głębi pałacu dotarły do niej krzyki i szczęk broni. Najwidoczniej uzbrojeni napastnicy, ilu by ich nie było, dotarli już na przyjęcie. Z jednej strony była to fatalna wiadomość, bo istniało niebezpieczeństwo, że dopadną Jonasa, zanim ona to zrobi, ale z drugiej - zamieszanie działało na korzyść Salianki. Nie musiała już udawać gościa, mogła poszukać skryby w bardziej efektywny sposób.

\* \* \*

- Dobry piesek - pochwaliła Pazura królewna.

Jej pupil właśnie wystawił zwierzynek: dwóch całkiem zręcznych mężczyzn z mieczami,

nacierających na zablokowaną w kącie jednej z sal postać. Atakowanej postaci nie było zbyt wyraźnie widać, ale według psa był to Jonas.

Salianka wierzyła Pazurowi bez zastrzeżeń. Kiedy wyciągała swojego pupila spod ogrodowej ławki, zabrała też ukryty tam morgenstern i teraz nie zawahała się broni użyć. Lekko przykurzona kokardka świsnęła w powietrzu, wchodząc w bezpośredni kontakt z łbem najpierw jednego, a potem drugiego napastnika.

Przybrudzenie wstążki przestało się rzucać w oczy wobec czerwonej miazgi, która pokryła morgenstern i wyjątkowo nieestetycznie uciapała wszystko w pobliżu, łącznie z zagonionym w kąt mężczyzną, który okazał się rzeczywiście Jonaszem. Nie dostrzegł chyba zmiany sytuacji, bo dalej próbował na oślep ciąć mieczem. Królowna, zdegustowana takim traktowaniem, uchyliła się przed ostrzem i chwyciła skrybę za nadgarstek.

- Uspokój się może! - zaproponowała. - Nikt cię już nie atakuje!

Jonas wreszcie przestał walczyć, rękawem wolnej ręki starł krew z oczu.

- To ty? - wyjąkał zdumiony, zobaczywszy swoją wybawczynię. Może zresztą zdumiała go nie jej obecność, a to, jak Salianka wyglądała. Przebiegając pałacem, najpierw w poszukiwaniu psa, a potem skryby, natknęła się parę razy na pechowych napastników. Na szczęście na czarnej sukni plamy krwi nie rzucały się zbyt mocno w oczy.

- Ja. - Królowna wepchnęła Jonasa za najbliższy posąg. Sama rozejrzała się czujnie po sali. Chciała sobie z nim chwilę spokojnie porozmawiać, bez żadnego uzbrojonego towarzystwa. - Marny z ciebie spiskowiec i zbawca świata, skoro już trzeci raz ratuję ci życie - warknęła. - Zaczynam się czuć jak jakaś przeklęta patronka bohaterów... Znowu!

Nie dało się ukryć, że jak na złą czarownicę wręcz notorycznie ratowała dobrych ludzi. Świat zdecydowanie schodził na psy.

- Miałaś wrócić do Twierdzy... tam byłabyś bezpieczna - skryba bełkotał nieskładnie, bo właśnie zauważył to, co zostało z napastników. Stan ich byłych głów i stan trzymanego przez dziewczynę morgensterna pozostawały w ścisłym, niezaprzeczalnym związku.

- Nie chcę być bezpieczna. Chcę dopaść egzorcystów. A ty masz mi powiedzieć jak i gdzie - zażądała Salianka.

- Nie możesz... - nie zdążył dokończyć, bo szokująco silna dłoń zacisnęła się na jego gardle, a przerażające spojrzenie żółtawych oczu zdawało się przewiercać go na wylot.

- Chcę dopaść egzorcystów - powtórzyła królowna. - Chcę ich zniszczyć, rozerwać na strzępy... - Gwałtownie schowała ręce za siebie i zrobiła krok w tył. - Niech to diabli, jak nie one, to on! - syknęła z niezadowolaniem.

- Kto? - Jonas nic nie rozumiał i, zdaniem Salianki, lepiej byłoby, żeby tak zostało.

- Nieważne - ucięła. - Egzorcyści są ważni. Jak do nich trafić?

- To niebezpieczne! - zaprotestował mężczyzna.

- Czy do ciebie jeszcze nie dotarło - wycodziła Salianka, spoglądając na niego spod półprzymkniętych powiek - że to JA jestem niebezpieczna?

Skrybie trudno było temu zaprzeczyć, zwłaszcza że nieopodal leżały dwa niepodważalne dowody na to stwierdzenie. Mimo to nie palił się do udzielenia królowi potrzebnych informacji. Salianka już całkiem straciła cierpliwość.

- Ja umieram - rzuciła. - Nie mam wiele czasu. I nie chcę wracać do Twierdzy i odchodzić w gronie fałszywie zasmuconych doradców. Chcę dopaść egzorcystów i pokazać im, jak umiera Pani Twierdzy!

- Jak? - zapytał niemal mimowolnie Jonas.

- W towarzystwie!! - huknęła królowa. - Z twoją pomocą czy bez, spróbuję ich dopaść. Tyle że sama mogę nie zdążyć.

Wyglądało na to, że skryba otrzymał zbyt wiele szokujących informacji w zbyt krótkim czasie. Najpierw napadnięto na pałacyk, potem dorwała go zdesperowana Salianka... Nie mógł sobie z tym poradzić. Potrzebował chwili spokoju na przemyślenia, ale na tę chwilę nie miał co liczyć, nie w tym miejscu.

- Chodź - zdecydował nagle. Uczynił ruch, jakby miał schwycić dziewczynę za rękę, ale powstrzymał się. Dłonie królowy były całe we krwi. - Porozmawiamy gdzie indziej.

- Nie. - Salianka zastąpiła mu drogę. - TERAZ. Jak dotrzeć do egzorcystów?

- Nie wiem - poddał się Jonas. Nie miał wyjścia, ta rozmowa musiała przebiegać według jej reguł. - Aż do niedawna w ogóle się nie pokazywali, teraz wyłażą z ukrycia, oskarżają nas o zdradę ludzi... To szaleńcy!

- Owszem - przyznała mu rację dziewczyna. - I dlatego powinniście się cieszyć, że wyświadczę wam przysługę i zmiotę ich z tego świata. Jak ich znaleźć?

- Podobno zbierają się w Trzech Wieżach... ale to tylko plotki. Mamy... sojuszników, którzy mogą wiedzieć więcej.

- To na co czekasz?! Zaprowadź mnie do nich - zażądała królowa.

Skryba nie wyglądał na zachwyconego tym poleceniem. Najpewniej wahał się, jak połączyć zasady konspiracji z zaspokojeniem pragnień Salianki. I nie mógł znaleźć kompromisu.

Od dalszych męczących rozmyślań wybawiło go ciche warknięcie, jakie wydał z siebie Pazar. Pies przycupnął tuż przy swojej pani, przytulony do jej nóg. Najwyraźniej ktokolwiek nadchodził, został przez niego uznany za zagrożenie.

Królewna nonszalanckim ruchem uniosła morgenstern, ale nie zdążyła go użyć.

- Wasza Królewska Mość - dobiegający od drzwi głos był pełen niepokoju i jakby znajomy.

Salianka odwróciła się gwałtownie i stanęła niemal twarzą w twarz z Esą.

Smoczyca w pierwszej chwili jej nie zauważyła, skupiła swoją uwagę na Jonasie. Ale kiedy przeniosła wzrok z mężczyzny na podtrzymującą go kobietę, na jedną chwilę jej piękne rysy wykrzywił grymas niechęci.

- Ty!

- Ano ja - przyznała się bez oporów królewna.

- Znacie się? - zapytał niepewnie skryba. Unoszące się między dwoma kobietami opary niechęci lekko go dusiły.

- Ty ją znasz? - zdziwiła się Salianka. - Zaraz... „Wasza Królewska Mość”??

W pytaniu zawarła taką ilość nacisku, że nie sposób było je zignorować.

- Lud potrzebuje symbolu... uznaliśmy... doradzono nam... - Jonas spojrział na Esę, jakby szukając pomocy.

Królewna błyskawicznie skojarzyła sobie fakty.

- To są wasi sojusznicy? - Nie czekając na odpowiedź, wybuchnęła śmiechem. Głośnym, niepowstrzymanym, wręcz bezczelnym. Niepozostawiającym wątpliwości, że wie, kim naprawdę jest Esa. I co o niej sądzi. - No pięknie! I ty się dziwisz, że egzorcyści mają was za zdrajców ludzkości! Chyba jednak nie są aż tak szaleni, jak przypuszczałam!

- Milcz! - warknęła Esa. Już całkiem straciła panowanie nad swoją twarzą. Przypominała teraz swoje własne odbicie, groteskowo wykrzywione przez nierówną taflę marnej jakości zwierciadła.

- Nie - stwierdziła po krótkim namyśle Salianka. - Nie zamierzam. Wiedzą? - zapytała z zainteresowaniem. - Wiedzą, kim jesteście?

Esa sprężyła się jakby do skoku. Nawet zabawnie wyglądała, niewysoka kobieta, jasnowłosa, w błękitnej szacie, przyczajona niczym ogromny drapieжник. Mniej zabawny był fakt, że ona rzeczywiście była ogromnym drapieżnikiem.

- Powiedział ci! - zasyczała. To brzmiało niemalże jak zarzut pod adresem królewny.

- Nie musiał. Sama się domyśliłam. - Była to tylko po części prawda, w końcu trudno byłoby nie poznać smoka, zobaczywszy go w gadziej postaci, ale królewna nie umiała sobie odmówić tego małego triumfu. A niech smoczyca myśli, że ma do czynienia z kimś bystrym i obeznanym.

- Czego? - wtrącił zdeorientowany Jonas.

- Nieważne - ucieła Esa. - Wasza Wysokość, musimy iść. Trzy Wieże przypuściły podstępny atak, chcą zabić Waszą Wysokość. - Ujęła mężczyznę pod ramię i stanowczo pociągnęła w stronę wyjścia.

- A ty chcesz zadbać, żeby Jego Wysokość żył długo i szczęśliwie - stwierdziła ironicznie królowa. Ukryty za nią Pazur zjeżył sierść na karku. - Dlaczego po prostu nie zioniesz ogniem na tych zbirów? Szybki i łatwy sposób na pozbycie się wrogów.

Wyraz twarzy smoczyca jednoznacznie wskazywał, że najchętniej to spaliłaby jednego konkretnego wroga. Saliankę.

- O co tu chodzi? - Jonas podniósł lekko głos. Nic nie rozumiał z całego zajścia, za to doskonale czuł dłoń jasnowłosej, coraz mocniej zaciskającą się na jego ramieniu. Jak imadło.

- O nic. - Smoczyca podniosła na niego swoje błękitne, porcelanowe oczy. - Musimy iść - rzekła błagalnie. - Lękam się o bezpieczeństwo Waszej Wysokości.

- To jest smok - oznajmiła jednocześnie nonszalancko Salianka. - Smoki nie lubią ludzi. Można powiedzieć, że egzorcyci mają całkowitą rację, oskarżając was o szkodzenie ludzkości. W końcu sprzymierzyliście się z gadzinami.

- Co? - Mężczyzna osłupiał.

- Kłamstwo - Esa mówiła spokojnie, jak ktoś, kto rzeczywiście nie ma nic na sumieniu. - Chyba nie sądzisz, że nasz przyszły król uwierzy w te twoje bajki?

Królowa wzruszyła ramionami.

- To akurat nie jest ważne, prawda? - Spojrzała wyzywająco na smoczycę. - Ważne jest, że już nie będzie w pełni wierzył tobie.

Przez chwilę mierzyły się wzrokiem: ciemnowłosa Salianka w sukni zbroczonej cudzą krwią i delikatna, niemal anielska smoczyca w ludzkiej postaci. Żadna nie miała zamiaru pierwsza odwrócić wzroku.

Kompletnie zdezorientowany Jonas już, już miał się wtrącić, spróbować jakoś uładzić ten spór, domagać się wyjaśnień, ale nagle potężne szarpnięcie zważyło go z nóg i rzuciło w głąb sali na posadzkę, tak że przejechał po niej kawałek na plecach. Kiedy otrząsnął się z oszołomienia, stwierdził, że to królowa tak bezceremonialnie go potraktowała, tym samym ratując mu życie. W ścianie, w miejscu gdzie niedawno miał głowę, tkwiła pięść Esy. Kamienny mur pękł pod naporem straszliwej siły.

- Znajdziemy innego kandydata na króla - powiedziała smoczyca. W jej głosie nie było już śladu troski czy wyrozumiałości. Tylko nienawiść.

Pazur, dotychczas ukryty za Salianką, zaskamlał ze strachu i uciekł na drugi koniec sali. Królowa zaczęła się cofać, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Po drodze złapała za

ramię Jonasa i pociągnęła go za sobą w bezpieczne miejsce.

Na ich oczach drobna kobieta zmieniała się w ogromnego smoka, rozrastając się, promieniając swoją potęgą, burząc ściany i sufit, ograniczające przestrzeń zbyt małą, by pomieścić jej majestat. W mgnieniu oka pół pałacyku zmieniło się w ruinę. Posiadłość hrabiego nie była przystosowana do goszczenia takiej bestii.

Wreszcie przemiana się zakończyła. Po budowli zostały tylko resztki ścian, runęły piętra i wieżyczki, zasypując ogród i ulicę gruzem. Łuk, pod którym ukryli się Salianka, Jonas i Pazur, ocalał niemal cudem... A kiedy już opadł gruz i pył, ich oczom ukazała się smoczyca w całej swej krasie.

Yan w swojej smoczej postaci był wspaniały. Za to Esa... Esa była prawdopodobnie najpiękniejszym stworzeniem, jakie królownie i Jonasowi zdarzyło się kiedykolwiek widzieć. Jej ciało było pełne gracji i wdzięku, zaskakujących u takiego kolosa. Złota łuska przy każdym poruszeniu lśniła delikatnie, tak że smoczyca zdawała się otoczona złotawym blaskiem. Błękitne oczy przypominały dwa głębokie lustra jezior.

- Jest... piękna - szepnął niedoszły władca Konwentu.

- Jest zła - sprostowała Salianka. - Wierz mi, swój pozna swego.

- Oszukała nas... oni wszyscy nas oszukali...

Królowna wzruszyła ramionami.

- Bywa. Postarajcie się być mądrzejsi na przyszłość.

- Nie mogę tego tak zostawić - oznajmił gorączkowo Jonas. Rozejrzał się po sali, podniósł porzucony wcześniej miecz, z jednej z ocalałych ścian zdjął ozdobną tarczę.

- Co robisz? - osłupiała Salianka.

- Nie mogę tego tak zostawić - powtórzył mężczyzna. - Przez nich staliśmy się wrogami Konwentu... Zbrukali to, w co wierzyliśmy. Muszę stanąć przeciw niej. Muszę spróbować ocalić spisek.

- Oszalałeś? - popukała się w czoło królowna. - To jest smok! Wielki, zębaty, ziejący ogniem smok! Nie masz szans!

Wyglądało na to, że Jonas się zawahał. Wbił wzrok w podłogę, opuścił ramiona, zamyślił się. Ale tylko na chwilę.

- Wiem - powiedział, podnosząc głowę. - Ale muszę. Ktoś musi przeciw niej stanąć. I tym kimś powinien być niedoszły król Konwentu.

- Zginiesz - przypomniała Salianka.

- Zginę - zgodził się.

Uśmiechnął się smutno i ruszył na środek sali, do rozwścieczonej Esy. Siedzący obok

królowny Pazur zaskamlał.

- Szaleniec - oceniła jego pani. - Kompletny szaleniec.

Powinna zabierać się z pałacu, ruszać do Trzech Wież i szukać egzorcystów, ale zamiast tego trwoniła swój cenny czas, obserwując, jak mężczyzna podchodzi do smoka. Jak na razie szło mu całkiem nieźle, o ile można tak określić fakt, że wciąż mógł stawiać kroki, a nawet trzymać miecz. Smoczyca widać chciała się pobawić.

Jonas stał naprzeciw bestii z mieczem, tarczą i męznym wyrazem twarzy, za to kompletnie bez szans. Królowna przez chwilę przytupywała nerwowo nogą, aż nie wytrzymała. Wyglądało na to, że jeśli chodzi o patronowanie urodzonym bohaterom, to ma w życiu zwyczajnie przerabane.

- Siedź - poleciła Pazurowi. - A potem idź z tym głupkiem. Idź z Jonasem, jasne?

Nie czekając na reakcję psa, energicznym krokiem przemierzyła salę, aż znalazła się tuż przy niedoszłym władcy Konwentu.

- Dawaj. - Bezceremonialnie wyrwała mu miecz i tarczę.

- Ale... to ja jestem królem! - zaprotestował Jonas, któremu z zaskoczenia żaden lepszy argument nie przyszedł do głowy.

- A ja królowną - odparła gniewnie Salianka. - Znikaj stąd i zabierz ze sobą mojego psa!

- Nie mogę!

- Możesz. Nie masz z nią szans. Jeśli ktoś może jej skopać ten wielki gadzi tyłek, to tylko ja! Idź!

- Ale... - nie ustępował mężczyzna.

- Zabieraj się stąd, zanim zacznę się zastanawiać, co ja, do stu demonów, robię! - zdenerwowała się królowna. - Ale już!

Posłuchał jej wreszcie, chwycił Pazura na rękę i wybiegł z ruin sali. Pies wyl mu nad uchem, oglądając się za swoją panią. Zupełnie jakby miał jakieś złe przeczucia.

Za to Salianka nie miała żadnych przeczuc. Miała za to miecz, tarczę, instynkt demona mordercy, a naprzeciw siebie ogromną, lśniącą smoczycę. Czegóż innego młoda arystokratka mogła chcieć od życia?

Spróbowała zakręcić mieczem młynka. Już przy pierwszym obrocie broń wyslizgnęła jej się z dłoni i z brzękiem upadła na podłogę. Obie, Esa i królowna, spojrzwały na upuszczone ostrze. A potem na siebie.

- Chcesz ze mną walczyć? - zarechotała smoczyca. - Ty? Nawet miecza nie umiesz trzymać!

Salianka obejrzała sobie swoją rękę i leżącą broń. Fakt, oba elementy nie pasowały do

siebie. Mimo to schyliła się i podniosła miecz.

- Nie dasz rady nim ciąć - stwierdziła z pełną satysfakcją pobłażliwością Esa.

- A wiesz, że masz rację? - stwierdziła królowa. - Całe szczęście, że to jest broń wielofunkcyjna.

Błyskawicznie uniosła w górę dłoń z mieczem i cisnęła nim w bestię. Esa nie zdążyła się uchylić, ostrze przebiło jej lewą łapę. Smoczyca ryknęła z bólu. Nim otrząsnęła się z zaskoczenia nagłym, niestandardowym atakiem, w ślad za mieczem poszybowała tarcza, trafiając ją w łeb. Trzasnął łamiący się kiel, trysnęła krew z rozciętej wargi.

Tym razem Esa nawet nie jęknęła, uniosła tylko głowę i wbiła rozwścieczone, ale i podejrzliwe spojrzenie w swoją przeciwniczkę. Ludzie nie byli tacy silni. Ludziom fatalnie wychodziła walka ze smokiem. Ludzie nie mieli takiego blasku w oczach.

Wniosek nasuwał się tylko jeden. Ale jeszcze zanim myśl przybrała kształt, odezwała się Salianka:

- Nie powiedział ci, prawda? Nie powiedział ci, że nie jestem w pełni człowiekiem.

Te słowa po prostu musiały zabrzmieć triumfalnie. Nieważne, że Yan był królowie całkiem obojętny. Ważne, że nie był obojętny smoczy. Bardzo łatwo było grać na uczuciach zazdrosnej... przedstawicielki rodzaju żeńskiego i Salianka doskonale o tym wiedziała.

Wiedziała też, że jest w stanie pokonać jednego smoka. Jasne, nie było to łatwe, ale wykonalne. Musiała tylko przestać myśleć jak człowiek. Musiała tylko chcieć ją zabić.

Strumień ognia, który wydobył się nagle z paszczy Esy, trafił w miejsce, gdzie królowy już nie było. Salianka uskoczyła ułamek sekundy wcześniej i wylądowała na zrujnowanej ścianie. Przemieszczanie się po niej susami nie stanowiło dla niej najmniejszego problemu, zatrzymywała się tylko tam, gdzie wisiał jakiś obraz, oręż, płaskorzeźba, cokolwiek, czym mogła cisnąć w smoczyce. Przedmioty były niewielkie, ale siła, z jaką królowa nimi rzucała, czyniła z nich niebezpieczne pociski. Nie wszystkich udawało się Esie uniknąć.

Smoczyca nie była gotowa do takiej walki. Spodziewała się człowieka, oczekiwała łatwego zwycięstwa, a tymczasem miała do czynienia z czymś diabelnie szybkim i silnym, działającym bez chwili wahania i zastanowienia. Ani ogon, ani szpony Esy nie były w stanie za Salianką nadażyć. Burzyła ściany, rozrywała posadzkę, ale bezskutecznie.

Królowa miała nad smoczyką przewagę: była mniejsza i sprawniejsza, niczym komar dręczący wielką bestię. Jadowity komar.

Rzucane przez nią przedmioty coraz częściej trafiały w złote cielsko. Wyglądało, że smoczyca się męczy. To była szansa, którą Salianka musiała wykorzystać.



Już wcześniej zauważyła swój morgenstern. Pokrwawiona wstążka rzucała się w oczy. Teraz dziewczyna skierowała się w stronę broni. Kilka razy musiała zrobić unik przed strumieniami ognia, ale wreszcie udało jej się dopaść gwiazdy porannej.

Salianka mocno chwyciła broń. Kokarda zawiązana na morgensternie przechyliła się zawadiacko. Teraz wszystko, co królowna musiała zrobić, to skupić na sobie uwagę Esy.

Krzyknęła do niej. Trudno było nawet jej samej stwierdzić, czy to była obelga, czy po prostu nieartykułowany, wściekły ryk. Najważniejsze, że poskutkowało. Smoczyca odwróciła ku niej swój łeb i skupiła na dziewczynie spojrzenie ogromnych błękitnych oczu.

Dokładnie o to Saliance chodziło. Napięła wszystkie mięśnie tak mocno, że aż prawie poczuła jęk uwięzionego w nich demona. I cisnęła morgensternem. Prosto w jedno z tych pięknych porcelanowych oczu.

Esa zionęła ogniem, ale nie celowała w nadlatującą broń, ale w swoją przeciwniczkę. Królowna uskoczyła, przetoczyła się po chropowatej podłodze, jeszcze niedawno gładkiej i wypolerowanej. Nie widziała, jak morgenstern przebija owalną źrenicę, ale kiedy wstała, mogła obserwować, jak smoczyca kona.

W tym już nie było ani odrobiny piękna, majestatu. Tylko ból, krew i straszliwy ryk świadczący, że Esa uświadomiła sobie właśnie to, o czym Salianka wiedziała od początku. Przegrała.

A potem było już po wszystkim.

Smoczyca była martwa. Królowna nie mogła zapanować nad mimowolnym uczuciem żalu. Nie było jej szkoda Esy, rzecz jasna. Żałowała, że to już koniec zabawy. Czy może raczej drzemający w niej instynkt demona tego żałował.

Śmierć nie przywróciła smoczycy jej naturalnej postaci. Martwą dalej była bestią pokrytą łuską. Ale wielkie cielsko nie było już przerażające, teraz wyglądało żałośnie. Ani łuski, ani szpony, ani ogień nie ocaliły smoczycy przed drobną dziewczyną zza Gór Omszałych. Saliance przyszło do głowy, że muszą teraz wyglądać komicznie: wspaniałe pałacyk, aktualnie całkiem zdemolowany, pozrywane draperie, potłuczone rzeźby i wazony, zmiażdżony parkiet. Goście albo zginęli, albo uciekli w panice. A w samym środku tych niegdyś zbyt kownych gratów, tam gdzie jeszcze kilka chwil wcześniej odbywał się bal, wielka martwa bestia. I Pani Twierdzy, pokrwawiona, w podartej sukience, z tendencją do szczerzenia zębów bardziej, niż to jest przyjęte u rodzaju ludzkiego.

- Szkoda, że żaden głupek nie napisze o tym ballady - mruknęła wisielczo królowna.

## ROZDZIAŁ 7

Tego wieczoru ucierpiał nie tylko pałacyk, ale też duża część miasta. To, czego nie zniszczyli zbóje z Trzech Wież ani wściekła smoczyca, stratował uciekający tłum.

Zostały tylko gruzy, trupy i ogień zaprószony przez Esę. No i Salianka. Poza nią w zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Jonas musiał jej wreszcie posłuchać i wynieść się jak najdalej. Razem z Pazurem.

Na wspomnienie psa i jego rozpaczliwego skowytu królowna zadrżała. Pożegnania byłyby łatwiejsze bez takich melodramatycznych akcentów. Co do tego, że to było pożegnanie, i to ostateczne, nie miała najmniejszych wątpliwości. Pazur był w dobrych rękach, nie musiała się już martwić. Mogła spokojnie szukać egzorcystów.

Ironią losu było, że ci szaleńcy tym razem działali w słusznej sprawie. Salianka pamiętała pogardę w głosie Yana, gdy mówił o ludziach. Nie miała wątpliwości, że niezależnie od tego, jakie motywy kierowały smokami, gdy przyłączały się do spisku, nie niosły ze sobą nic dobrego, w każdym razie dla ludzi. Egzorcyci walczyli w słusznej sprawie.

To nie wystarczyło, żeby królowna była skłonna zrezygnować z zemsty.

Uczucie, które pchnęło Saliankę do tego, by wyrwać Jonasowi z ręki miecz i zamiast niego stanąć przeciw smoczycy, nie miało nic wspólnego z zemstą, za to dużo z poczuciem winy.

Kiedy niedoszły król Konwentu ruszył do walki z Esą, za bardzo przypominał Ulka. A wielki wojownik był cieniem kładącym się na życiu Salianki, stałą zadrą w sercu. Wydawało się wręcz niemożliwe, żeby jedna istota potrafiła kogoś tak prześladować zza grobu. A jednak. Obrońca Dolin utrudniał życie Pani Twierdzy dokładnie tak, jak to w bajkach bywa. Tylko mocniej, boleśniej, bez chwili wytchnienia.

Jedynym sposobem, by opanować poczucie winy, było zrzucić je na kogoś innego. Na egzorcystów. Królowna już miała odejść, zostawić zrujnowany pałacyk i martwą smoczycę,

ale coś przykuło jej uwagę.

Nad miastem pojawił się cień. Niemal niewidoczny na tle nocnego nieba, ale nie dla kogoś, kto ma wzrok demona. Ktoś taki mógł łatwo rozpoznać ciemny kształt.

Nie było sensu uciekać. Salianka nie miała dość sił na kolejną walkę. Lepiej było po prostu poczekać. To, że zamiast na stosie, jak chcieli egzorcyści, zginie w ogniu smoczego oddechu, było nawet zabawne.

Nadal jednak nie zamierzała poddać się bez walki. Pani Twierdzy nie powinna umierać sama. Królowna pochyliła się i podniosła topór, najpewniej porzucony przez jednego ze zbirów. Dotąd taką bronią tylko kwitowała. Najwyższy czas było sprawdzić, jak to jest mieć ją w ręku.

Smok obniżył swój lot i wreszcie wylądował, tam gdzie kiedyś był ogród hrabiego. Płomienie odbijały się w jego szarych łuskach i w srebrnych, lustrzanych oczach. Był ogromny.

Salianka od razu go poznała. Nie zapomina się pierwszego smoka, jakiego się w życiu widziało.

Nie wypuściła topora.

Yan wyciągnął szyję, spoglądając z zainteresowaniem na ciało Esy. Potem przeniósł spojrzenie na stojącą przed nim królowną.

- Głupia - powiedział. Powietrze, jakie wydostawało się z paszczy wraz z każdym słowem, podsycalo płonący wokół ogień. - Natknęła się na ciebie i nie mogła odpuścić. Zbyt dumna. - Pokręcił w zadumie łbem.

Dziewczyna milczała. Zaskoczyły ją wnioski, jakie wyciągnął Yan. Nie walczyły przecież o niego... Owszem, to chyba z jego powodu Esa wręcz kipiała nienawiścią do Salianki, ale nie dlatego stanęły przeciw sobie. Chodziło o konflikt interesów, nie uczuć. Widocznie Yan w swojej dumie nie ustępował smoczycy. Bez wahania uznał, że chodziło o niego.

Smok mylnie zinterpretował jej milczenie.

- Zabiłaś ją... Trudno. Władcy przychodzą i odchodzą, niewielu ma siłę, by trwać - powiedział uspokajająco. - Pokonałaś królową smoków - dodał niemal kpiąco, jakby go to niezmiernie bawiło. - Gdyby nie to, że jesteś tylko człowiekiem, mogłabyś zająć jej miejsce.

Musiał zauważyć cień, jaki przemknął po twarzy królowny, bo zaraz się poprawił.

- Nie, ty nie jesteś tylko człowiekiem. Jesteś czymś o wiele wspanialszym.

- Nie obchodzi cię, że ona nie żyje? - zapytała Salianka.

Yan wzruszył ramionami. U bestii jego rozmiarów ten ruch robił wrażenie.

- Straciłem królową, czy to ważne? Ważne, że zyskałem skarb. - Pochylił się tak, by ogromny łeb znalazł się na wprost królowny. - Bo teraz mnie już nie odtrącisz, prawda? Nie drugi raz. Ty będziesz moją królową. Oddam ci cały świat we władanie. Zniszczę twoich wrogów. Oddam ci wszystko.

Czekał na jej odpowiedź, niepewny, ale pełen nadziei, która rozświetlała od wewnątrz lustrzane oczy. Zupełnie jakby gdzieś w środku zimnokrwistej bestii był ciepły człowiek.

- Niech będzie. - Królowna wypuściła z dłoni topór. W końcu skoro smoki spiskowały wraz z Jonasem i jego kompanami, to wiedziały, gdzie ukrywają się egzorcyci. Trzeba było tylko wyciągnąć tę informację z Yana. A gdyby nie chciał mówić... cóż, jeden smok do zabicia więcej to chyba nie będzie wielki problem.

Smok roześmiał się radośnie i tak głośno, że dziewczyna musiała zatkać dłońmi uszy.

- Chodź! - Pochylił głowę i szyję tak nisko, żeby mogła wejść mu na grzbiet. - Pokażę ci z bliska gwiazdy.

\* \* \*

Nocne niebo było piękne. Gwiazdy zdawały się być na wyciągnięcie ręki, tak jak lśniące na horyzoncie morze. Salianka nie miała pojęcia, dokąd lecą, a okoliczności nie sprzyjały rozmowie. Skupiła się więc na tym, żeby nie ześlizgnąć się ze smoczego grzbietu.

Siedziała jej się całkiem wygodnie, a mimo że noc, szczególnie w przestworzach, była chłodna, to im bardziej oddalali się od wybrzeża, tym było cieplej.

Nim dotarli do celu, mrok zaczął ustępować miejsca szarości świtu. Ziemię pod nimi spowiła poranna mgła i dopiero gdy smok obniżył swój lot, królowna dostrzegła wyłaniającą się z białych oparów warownię.

To miejsce wydawało się stworzone specjalnie dla smoków. Budowlę wzniesiono na urwisku, tuż nad szeroką, wartką rzeką. Solidny mur odgradzał od reszty świata nie tylko zabudowania, ale też pusty plac, na tyle duży, by mogły na nim wylądować ogromne bestie, tak jak to zrobił Yan.

Dziewczyna zsunęła się ze smoczego grzbietu. Kiedy tylko stanęła na ziemi, zaczęła się rozglądać. Nie była pewna, czego szuka - ludzi, innych smoków? Ale w pobliżu nie było nikogo.

- Jesteśmy tu sami - odezwał się za jej plecami Yan. Przybrał ludzką postać i jego głos nie brzmiał już tak tubalnie. Całe szczęście, bo Saliankę jeszcze bolały uszy po ich ostatniej rozmowie.

- Nie - pokręciła głową królowa. - Ktoś tu jest.

Nikogo nie widziała, nic nie słyszała, ale czuła, po prostu czuła obecność jeszcze kogoś. Zanim smok zdążył ją powstrzymać, ruszyła przed siebie, najpierw powoli, potem coraz szybciej, podążając za przeczuciem, pragnieniem i czymś nie do końca określonym, za to bardzo intensywnym.

- Stój! - Yan chwycił ją za ramię, zmuszając, by stanęła. Salianka podniosła głowę. Czuła się jak wybudzona z transu, zupełnie jakby na kilka chwil straciła kontakt z rzeczywistością. I tak właśnie musiało być, bo nie stała już na zamglonym dziedzińcu. Była wewnątrz jednej z pustych budowli, stała pod zamkniętymi drzwiami, a smok powstrzymywał ją przed wejściem do pomieszczenia za nimi.

- Tam ktoś jest - powiedziała. Nie umiała tego inaczej wyjaśnić. Tam ktoś był, a ona musiała się do tego kogoś... czegoś... dostać.

Z bliska czuła już tę obecność tak dokładnie, że była w stanie ją nazwać.

- Tam są Wrota!

Yan był tak zaskoczony jej słowami, że zdołała mu się wyrwać i wejść do środka. Za drzwiami była ogromna komnata, niemal całkiem pusta. Na ścianach nie było żadnych ozdób, tylko kilka wąskich otworów, niby okien.

A na samym środku tkwiły Wrota. Ujęte w cztery ogromne sztaby, pokryte runami. Na pierwszy rzut oka konstrukcja wyglądała jak niezbyt gustowna rama do nieistniejącego obrazu, ale powietrze wewnątrz niej drgało i falowało.

To nie były te Wrota, które władcy Twierdzy od pokoleń nosili w swoich umysłach. Te były inne. Żywe, ale nierozbudzone. Nie znały ludzkiej świadomości, nie mogły się rozwinąć. Ale miały potencjał.

Królowa podeszła bliżej. To obecność tych Wrót wyczuła już na dziedzińcu. W końcu była Strażniczką. A kiedyś, dawno temu, Strażnicy panowali nad Wrotami.

- To niebezpieczne - rozległ się za jej plecami głos smoka.

Też wszedł do komnaty, ale trzymał się blisko drzwi. Drzwi, które, jak dopiero teraz zauważyła Salianka, były zaskakująco mocne i solidne. Żeby chronić tych, którzy za nimi stoją, przed tym, co wyjdzie z Wrót.

Otwory w ścianach też nie były zwykłymi oknami. To były drogi otwarte dla wywołanych przypadkiem demonów.

- To niebezpieczne - powtórzył Yan, gdy dziewczyna zrobiła krok w stronę Wrót.

- Nie dla mnie. - Była już tak blisko, że mogła dotknąć rzeźbionego metalu. I zrobiła to.

Chwilę później cofnęła dłoń. Musiała przyznać, że to nie był najlepszy pomysł.

Wspomnienia zamknięte w tych Wrotach tylko czekały na umysł zdolny je przyjąć. Mgliste, nie do końca świadome, nie do końca jasne, wlały się rwącą rzeką w pamięć Salianki.

- Otworzyliście je - powiedziała, nie patrząc na smoka. To zabrzmiało jak oskarżenie.

- Skąd...? - Yan nie mógł opanować zdziwienia.

- Jestem Strażniczką Wrót - wyjaśniła krótko.

- Panujesz nad nimi? - W oczach smoka zapłonęło coś, co przeraziłoby każdego rozsądnego człowieka. Ambicja, żądza władzy, nagle straszliwe natchnienie.

Królowa nie zwróciła na to uwagi.

- Wyciągnęliście demony z piekieł i im rozkazujecie! To dlatego one tak bardzo chcą uciec z tego świata. To dlatego egzorcyści stanęli przeciw wam! To dlatego przybyli na naszą stronę gór! Zaatakowali Twierdzę! Myśleli, że to moja wina! - wybuchnęła. Powietrze między ramą Wrót zafalowało mocniej, jakby odpowiadając na jej złość.

Salianka chciała powiedzieć jeszcze więcej, wykrzyknąć cały swój gniew. Gdyby smoki nie wezwały potężnej magii, gdyby po wielu nieudanych próbach nie otwały bram piekieł, gdyby nie wypuściły na świat demonów...

Egzorcyści zauważyli piekielne stwory i po setkach lat przypomnieli sobie o Twierdzy stojącej po drugiej stronie Gór Omszałych. Wyruszyli na krucjatę przekonani, że ratują Konwent. A tymczasem przyczyna wszelkiego zła tkwiła w samym środku ich krainy. Pirka, Ulk, Virven, Gawarek... oni wszyscy niepotrzebnie ponieśli swoje ofiary.

Chciała to wszystko wykrzyknąć, ale Yan był szybszy. Zanim zorientowała się, co się dzieje, on już trzymał ją w ramionach, obsypywał twarz i włosy pocałunkami.

- Nie wiedzieliśmy - szeptał, wkładając w te absolutnie nieromantyczne słowa tyle czułości, ile się tylko dało. - Musieliśmy wypuścić demony, żeby odwrócić od nas uwagę. Potrzebowaliśmy czasu, żeby przeniknąć między ludzi, żeby zdobyć ich zaufanie. Konwent to przeżarta zgnilizną struktura, nikt nikomu nie ufa. Dzięki demonom zrobiliśmy pierwszy krok, by to zmienić. Mogliśmy zapanować nad najważniejszymi ludźmi. Egzorcyści starali się nam przeszkodzić, ale oni są słabi. Wojna z Twierdzą jeszcze bardziej ich osłabiła. Teraz, kiedy mam ciebie, kiedy mogę kontrolować Wrota, nic nie stanie nam na przeszkodzie. Konwent będzie nasz, ludzie zaczną oddawać nam cześć. Będę władcą całego świata, a ty będziesz moją królową.

Z początku jego słowa i pocałunki niosły ze sobą ukojenie, ale kiedy do królowy zaczęło docierać, o czym smok mówi, odniosła wrażenie, że nagle pod jej stopami otwarła się przepaść prowadząca w miejsce o wiele gorsze niż piekła.

- Czy ja dobrze rozumiem, że macie zamiar zrobić z ludzi niewolników? - zapytała

słabym głosem, odsuwając się od Yana.

- Jesteście jak pasożyty, ciemnota, sami nic nie jesteście w stanie zdziałać. Wasze twory są nic niewarte, nie ma w was ikry. Nadajecie się tylko do słuchania rozkazów, tylko wtedy, pokierowani przez nas, jesteście w stanie coś osiągnąć, zrealizować nasze plany. - Smok skrzywił się z pogardą. - Trzeba wam silnej ręki.

- Już ja ci pokażę silną rękę - tupnęła nogą Salianka. Dziwne osłabienie zaczęło jej już przechodzić. Nie czuła się już oszołomiona czy przerażona. Czuła wściekłość. - Nie pomogę ci. Nie masz co na to liczyć!

Rysy smoka nagle wyostrzyły się, nie było w nich śladu poprzedniej czułości. Ale wciąż jeszcze nie rezygnował ze swojego planu: oto los dał mu w ręce atut, kogoś, kto mógł panować nad Wrotami, kogoś potężnego.

- Już nam pomogłaś - uświadomił jej oschle smok. - Bo to ty jesteś Panią Twierdzy, prawda? Potyczka z tobą odciągnęła egzorcystów od Konwentu, osłabiła ich. Teraz też nie potrafią się wyrzec ścigania cię, choć tak naprawdę im nie zagrażasz. Stoimy po tej samej stronie.

- Bo oboje jesteśmy źli?

- Zło i dobro to wymysł ludzi - skrzywił się Yan. - One tak naprawdę nie istnieją, sama przecież wiesz. Liczy się tylko władza.

Salianka przemyślała sobie tę kwestię. Bardzo dokładnie. Pomyślała o egzorcystach, Twierdzy, Pirku, Ulku, Virvenie, Jali, Plaskacie, Gawarku, Jonasie. O wszystkich dobrych chęciach. O wszystkich wyrzutach sumienia. Wyciągnęła wnioski.

- Odwal się - zaproponowała smokowi.

- Nie dołączysz do mnie? - głos mu stwardniał. - Teraz to propozycja, potem to będzie żądanie.

- Coś mi mówi - powiedziała powoli, wzdychając ciężko - że skoro nie jestem z tobą, to muszę stanąć przeciw tobie.

Smok roześmiał się tak głośno, że aż jego śmiech odbił się echem od kamiennych ścian.

- Ty? Miałabyś stanąć przeciw mnie? Może nawet walczyć?

- Do dwóch smoków sztuka - odparła filozoficznie królowna.

Kiedy Yan napotkał jej spojrzenie, śmiech zamarł mu na ustach. Uświadomił sobie, że nie docenił swojej przeciwniczki. Ale było już za późno.

Jedna skoncentrowana myśl dziewczyny wystarczyła, by niewidzialna siła nagle uniosła smoka w powietrze i wepchnęła pomiędzy metalowe sztaby. Posłuszne niewypowiedzianemu rozkazowi Strażniczki, Wrota otworzyły się. Tafla przejścia zamigotała, ale nie wciągnęła

Yana od razu. Szamotał się na wpół uwięziony, wciąż nie do końca przeciągnięty na tamtą stronę.

Długo to nie trwało. Nagle w komnacie zrobiło się straszliwie tłoczno. Przez okna wdzierały się do środka demony, dziesiątki demonów, i rzucały w otwarte Wrota. Kompletnie nie zwracały uwagi na smoka, trącały go, wpychały głębiej.

To było naprawdę dziwne, tak patrzeć na tę gwałtowną ucieczkę do piekieł. Salianka zrozumiała wreszcie, dlaczego demony, zamiast wyrwać się na wolność, na świat, wołały wrócić do piekieł. Po tej stronie Wrót czekała na nie niewola, pewnie gorsza od życia, jakie wiodły w pieklach. Ba, na pewno była gorsza, skoro żeby jej uniknąć, wracały do swojego znieawidzonego domu. Dziewczyna cofnęła się pod ścianę, prawie pod samo okno, żeby w nerwowej kotłowaniu przypadkiem jej ktoś przez Wrota nie przepchnął.

Ostatnie demony maruderzy zniknęli w lustrzanej powierzchni. Po smoku nie było już ani śladu. Królowna westchnęła. Za jednym zamachem ocaliła świat przed ambitnymi gadami i umożliwiła demonom powrót do wytęsknionej, cóż, ojczyzny. Dwa dobre uczynki za jednym zamachem, a fe!

- Najbardziej denerwuje mnie, że robię rzeczy szlachetne, chociaż wcale nie zamierzam - wyznała, wyglądając z miernym zainteresowaniem przez pozbawione szyb okna. - Ten świat jest fatalnie skonstruowany.

Zanim odeszła w niebyt, dobiegł ją jeszcze ostatni, pełen wściekłości ryk uwięzionego smoka.



## ROZDZIAŁ 8

Choć generalnie ludność zamieszkująca miasta-państwa Konwentu była sceptyczna, a przynajmniej obojętna na sprawy ponadzmysłowe - w końcu wystarczająco dużo miała problemów ze zmieniającymi się źródłami władzy i wiszącą w powietrzu wojną domową, żeby jeszcze troszczyć się o jakieś utopce, które podobno i tak nie istniały - to zawsze zdarzały się wyjątki, zwłaszcza w miejscach i okolicznościach, które takim wyjątkom sprzyjały.

Młodą kobietę, kompletnie przemoczoną, siedzącą nad brzegiem rzeki, za taką okoliczność można by uznać. A to dlatego, że owa kobieta, na pozór i z daleka całkiem normalna, z bliska okazała się pogrążona w jakimś dziwnym półśnie. Siedziała sztywno, jakby ktoś jej w gardło kij wetknął, miała otwarte oczy - ale to była jedyna oznaka przytomności. Nie mrugała, nie poruszała ani jednym mięśniem twarzy i na pewno nie spała, bo obudziłyby ją coraz śmielsze poszturchiwania i podszczypywania, serwowane z początku nieśmiało przez trzech młodzieńców.

- To musi być wiedźmi sen - orzekł jeden z nich. - Słyszałem, jak o tym panowie na zamku gadali.

- Eeee? - zdziwił się drugi.

- To musi być wiedźma - objaśnił ten obeznany. - Jak tak siedzi jakby martwa, to znaczy, że tak naprawdę nie siedzi, tylko lata i rzuca uroki na ludzi.

- Ale przecież siedzi - zauważył odkrywco trzeci młodzik.

- Ale nie siedzi - uparł się znawca.

- Skąd wiesz? - zainteresował się jego kompan.

- Byłem na zamku, jak tatko kazali iść, bo trza było więcej chłopca do usługiwania. Słyszałem, co panowie rozprawiali. O demonach, wiedźmach i złych czarach. O tym, jak niszczą zło.

- I to niby czarownica jest? - Najbardziej sceptyczny spojrział krytycznie na dziewczynę.

- A niby skąd to tak wiadomo? Bo siedzi?

- Znamię na pewno ma! - Najbardziej wygadany nie zamierzał rezygnować z pozycji eksperta. - Na ciebie. Panowie o wiedźmim znamieniu mówili.

- No ale jak to... sprawdzić?

- Matula by źli byli - zajęczał ten najmniej bystry. - Wybatożyliby...

- Jest jeszcze próba wody! - zakrzyknął ten obeznany, starając się ratować swoją pozycję dowódcy.

Pozostali spojrzeli na niego z zainteresowaniem.

\* \* \*

Stali na szczycie małej skarpy już nie we trzech, ale w towarzystwie zwabionych ciekawością kompanów z wioski, spoglądając na powierzchnię rzeki, na której zanikały powoli kregi.

- Jak wypłynie, to znaczy, że czarownica i trza ją ukatrupić - pouczył innych dowódca.

- A jak nie wypłynie? - spytał któryś z jego popleczników.

- Znaczy się, że cna to niewiasta była.

- Ale czy to nie będzie wtedy źle, żeśmy cną niewiastę utopili? - zafrasował się głupek.

- Głupis - skarcili go zaraz. - W cnym celu ją katrupimy, tak można.

- Doprawdy? - odezwał się ktoś za nimi.

Mokre ślady prowadziły od pobliskiego pomościku aż do miejsca, gdzie królowna ociekała wodą. Nie wyglądała na zadowoloną. Przywódcy łowców czarownic nie dane było jednak długo studiować wyrazu jej twarzy, bo niedoszła topielica z całej siły grzmotnęła go pięścią w nos. A także w chrząstkę, mózg, potylicę i ogólnie wszystko, co znajdowało się w linii prostej za *nosem*. Nieszczęsna ofiara zwała się na ziemię, a kobieta spojrzała z niesmakiem na swoją zaciśniętą w pięść dłoń. Brudna była.

Reszta hołoty, co się zebrała wcześniej w oczekiwaniu na widowiskowe topienie wiedźmy, zaraz czmychnęła, korzystając z tego, że topielica, zamiast mordować dalej, udała się nad brzeg rzeczki, żeby zmyć z ręki kawałki ich kompana. Na miejscu ostał się tylko wioskowy głupek, który rozumu w nogach nie miał (wiadomo, w końcu był głupkiem). Z niewiadomych przyczyn uznał, że zamiast za swoimi towarzyszami lepiej pójść za przemoczoną dziewczką i gapić się, jak obmywa się z krwi i innych czerwono-białych tkanek.

Kiedy już wszelkie szczątki organiczne spływały wraz z prądem, królowna wyprostowała się i spojrzała na głupka.

Podeszła bliżej.

- Mogłabym docenić to, że miałeś skrupuły - zauważyła, wyplątując wodorosty z włosów. - Ale mi się nie chce. - Przyłożyła chłopakowi, uważając, żeby tym razem żadne paskudztwa jej nie pobrudziły, i poszła sobie.

Nie było dobrze. Znowu miała atak zaniku świadomości i chyba tylko cudem nie utonęła. Demonim cudem zapewne. Za to teraz była przemoczona, nie miała suchych ubrań, w ogóle jej sakwa została gdzieś w ruinach pałacyku hrabiego Osmołu. Pocieszające było, że przynajmniej Pazur miał opiekę. A ona mogła zająć się tą przeklętą zemstą, zanim znowu odpłynie w niebyt.

Nie miała co prawda pojęcia, gdzie jest i gdzie są egzorcyci, do tego była przemoczona i zaczynała kichać, ale kto by się przejmował takimi drobiazgami. Doskonale zdawała sobie sprawę, że jeśli siądzie teraz przy drodze i zacznie się nad sobą uzalać, to równie dobrze może odpuścić sobie tę resztę świadomej egzystencji, jaka jej została, i od razu zacząć kopać schludną mogiłkę nad brzegiem rzeki.

Schludna mogiłka przesądziła sprawę. Może i przed królowną majaczył rychły koniec egzystencji, ale nie życzyła sobie o tym za często rozmyślać. Życzyła sobie myśleć o tym, co zrobi egzorcystom, jak ich złapie. Rozerwie ich na kawałki, wypruje im wnętrzności, spali...

Skoro już o ogniu była mowa, to zdecydowanie przydałoby się jakieś ognisko. Pogoda nie była najlepsza na schnięcie na wolnym powietrzu. W pobliskich zaroślach udało jej się znaleźć trochę zeschniętych patyków mogących starczyć na podpałkę. Tyle że krzemienia nie miała, a pocieranie patyczkiem o patyczek może by i dało jakieś rezultaty, ale nie wtedy, kiedy się miało kompletnie mokre ręce.

Salianka wbiła wściekle spojrzenie najpierw w stosik chrustu, niestety, obojętny na jej złość, potem omiotła wzrokiem okolice, ale tej też to nie ruszyło, aż wreszcie spojrzała w niebo. I wtedy ją olśniło.

- Chcę ognia! - ryknęła. - Juuuuż!

Nie wyglądało na to, by cokolwiek jej wysłuchało, ale królowna nie miała zamiaru tak łatwo się poddawać. Odsunęła się na kilka kroków od kupki drewnienek, złożyła ręce na piersi i wbiła wzrok przed siebie. Czekwała.

I wyglądała tak, jakby mogła czekać dowolnie długo, promieniując na całą okolice wściekłym naciskiem. Póki coś się nie złamie.

Tym czymś była błyskawica i owszem, złamała się. Walnęła wprost w przygotowany chrust. Królowna pozwoliła sobie na pełen satysfakcji uśmieszek. Nawet jeśli ogólnie świat był zdecydowanie pokręconym miejscem, to jednak czasem działał jak trzeba.

Salianka ściągnęła ubranie i rozwiesiła je na krzakach w pobliżu ognia. Co tam przyzwoitość, tak było szybciej. Sama ułożyła się na ziemi i spojrzała w niebo.

Wszystko się cholernie pokomplikowało.

\* \* \*

Tętent końskich kopyt usłyszała wystarczająco wcześnie, żeby zdążyć wdziać jeszcze nie suche, ale już nie mokre ubranie. Ogniska początkowo nie zamierzała gasić, ale kiedy dojrzała, co to za jeźdźcy ku niej zacierają, ledwie dostrzegalnym ruchem ręki sprawiła, że żar zasypała ziemią.

Lepiej było nie kłuć przybyszów ogniem w oczy...

Było ich ze trzydziestu, wszyscy odziani w znajome opończe. Królownę zastanowiło, czy tak liczna grupka zebrała się przypadkiem, czy specjalnie na jej cześć. Jakkolwiek by było, miała zamiar skorzystać z tego niespotykanego daru losu i zabić ich wszystkich. Może nawet paru rozerwać gołymi rękami. Na drobniutkie kawałeczki.

Nawet nie zauważyła, że się oblizuje. Rosnące nieopodal krzaki drgały delikatnie, i to nie z powodu wiatru.

Kiedy egzorcyści byli już bardzo, bardzo blisko, Salianka zaczęła się uśmiechać. Szeroko.

- To wiedźma z Twierdzy - zakrzyknął któryś, widać ją rozpoznał. - Brać ją żywcem, spłonie przed Starszymi!

Krzaki znieruchomiały, a drapieżny uśmiech królowny nagle stał się całkiem normalny. Przed Starszymi? No, no, egzorcyści widać też mieli swoją Radę... Biedni... A co tam, nie będzie przecież tych głupków żałować. Skoro mieli Starszych, to ci Starsi na pewno rezydowali w głównej siedzibie egzorcystów. Wniosek: tych trzydziestu cudownych zbirów chciało ją zabrać dokładnie tam, gdzie tak bardzo pragnęła się znaleźć.

Królowna pomyślała, że nie wierzy we własne szczęście. Co prawda jakiś głosik w jej wnętrzu narzekał, że na razie nici z zabijania, ale bez trudu go stłumiła. Trochę cierpliwości i zabije wszystkich, a ich siedzibę zrówna z ziemią. Czy to nie będzie piękne?

Bardzo piękne. Tak piękne, że Salianka miała wręcz ochotę tańczyć i śpiewać w duecie z jakimś paskudnym, Zwszawiałym leśnym zwierzątkiem albo innym srającym ludziom na głowy ptaszędem. Ba, zrobiłaby to, i to nie zważając na brak zwierzątek, ale na egzorcystach mogło to zrobić niewłaściwe wrażenie. Mogliby spanikować albo się zniechęcić... Nie, żadnych gwałtownych ruchów.

Znieruchomiała niemal całkiem, stojąc sztywno przy zgaszonym ognisku i zerkając tylko na egzorcystów. Zsiedli z koni i zaczęli ją okrażać, czujni, gotowi uchylić się, gdyby postanowiła zaatakować. Królowna nie miała takiego zamiaru, wręcz przeciwnie, chętnie poddałaby się raz-dwa... ale z drugiej strony to nie był najlepszy pomysł. Jeszcze by na przykład uznali, że nie jest wiedźmą z Twierdzy. Gdyby postanowili nie brać jej żywcem, znowu musiałaby ich szukać na własną rękę. Zemsta musiałaby zostać odłożona w czasie, a ta możliwość napędzała królownę wcale niebezpiecznym niepokojem. Czas. Czas nie był najprostszą rzeczą.

Musiała więc dać się pojmać, ale nie dać się pojmać zbyt łatwo. No i w tym tkwił cały problem: co oznaczało zbyt łatwo?

Na pewno robienie marsowej miny i przyczajanie się w stylu atakującego zwierzaka było w porządku. Wśród egzorcystów widać było lekką tendencję do zwalniania kroku.

Salianka odchrząknęła na próbę. Wyszedł jej paskudny charkot, ale wyglądało na to, że mężczyźni w oporcach właśnie tego po niej oczekiwali. Świetnie.

- Przeeeeeklinaaaam waaas! - zaczęła zawodzić, wydobywając z gardła takie zgrzyty, że aż ją podniebienie rozboleło. - I waaaasze dzieci do dziesiątego pokolenia!

- Ale my żyjemy w celibacie! - dobiegł ją nerwowy szept któregoś egzorcysty. Aha, czyli dzieci nie przeklinać.

- Waszych przoodków. - Musiała zrobić przerwę na kaszel. Rzęzenie było straszliwie męczące. - I było domowe! Oby zaraza dziesiątkowała ludzi i zwierzęta! Oby pioruny paliły wasze domy! Oby ziemia pod waszymi stopami się zapadała! Oby woda was topiła! Oby targały wami deszcze! I śniegi! Oby zawsze było wam zimno! Albo dusił was żar straszliwy, paląc trzewia żywym ogniem! Oby...

- Dość, więdmo! - przerwał jej przywódca i całe szczęście, bo królownie zaczęły się wyczerpywać pomysły. Przeklinanie ludzi było straszliwie niepraktyczne. Całe to chrypienie dałoby się ująć w ogólnej koncepcji śmierci w męczarniach, tę zaś Salianka byłaby w stanie im zapewnić we własnym zakresie, bez życzeń i bez bólu gardła. Ale cóż - trzeba było dać takie przedstawienie, jakiego chciała publiczność.

- Ssssssss - syknęła straszliwie Salianka, bo nie bardzo wiedziała, co ma odpowiedzieć. Generalnie to chciała, żeby rozmowa doszła już do punktu, w którym podli oprawcy uwożą ją do swej siedziby.

- Twoje czary nie robią na nas wrażenia, jesteśmy przed nimi chronieni!

Królowna uznała za stosowne skulić się w sobie, jakby się tym przejęła. Jeden z okrażających ją od tyłu egzorcystów potknął się o zdradliwie wystający korzeń. Nie

przypadkiem. Salianka na wszelki wypadek wolała sprawdzić, czy ten buc nie ma racji. Nie miał.

- Sssssshhhhyyy - zaświstała, żeby popchnąć konwersację do przodu. Egzorcyści byli coraz bliżej, no i w zasadzie już powinni się na nią rzucić...

No, wreszcie.

- Nie próbuj się opierać, wiedźmo - burknął jeden z nich, wiążąc jej ręce za plecami. - Jest nas wielu, nie dasz rady.

Salianka z trudem powstrzymała się od popukania się w czoło.

Nabrała głęboko powietrza w płuca, zdusiła opętańczą radość i postarała się rzucić egzorcyście pełne nienawiści spojrzenie, chociaż najchętniej to wyściskałaby go serdecznie. Może nawet wyciąłowała.

Z tego szczęścia nawet delikatnie kopnęła jednego w szczękę, jak ją sadzali na koniu. A, niech chłopak ma. Długo się tymi ranami odniesionymi w boju z wiedźmą straszliwą nie nacieszy, ale co tam. Królowna była w nastroju do spełniania dobrych uczynków.

\* \* \*

Do siedziby egzorcyistów nie było daleko. Po drodze minęli dwie wioski, wyjątkowo schludne, z mieszkańcami mało skłonny do ekscytacji. Ludzie, owszem, wyglądali, co się dzieje, ale jacyś przy tym byli zgaszeni i uciekali wzrokiem. Jeden się tylko wyłamał, młodzik z podbitym okiem, pyszniący się na głos tym, że to on, przy drobnym udziale kompanów, zadenuncjował wiedźmę panom egzorcyistom. Długo się nie pysznił, bo jakże nieszczęśliwie potknął się, przechodząc tuż obok studni, pięknym łukiem przeleciał przez cembrowinę i runął w dół. Ze skutkiem śmiertelnym.

Salianka wbiła niewinne spojrzenie w horyzont i zajęła się radosnym wyczekiwaniem na przybycie do upragnionego celu.

Który to cel wybitnie ją rozczarował. Kiedy wyobrażała sobie siedzibę egzorcyistów, myślała o niej jak o czymś na podobieństwo Twierdzy - ogromna budowla z kamienia, pełna korytarzy, komnat i straszliwych lochów, z dziedzińcem zaprojektowanym tak, by pomieściło się na nim wiele stosów... A nie o niewielkim dworku z ostrokołem, małym dziedzińcem - dobrze, że przynajmniej stos na nim był - który wyglądał tak, jakby go wedle możliwości dostosowano do potrzeb. Nie, to nie było to... Ba, nawet stodołę mieli.

Królownę prosto w serce dźgnęło rozczarowanie. Jakby właśnie ktoś dał jej wymarzoną zabawkę, która rozpadła się po pierwszym użyciu. Tak sobie wyobrażała, jak wspaniale

będzie niszczyć... a tu do niszczenia miała takie byle co!

Salianka oklapła i posmutniała. Jej eskortie najwyraźniej taka reakcja przypadła do gustu - najwidoczniej doszli do wniosku, że strach ją dopadł, dotarła do niej groza sytuacji i świadomość przegranej.

Z tym ostatnim mieli rację. Królowna klęła swój los na wszelkie sposoby. To miało być miejsce, w którym dramatycznie zakończy swój żywot? Zamek egzorcystów, który miała zniszczyć w ostatnim geście okrucieństwa i zemsty, był... No, niewart był zniszczenia.

„Ballada o tym, jak Czarownica z Twierdzy rozpędziła parobków ze stodoły...”

Porażka, całkowita porażka. To było gorsze nawet od ładowania smarkaczy do pieca chlebowego. Nie tak miało być!

Wyraźnie struta Salianka dała się zсадzić z konia i poprowadzić do dworku.

Siedziba egzorcystów była deprymująco sielska. Ostrokół i trzy ułożone na dziedzińcu stosy, w tym jeden używany, trochę tę sielankowość psuły, ale tylko trochę. Poza nimi wszystko było wręcz bajkowe - dworek z drewna, ze zdobionym płaskorzeźbami frontem, zielona trawa, ba, ze stodoły wyglądała krowa... Ta krowa to było o jedno bydłatko za dużo. Królowna przystanęła nagle i obrzuciła swoją eskortę spojrzeniem tak pełnym nienawiści, że z samej przyzwoitości wszyscy, na których spojrzała, powinni paść trupem na miejscu.

- Zniszczyliście mi życie - oznajmiła z głęboką urazą. Seria odgłosów gwałtownie przełykanej śliny poprawiła jej trochę humor. No, przynajmniej to było jak trzeba. Bali się jej. I powinni. Niech no tylko ją zaprowadzą na stos, pewni swojego zwycięstwa, radośni, beztroscy i triumfujący. Niech no tylko wszyscy się zbiorą wokół niej... Zły, wilczy uśmiech zamarł jej na ustach, kiedy sobie wyobraziła siebie siejącą zniszczenie, uciekających, konających w mękach egzorcystów, spanikowane kury, gęsi, muczenie krowy zagłuszające rozpaczliwe krzyki i jęki umierających... i ogromnego łaciatego knura biegnącego w panice na skos przez plac przed dworkiem i podcinającego nogi Starszym egzorcystów... Być może nawet ktoś rozdeptał królika...

Ta myśl niemalże wypełniła oczy Salianki szczerymi łzami. Niemal.

- Przygotujcie stos - rozkazał ktoś za jej plecami. - Nadszedł wyczekiwany dzień.

Nim Salianka zdążyła prychnąć w duchu i poza nim też, dając do zrozumienia, co myśli o jakości tegoż dnia, swoją opinię wyraził kto inny.

- Jeszcze nie - głos był tubalny, stanowczy i bez wątpienia należał do kogoś, kto miał tu wiele do powiedzenia. Nawet bez patrzenia królowna wiedziała, że właściciel tego głosu musi, po prostu musi być solidnie zbudowany, mieć pierś wypiętą tak, że guziki trzymają się koszuli już tylko siłą woli, a plecy wyprostowane do tego stopnia, że na ich widok myślało się

o nieskończonych możliwościach ludzkiego ciała.

Jedno spojrzenie na właściciela tubalnego głosu udowodniło, że zapomniała o jednym istotnym elemencie - ogromnej, krzaczastej brodzie. Tak wielkiej, że niemal zasłaniała mówiącego, przynajmniej z punktu widzenia Salianki, niższej od niego o dwie głowy.

- Stos stanie w Trzech Wieżach. Gdy nadejdzie czas. - Broda pochyliła się w dół, w stronę dziewczyny, odsłaniając lśniący orli nos i parę wytrzeszczonych oczu. W oczach, rzecz jasna, płonął ogień fanatyzmu i nienawiści do królowny.

Bardzo, bardzo chciała pociągnąć go za brodę tak, żeby wyrwać mu ją razem z zuchwą. Powstrzymała ją jedynie radosna świadomość, że co się odwlecze, to nie uciecze. Ta radosna świadomość musiała w jakiś sposób odbić się na jej twarzy, bo brodacze parsknął pogardliwie.

- Nie myśl, że unikniesz swojego losu. Znikniesz z tego świata raz na zawsze, a wcześniej zdradzisz nam wszystkie swoje tajemnice. Zabrać ją!

Uśmiech spelzł z twarzy królowny, zastąpiony przez zaskoczenie. Po cholere im były jej tajemnice? Zwłaszcza że tak dużo to ich znowu nie miała, dwie, no, może trzy. I wszystkie bardzo... cóż... osobiste. Niby dlaczego miałyby ich na przykład interesować, w kim się beznadziejnie zakochała? Albo to, że była sprzątaczką w Dolinach. Albo... Nieważne, co jeszcze, i tak się tego nie dowiedzą. Oczywiście należało się liczyć z tym, że jeśli nie będzie chciała mówić, poddadzą ją torturom - ona by tak na ich miejscu zrobiła.

Wizję tortur Salianka zdecydowanie odrzuciła. Nie po to tłukła się kawał świata, żeby dać się zamęczyć. Oczywiście wizja zmaltretowanej kobiety wchodzącej na stos i ostatkiem sił niszczącej wszystko wokół siebie niosła ze sobą pewien całkiem spory ładunek dramatyzmu, ale królowna nie była aż tak skłonna do poświęceń. Mogła trochę posiedzieć w celi. Mogła się powstrzymać od wrywania im bród, szczęk, uszu i całej reszty. Na razie. Ale jeśli ktoś ją zacznie torturować, to lepiej, żeby miał zawczasu przygotowany testament.

Dała się zaprowadzić do celi, a nawet zakuć w kajdany. Nasycili żelazo jakąś magią, od razu to poczuła. Kiedy spróbowała złamać ogniwo łańcucha siłą umysłu, tylko oberwała iskrą, a w lochu rozległ się radosny rechot strażników.

Salianka w myślach skłęła się od idiotek. Powinna była przewidzieć, że egzorcyci to nie jakieś tam zabijaki, w końcu miała już nieprzyjemność być u nich w niewoli i zrewanżowała im się jeszcze większą nieprzyjemnością - pokazała im dotkliwie, na co ją stać.

Dziewczyna prychnęła tak donośnie, że aż jej podwiało grzywkę. Jakoś nie była w nastroju do załamywania rąk, i to już od dawna. Sięgnęła prawą dłonią do kajdan na lewym nadgarstku, pozornie po to, żeby potrzeć zadrapaną skórę.

Kilka minut później królowna stanęła w obliczu kolejnego problemu, mianowicie jak



naprawić urwany łańcuch tak, żeby strażnicy nie zauważyli, co więźniarka robi, i żeby najlepiej nie było żadnego śladu po tym, jak tenże łańcuch przerwała.

Egzorcyci mogli wziąć poprawkę na magię strażników, ale częściowego opętania nie mogli przewidzieć. Czekala ich paskudna niespodzianka.

Ukontentowana Salianka pozwoliła sobie na wybuchnięcie złośliwym rechetem. A co sobie będzie żałować, w końcu jest złą wiedźmą.

Strażnicy drgnęli nerwowo i na wszelki wypadek sięgnęli po broń. Widać po nich było, że mleko pod nosem im nie całkiem wyszło, chociaż udatnie imitowało młodzieńczy zarost. Zapewne pilnowanie królowny było ich pierwszym poważnym zadaniem. Salianka, kiedy zdała sobie z tego sprawę, najpierw była zaskoczona, potem wściekła, że tak nisko ją cenia, a wreszcie uświadomiła sobie, że egzorcyci wyznaczili do jej pilnowania tych, których mogli bez żalu poświęcić. Zawsze przecież było możliwe, że ani łańcuchy, ani kraty, ani uroki nie pozbawią do końca mocy wiedźmy z Twierdzy.

Prychnęła jeszcze w ich stronę, a oni niemal weszli ze strachu na ścianę.

Usatysfakcjonowana królowna rozsiadła się wygodnie w celi i umiała sobie czas oczekiwania na tortury, czy co tam ją czekało, strojeniem min do strażników. W życiu by jej nie przyszło do głowy, że wywalenie na kogoś całego jęzora może prowadzić do tak zabawnych rezultatów. Zez rozbieżny też przynosił całkiem ciekawe efekty.

Nieskrępowaną radość, jaką Salianka czerpała z terroryzowania młodocianych egzorcystów, przerwało pojawienie się nieoczekiwanego gościa. Do lochu wszedł starzec w opończy, podpierający się laską. Zarówno laska, jak i jej właściciel robili wrażenie solidnie spróchniałych.

Na jego znak i wyszeptane chropowate ponaglenie osłupiali strażnicy otworzyli drzwi w kracie. A raczej próbowali otworzyć, bo koszmarnie im się przy tym trzęsły ręce. Reszta ciała też.

Kiedy wreszcie im się udało, staruch, zasuszony, wychudzony i ogólnie zmumifikowany, bez lęku wszedł do celi. Młodzieńcy zamknęli za nim kratę i, ponaglani przez niego skinieniem chudej dłoni, uciekli z lochu. Wyglądało na to, że starzec najwidoczniej w spokoju chciał obejrzyć sobie bliżej schwytane kuriozum. Królowna nie pozostała mu dłużna i też sobie obejrzała niechcianego gościa - długo, porządnie i nie kryjąc odrazy. Nigdy nie miała uznania dla mumii. Czy to martwych i służących za niegustowny element wystroju wnętrza, czy to żywych i łączących między ludźmi. No, powiedzmy, że dla Dawasza skłonna była uczynić wyjątek, ale głównie dlatego, że nie śmierdział stęchlizną. A stary egzorcysta śmierdział. I to mocno.

Łańcuchy lekko brzęknęły, gdy królowna gwałtownie pochyliła się do przodu, a staruch nagle znalazł się z nią twarzą w twarz. Z bliska śmierział jeszcze gorzej, ale za to wystarczyło spojrzeć mu w oczy, żeby przekonać się, że mumią to na pewno nie jest. Zbyt wiele życia - i szaleństwa, osobistym zdaniem Salianki przynajmniej - kryło się w wyblakłych źrenicach.

- No i co się gapisz? - warknęła królowna.

- Powinnaś zginąć - powiedział stary egzorcysta, zupełnie jakby nie dosłyszał jej pytania.

- Bo jesteś zła. Ale oni - machnął ręką, jakby wskazując na resztę świata - oni nie myślą już o wypłenieniu plugastwa. Oni chcą władzy, potęgi - w jego głosie zabrzmiała nowa nuta nienawiści, inna, niż kiedy mówił o królownie. - Zamiast wyganiać demony z tego świata, chcą nimi władać!! Czerpać z ich ciemnych mocy dla własnych korzyści!

- A, to dlatego demony tak bardzo chcą się stąd wynieść - skojarzyła Salianka. Stary najwyraźniej był już tak zaawansowany w latach, że nie umiał powstrzymać wylewających się z wnętrza żalów i marudzenia.

- Spętane zaklęciami, muszą służyć ludziom - ciągnął starzec, wcale jej nie słuchając. - To niszczy i demona, i człowieka. Ale można władać demonami, nie poświęcając nic z siebie. Można być ich panem, nie uzurpatorem. Tak jak ty! - Wycelował w nią pomarszczony palec. - Można sprawić, by działaniami demonów kierowały nie zaklęcia pętające ich wolę, ale lojalność bezgraniczna, bezwzględna...

- Aż do ostatecznego poświęcenia - dokończyła.

Wyglądało na to, że dopiero teraz zauważył, iż bynajmniej nie ma do czynienia z nieruchomym przedmiotem, ale z jednostką żywą, myślącą i posiadającą swoje zdanie, a także wiedzę na pewne tematy.

- Tak. Zmienili się, zmienili się wszyscy, nie to, co kiedyś... - Cmoknął z dezaprobatą. - Nie rozumieją, czym jest pokora. Sięgają po środki, które nie im są pisane. Że niby tylko tak damy radę z nimi walczyć...

Królowna zmarszczyła brwi. Z nimi? Co to za jacyś „oni”? Podobno to ona była największym wrogiem egzorcystów a nie...

- Smoki! - olśniło ją nagle. - Potrzebujecie demonów, by walczyć ze smokami!

- Plugastwo, wszystko plugastwo - zgodził się egzorcysta. - Wiedzmy, smoki, demony... Plugawią ten świat. Tak trudno, tak ciężko jest je z niego usunąć. Mnożą się, kryją, wypełzają za plecami uczciwych ludzi. I sączą, sączą swój jad na ten świat, zatruwając go coraz bardziej.

- A wy go niby czyściecie - zauważyła kąśliwie Salianka. - Z pełnym poświęceniem i

oddaniem. I niby do tego czyszczenia jest wam potrzebna prawdziwa władza nad demonami?  
- prychnęła.

- Jad zatrul i nasze szeregi. Są tacy, którzy stracili z oczu prawdę. Zawsze tacy byli, ale kiedyś było łatwiej, dużo łatwiej wytropić ich i usuwać. Ale ci są zbyt wysoko, zbyt ważni. Nie da się ich tak powstrzymać. - Niespodziewanie wyciągnął schowany dotąd w rękawie szaty sztylet i zamierzył się na dziewczynę. Ta, zamiast się przestraszyć, prawie parsknęła śmiechem. Wolne żarty. On niby chciał ją zabić. Nieumiejętnie ściskanym sztyletem, ciosem zadany z prędkością zaspanego zółwia? Nie, to było po prostu śmieszne. Nawet gdyby nie miała siły i zręczności demona, to dziesięć razy zdążyłaby mu uciec, o zabranii noża nie wspominając.

Już się do tego miała zabrać, kiedy stary zmarł i nagle upuścił nóż. Królowna już podejrzewała, że z ekscytacji apopleksja go dopadła, ale to była płonna nadzieja.

- Powinienem sam cię zabić, teraz, żeby wiedza o władaniu demonami nie dostała się w ich ręce. - Wykrzywił bezwiednie chude, wyschnięte palce. - Ale nie mogę... nie mogę!! Tyle zła, czyste zło sprowadzone na świat, by być dobrem. - Zacisnął pięści.

Królowna nagle zrozumiała. Wszystkie elementy układanki wskoczyły na miejsce. Pasowały do siebie tak dobrze, że aż trudno jej było uwierzyć, iż wcześniej na to nie wpadła.

- Pułapka na demony! Wrota do piekieł zamknięte w umyśle Strażnika. Strażnik Wrót zamknięty w Twierdzy! A wszystko to w imię dobra - zakończyła gorzko. - Czasami człowiek się naprawdę cieszy, że jest tym złym.

- Waszym przeznaczeniem nie było zło - powiedział głucho. - Twierdza miała być ocaleniem dla nękanego przez demony świata.

- Dobra, Twierdza, ale dlaczego jej władcy też? Nie mogliście sobie po prostu postawić tam Wrót? Musieliście pchać je komuś do łba? Banda sadystów!

- Nie da się przestawić Wrót! Wieki temu magowie dysponujący potężnymi mocami przywołali je na ten świat. Ale żadna ludzka magia nie da rady przesunąć ich z jednego miejsca na drugie. Można tylko znaleźć Strażnika, którego umysł je przyjmie.

- No, to wiele wyjaśnia - warknęła królowna. Czemu jej przodkowie nie zadali się z jakimś smokiem, który umiałby przestawić Wrota BEZ wpychania ich komuś do głowy? Gdzie w ogóle były te cholerne smoki, kiedy człowiek ich potrzebował? Nieużyte gadziny. Tak to pchały się i intrygowały, ale kiedy naprawdę przydałoby się troszkę ich udziału, to nie, siedziały gdzieś w swoich jamach, pilnowały skarbów i zabawiały się, strasząc chłopów swoimi przekształceniami.

- Ocaliliśmy wtedy świat - oznajmił z dumą starzec.

- Tak, no jasne. - Salianka poderwała się na nogi i zaczęła nerwowo przemierzać celę w tę i z powrotem, kopiąc wszystko, co jej się napatoczyło pod nogi. - Świat nękają demony, uleczmy go! Złapmy jakiegoś głupka, wsadźmy mu do łba Wrota, odbierzmy świadomość jego potomkom! W cholernie dobrym celu i z jeszcze bardziej cholernie dobrymi intencjami!!

Stary niemal zatrząsł się ze złości.

- Władca zgłosił się na ochotnika! Nie ubliżaj jego odwadze!

- Mam gdzieś jego odwagę! I zgłaszanie się na ochotnika. Czy mnie ktoś pytał, czy się zgadzam?! Czy przyszło mu do głowy, na co skazuje te cholerne dwadzieścia dwa pokolenia swoich potomków?!!

- To nie miało trwać tak długo... - to był niemal szept, pełen zdziwienia, jakby do starego dopiero teraz dotarło, ile czasu minęło.

- Ale trwało!! - Królowna stanęła tuż przed nim poczerwieniała ze złości. - Dwadzieścia dwa pokolenia pustych naczyń czekających na nadejście Wrót!! Bardzo rodzinny był ten „bohater”, że tak miło dzieci, wnuki i prawnuki raczył potraktować!

- Nie tak miało być! Żadnych pustych naczyń! Brzemie miało być przekazywane świadomie wybranym z rodu! Ale ona, ona musiała zrobić swoje. Wyniosła się za góry, żeby tam w małych, głupich kraikach układać wszystko po swojemu. Lubiała się rządzić, przekłeta baba. Czarami naginała świat tak, żeby chodził wedle jej widzimisie. - Splunął na podłogę, prawie na buty Salianki, która natychmiast cofnęła się z odrazą. - Wielka, niech ją diabli, czarodziejka się znalazła. Chciała sobie zrobić mały świeatek działający wedle jej upodobań. Dobro i zło, rewers i awers... Potrzebowała wrogów i potrzebowała bohaterów. Wplątała się we wszystko, wyгнаła nas z gór, rzuciła czary...

Salianka już przy jego pierwszych słowach zamarła z głupkowato otwartymi ustami. Reszta twarzy ułożyła się w wyraz korespondujący z owym kółeczkiem warg.

- Chwila - wykrztusiła wreszcie. - Strażnicy nie tracili świadomości? Wrota przyjmowali dobrowolnie? Byli DOBRZY? I wszystko się zmieniło, kiedy zjawiała się czarodziejka i zaczęła tworzyć bohaterów...?

Stary patrzył na nią wyraźnie zszokowany. Jedną ręką zaczął grzebać w obszernym rękawie, jakby właśnie przypomniał sobie, że przecież przyniósł ze sobą nóż. Ale ostrze leżało teraz na ziemi i odgradzała go od niego rozwścieczona dziewczyna.

- Mów! - zażądała.

- Tak - powiedział powoli, odsuwając się w tył i trochę w bok, zupełnie jakby miał zamiar w bezpiecznej odległości okrążyć królowną i za jej plecami dopaść broni.

Salianka w ogóle nie zwracała na niego uwagi. Całkiem pochłaniało ją gotowanie się ze

złości. Jej własna cholerna rodzona babka! Nic dziwnego, że Pawlinka jej nienawidziła. Salianka w jednej chwili zaczęła jej nienawidzić sto razy mocniej niż kiedykolwiek jej matka. Och, gdyby tylko dorwała babcie w swoje ręce...

Chrzanić więzy krwi, ten babsztyl cały by z tego nie wyszedł. Królowie pozostawało mieć nadzieję, że jest jakaś sprawiedliwość na tym świecie i szanowna pierwsza patronka Obrońców Dolin gnije gdzieś w piekle. I to koniecznie w towarzystwie demonów. Tych najokropniejszych.

- Gdybym ją dorwała... - Zgrzytnęła zębami.

- Ty? - Staremu wyrwało się jakieś poświstywanie, które prawdopodobnie było dychawicznym rechotem. - Oni nie umieli powstrzymać jej zaklęć, a ty niby dałabyś sobie z nią radę.

Saliance wiele więcej nie było trzeba. Logika, rozum, rozsądek odleciały już dawno, możliwe nawet, że zaczęły ją opuszczać, w chwili gdy opętał ją Virven, a teraz po prostu pękła ostatnia nitka. Wszystko szło nie tak. Egzorcyci nie mieszkali w ponurym zamku, który malowniczo obróciłby się za jej sprawą w ruinę. Nie miała co liczyć na publiczne spalenie na stosie i masakrę, o której bardowie latami by zawodzili przy jęklwym śpiewie harf. Wszyscy byli cholernie interesowni, a już najbardziej jej cholerna babka, niech ją szlag i wszystkie demony. Wizję miała. No i jeszcze ten tu, zgrzybiały, zmumifikowany, śmiał się z niej.

- A ja niby jestem za słaba?? - wysyczała.

Nie musiał jej odpowiadać. Jego twarz wystarczyła za odpowiedź. Tak, jesteś słaba, mówiły suche zmarszczki, nie umywasz się do swoich przodków. Najlepszy dowód - mamy cię, mała, słaba czarownico.

No i tego było za wiele.

Kajdany pękły jakby same z siebie. Stary egzorcysta zauważył to, dopiero gdy dziewczyna uniosła wolne ręce. Odsunął się, zasłaniając przed nią, jakby to coś mogło dać.

Salianka nawet nie zamierzała go atakować. Po co deptać pojedyncze karaluchy, skoro można rozgnieść je wszystkie. Z płaskiem.

Uśmiechnęła się szeroko, szerzej, niż ludzie zwykli się uśmiechać, błyskając trochę za bardzo ostrymi zębami, i jednym szarpnięciem wyrwała kratę. Cisnęła ją za siebie, nawet nie celując. Krata odbiła się od ściany, obkruszyła drewno i kamienie i wreszcie z brzękiem opadła, przygniatając starcowi nogę. Krzyknął z bólu i zaczął się szarpać, ale nie udało mu się uwolnić.

- Obyś poszła prosto do piekieł - wycharczał w stronę pleców odchodzącej królowny.

- Zamierzam - rzuciła przez ramię resztką przytomności Salianka. - Mam tam przyjaciół.

A potem w jej oczach pojawił się żółty, niebezpieczny blask. Zastępował wszystkie słowa, zresztą w głowie królowy nie zostało dość przytomności, by je wypowiedzieć.

## ROZDZIAŁ 9

Nuda - poskarżył się Tord, spoglądając smętnie na łąki i zagajniki ciągnące się wzdłuż drogi. Usta wykrzywił w podkówkę, która bardziej pasowała do kapryśnej dziewczeczki niż do dzielnego wojownika. - Ani rabusiów, ani wędrowców w potrzebie, ani potwora pod mostem...

- Nie było mostu - zwrócił mu uwagę Plaskat. - Tylko bród. Potwór nie miałby się gdzie schować.

Rycerz zganiał go spojrzeniem. Potem zgromił wzrokiem również okolicę, ale nic to nie dało. Trawy ugiwały się pod delikatnym zefirkiem, kwiaty nastawiały kielichy do słońca, a polne myszy mnożyły się zapamiętale. Wszystko tchnęło spokojem, który najwyraźniej coraz bardziej, Torda irytował.

- Źle ci? \_ zdziwił się Piąty. Przez kilka ostatnich dni zaczęło mu się wydawać, że już prawie rycerzy rozumie. A tu wygłaszali takie dziwaczne sentencje, robiąc z siebie matołków co najmniej. - Słońce świeci, kłopotów na horyzoncie nie ma, tylko królowy nam do szczęścia brakuje.

- Kłopotów - sprostował Orvd, zrównując swojego wierzchowca z koniem Plaskata. - Kłopotów nam do szczęścia brakuje. Nie powinno być tak, że jedziemy sobie radośnie przed siebie, a nad nami słońeczko świeci. Powinna nas napaść jakaś banda rabusiów.

- Albo jakieś niedobitki uprzednio przez tych rabusiów napadnięte mogłyby z rowu wypełznąć i błagać o ratunek - podsunął rzewnie Tord. Obaj westchnęli z głębi rycerskich trzewi, z żalem i pretensją do świata, który nie spełniał ich oczekiwań.

- Słońce wam zaszkodziło? - spytał nieufnie Piąty. Patrzył na rycerzy ze zgrozą pomieszaną z niezrozumieniem.

- Wyprawa nie przebiega tak, jak powinna - wtrącił się jadący z tyłu Alvad. Mimo że okolica zdawała się bezpieczna, a na horyzoncie nie było żywej duszy, przez cały czas trzymał dłoń na rękojeści miecza. Dla bezpieczeństwa, trochę z przyzwyczajenia, a trochę

dlatego, żeby poczuć pod palcami zimny metal, przypomnieć sobie, kim jest. Potrzebował tego przypomnienia nawet teraz, gdy szare płótno przysłaniało portret królowny i spojrzenie jej smutnych oczu. Oczu, które mimo to patrzyły prosto na niego, a ich spojrzenie zdawało się wypalać sobie drogę przez jego duszę, serce i sumienie. Zimny metal pozwalał ukoić ból, jaki mu to sprawiało.

- Jakby coś wyskoczyło na nas zza krzaków, to byłoby lepiej?

- No, niby nie... - wtrącił się Tord. - No ale rozumiesz, co to za wyprawa: tylko jedziemy, jedziemy, jedziemy...

- ...i jedziemy - podsunął mu Orvd.

- ...i jedziemy. No i nic się nie dzieje! Ja już nawet straciłem rachubę czasu - poskarżył się rycerz.

- Podążamy śladem królowny...

- ...a królowna śladem jakiegoś młodzika - mruknął pod nosem Alvad.

- ...i to się liczy - ciągnął Plaskat, ignorując uwagę zielonookiego. Oni naprawdę byli nienormalni, ci szlachetni rycerze. - To nie jakiś pościg, żeby na każdym kroku czyhały na nas pułapki, hordy zbójów czy...

- Smok, najprawdziwszy smok, jak prababcie Kocham!!! - krzyknął ktoś całkiem niedaleko.

Pięciu jeźdźców zgodnie osłupiało, a potem niemal równie zgodnie sięgnęło po miecze. Niemal, bo Piąty, wyraźnie zdegustowany, nawet nie drgnął.

- Smoków nie ma - oznajmił stanowczo. - To jakieś bajki.

- Demonów też podobno nie było - rzucił przez zaciśnięte zęby Alvad. Tak jak i pozostali rycerze, napiął mięśnie, szykując się na atak bestii z zaskoczenia. Rycerze mierzyli ponurymi spojrzeniami okolicę, mrużyli oczy, jakby to miało im pomóc w wypatrywaniu wroga, i prawie strzygli uszami.

Plaskat obserwował ich najpierw w osłupieniu, potem z rosnącym rozbawieniem. To była komedia i już. Czterech dorosłych mężczyzn wilo się w siodłach w jakichś dziwnych wygibasach, mających zapewne obrazować czajenie się na wroga.

Dużo wysiłku kosztowało Piątego powstrzymanie się od wybuchnięcia śmiechem. Przełknął czający się w gardle szatański chichot i zapytał krótko i treściwie:

- Gdzie?

Rycerze, dalej przykurczeni w obronno-atakujących pozach, spojrzeli na niego, ale jednocześnie starali się nie tracić z oczu okolicy. Zupełnie jakby stali się ofiarami masowego ataku rozbieżnego zeza.



- Co gdzie? - spytał Orvd.

- Gdzie ten smok? - Plaskat, jedyny wyprostowany, powiódł wzrokiem po okolicy. - Może ja się nie znam, ale te smoki to one duże, zdaje się są.

- Noo... - Tordowi chyba zaczęło coś świtać w głowie. Wciąż na wpół skulony, zaczął rozglądać się na boki, ale już nie szukając bestii, a oceniając krajobraz.

Z którejkolwiek by strony patrzeć, smok nie miał się gdzie ukryć. Wszędzie rozciągały się łąki, na horyzoncie majaczył jeszcze jakiś większy gaj, no i blisko nich, przy drodze, był jeden mniejszy - w zasadzie zarośla. Smok może by się w nich schował, ale wtedy, jak na mityczną bestię, musiałby być niezłym kurduplem.

- No... - powtórzył Tord, prostując się. Pozostali też przestali przybierać te idiotyczne bohaterskie pozy. - No... jakby smoka nie ma...

- Jak nie ma, jak nie ma! - Z za zagajnika bliżej drogi wygrzebała się sterta łachmanów zawierająca gdzieś w swoim połatanym wnętrzu istotę ludzką, zapewne płci męskiej. Na to ostatnie wskazywała zwłaszcza wystająca z okolic twarzoczaszki postrzępiona broda. - Jest smok!

Chłop wyszedł na drogę, a za nimi spomiędzy drzew i zarośli wynurzyła się większa grupa, sprawiająca już bardziej estetyczne wrażenie. Przynajmniej jak na wieśniaków. Wszyscy wydawali się podekscytowani, ale niezbyt przerażeni wizją spotkania z bestią, gdziekolwiek by się czaiła.

- Dobry człowieku - zwrócił się słodkim głosem do łachmaniarza Plaskat - byłbyś skłonny nam powiedzieć, gdzież jest ten smok?

Dobry człowiek na widok możnych panów, którzy raczyli zadać mu pytanie, począł giąć się w ukłonach. Jego świta, początkowo niepewna, jak ma reagować, po kilku chwilach podporządkowała się jego entuzjastycznej poddańczości i też zaczęła się kłaniać i dygać w sposób nieumiejętny i niezorganizowany.

- Prawdziwy smok, panie, najsamprawdziwszy! Autentyczny! Od łba do ogona, od łuski po czubki zębów. A ooooooomniasty! - Zaczął kreślić rękami koła, chcąc zapewne w ten sposób podkreślić wspomniany ogrom. Podkreślanie marnie mu wyszło, za to mógłby całkiem udatnie podszyć się pod wiatrak.

- Gdzie. Jest. Ten. Smok - powtórzył Plaskat wciąż słodko, ale tonem odrobinę twardszym. - Dobry. Człowieku - dodał po namyśle.

- Na północy! W Morskiej Bryzie mają, panie, najsamprawdziwszego smoka. Ni stąd, ni zowąd im się pojawił, zionący ogniem i siejący zniszczenie.

- No proszę. - Alvad wyprostował się w siodle. - Ze smokiem jeszcze nie walczyliśmy.

Wśród pozostałych rycerzy zapanowało lekkie ożywienie. Widocznie naprawdę byli już znudzeni monotonną i spokojną drogą, bo perspektywa spotkania z bestią wcale ich nie zmartwiła. Ba, w ich oczach pojawiły się nawet wojownicze błyski. Tylko Eind wykazywał nieco mniejszy entuzjazm. Widocznie dla niego potencjalna walka ze smokiem nie była tylko zabawą i okazją do prezentacji umiejętności szermierczych. To akurat nie było zaskoczeniem. Król był wyjątkowo utalentowany w dziedzinie cierpienia za miliony i pochylania głowy nad ciężkim losem świata.

Plaskat subtelnie zgrzytnął zębami. Nie potrzebował bandy smokobójców, potrzebował rycerzy, którzy pomogą mu znaleźć królową! A nie dadzą się pożreć bestii na śniadanie. Już miał wygłosić parę słów o obowiązkach i konieczności zadbania o lud Rozstajów, cierpiący pod jarzmem, kiedy nagle coś go tknęło. Spojrzał na żebraka i idących za nim ludzi, na oko sądząc, chłopów z okolicznych wiosek, którzy gnani ciekawością dali się namówić na tę wyprawę. Uznawszy, że możni panowie już nie mają do nich żadnych spraw, cała grupka ruszyła drogą ku Morskiej Bryzie.

- Jakby mnie ktoś pytał - powiedział powoli - to z polowania na smoka będą chyba nici.

Rycerze spojrzeli na niego nieprzychylnie. Psuł im zabawę, radość z potencjalnej potyczki i zanosilo się na to, że zaraz strzeli im pogadankę o tym, że powinni ratować królową przed idiotami, którzy byli na tyle głupi, żeby się do tej beztroskiej morderczynie zbliżyć.

- Tak na zdrowy rozum: jeśli w mieście grasuje smok, to po co oni - Piąty wskazał na grupę chłopów - tam idą? Logiczne by było, gdyby uciekali jak najdalej.

- Może są tępi - podsunął z nadzieją Tord.

- A może po prostu jakiś miejscowy bohaterzyna już zadźgał smoka i idą obejrzeć truchło.

Orvd i Tord skrzywili się zgodnie. Po pierwsze, na bohaterzynę, bo sami przecież pod to określenie podpadali - chociaż „bohater” brzmiało o niebo lepiej - po drugie, na koniec radości z pokonania bestii.

- Jest jeden sposób, żeby się przekonać - powiedział Alvad. - Dobry człowieku! - wykrzyknął za oddalającą się grupą wędrownych gapiów. - A ten smok to jeszcze żywy?

- Nie, panie - odkrzyknął łachmaniarz. - Najsamprawdziwiej martwy. Ponoć jakaś dziewczka go usiekła. Ale można oglądać zezwłok.

Żebrak i chłopci odeszli już nie niepokojeni przez nikogo, bo czterech rycerzy zajętych było wbijaniem ciężkich spojrzeń w Piątego. Wymowne milczenie wisiało w powietrzu, a drzewa i trawa niemal ugięły się pod jego ciężarem.

- Zapewne zbieg okoliczności - stwierdził Plaskat.

- Jaaaasne - mruknął Orvd. - Taka pora roku, krwiożercze dziewczki grasują po szlakach, katrupią wojów i smoki. Wszędzie ich pełno, człowiek się normalnie potyka...

- ...o te trupy, co za sobą zostawia - podsunął radośnie Tord. - Myślicie, że to rzeczywiście robota królowny? Egzorcyści, jakieś draby, to jeszcze rozumiem, ale żeby smoka załatwiła? I skąd tu w ogóle wziął się smok?

Eind podrapał się w zamyśleniu po szorstkiej brodzie.

- Nie wiem, jak ze smokami - powiedział - ale chyba możemy założyć z dużym prawdopodobieństwem, że to właśnie królowna zabiła smoka. W końcu chyba byłaby do tego zdolna... - Spojrzał pytająco na Piątego.

Plaskat przez chwilę milczał, a potem ostentacyjnie wzruszył ramionami.

- Mnie już nic nie zdziwi - powiedział z rezygnacją. Królowna była nietypowa. Na tyle nietypowa, że, zdaje się, zabiła smoka. Własnoręcznie zapewne. Piąty miał tylko nieśmiałą nadzieję, że nie gołymi rękami.

\* \* \*

Wszystko wskazywało na to, że martwy smok kwalifikuje się do miana atrakcji stulecia, albo nawet tysiąclecia. Do Morskiej Bryzy, jak się okazało, ściągał lud z okolic dalszych i bliższych. Każda grupa miała odrobinę inne informacje na temat tego, skąd się wziął smok, kto i jak go ukatrupił i które części wystawiono na widok publiczny. Jednak zdecydowana większość zagadniętych przyszłych gapiów wspominała coś o dziarskiej dziewczce, chociaż nie mogli dojść do zgody co do tego, kim ta dziewczka była i czemu postanowiła ubić smoka. Powtarzano jakieś bzdury na temat księżniczki z zamorskich krain, hrabiego przebranego w damskie ciuszki, tajemniczej czarodziejki, a nawet obłożonego klątwą zmiany płci błędnego rycerza. Największe ożywienie wśród rycerzy wzbudziła jednak historia o panience, która ubiła smoka, co to chciał zjeść jej ukochanego.

- Chyba mam to, jak mu tam... deja vu - oznajmił w zamyśleniu Orvd.

- Myślisz? - zainteresował się jego kuzyn. - Że ona tak podróżuje po kraju za tym chłystkiem i coraz to ratuje go z opalów? Ja tam bym nie chciał chłopca, co się za niego bić trzeba. No, gdybym był kobietą.

- Kobiet nie zrozumiesz - pokręcił głową ponurak.

- Ano nie - zgodził się Tord, a z jego piersi wyrwało się westchnienie rzewne i głębokie.

- Sami nie wiecie, o czym mówicie - warknął na nich Alvad, ciskając z zielonych oczu

błyskawice. Gadanie o potencjalnych romansach królowy ostatnio denerwowało go coraz bardziej. - To tylko jakieś plotki, popłuczyny prawdy. O ile w ogóle ktoś z tych ludzi zna prawdę i o ile w ogóle jest jakiś smok!

- O tym niebawem się przekonamy - powiedział spokojnie król. - Morska Bryza już niedaleko. I szczerze mówiąc, chyba lepiej byłoby dla nas, gdyby się okazało, że to królowa zabiła tego smoka.

- Czemu? - zdziwił się szczerze Tord.

Eind spojrzał na niego dobrotliwie.

- Morska Bryza to duże miasto - wyjaśnił. - Szukać tam jednej dziewczyny to gorzej, niż szukać igły w stogu siana. Ale szukać dziewczyny, która zabiła smoka... Nie można tak po prostu zabić takiej bestii i zniknąć niezauważoną.

- Obyś miał rację - mruknął Plaskat.

Wizja królowy smokobójczyni nadal go przerastała, ale powoli, powoli zaczął osiągać stan wewnętrznej równowagi. Ta równowaga oznaczała, że nic., absolutnie nic, co mogłaby jeszcze zrobić królowa, już go nie zdziwi. Salianka stawiała się nieprzewidywalna poza ludzką miarę i zdolna do rzeczy niewyobrażalnych.. Zamiast gryźć się i zastanawiać, co jeszcze ta szalona kobieta była w stanie zrobić, Piąty wolał koncentrować się: na swoim podstawowym zadaniu - doprowadzeniu całej i zdrowej Pani z powrotem do jej Twierdzy. O tym, że królowa może oznajmić, iż nie ma zamiaru wracać, też wolał nie myśleć.

- Gdybym to ja zabił smoka - rozmarzył się Tord - stanąłbym na jego cielsku i czekał na wdzięczne tłumy mieszkańców.

- Nie wiem, czy znajdziemy dla ciebie drugiego w okolicy - powiedział z westchnieniem król. - Może się okazać, że królowa wykończyła ostatniego przedstawiciela gatunku... i dla dzielnych rycerzy już nic nie zostało.

Z tego żartu śmiał się tylko on i Plaskat. Pozostali trzej rycerze nie wydawali się specjalnie rozbawieni.

- To nie jest śmieszne - oznajmił wyraźnie przygnębiony Orvd. Zgarbił się, jasne włosy zasłaniały mu twarz, ale wyglądało na to, że wbija smętne spojrzenie nie tyle w ziemię, co w koński kark. - Zabijanie smoków to jest robota dla rycerzy. Zabijanie rozbójników też. Nie może być tak, że jedna królowa lata sobie po drogach i miastach i... i wybija smoki!

- Dobrze, że tylko jedna - mruknął pod nosem Tord.

\* \* \*

Morska Bryza była niesamowicie zatłoczonym miastem. Ciężko było przejść ulicami pełnymi ludzi zmierzających w jedno określone miejsce. Na ten tłok oprócz mieszkańców i przyjezdnych gapiów składali się dodatkowo handlarze, żebracy, złodzieje i wędrowni kaznodzieje pałający chęcią nawrócenia tłumów. Ze względu na to, że napływający gapie pochodzili ze wszystkich stanów, rycerze i Piąty nie zwracali na siebie zbytnej uwagi. Przyjęli to z ulgą, po wydarzeniach w Szaroskałach nie mieli ochoty robić za atrakcję wieczoru. Chociaż w starciu ze smokiem nie mieliby szans.

Smok był dosłownie wszędzie. Nie tylko zawartość straganów czy gromada ciekawskich spoza miasta świadczyły o jego obecności. Co druga rozmowa na ulicy dotyczyła smoka. Nie dało się przejść ulicą, nie usłyszawszy o nim co najmniej kilkakrotnie. Nierzadki był też widok kogoś zadzierającego z niepokojem głowę, wpatrującego się niebo. Jeśli ta jedna osoba stała tak wystarczająco długo, to niektórzy przechodnie też zatrzymywali się i próbowali dojrzeć, co też on czy ona tam zobaczyła. Jednak większość tylko rzucała lękliwe spojrzenia do góry i odchodziła pośpiesznie. Wyglądało na to, że ludzie nie mogą się zdecydować, czy smok jest interesującym dziwem, czy powodem do niepokoju.

Przyczyny takiego stanu rzeczy wyjaśniły się, dopiero gdy podróżnym udało się znaleźć wolną izbę w gospodzie. Jedną, ale biorąc pod uwagę ilość przybyszy w mieście, to i tak granoczyło to z cudem. Żaden cud to nie był, ot, prawie że buda z kamienia i drewna, ale mieli tam łóżka, nawet jeśli tym wykwintnym mianem określano ramy, na które rzucono poszarzałe sienniki. Ale ceny nie były zbyt złodziejskie, a siedzący na dole przy stołach ludzie nie wyglądali na najgorszą miejską hołotę. No i można było zasięgnąć informacji.

- Były dwa smoki - oznajmił zagadnięty o sensację miasta gospodarz, starszy mężczyzna, szczupły i żwawy, najwyraźniej niestroniący przez całe życie od ciężkiej pracy. - Niektórzy mówią, że to tylko plotka, ale to znaczy, że albo byli ślepi, albo w mieście ich wtedy nie było. Nie wiadomo, skąd się wziął ten martwy. Ponoć nagle się pojawił, ni stąd, ni zowąd. Ale ten drugi przyleciał do miasta, obejrzał sobie truchło i odleciał. I teraz ludzie się zastanawiają, czy aby nie wróci pomścić towarzysza.

- A niech mnie. - Tordowi aż się oczy zaświeciły. - A jakby tak...

Nie zdołał dokończyć, bo zarobił solidnego kuksańca pod żebro. Alwad doszedł do wniosku, że nierozsądnie będzie w żyjącym w strachu przed smokiem mieście ekscytować się głośno możliwością jego powrotu.

- Opowiedz nam o tym smoku - zaproponował tonem życzliwie zainteresowanym. - Tyle o nim słyszeliśmy po drodze, ale każdy zapytany opowiadał co innego.

Karczmarz prychnął i przecesał dłonią siwe włosy.

- Heh. Tak to jest: ktoś coś usłyszy, ktoś coś dopowie, inny przeinaczy... I robią się plotki. Czego to ja się od przyjezdnych nasłuchałem! Nie jeden smok, a dziesięć, nie martwy, a żywy...

- A jak było naprawdę?

- To już trudno stwierdzić, bo prawda się wzięła i rozmyła. Ale parę rzeczy jest pewnych. Na balu możnych państwa zrobiło się jakieś zamieszanie, nikt nie wie dlaczego. Może i z powodu smoka, bo zaraz się okazało, że i smok tam jest. Nie wiadomo, skąd się wziął, bo na niebie nikt go nie widział. Niby noc była, ale bestii nadlatującej trudno byłoby nie zauważyć, a już jakby piechotą szła, to nie ma bata, pół miasta by widziało. No więc był smok. Nie wiadomo, czego chciał. Żaden z miejskich rycerzy nie stawiał mu czoła, chociaż na balu było ich od groma, teraz mówią, że ponoć nie zdążyli, że szukali broni... takie tam tchórzliwe gadanie. Rycerzy nie było, ale była jakaś dziewczka. Nikt jej nie znał, nikt nie wiedział, skąd się wzięła - zupełnie jak z tym smokiem. No i ta dziewczka smoka zatłukła. A jak mówię zatłukła, to mam na myśli dokładnie to, co mówię. Smoczy łeb można oglądać, widać, co z nim zrobiła. Mówią, że to nie dziewczka, tylko diabelski pomiot, przebrany mąż... różne rzeczy mówią, bo jedno jest pewne - kobieta takiej siły nie ma. Mężczyzna też nie. Spytać jej nie ma jak, bo śladu po niej nie zostało. Może pożarł ją ten drugi smok.

Plaskat wzdrygnął się nerwowo. Zareagowałby gwałtowniej, gdyby nie ręka Einda, która mocno zacisnęła się na jego ramieniu. Ten gest niósł ze sobą nie tylko nakaz wstrzemięźliwości, ale też pociechę i ukojenie.

- Z tym drugim to już więcej wiadomo - ciągnął karczmarz. - Przeleciał nad miastem i było na co popatrzeć. Potem wylądował, obejrzał sobie ciało zabitego kolegi i poleciał z powrotem. I teraz wszyscy się zastanawiają, czy aby nie wróci go pomścić. Ale jak będzie naprawdę, nie wie nikt.

- Strasznie dużo tych niewiadomych - powiedział dość ostro Alvad. Wydawał się lekko podenerwowany, i to w dość agresywny sposób. Karczmarz spojrzał na niego z rosnącym niepokojem.

- Może i dobrze - powiedział spokojnie Eind. - Opowieści, w których pełno było szczegółów, okazywały się często stekiem kłamstw i wymysłów. Ale coś jeszcze chyba możesz nam powiedzieć.

- Co? - Karczmarz wydawał się ciągle zaniepokojony zachowaniem swoich nowych gości.

- Na przykład gdzie możemy obejrzeć smoka?

- A, to tam, gdzie padł. W ruinach pałacyku hrabiego Osmołu.

\* \* \*

Wieczór i noc nie były dobrą porą do prowadzenia poszukiwań i tylko dlatego Plaskat, zamiast gołymi rękami przekopywać ruiny pałacyku w poszukiwaniu królowny, żywej, martwej czy nadgryzionej, siedział w pokoju i wpatrywał się w jej portret. Zupełnie jakby malunek mógł go zapewnić, że Salianka jest żywa. Bo że to ona była tajemniczą dziewczką, o której plotkowało całe miasto, był pewien. W końcu ile nadludzko silnych kobiet krążyło w okolicy Morskiej Bryzy, mając za cel odnalezienie chłopaczka ukrywającego się w pałacyku hrabiego Osmołu?

Rozważając wszystkie niebezpieczeństwa, jakie mogła napotkać na swojej drodze zbuntowana królowna, smoków jakoś Piąty nie brał pod uwagę. Nawet mu do głowy nie przyszło, że jakiś smok może istnieć naprawdę i jeszcze bezczelnie pojawić się nie wiadomo skąd, i pożreć Saliankę. Cóż, jeśli rzeczywiście ją pożarł, to na pewno nie bez walki. Powybijałaby mu zęby... Zresztą przecież jednego smoka zabiła, dlaczego nie miałyby zabić i drugiego? Ale mogła być zmęczona, taki pojedynek to w końcu nie było co.

Plaskat poderwał się na nogi i zaczął przemierzać izbę w tę i z powrotem.

Oczywiście mogło być tak, że królowna podczas tej swojej wyprawy zginie. W końcu ludzie ginęli, prawda? Ludzie tak, ale ona... Nie wyobrażał sobie. Salianka po prostu nie wyglądała na kogoś takiego. Za dużo w niej było... życia. No właśnie, życia.

Rycerze zeszli do głównej izby na kolację, wcześniej usilnie starając się go namówić, by im towarzyszył. Zwłaszcza upierał się przy tym Eind. Zupełnie jakby Piąty stał się obiektem wymagającym specjalnej troski i uwagi.

Być może w innej sytuacji tak widoczne współczucie, i to ze strony, jakkolwiek by patrzeć, wrogów, denerwowałyby Plaskata. Ale teraz to nie było ważne. Najważniejsza była królowna. To na niej skupiał wszystkie swoje myśli, rycerzami w ogóle się nie przejmował. Oni byli tylko środkiem, który miał mu ułatwić odnalezienie Salianki. Narzędziem. Kto by się przejmował fochami narzędzia?

Spoglądająca na niego z obrazu królowna na pewno nie.

Drzwi uchyliły się i do izby wślizgnął się Alvad. Zrobił to w dziwny, lekko ukradkowy sposób, zupełnie do niego niepasujący. Wydawało się, że nie bardzo wie, co ze sobą zrobić.

- A gdzie pozostali? - Piąty spojrzał! na niego pytająco.

- Jeszcze jedzą. Żarcie tu mają nie najlepsze, straciłem apetyt, jak zobaczyłem, co mam na talerzu - dodał jakby na usprawiedliwienie.

Plaskat nic nie powiedział. Mniej czy bardziej delikatne żołądki rycerzy nic a nic go nie obchodziły. W puste gadanie też się wdawać nie zamierzał.

Alvad przeszedł przez izbę i opadł nonszalancko na jedno z wolnych łóżek. Leżał tam przez chwilę z głową opartą o ścianę, zerkając to na sufit, to na Piątego, to na portret, to znowu na ścianę.

- Myślisz, że to naprawdę zrobiła?

- Co? - Piąty usiadł na swoim łóżku, plecami do rycerza. Też patrzył na namalowaną Saliankę.

- Zabiła tego smoka.

- Nie zdziwiłbym się. - Plaskat wzruszył ramionami.

- Ona naprawdę jest... niezwykła.

- Nietypowa - poprawił rycerza. - Jedyna w swoim rodzaju. Nieprzewidywalna. Być może już martwa. Pożarta przez smoka. Nietypowa śmierć, jak by nie patrzeć. W sam raz dla kogoś takiego jak ona - bardzo mocno walczył, żeby głos mu się nie załamał.

- Też wolałbym, żeby żyła - powiedział cicho Alvad.

- Ty? - Zaskoczony Plaskat niemal zapomniał o przygnębieniu. - Odkąd to chcesz ją widzieć żywą?

Wyglądało na to, że rycerz wiele by dał, żeby cofnąć wypowiedziane słowa. Ale na to było już za późno i pozostawało mu tylko brnąć dalej.

- Może doszedłem do wniosku... powinienem... należą jej się jakieś przeprosiny - wyrzucił z siebie w końcu. - Za to wszystko... za to całe zamieszanie.

Piąty parsknął. W pierwszej chwili chciał powiedzieć rycerzowi, że może sobie te swoje przeprosiny w dupę wsadzić, ale nawet nie otworzył ust. Królowa sama mu to powie. Albo i nie. Albo i tak. Sama zdecyduje, jak już ją znajdą. Jeśli ją znajdą.

Opadł w tył, na łóżko, i zamknął oczy. Dobrze wiedział, że sen nie przyjdzie szybko, ale nie miał ochoty rozmawiać ze skruszonym Alvadem. Ani z żadnym z jego towarzyszy. Do czego to doszło, żeby wrogowie współczuli mu możliwej straty władczyni...

\* \* \*

- Co my właściwie chcemy tam znaleźć? - zapytał Tord, kiedy wczesnym rankiem szli do wytworniejszej części miasta, gdzie jeszcze niedawno stał pałacyk hrabiego Osmołu. Odłożenie poszukiwań na rano wydawało się całkiem rozsądnym pomysłem - w końcu w ciągu dnia mieli większą szansę spotkać jakichkolwiek ewentualnych świadków czy po prostu



kogoś, kto wiedział więcej niż oni. Najlepiej samego hrabiego Osmołu.

Tyle w kwestii rozsądku. Coś, co z pewnością rozsądkiem nie było, wygoniło ich z gospody równo ze świtem. Najbardziej do przodu, co nie było zaskakujące, wrywał Plaskat, a po piętach deptali mu Eind i Alvad. Tord i Orvd, obaj najbardziej zaspani - zresztą jedyni z całej grupy, którzy w nocy spokojnie spali - nie mieli innego wyjścia, jak dotrzymać im kroku.

- Cokolwiek - odburknął Eind. Jedyne, czego był pewien, to że należy znaleźć tego młodzika, którego szukała królowna. Problem był tylko w tym - jak, bo młodzików na miejscu było pod dostatkiem.

Najbogatsza dzielnica miasta nie prezentowała się najlepiej, w każdym razie nie odkad odwiedziły ją smoki. Ulice pełne były ciekawskich wszelkich stanów i maści, których obecność skutecznie obniżała dostojność i wysokoklasowość mniejszych i większych pałacików. Trudno utrzymać snobizm okolicy, kiedy pod płótnem przewala się gromada żebraków i chłopów z okolicznych wsi.

Zresztą ten tłum był niczym w porównaniu z pobojuwiskiem, jakie zostało po ponoć ślicznym niegdyś pałacyku. Jedyne, co się zachowało, chociaż w stanie urągającym wszelkim normom estetycznym, był mur otaczający posiadłość. Przez wyrwy w nim tłum gapiów wdierał się do środka oglądać ogrom zniszczeń.

Trudno było się domyślić, co za budowla stała tu jeszcze niedawno.

Obecnie teren, kiedyś będący zapewne ogrodem, pokrywały połamane drzewa i krzaki, a także malowniczo porozrzucany budulec. Natomiast w miejscu, gdzie niegdyś z tego budulca zbudowano pałacyk, leżał ni mniej, ni więcej, tylko smok. Prawie cały, poza łbem, który, jak powtarzano sobie gorączkowo, odcięto i wystawiono na widok publiczny na głównym placu miasta.

Smok wyglądał dokładnie tak, jak po smoku należało tego oczekiwać. Wielki, pokryty łuską i straszny, mimo że martwy. Straszny tylko w pierwszym momencie, bo zaraz się okazało, że ktoś skorzystał z chwili nieuwagi pilnujących cielska strażników i wspiał się na smoczy grzbiet. Ludzie zaczęli go sobie pokazywać palcami, rozległy się okrzyki aprobaty, kilku innych spróbowało pójść w jego ślady. Atmosfera natychmiast się zmieniła na niemal radosną i piknikową.

- Ale bestia - jęknął z podziwem Tord, zadzierając głowę.

- Przeogromna - przyświadczył Alvad. - I królowna dała radę...?

- A czemu miała nie dać - mruknął niecierpliwie Plaskat. Kiedy zobaczył smoka, zaparło mu dech, ale tylko na chwilę. Bardziej od wszystkich smoków świata interesowała go

królowna i jakikolwiek ślad jej obecności. A z tym nie było najlepiej.

Widać było, że strażnicy pilnujący smoka i tego, co zostało z posiadłości, już dawno dali sobie spokój z wypełnianiem obowiązków co do joty. Siła ciekawskiego tłumu była zbyt wielka, by dał się powstrzymać. Jeśli z pałacyku ostało się coś warte zabrania, to na pewno zostało zabrane. Nie było też co liczyć na zdobycie jakiegokolwiek przydatnej informacji. Ludzie powtarzali znaną już rycerzom historię, dodając mniej lub więcej fantastycznych elementów. Rozmowa ze strażnikami też nic nie przyniosła. Gwardziści nie byli chętni ani do opowiadania o tym, co na miejscu zaszło, ani do wskazania miejsca, gdzie można znaleźć hrabiego. Nie pomagały ani prośby, ani podstępny, ani nawet próba przekupstwa.

- To nie ma sensu - stwierdził wzburzony Plaskat, kiedy zebrali się wszyscy na uboczu. - Po królownie nie zostało tu ani śladu.

Eind unikał jego wzroku. Pozostali rycerze również. Dziwnie się czuli, patrząc na Piątego, który najwyraźniej tracił nad sobą kontrolę, poddając się nie gniewowi, a rozpacz.

- Ale przecież ktoś musiał coś widzieć...

- Na pewno - stwierdził stanowczo Alwad. - Musimy znaleźć tego hrabiego. Albo nam pomoże, albo powie, gdzie szukać tego chłopaka. Przecież to oczywiste, że królowna tutaj za nim przyszła.

- Popytamy w gospodzie - zdecydował Eind. - Nawet jeśli tu nie udało się nikogo... przekupić - widać było, że słowo z trudem przechodzi mu przez gardło.

- No właśnie - zgodził się radośnie Tord.

Plaskat spoglądał na nich z niedowierzaniem. Może i w ciągu ostatnich dni doszło między nimi do czegoś na kształt ugody, ale ostatnie, czego się spodziewał, to takie grupowe podnoszenie na duchu i szukanie rozwiązań. Poza tym kto by się spodziewał, że zaciekli wrogowie królowny będą tak bardzo starali się znaleźć ją żywą.

Już odchodzili, kiedy nagle w tłumie zrobiło się zamieszanie. Ludzie zaczęli wydawać różne okrzyki, odsuwać się na boki. Przyczyną takiego stanu rzeczy okazało się ogromne czarne psisko przedzierające się przez ciżbę gapiów. Zwierzak skoczył z rozpędu i wylądował wszystkimi czterema łapami w ramionach zaskoczonego Plaskata. Piąty upadłby powalony impetem skoku, ale na szczęście za plecami miał Torda i Alvada, o których udało mu się oprzeć i wrócić do pionu.

Pies nie zwracał na to wszystko uwagi, zajęty wylizywaniem z uczuciem twarzy Plaskata i zawziętym merdaniem wielkim ogonem. Wyglądał jak ogromna czarna kupa szczęścia.

- To przypadkiem nie jest psiak królowny? - zdziwił się Tord. - Podobny do tego na obrazie...

- To... plffff... on. - Piąty odwrócił głowę, żeby uniknąć mokrego języka. Niezrażony brakiem aprobaty dla swojej afektacji, Pazur wylizywał mu z zapalem ucho i czubek głowy. - Skąd on się tu wziął?

- Raczej nie koczował w ruinach. Nie wygląda na zapuszczonego. - Alvad pochylił się i przyjrzał lepiej psu. Pazur warknął na niego krótko i nieważnie, zbyt zajęty wyrażaniem swojej radości.

Ludzie przechodzący wokół nich nie zwracali uwagi na psa, zbyt pochłonięci oglądaniem smoka i jego dzieła zniszczenia. Psów w mieście było na pęczki - a smoczysko tylko jedno. Nie wyglądało na to, żeby za Pazurem ktoś szedł, a już na pewno nie królowna, chociaż Plaskat przez jedną chwilę miał nadzieję, że Salianka, prychając wściekle, rozepchnie na bok przechodniów, podejdzie do niego i bez żadnych wyjaśnień każe się wieźć z powrotem do Twierdzy.

Ale Salianki w tłumie nie było, nie było też nikogo innego, kto interesowałby się psem.

- Nie wygląda na to, żeby ktoś go szukał - stwierdził Tord. - Do walki ze smokiem doszło ledwie parę dni temu, nie zdążyłby wychudnąć, nawet gdyby nie miał opieki. W mieście jest się przecież czym żywić.

- Może masz rację - stwierdził król. - Szkoda, że on nie umie mówić.

Odeszli, Plaskat z Pazurem na rękach, bo psiak nie chciał zejść. Mimo że było mu najpewniej niewygodnie, uparł się. Pysk oparł o ramię Piątego, spoglądając ponad nim w tył. Kilka razy zamachał energicznie ogonem, wierząc się przy tym tak, że Plaskat prawie go upuścił. Odwrócił się, mając nadzieję, że *może* jakimś cudem pies dojrzał w tłumie Saliankę. Oczywiście jej tam nie było. Ani wśród gapiów, ani w grupce zuchów próbujących wspiąć się na smoczy ogon, ani wśród szlachciców stojących z boku i drapiących się z frasunkiem po brodach.

## ROZDZIAŁ 10

Kiedy odjeżdża ukochany, biała chusteczka służy nie tyle do machania, co do otarcia łez. Machanie jest tylko na pokaz, żeby nie domyślił się, po co ten kawałek materiału jest naprawdę potrzebny.

Kiedy odjeżdża ktoś, do kogo nic się już nie czuje, machanie staje się pustym gestem i bardzo szybko zaczyna boleć ręka.

Ten ból był chyba tym, czego Jali było potrzeba. Ledwo Plaskat oddalił się na tyle, że już nie mógł jej widzieć, opuściła rękę. Wcale zresztą nie musiała czekać tak długo. Ani razu się nie odwrócił.

Ona też się nie obejrzała za siebie, kiedy schodziła z murów. Zrobiła, co do niej należało, i teraz miała ważniejsze sprawy na głowie. Po pierwsze, pilnować pozostałych członków Rady. Plaskat miał rację, na starych stępach można było polegać, jak nic będą knuć.

A po drugie... Pani Twierdzy była podobno kościstą staruchą, która zazdrosna o urodę innych kobiet mordowała je w podziemiach swojego zamczyska. Pani Twierdzy była potężną wiedźmą, której zawsze towarzyszył diabelski pomiot pod postacią czarnego psa. Pies ten codziennie rozszarpał na strzępy dziesięciu mężczyzn, cztery kobiety, dwoje dzieci i osiem kotów. Tak przynajmniej głosiła wieść gminna.

Ta sama wieść wspominała o tym, że Czarownica z Twierdzy dzięki swoim czarom przemieniła się w ciemnowłosą piękność i uwiodła księcia z Dolin, prowadząc go na złą drogę. Inna wersja tej historii wspominała o białolicej czarodziejce, która stanęła z czarownicą do walki o serce wielkiego wojownika Ulka i ją przegrała. Niektóre bajania wspominały o tym, że księżę był tylko nieświadomą ofiarą manipulacji.

Wieści, plotek i bająn były setki, albo i tysiące. Każda inna. Każda pełna kłamstw. Każda w jakimś stopniu prawdziwa.

Wystarczyło tylko wyciągnąć z każdej z tych bajek tę drobną cząsteczkę prawdy, a potem ułożyć z uzyskanych kawałków całą najprawdziwszą historię.

I to właśnie miała zamiar zrobić Jala.

Już od dawna miała poczucie, że coś jej umyka, że prawda już dawno gdzieś znikła, zaplątana w kłębki kłamstw i niedopowiedzeń. Zdawała sobie też sprawę, że za tę zasłonę dymną odpowiada Salianka. Odkrywanie prawdy wbrew intencjom Pierwszej mogłoby oznaczać niełojalność, ale Jala na to tak nie patrzyła. Nie chciała zaszkodzić królownie. Wręcz przeciwnie, chciała jej pomagać jak tylko się da. Ale uważała, że najlepiej będzie mogła to robić, wiedząc wszystko.

Do odkrywania prawdy, tak jak do każdego innego zajęcia, Ósma podeszła metodycznie. Dane zbierała już od jakiegoś czasu metodą „porwij barda, każ mu odśpiewać wszystkie ballady o Czarownicy z Twierdzy i rób notatki”. Tych notatek miała już całkiem sporo. Przywiozła je wszystkie ze sobą z Rozstajów i na magazyn zagarnęła jedną z komnat w Twierdzy.

Reszta Rady, włączając w to Plaskata, była co prawda gromadą wścibskich sukinsynów, ale Jala nie obawiała się, że będą jej przeszkadzać. Ba, wręcz ich do tego zachęcała, opowiadając każdemu, czy chciał czy nie chciał słuchać - a wszyscy zdecydowanie nie chcieli - że przygotowuje niespodziankę, żeby rozbawić królownę, ostatnio zdecydowanie zbyt ponurą.

Ignorowała delikatne wspomnienia, że Salianka nie znosi niespodzianek, i usilnie zachęcała każdego, żeby pomógł jej ułożyć program artystyczny z zebranych piosenek, a spisane teksty rozsiewała po całej komnacie. Efekt był imponujący, członkowie Rady przestali nawet przechodzić korytarzem obok jej pracowni.

Mimo to Jala nie zrezygnowała z zasłony dymnej. Pod nieobecność królowny mogła sobie pozwolić na utrzymywanie nieporządku, przynajmniej w tej jednej komnacie. Łupieżcom i członkom Rady nieustannie przypominała, że kiedy ich Pani wróci, rozliczy ich z każdego kłębuszka kurzu.

To było bardzo ważne, żeby przypominać im, że Salianka wróci. Łupieżcy byli bandą prostych, wiernych naiwniaków, więc z nimi za dużego kłopotu nie było. Wystarczyło im powtarzać, że Pani wraz z Piątym wyruszyła na tajną misję, mającą coś wspólnego z zaplanowanymi podbojami - a już sami dopowiedzieli resztę, zachwycając się mądrością królowny i już licząc przyszłe łupy.

Większy problem stanowiła Rada. Spiskowała. Wszyscy jak jeden mąż, nie licząc Sirparaka, który na spiski był za głupi, spiskowali. Plaskat miał rację, niewiele było trzeba, żeby doszli do wniosku, że bez królowny jest im lepiej.

Niewdzięczni. Niewierni. Podstępni.

Nie minęły trzy dni od zniknięcia królowny, a już w atmosferze twierdzy dało się odczuć rozluźnienie. Członkowie Rady zaczęli chodzić pewniejszym krokiem, ba, Czwarty, chichocząc opętańczo, naniósł błota na posadzki.

Chyba właśnie wtedy, patrząc na brązowe plamy na czerwono-niebieskiej szachownicy, Jala zrozumiała, że być może będzie musiała ich zabić. To była przykra myśl. Ósma nie była okrutną kobietą, nie czuła się też dobrze ze świadomością, że odbierze komuś życie. Ale nie była już radosną dziewczynką zonglującą pochodniami. Była Ósmą Rady, namiestniczką Rozstajów i aktualnie jedyną ostoją wierną prawdziwej władzy. I rozumiała, że niekiedy nie ma innego wyjścia.

Trucizny miała gotowe od dawna, tak na wszelki wypadek. Wprawdzie urodzenie i wychowanie nie przeznaczyły Jali do roli szlachcianki, regentki, powiernicy królewskiej ani do żadnej z tych ról, które przyszło jej odgrywać w Twierdzy. Ale Ósma była bystra i szybko się uczyła. Czego nie załatwiły urodzenie i wychowanie - doczytała albo podpatrzyła u innych. Biorąc pod uwagę, że podpatrywała głównie pozostałych członków Rady, nie należało się dziwić, że Jala w pierwszej kolejności zaktualizowała swoją wiedzę z zakresu skrytobójstwa. A nawet poszukała informacji dodatkowych. I, oczywiście, zaopatrzyła się w stosowny sprzęt. Buteleczek z trucizną miała kilkanaście, starannie ukrytych w kufierku z perfumami i barwnymi specyfikami. W całej Twierdzy chyba tylko Salianka i niania potrafiłyby się połapać w gąszczu kolorowych flakoników i słoiczków. Z całą pewnością nie podolałby temu żaden mężczyzna, a już na pewno nie któryś z tych przyków z Rady.

Tak, Jala była gotowa na wszystko. Kiedy nadejdzie właściwy czas, stanie w obronie Salianki.

Chwilami miała wrażenie, że ten czas już nadszedł. Członkowie Rady przestali się kryć po kątach, wydawało jej się też, że inaczej chodzą po Twierdzy - bardziej wyprostowani, pewni siebie. Zawsze kroczyli, jakby świat do nich należał, ale ze świadomością, że gdzieś zza rogu może na nich spoglądać królowna. Wystarczyły im trzy dni...

Piątego dnia Jala nie wytrzymała i chłodnym głosem zwróciła uwagę Czwartemu, który najwidoczniej postradał zmysły. Specjalnie wlaźł do chlewika, żeby potem dreptać w kółko po sali tronowej. Przerazona służba usiłowała rzucać mu pod nogi jakieś szmaty, zamiatać to, co naniósł, pucować, ale wygonił ich z krzykiem. Służące pobiegły do Sampsy, a ochmistrz, trzęsąc się z gniewu, pognął do Jali. Następował jej prawie na pięty, kiedy szła do sali tronowej.

- Królowna będzie bardzo niezadowolona - oznajmiła twardym głosem Ósma, stając w drzwiach i spoglądając na upačkane posadzki - kiedy wróci i dowie się, że jeden z jej

Doradców postradał zmysły i tak potraktował jej Twierdzę.

- Pożyjemy, zobaczymy - oznajmił radośnie i tolerancyjnie Czwarty, wychodząc z sali i ostentacyjnie wdeptując z impetem w naniesione błoto.

Jala nie odpowiedziała. Kiedy tylko za doradcą zamknęły się drzwi, odwróciła się w stronę okna. Wydawało jej się, że doszedł ją stamtąd znajomy łopot skrzydeł.

Sala tronowa to nie było jednak dobre miejsce na poważne rozmowy, zwłaszcza w tej chwili. Do środka wpadła z impetem i wiadrami cała służba, wniebowzięta, że może wreszcie wszystko tu wypucować. W przeciwieństwie do Rady reszta mieszkańców Twierdzy była przekonana, że królowna wróci. A jak wróci, to na pewno sprawdzi, czy wszystko jest czyste i lśniące. A jeśli nie będzie, to jeszcze ktoś skończy w ogromnym piecu kuchennym.

Ósma szybkim krokiem podążyła do swojej komnaty. Starannie zamknęła za sobą drzwi, zatkała kawałkiem szmatki dziurkę od klucza. Dopiero wtedy odwróciła się w stronę okna.

- Jesteś? - zapytała.

- Jestem, jestem. - Szutel wgramolił się do środka. - Przeleciałem siedem rzek, siedem gór...

- Dwie rzeki, a góry kazałam ci omijać - skorygowała bezlitośnie Jala. - Jakie wieści?

- Niezłe - wyszczerzył się mózgojadek. - Nasza pani połamała egzorcystom karki. No, i trochę złe, bo jak połamała, to polazła nie wiadomo gdzie. W drugą stronę, niż jest Twierdza, znaczy. Tak se myślę, może chciała poobieżyswiatować?

Kuglarka wzruszyła ramionami.

- Jest królowną, może robić, co chce. A my jesteśmy jej wiernymi poddanymi i naszym obowiązkiem jest czekać na nią z utęsknieniem! - Złapała za kałamarz i cisnęła nim w ścianę. Saliance zawsze takie wyczyny pomagały, ale Jala nie była Salianką. Kałamarz zostawił po sobie okropną plamę i to by było na tyle. Złość w Ósmej wcale nie zmaląła.

Była jednakowo wściekła i na królownę, i na Radę. Na Doradców dlatego, że byli nielojalnymi, spiskującymi, podstępными, knującymi po kątach draniami, których nie obchodził los ich Pani i zapewne życzyli jej jak najgorzej. A na Saliankę, bo zamiast poskręcać karki egzorcystom, po czym grzecznie wrócić i zrobić to samo z Radą, postanowiła szukać przygód, nie dbając o to, że niektórzy będą się o nią martwić, wyruszać na wyprawy ratunkowe z jakimiś zapyziałymi bohaterami od siedmiu boleści albo siedzieć grzecznie w Twierdzy, dbać o to, żeby posadzki były wypucowane, i trzymać na oku tych nielojalnych, spiskujących...

Drugi kałamarz poleciał w ślad za pierwszym.

- Ten... - Szutel stropił się lekko. - Znaczy dobre wieści przyniosłem, co?

- Bardzo dobre - warknęła Jala. - Nasza Pani jest cała, zdrowa, zdolna do zabójstwa i niebawem powróci w chwale do Twierdzy, a wtedy biada wszystkim, którzy nie pozostali jej wierni.

Odwróciła się na pięcie i energicznym krokiem opuściła komnatę. Szutzel po chwili wahania ruszył ostrożnie za nią, kolebiąc się na boki.

Ósma przemierzała Twierdzę z takim impetem, że kto żyw uskakiwał jej z drogi. Szorujący brzuchem po ziemi Szutzel nie musiał się dzięki temu martwić, że ktoś nieuważny go nadeptnie - bo choć demonów się w Twierdzy bano, a niektóre starannie na polecenie królowny szanowano, to jednak mogło się zdarzyć, że ktoś niewielkiego mózgojadka nie zauważy. W korytarzach nie miał szans polecieć, za mało miejsca było na rozwinięcie ogromnych skrzydeł.

Nie udałooby mu się jej dogonić, gdyby w pewnej chwili nie zwolniła i nie zaczęła zaglądać do mijanych komnat. Wreszcie w jednej znalazła to, czego szukała. Weszła, a depczący jej tuż po piętach Szutzel za nią.

- Odnaleziono naszą Panią! - oznajmiła gromko z takim samym impetem, z jakim wpadła do sali, skutecznie przyprawiając wszystkich spożywających właśnie obiad członków Rady o niestrawność.

- Skąd... - zapytał władczo Dawasz, ale przeszkodził mu w tym nagły atak kaszlu i charczenia ze strony Czwartego, który zadławił się smażoną wątróbką. Wśród pozostałych zapanowała przez ułamek sekundy konsternacja: generalnie wszyscy byli nastawieni na dbanie przede wszystkim o siebie i ewentualne kopanie dołek pod rywalami. Poczucie solidarności wobec głównego rywala do władzy, jakim była dla nich Salianka, pokonało jednak wzajemne animozje i z niemal niezauważalnym poślizgiem Siódmy rzucił się wspomóc druha mocnym poklepywaniem po łopatkach.

- Żyje i ma się dobrze - kontynuowała bezlitośnie Jala. - Poskręcała porywaczom karki.

- Wraca? - wyrwało się skrzekliwie Czwartemu w rytm serdecznych uderzeń, jakie serwował mu Gurlek.

Jala szczerze pożałowała, że nie może powiedzieć tak, a potem patrzeć na zmieniający się wyraz ich twarzy. Nie liczyła na Eralika i Sirparaka - w końcu pierwszy był zdrajcą, a drugi głupkiem, ale pozostała trójka... Och, jak ona by to chciała zobaczyć! Jak błędną, jak Czwarty rzuca się sprawdzić, czy aby wszystko, co nabrudził, zostało posprzątane...

- Jeszcze nie, nie teraz - oznajmiła złowieszczo. - Nasza Pani zdecydowała się zwiedzić dalekie krainy i możliwości podbojów. Plaskat i rycerze będą jej eskortą - kłamstwo przyszło jej bardzo łatwo. W końcu co miała im powiedzieć? „Królowna polazła nie wiadomo gdzie,



Plaskat jej szuka i robi, co może”? To nie była wiadomość, jaką należało im przekazać. O nie, oni musieli wiedzieć, że Pani Twierdzy niebawem wróci. I lepiej, żeby była zadowolona z tego, co zastanie po powrocie.

Pierwszy opanował się jak zwykle Dawasz. Nie było mu trudno, bo twarz miał zawsze jak wykutą z kamienia, a emocje objawiały się co najwyżej lekkim ściągnięciem ust czy brwi.

- To pewne informacje? - zapytał.

- Szutzel właśnie wrócił. - Jala machnęła niedbale dłonią w stronę przyczajonego przy drzwiach mózgojadka.

- Najsampradziwsza prawda wszystko - skłamał pośpiesznie, szczerząc zęby w uśmiechu z założenia szczerym, otwartym. Założenie nie wypaliło, bo u większości ludzi, w tym u większości Rady, widok jego zębów wywoływał nerwowe wzdrygnięcia. - Ledwo com wrócił, nawet nic nie zjadłem po drodze, tak się śpieszyłem, żeby szczęśliwe wieści przekazać.

Czwarty najwidoczniej przypomniał sobie, czym się żywi mózgojadeadek, bo stanowczym ruchem odsunął od siebie talerz z wątróbką.

- Bardzo szczęśliwe wieści - zgodził się z goryczą.

- Prawda? – podchwyciła Jala, a jej głos wręcz ociekał entuzjazmem. Aż dziwne, że na podłodze nie zrobiła się kałuża. - Nam wszystkim na pewno niesamowicie ulżyło, że królowna ma się dobrze i porywacze nie wyrządzili jej żadnej krzywdy. Oczywiście mnie na przykład w głowie w ogóle nie powstało, że mogłoby być inaczej.

- Nam też... - Siódmy z goryczą dźgnął nożem pieczeń. Podniósł głowę i napotkał spojrzenie Ósmej: szczere, jasne... i twarde jak hartowana stal.

- Myślę, że powinniśmy uczcić tę nowinę - oznajmiła bezlitośnie. - Łupieżców z pewnością ucieszy wiadomość, że ich Pani niebawem powróci, jak tylko wyrze zemstę na tych, którzy ośmielili się ją porwać.

- Zemstę? Przecież miała sobie krainy zwiedzać... - wyrwało się zdziwionemu Czwartemu.

Jala przeniosła na niego swoje spojrzenie bazyliuszka.

- Wszyscy wiemy, że nasza Pani nie puszcza płazem zniewag. Jest oczywiste, że połączy przyjemne z pożytecznym i nie będzie tylko zdobywała wiedzy na temat życia w innych krainach, ale też znajdzie czas na to, by zmiażdżyć swoich wrogów. Lub też rozszarpać ich na strzępy.

- Strzępy...?

Ósma westchnęła teatralnie.

- Przecież wiecie, że została częściowo opętana przez Virvena. Można, a nawet należy założyć, że przejęła jego pewne zachowania. Sądzę, iż pofolguje sobie i ukarze wrogów tak, jak na to zasłużyli. Wiecie, jaka jest nasza Pani..

Nie musiała kończyć. Wiedzieli, i to wiedzieli bardzo dobrze. Jala po prostu poczuła, że musi im o tym przypomnieć, ot, na wszelki wypadek. Nie żeby sądziła, że o tym zapomnieli, skąd. Przecież byli wiernymi sługami królowny, tak jak i ona.

Nieśpiesznie wyszła z komnaty z zamiarem odnalezienia ochmistrza Sampsy i wydania mu dyspozycji odnośnie święta ku czci Salianki. Łupieżcom też było warto przypomnieć, kto jest ich ukochaną Panią, budzącą grozę wśród okolicznych krain czarownicą.

A ponieważ królowna pętała się nie wiadomo gdzie i nie wiadomo w jakim celu, obowiązek przypominania wszystkim o tych banalnych sprawach spadł na Jalę. Nie narzekała, skąd. W końcu była lojalną poddaną.

Szutel niemal pędem rzucił się za Ósmą.

Kołysząc się na swoich krótkich nóżkach, towarzyszył Jali, gdy zarządzała wyprawienie święta i popijawy, koniecznie pod wywieszonym na dziedzińcu portretem królowny. Potem poczłapał za nią do jej komnaty i nonszalancko zwałił się na jedną ze stert pergaminów zaścielających podłogę. Już się miał wygodnie umościć, kiedy spojrzenie jego różowych oczu padło na litery nakreślone starannie przez Jalę. Większość demonów nie radziła sobie zbyt dobrze z czytaniem ludzkiego pisma, ale Szutel był dumnym posiadaczem znacznej ilości komórek mózgowych, nie tylko własnych, i radził sobie z tym doskonale.

Przejrzał najpierw te pergaminy, na których leżał, potem z nosem przy podłodze, szperając pomiędzy szeleszczącymi stosami, kolejne, aż wreszcie dotarł do stołu, na którym Jala rozłożyła ogromną płachtę i rozrysowywała na niej coś, co oficjalnie znane było jako „Plan niespodzianki dla królowny, w tym występów artystycznych, tańców, żonglerki i odczytywania poematów ku czci”. Szutel nie miał o tej oficjalnej nazwie pojęcia, za to wystarczyło mu poszurać nosem przy jednym rogu pomazanego pergaminu, żeby wiedzieć już, co się święci.

- Królowna nie będzie zadowolona - oznajmił, cmokając z dezaprobatą.

- Królowny tu nie ma - odburknęła Jala. - A ja staram się jak mogę jej pomagać i wiernie służyć. I o wiele łatwiej byłoby mi to robić, gdybym wiedziała, co tu się właściwie dzieje! I działa!!

Kałamarz trzasnął o ścianę dokładnie tam, gdzie poprzednie, a atrament spłynął po zaschniętych kleksach. Gdyby nie to, że Ósma zabroniła służbie wchodzić bez pozwolenia do swojej komnaty, zapewne raz-dwa pojawiłby się ktoś, żeby to sprzątnąć.

Szutzel ostrożnie przeniósł spojrzenie z cieczy i odłamków pod ścianą na twarz Jali. Dziewczyna miała rumieńce i zaciśnięte usta.

- Królownie zawsze rzucanie pomagało... - mruknął nieco bezradnie demonek. Ludzie byli dziwni.

- Ale ja nie jestem królowną - wycodziła Ósma. - Jestem kuglarką. Nie wiem, co mam robić. Wokół wszystko się komplikuje, same problemy: Salianka zniknęła, Plaskat pojechał jej szukać, Rada spiskuje, a ja zostałam z tym wszystkim sama. Nie wiem, co robić. A rzucanie kałamarzami nie pomaga!

- Można skazać kogoś na śmierć... - podsunął życzliwie mózgojadek. Problemy w końcu powodowali ludzie, prawda? Niektórzy ludzie. Więc logicznie rzecz biorąc, usunięcie tych ludzi...

- Nie umiem skazywać ludzi na śmierć! - przerwała mu Jala. - Nie radzę sobie, rozumiesz? Nie teraz, kiedy wszystko się wali. Nie potrafię. Umiem być Doradcą. Umiem planować. Umiem zarządzać Rozstajami. Umiem być wierna i lojalna. Ale nie umiem sobie poradzić z tym, co się dzieje. A muszę! - Opadła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach. Wyglądało, jakby się miała rozplakać, ale tego nie zrobiła. Wyprostowała się, wzięła kilka głębokich oddechów. - Miałam nadzieję, że jeśli w końcu wszystko zrozumiem, wszystkiego się dowiem, co i jak, dlaczego, to będzie mi łatwiej. A teraz już sama nie wiem... Nie nadaję się do tego!

Szutzel podrapał się szponami w głowę.

- Niestety, mniejsza szefowo, nikogo innego nie ma.

Jala prychnęła.

- Ty oczywiście wszystko wiesz - powiedziała po chwili.

- Wszystkiego może nie, ale dużo. - Mózgojadek podrapał się po okrągłej głowie. - Ale ani słówka nie mogę pisać, ani słoweczka. Rozumiesz, pani, lojalność, wierność, takie tam...

- Rozumiem - zgrzytnęła zębami Jala. - Jestem wierną poddaną Jej Wysokości i nie kwestionuję, komu decyduje się powierzać swoje tajemnice. I dlaczego nie mnie!

Szutzel rozsądnie milczał. Czekał, aż Ósmej zwołni się oddech, zejdą rumieńce z twarzy i aż przestanie mieć w dłoniach leżące na stoliku kartki. Trochę to trwało, ale wreszcie dziewczyna usiadła prosto, uniosła podbródek i sprawdziła, czy żadne niesforne pasmo włosów nie umknęło z ciasnego koka.

- Dla dobra królestwa muszę dowiedzieć się jak najwięcej - oznajmiła tonem chłodnym i spokojnym. - Oczywiście moja chęć odkrycia tajemnic królowny jest niemal zdradą stanu, ale nie robię tego dla osobistych korzyści czy z pustej ciekawości, ale dla dobra Twierdzy i dla

dobra Salianki.

- Jasne, szefowo - zgodził się pokornie mózgojadek. Nie miał zamiaru wdawać się w dyskusję, o nie. Nie kiedy miała taki zacięty wyraz twarzy. Nawet członkowie Rady już dawno doszli do wniosku, że z Ósmą nie ma się co sprzeczać. Jak sobie wbiła coś do głowy, to już nie było szans, żeby zboczyła z raz obranego kursu. Tak było z tym przekonaniem o wierności i lojalności wobec królowny. Pozostali Doradcy przekonali się, że nie ma co się z Jalą o to spierać, wręcz przeciwnie, lepiej nie stawać jej na drodze, gdy wpada w swój wiernopoddańczy nastrój.

- A kiedy już się dowiem - ciągnęła Jala z dziwnym błyskiem w oku - opowiem ci o tym.

- Że co? Mniejsza szefowo, ja już mówiłem, moje wargi są zaszyte, niech sobie sam mózg wysse...

- Nie chcę, żebyś mi zdradzał tajemnice Salianki - przerwała mu Ósma. - Po prostu mnie wysłuchasz. Nie musisz nic mówić.

- Nic? - upewnił się podejrzliwie demonek. Coś mu tu nie pasowało. Co, on ma tylko słuchać, jak ona mu będzie opowiadać?

- Nic a nic - zapewniła go Jala, nie odrywając od niego spojrzenia, którego nie powstydziliby się bazyliszek.

\* \* \*

- Nasza pani zabrała się z jakimś młodziakiem i pojechała w dal - oznajmił gromko Szutel, ledwo wlaźł przez okno do komnaty. Wieść była z rodzaju tych sensacyjnych i widać po nim było, że aż pęka z radości, iż to on właśnie może ją przekazać.

Jala, pochłonięta rysowaniem jakichś dziwnych wykresów na swoich notatkach, dopiero po chwili podniosła głowę.

- Aha - oznajmiła.

Demonek podszedł bliżej, przekrzywiając łeb na jedną stronę.

- I co? I tyle? Tylko „aha”? Pana Plaskata i tych rycerzyków to nieźle miotło. Szukają porwanej królowny, a ona sobie ludzi morduje i ucieka z jakimiś młodzikami w celach romantycznych.

- Wątpię - stwierdziła krótko Jala. - Nasza Pani nie ma skłonności romantycznych.

- No, też prawda - zgodził się mózgojadek. - Ale na obczyźnie mogło jej odbić, co nie? - Zbyt wiele uciechy sprawiała mu ta teoria, żeby miał ją tak łatwo porzucić. A jeszcze gdyby tak powiedzieć o tym Radzie...

- Poprzednim razem, kiedy nasza Pani była na obczyźnie, zajmowała się, o ile dobrze pamiętam, sprzątaniami - rzuciła znad swoich notatek Ósma.

- Ano podobno - zgodził się Szutel, zanim się opamiętał. - Chwilunia, a skąd waszawspaniałość to wie? To przecież tajemnica jest!

Jala spojrzała na niego z błyskiem.

- To oczywiste, jeśli się tylko połączy ze sobą fakty. Aż dziwne, że nikt z Rady na to nie wpadł.

Królewna nie starała się specjalnie tego ukryć, nakrzyczała na nich i tyle. Rzuciła parę aluzji. Podziałało. W terroryzowaniu ludzi Salianka była całkiem dobra. Jala uczyła się od niej ze wszystkich sił, w pełni świadoma, że nigdy królewnie nie dorówna.

- No, bo zastraszyła ich tak, że nie zadawali pytań. - Szutel podrapał się w głowę. Miał problem. Pani Jala wiedziała więcej, niż powinna. Czy to oznaczało, że on powinien wysrać jej mózg? No ale wtedy w Twierdzy nie byłoby komu pilnować starych pryków. A poza tym królewna mogłaby mieć pretensje... Najlepiej byłoby zapytać królewnę, co z tym zrobić, ale jej nie można było znaleźć...

- To nie jest dobra metoda - uznała Jala. - Ale myślę, że jeśli usuniemy kilku świadków i sfalszujemy parę opowieści, to da się to jakoś zatuszować.

- He? - zdziwił się mózgojadek.

- Jestem wierną sługą Pani Twierdzy. I moim zadaniem jest chronić jej tajemnice, nawet jeśli ona nie zechce mi ich powierzyć - burknęła Ósma. To właśnie było jej zadanie: niedoceniane, męczące, które przyjęła z pokorą. Bo była poddaną Salianki i w przeciwieństwie do podstępnych starych sępów wiedziała, na czym polega lojalność. I już. Mogła sobie warczeć, mogła kląć pod nosem, wkurzać się, że królewna beztróska skorzystała z okazji, żeby zwiedzić świat, ale mimo to pamiętała, co jest jej obowiązkiem. I wypełniała ten obowiązek ze wszystkich sił. - Idę powiedzieć o tym Radzie. - Wstała.

- Mogę popatrzeć? - przymilił się natychmiast Szutel. Miny pozostałych Doradców były tym, co po prostu musiał widzieć. Jednych zachwycaly zachody słońca, innych cuda cywilizacji, a mózgojadka jak nic innego rajcował widok opadniętych szczęk, wytrzeszczonych oczu i ogólnego zbaranienia. I bolesnego szoku, nie należy zapominać o bolesnym szoku.

\* \* \*

- Ma faworyta? - zapytał słabo Siódmy.

- Wszystko na to wskazuje - powiedziała Jala niezwykle radosnym głosem. W końcu czyż nie było to wspaniałe? Królowna znalazła sobie nową bratnią duszę. - To bardzo dobrze, że nasza Pani otrząsnęła się już po stracie Virvena.

- Tak zupełnie to go, zdaje się, nie straciła - mruknął pod nosem Czwarty, obgryzając nerwowo paznokieć kciuka. Ostatnio z nieznanых przyczyn nabawił się tego brzydkiego przyzwyczajenia. - Ponoć jakieś kawałki zostały.

Ósma go zignorowała, konsekwentnie i zauważalnie promieniejąc radością z odnalezionego szczęścia królowny.

- I wraca z tym nowym do Twierdzy? - zainteresował się Dawasz. Jak zawsze wołał przejść od razu do konkretów, zwłaszcza tych przykrych.

- Nie jest to do końca jasne - odparła Jala. - Na razie wyrwali jakimś zbirom serca. Wszystko wskazuje na to, że chwilowo zdecydowali się korzystać z uroków życia.

Doradcy wyglądali z jednej strony na wstrząśniętych, a z drugiej - na zrezygnowanych. W końcu czego innego mogli się po królownie spodziewać, jak nie tego, że znajdzie sobie kompana do wrywania ludziom wnętrzości? W końcu właśnie w takich gustowała. Aż strach pomyśleć, co będzie, kiedy postanowi go przyprowadzić do Twierdzy...

\* \* \*

Co jednak nie nastąpiło, bo kilka dni później wyjątkowo skrepowany Szutzel przyniósł zupełnie inne wieści.

- ...no i głodny byłem, mózg takiemu jednemu wyssałem... - opowiadał niechętnie.

- Oszczędź sobie szczegółów i przejdź do rzeczy - zaproponowała chłodno Jala. Lubiła mózgojadka, ale jego upodobania dietetyczne wołała przemilczać. Poza tym była bardzo, bardzo zła. Rada powinna dostawać przefiltrowane przez nią wiadomości. Dla dobra Salianki i dla dobra jej Doradców. Dla dobra ogółu, jakkolwiek by patrzeć.

- No właśnie przeszedłem - powiedział żałośnie demonek. Nie dość, że ten kawałek opowieści wołałyby pominąć, to jeszcze wpadając do Twierdzy z nowymi wieściami, natknął się na spotkanie całej Rady. Wołałyby najpierw powiedzieć wszystko Jali, ale na to już było za późno. Co gorsza, wiedział, że Ósma będzie miała pretensje o to, że tego nie zrobił. W pełni uzasadnione pretensje. - To był porywacz królowny!

- Przecież królowna zabiła swoich porywaczy - przypomniał Dawasz, spoglądając nieufnie to na mózgojadka, to na Jalę. Od dawna podejrzewał, że coś knują. Nie dziwiłby się wcale, gdyby się okazało, że poprzednie relacje Szutzela były przez Ósmą odrobinę...

doszlifowywane.

- Ale znowu porwali. - Mózgojadek wyciągnął przed siebie ścisną dotąd kurczowo deseczkę. Wyglądał przy tym niesamowicie wręcz żałośnie.

Siedem głów pochyliło się nad kawałkiem drewna.

- *Porwano mnie* - zaczęli czytać jednocześnie. - *Macie dostarczyć tyle srebra...*

- Złota!

- Stoi, że srebra!

- Złota tam jest napisane, czytaj wyraźnie.

- No przecież czytam! - oburzył się Czwarty. - Nie moja wina, że krzywo napisane!

- *...ile ważymy ja i Pazur, we wskazane miejsce. Jak tego nie zrobicie, policzę się z wami po śmierci albo jeszcze za życia. Zastanówcie się, co gorsze. Wasza ukochana Pierwsza, Salianka. Koniec* - doczytała Jala. Starannie zdusiła w sobie wściekłość. Ta wiadomość nie powinna była w ogóle dotrzeć do pozostałych Doradców.

- No, nie ma wątpliwości, że wiadomość ułożyła Salianka - powiedział po chwili wahania Dawasz. - Jest dość... charakterystyczna. Musimy zatem uznać, że królowa stała się ofiarą porwania.

- No ale czemu ona tych porywaczy nie zabiła? - zapytał Sirparak, drapiąc się w brodę. - Tak jak tamtych?

Zapadła cisza. No właśnie, czemu? Skoro ułożyła wiadomość, to musiała być przytomna. A skoro była przytomna, to powinna była połamać im karki, wyrwać wnętrzności i takie tam. Jak to królowa.

- Może są od niej silniejsi? - postawił ostrożnie tezę Czwarty. - W końcu w obcych stronach różni ludzie żyją.

Wizja ludzi silniejszych od królowy była lekko przerażająca. Dobrze, że byli daleko.

- Każę przygotować skrzynię - poderwała się energicznie Jala.

- Tak, koniecznie - zgodził się skwapliwie Dawasz. - Jeśli rzeczywiście są silniejsi... Nie możemy ryzykować zdrowia królowy.

Pozostali pokiwali głowami, wymieniając półgłosem uwagi o konieczności dbania o królową i tym podobne banały. Mózgojadek, zniechęcony fałszywością deklaracji, pokręcił się trochę pomiędzy nimi, a potem wymknął się z sali. Od słuchania takich rzeczy normalnie tracił apetyt.

Zwinał się w kłębek na stercie notatek w komnacie Jali ze szczerym zamiarem kontemplowania podłogi ludzkiej. Nic mu z tego nie wyszło, bo zasnął. Ze snu też mu nic nie wyszło, bo co chwila ktoś go budził. A na dobre zrobiła to Ósma, wpadając niemal biegiem

do komnaty.

- No tak, druga skrzynia - oznajmiła, ledwo mózgojadek odemknął jedno oko.

- Już panienka wie? - złapał się za głowę Szutel. - Ale ja nawet nie zdążyłem panience powiedzieć o odwiedzinach, co je miałem! - Po tym jak dowiedział się od skradającego się chyłkiem Doradcy o drugiej skrzyni, nawet już się zbierał, żeby szukać Jali, ale doszedł do wniosku, że lepiej poczekać. Przecież i tak do zatargania skrzyń na drugą stronę gór on był im niezbędny, więc póki spał, nic się nie mogło wydarzyć.

- To było do przewidzenia - stwierdziła spokojnie. Tak, na te głąby z Rady można było pod tym względem liczyć. Nie przepuściliby takiej okazji. - Pokaż list! - Mózgojadek posłusznie wręczył jej zwój, który służył mu za poduszkę, a który ponoć zawierał wstydlive błagania wiernego sługi o odesłanie ukochanej królowny. Jala złamała pieczęć, rozłożyła go i przebiegła wzrokiem. Druga skrzynia złota w zamian za to, że ani królowna, ani jej kundel nie wrócą do Twierdzy, z akcentem na „nigdy”. No tak, zdrada stanu.

- A teraz będzie trzecia skrzynia po to, żeby ci porywacze jednak nie zabijali królowny, tak? I ja to wszystko będę musiał targać, moje biedne skrzydła - zajęczał demonek.

- Nic nie będziesz targał - uspokoiła go Jala. Szutel spojrział na nią podejrzliwie, zważając oczy.

- Znaczący zostajemy przy tym, że mają za to złoto naszą Panią zamordować? - zapytał, a w jego głosie zabrzmiały niebezpieczne tony.

- To złoto zostaje w Twierdzy. Nie będziemy ulegać żądaniom porywaczy. Znajdziesz ich, powiesz Plaskatowi, gdzie ich szukać, a potem możesz wyssać im mózgi.

- A nasza Pani? - zaprotestował mózgojadek.

- Naprawdę sądzisz, że po tym, jak połamała karki egzorcyptom, dałaby się porwać i napisała ten list, gdyby nie miała w tym jakiegoś celu?

Szutel rozważył słowa Ósmej. Też był zdania, że królowna nie da sobie w kaszę dmuchać. Panienka Jala dobrze ją rozumiała. Rozpromienił się.

- I co robimy, prawie szefowo?

- Chowamy skrzynie i czekamy, co postanowi królowna. Naszym zadaniem jest ją wspierać i czekać na jej powrót. I tyle.

Mózgojadek podrapał się po łysej, zielonej głowie.

- No w sumie tak, ale panu Plaskatowi się to nie spodoba. Strasznie się uparł królownę do Twierdzy sprowadzić.

- Pan Plaskat - rzekła stanowczo Jala - nie musi o tym wiedzieć.

Już jakiś czas temu doszła do wniosku, że Plaskat mimo pewnej tkliwości, jaką wciąż



wywoływał w jej sercu, nie jest osobą, która w pełni zrozumie zawłości jej planu. Owszem, był wierny królowi, był pragmatyczny, ale miał też nadmiar ambicji i stanowczo źle patrzył na kobiety - w tym na królową. Naprawdę powinien w końcu zrozumieć, że bezradnych kurcząt w Twierdzy nie hodowano, a królowa umiała dać sobie radę. Oczywiście ten ostatni fakt należało starannie ukrywać. Diabli wiedzą dlaczego, przecież tylko największy idiota by się na to nabrał, ale gwoli ścisłości należało przyznać, że Doradcy królowy miewali chwile zidiocenia. Jak choćby ten pomysł z drugą skrzynią... Jak można było w ogóle założyć, że demon zdradzi swoją Panią? Ktoś musiał tak się przestraszyć możliwego powrotu królowy, że zgłupiał dokumentnie.

Jala westchnęła. Gdyby życie było takie proste i trzy skrzynie złota wystarczyłyby, żeby sprowadzić Saliankę z powrotem...

Na razie były ważniejsze sprawy niż ubolewanie nad skomplikowaniem świata. A raczej jedna sprawa - tego członka Rady, który kazał przygotować drugą skrzynię i napisał list. Nie można tego było tak zostawić. Być może wystarczyłoby go tylko obserwować, ale z drugiej strony taka inicjatywa, jaką wykazał, mogła być na dłuższą metę niebezpieczna.

Nagle drzwi otworzyły się bez pukania i niania wparowała do komnaty, z uśmiechem kierując się do stojącego pod ścianą kuferka. Zanim osłupiała Jala zdołała ją powstrzymać, starowinka otworzyła go i bezbłędnie wyciągnęła flakonik z najszybciej działającą trucizną.

Kuglarka przełknęła nerwowo ślinę. Ten specyfik był wyjątkowo zabójczy. Gdyby niania upuściła flaszkę, całą komnatę wypełniłyby natychmiast mordercze opary.

- O...strożnie - wydusiła z siebie.

Niania tylko się uśmiechnęła, jakby porozumiewawczo, wepchnęła flakonik gdzieś w zakamarki fartucha i wyszła tak samo szybko i pewnie, jak weszła, zostawiając za sobą osłabłą z ulgi, że żyje, Ósmą.

Potrwało chwilę, zanim Jala doszła do siebie. Rozum kazał jej panikować: po Twierdzy przemieszczała się szalona babinka z morderczym specyfikiem. Gdyby go przypadkiem upuściła albo gdyby jej wypadł...

Tyle że to nie była byle jaka babinka, tylko niania królowy. Plaskat swego czasu coś niecoś jej o kobiecie opowiedział. Swoje zrobiło też zachowanie Salianki, która traktowała nianię niczym zdolną do wszystkiego, nigdy nieśpiącą i zawsze będącą w pobliżu istotę. To wszystko kazało Tali zignorować panikowanie rozumu, wziąć głęboki oddech i wrócić do pracy z miłą świadomością, że problem najbardziej nielojalnego wobec królowy członka Rady zostanie rozwiązany.

Miała rację. Zwłok Czwartego nigdy nie odnaleziono.

Jedna skrzynia złota została przez Szutzela wyniesiona z Twierdzy, a potem ukryta w pobliżu. Nieobecność Czwartego podczas wyprawiania okupu nie uszła niczyjej uwagi, ale tylko Jala zdenerwowanym głosem, tamując łzy, wyraziła powszechne oburzenie jego lekceważącym stosunkiem do tego wydarzenia. Wspomniała też o tym, że królowna będzie takim zachowaniem naprawdę zbulwersowana. Pozostali Doradcy nie mówili nic, chociaż lekko niepewne spojrzenia, jakie rzucali na boki, świadczyły o tym, że przypomnieli im się stare, dobre czasy, kiedy członkowie Rady padali jak muchy.

\* \* \*

- Ci idioci myślą, że królownę pożarł smok - doniósł wkrótce potem Szutzel. Z satysfakcją zaobserwował, że ta wiadomość zrobiła na Jali wrażenie. Wreszcie. Już myślał, że Ósma pogrzy się całkiem w tym swoim wściekłym rozżaleniu.

- Smoków nie ma - poprawiła go stanowczo. - To bajki.

- Jedną taką bajkę królowna ukatrupiła. A druga ją podobno pożarła, ale to bzdury. - Machnął łapą. - Nasza pani żyje, czuję to. Tylko pan Plaskat coś mało mi wierzy. Szlochanie w futro Pazura do gustu mu przypadło czy co?

Ósma wzruszyła ramionami. Może szlochanie niegdyś ukochanego mężczyzny za inną kobietą kogo innego by ubodło, ale nie ją. Po pierwsze, nie widziała powodu, dla którego postępowanie byłego kochanka miałyby ją w jakimkolwiek stopniu obchodzić. Po drugie, w pełni popierała okazywanie żalu spowodowanego zniknięciem królowny. Po trzecie, kogo obchodziło, że Plaskat szlocha, kiedy odnalazł się Pazur. To przecież znaczyło, że królowna była blisko. A jeśli była blisko, to może postanowi łaskawie wrócić i zrobić porządek w tym burdelu, a ona będzie mogła sobie spokojnie wrócić do sprawnie zarządzanych Rozstajów.

- Skoro żyje, to gdzie jest? - zapytała.

Schutzel wzruszył ramionami.

- Pojęcia nie mam. Ale może jak już pan Plaskat łzy wysuszy, to zacznie jej wreszcie porządnie szukać. Bo ja mam drugą, najlepszą z możliwych wiadomości - oznajmił z dumą. - Znalazłem matkę królowny. I Wrota.

***Koniec***